



LUCYNA
OLEJNICZAK

Czy dziś, czy kiedyś
ludzkie emocje są
tak samo gorące.

✠ LILIE ✠
KROLOWEJ

SAGA ŚREDNIOWIECZNA

TOM III

MATKI

Prószyński i S-ka

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

LUCYNA
OLEJNICZAK

❖ LILIE ❖
KROLOWEJ

SAGA ŚREDNIOWIECZNA

TOM III

M A T K I

Prószyński i S-ka

Copyright © Lucyna Olejniczak, 2023

Projekt okładki
Luiza Kosmólska

Zdjęcie na okładce
© aaalll3110/[Adobe Stock](#)
© Lee Avison / [Trevillion Images](#)

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Ewa Witan

Korekta
Katarzyna Kusojeć
Bożena Hulewicz

ISBN 978-83-8352-532-7

Warszawa 2023

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

*Pamięci mojego przyjaciela,
Zdzisława Nowaka*



CZĘŚĆ PIERWSZA

BIAŁE GODY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kraków, grudzień 1392

Kiedy Milda znajdowała się na granicy życia i śmierci, a wawelscy doktorzy stwierdzili, że nie ma już dla niej żadnej nadziei, znów nawiedziły ją duchy.

Te dobre i te złe.

Pojawiła się Ina – piękna jak przed laty, cała ubrana na biało, z wiankiem we włosach. Starła się dodać gorączkującej dziewczynie otuchy, lecz gdzieś za plecami zmarłej żony Varnasa, w głębokim mroku, kłębiły się również demony. Ludzkie i zwierzęce. Najwidoczniej trwała walka o życie Mildy.

Musisz ratować Amalię, szeptała uporczywie Ina. Musisz odzyskać siły.

Amalia jest nasza, odpowiadały demony. Ona i jej dziecko. Ty, Mildo, też do nas idziesz. Otworzyłaś drzwi, których nie można już zamknąć...

Była pewna, że umiera.

Ale nie umarła.

Zima tego roku nadeszła dosyć późno, bo dopiero w grudniu, jednakże gdy już się pojawiła, to w pełnym majestacie i w całej swej surowej i groźnej potędze.

Na tydzień przed Godami spadł pierwszy śnieg, a następnie chwyciły takie mrozy, jakich dawno już w Krakowie nie pamiętano. Miasto się wyludniło, lodowaty wichur hulał po zasypanych śniegiem opustoszałych ulicach i placach. Z rzadka tylko można było ujrzeć jakąś ludzką postać albo przemykające bezgłośnie sanie. Jedynie dzieci w tym czasie miały ochotę opuszczać nagrzane izby; całymi grupkami udawały się nad zamarznąłą Wisłę, aby ślizgać się po lodzie na kościanych łyżwach.

Nastała niesamowita cisza.

W tej ciszy Milda każdego ranka czujnie nasłuchiwała odgłosów zewnętrznego świata, leżąc w olbrzymim łożu z baldachimem, w mocno nagrzanym komnacie znajdującej się w północnej części wawelskiego zamku.

Nauczyła się je rozpoznawać i odróżniać: najpierw, kiedy za oknem było jeszcze mroczno, wyławiała uchem chrzęst śniegu pod butami przemierzającego dziedziniec wartownika, potem jego kaszel, zgrzyt otwieranej bramy, poszczekiwanie psa, a na koniec gdzieś za ścianą zaczynały brzęczeć garnki, znak, że przygotowano poranny posiłek dla służby. Oznaczało to, iż za chwilę do sypialni wejdzie piegowata dziewczka o imieniu Czochna, by rozpaść ogień i opróżnić nocnik.

Że zaczyna się nowy dzień.

I tak każdego ranka, z taką samą regularnością, z jaką przesypywał się piasek w ustawionej na gzymsie komina klepsydrze. Milda miała dużo czasu, aby się tych głosów nauczyć, bo nie ruszała się z łoża już od paru tygodni. Odzyskiwała siły po tym, jak znalazła się na granicy świata żywych i umarłych.

Właściwie nikt nie wiedział, co było przyczyną jej choroby.

Po prostu pewnego popołudnia, tuż po tym, jak doznała wizji podczas uczty, chwyciły ją straszliwe dreszcze i gorączka. Nastąpiło to tak gwałtownie, że sama nie zdążyła zareagować – nie miała czasu ani siły, by sobie przygotować lecznicze wywary. Zaczęła majaczyć na swoim posłaniu w aptece.

Przestraszona królowa udostępniła dawnej dwórcy osobną sypialnię i wezwała najlepszych medyków z zamku. Puszczono dziewczynie krew, podano jakieś medykamenty. Wiele to nie pomogło, Milda wciąż gorączkowała, wstrząsana dreszczami. Postawiono horoskop, który jednak wyszedł niepomyślnie, więc jego treści nikomu nie ujawniono.

Trzeciego dnia choroby nadeszła chwila, kiedy zdawało się, że dziewczyna odchodzi do lepszego świata. Leżała na wznak, śmiertelnie blada, z włosami rozrzuconymi na poduszce i zdawało się, że przestała oddychać. Na wieść o tym Varnas, którego do tej pory nie wpuszczano do sypialni, przebił się przez pilnującą drzwi służbę i uklękłszy przy łożu, ujął dłoń siostry w swoją, jakby w ten sposób chciał tchnąć w nią życie.

Milda chyba go nie poznała, ba, pewnie nawet nie zauważyła jego obecności, lecz dziwnym trafem od tego momentu zaczęło jej się powoli polepszać.

– To się wzięło od wizji – wyjaśnił doktorom Varnas, kiedy ci podawali chorej jakiś wzmacniający wywar.

– Wizji? – zdziwił się jeden z nich, mistrz Stanisław, w spiczastym kapeluszu z podgiętym do góry rondem i w długim do ziemi amsterdamskim płaszczu.

– Zawsze ją wyczerpywały. Choć nigdy aż tak bardzo.

– O jakich wizjach mówimy? – Stanisław zmarszczył siwe brwi.

– Kiedy widzi się na dużą odległość – odparł Varnas, nie bardzo wiedząc, jak inaczej ująć w słowa coś, co dla niego i Mildy zdawało się oczywiste, lecz dla innych, jak zdążył się przekonać, było o wiele bardziej skomplikowane.

– Czy to aby nie pogańskie praktyki? – zaniepokoił się medyk.

Varnas umilkł i więcej już nie podejmował tego tematu.

Doktorzy nie wierzyli w żadne wizje, tylko w naukę, toteż uznali, że chorobę spowodowały jesienne fluidy, zapewne unoszące się znad Rudawy i mokradeł pod wpływem gwiazdnych koniunkcji, a objawy uległy wzmocnieniu z tego prostego powodu, że Milda zbyt długo mieszkała pośród gminu, no i wśród Izraelitów, oddychając tam nieczystymi wyziewami. Tyle mniej więcej mieli do powiedzenia, zanim odebrali iście królewskie honoraria. Przeszli zresztą być potrzebni, gdy tylko dziewczyna odzyskała przytomność na tyle, by móc jasno myśleć i mówić. Choć wciąż wycieńczona, zabroniła stanowczo puszczania sobie krwi, sama też zaczęła decydować, jakie mieszanki ziołowe należy przygotowywać.

Potem chciała rozmawiać już tylko ze starym aptekarzem. Doktorzy – widząc, że chora ani ich nie słucha, ani nie chce widzieć – przez jakiś czas odwiedzali ją jeszcze raz na kilka dni, po czym, gdy najgorsze minęło, w ogóle przestali przychodzić.

W połowie listopada Milda poczuła się na tyle dobrze, że mogła wstać z łoża, aby – podtrzymywana przez dziewczkę – pospacerować trochę po komnacie. Wciąż jednak była bardzo słaba, a chłody, jakie nadeszły, zagnały ją z powrotem pod ciężkie kołdry.

Podczas tych długich jesiennych wieczorów, kiedy na zewnątrz najczęściej padało lub wiało, jedynym urozmaiceniem były dla niej wizyty

brata oraz królowej.

Varnas przychodził codziennie. Milda wiedziała dobrze, że pragnąłby już jak najszybciej powrócić do Prus, do swojej Sońki, lecz nie wyjedzie z Krakowa, póki siostra całkowicie nie wydobrzeje. Na próżno przekonywała go, że nie musi już przy niej czuwać, bo najgorsze minęło i nie powróci, a on nie jest uzdrowicielem.

– Teraz masz najlepszy czas na podróż – powiedziała słabym głosem, gdy nastały grudniowe mrozy. Mogli rozmawiać po swojemu, czyli w litewskim narzeczu ruskiego. – Po lodzie szybko przejedziesz przez bagna i mokradła.

– Wiem.

– A jak przyjdzie odwilż, nie przebrniesz.

– Nie ucz mnie, kiedy się należy przeprować, bo ja ciebie nie uczę, jak robić ziołowe wywary – mruknął niechętnie. – Zima dopiero się zaczęła. Gdzie tam do odwilży.

– Na nic mi się tu nie przydasz, a twoja Sońka z pewnością wypatruje cię każdego dnia.

– Tak, tak – zasepił się, wyraźnie rozdarty między tęsknotą za ukochaną a poczuciem obowiązku wobec siostry. – Ale musi jeszcze wytrzymać. Nie jest dzieckiem. Nie chcę teraz zostawiać cię samej. Raz już cię tak zostawiłem.

– I przeżyłam. – Milda uśmiechnęła się słabo. – A i teraz się nie wybieram na tamten świat.

– Mało kto wybiera się tam z własnej woli.

– I nie jestem sama. Opiekuje się mną cały Wawel. – Uśmiechnęła się blado.

– Ostatnim razem, gdy wyjeżdżałem, też podobno byłaś pod ochroną królowej. Poczekam, aż nabierzesz sił na tyle, że nie będziesz musiała tu leżeć.

Tak naprawdę jednak nie zamierzał wyjeżdżać, póki się nie przekona, że siostra, pod wpływem październikowej wizji, nie zamierza uczynić czegoś szalonego. A czymś takim byłaby bez wątpienia samotna podróż do Roźnowa, aby się upewnić, czy przyjaciółka nie potrzebuje pomocy. W ogóle nie rozmawiali o tym widzeniu Mildy i właśnie to zdawało się Varnasowi podejrzane. Obserwował siostrę bacznie, podejrzewając, że ta ukrywa przed nim swoje zamiary. Aby nie zatrzymywać go w Krakowie,

mogła udawać, że tamta wizja wyleciała jej już z głowy, że o niej zapomniała.

W rzeczywistości było inaczej – ponury obraz uwięzionej Amalii wcale nie zniknął, jedynie tak się zlał z późniejszymi majakami, które nadeszły pod wpływem gorączki, że Mildzie trudno już było rozstrzygnąć, co naprawdę ujrzała, gdy wtedy tańczyła na uczcie, a co jej się potem uroiło podczas choroby. W ogóle wszystko, co poprzedziło okres niemocy, wydawało jej się teraz odległe i jakby ukryte za zasłoną. Do świadomości Mildy dochodziły tylko niewyraźne echa, których nie umiała odróżnić od późniejszych snów i urojeń.

Jedne były koszmarne, inne budziły jakieś niby to przyjemne, ale chorobliwe dreszcze.

Te koszmarne dotyczyły naturalnie Amalii.

Wrażenie, że jej przyjaciółce dzieje się jakaś krzywda, nie zniknęło, choć stało się bardzo mętne. Dzisiaj Milda już nie umiała dociec, czy jego źródłem była prawdziwa wizja, czy też wtedy, podczas tańców, miała do czynienia z pierwszym atakiem choroby. Aby wszystko dokładnie przemyśleć, musiała być w pełni sił.

Drugie wspomnienie powodowało z kolei, że znów czuła pojawiające się na przemian fale gorąca i chłodu.

Wprawdzie to, że piękny Mikołaj wyznał jej miłość podczas uczy, docierało do niej jakby przez mgłę, była jednak pewna, iż jego słów sobie nie wyśniła, że powiedział to naprawdę. A w dodatku mówił coś o ślubie. Przez cały czas choroby syn kupca nie odwiedził Mildy w jej sypialni, ale była z tego powodu nawet zadowolona, ponieważ nie chciała, by oglądał ją w takim stanie.

Później dowiedziała się zresztą, że sama królowa zabroniła mu przychodzić. Była przekonana, że jedną z przyczyn niemocy Mildy jest właśnie on. Nadmierny afekt miał osłabić zdrowie jej dawnej dwórki.

Jadwiga zachodziła do Mildy przynajmniej dwa razy w tygodniu.

Zwykle przynosiła ze sobą oprawną w aksamit książkę do nabożeństwa i różaniec, siadała na krześle z wysokim oparciem, plecami odwrócona w stronę sięgającego sufitu kominka, i zaczynała cichą modlitwę. Kiedy

jednak stan chorej uległ poprawie, wizyty Jadwigi stały się nieco swobodniejsze. Monarchini czytała swej podopiecznej fragmenty ze *Złotej legendy* Jakuba de Voragine, niedawno przetłumaczonej na język polski, ale najczęściej gawędziły o wszystkim i o niczym. Milda dowiadywała się plotek – zarówno tych zamkowych, jak i pochodzących z zagranicy.

A więc usłyszała, że na początku stycznia ma przybyć do Krakowa gospodarz mołdawski Roman, by złożyć hołd Jagielle, a jeszcze wcześniej, bo na czas Godów, zawitać ma Aleksandra Ziemowitowa z Mazowsza, a także Anna Światosławowna, żona Witolda. Zwłaszcza ta druga była barwną postacią.

– Wiesz, Mildo, że ona ma podobno trzy tysiące sukien? – oznajmiła królowa z miną, która na chwilę upodobniła ją do zwykłej młodej dziewczyny, podnieconej i rozbawionej.

– Trzy tysiące? – Jej podopieczna aż westchnęła.

– Tak.

– Jakby ułożyć z nich stos na rynku, to zasłoniłyby sukiennice.

Jadwiga zaśmiała się cicho, lecz szybko spoważniała.

– Nie pochwalam takiego zbytku – rzekła. – Bardzo to... pogańskie.

No cóż, sama jak zwykle na co dzień odziana była w prostą suknię w kolorze burym, a na głowie nosiła tylko biały jedwabny czepek, bez haftów i pereł. Nawet zwykłe mieszczki chodziły bardziej wystrojone niż królowa Polski. W dodatku Jadwiga wydawała się zmęczona i blada. Czy to przez skromność ubioru i zachowania, czy też z powodu ciągłych modlitw i postów, coraz bardziej przypominała Mildzie młodą mniszkę z klasztoru.

Tylko słuszny wzrost oraz dumna postawa odróżniały ją od skromnych, kornie pochylonych zakonnic. Cienie pod oczami królowej budziły niepokój, a wciąż zaciśnięte usta nadawały jej pięknej twarzy wyraz stanowczości, wręcz jakiegoś fanatyzmu. Milda dobrze wiedziała, co dolega królowej, nie trzeba było zresztą do tego żadnego daru widzenia. Minęło już kilka lat od ślubu z Jagiełą, a Andegawenka wciąż nie urodziła następcy tronu, pozostawała bezpłodna i bezdzietna – *sterilis et sine prole* – czyli, jak to mawiano w takich przypadkach w Polsce: „Bóg zesłał na nią hańbę bezpotomności”.

Opprobrium sterilitas..

Dla pospólstwa, lecz nie tylko, mogło to oznaczać wyłącznie jedno: była publiczną grzesznicą, napiętnowaną przez Boga za jakieś utajone winy.

A nie umilkły przecież jeszcze echa krzyżackich i rakuskich kalumnii, wszystkich owych plotek o jej zepsuciu, podwójnym małżeństwie, obcowaniu cielesnym z Wilhelmem. Dobrze też pamiętano hańbę, jaką okryła się matka Jadwigi.

Bezdziębność królowej była również przyczyną problemów politycznych: zagrażała przyszłości nowej dynastii, a także jedności unii polsko-litewskiej.

Słowem, młoda monarchini musiała się czuć w jakimś sensie zbrukana i oczyszczenia szukała głównie w religijnej żarliwości oraz szlachetnych uczynkach. Mimo wszystko Milda miała wrażenie, że taka pobożność powoli spala królową od środka.

Dlatego tak bardzo ceniła sobie chwile, gdy Jadwiga choć na moment porzucała swój religijny pancerz, mający ją chronić przed światem, i zachowywała się jak młoda kobieta, którą w istocie była. Mogła sobie na to pozwolić w towarzystwie Mildy, kiedy nie musiała grać przed wszystkimi roli władczyni.

– A wiesz, że król Francji, Karol, podobno twierdzi, że cały jest zrobiony ze szkła, i boi się, żeby go ludzie nie dotknęli, bo mógłby się rozbić? – poinformowała kiedyś Mildę Jadwiga z miną zafascynowanego dziecka.

– To jak on rządzi?

– Nie wiadomo. Posłowie mówią, że cały Paryż jest przerażony.

– Tym, że ma szklanego króla? – zażartowała chora.

– Nie. – Monarchini się zaśmiała. – Że ma obłąkanego władcę. Kiedyś w przytułku dla ubogich widziałam człowieka, któremu się wydawało, że chodzą po nim pająki, choć ich wcale nie było widać. To musi być coś podobnego.

Czasami plotki bywały jeszcze bardziej sensacyjne i nieprawdopodobne: oto podobno wyłowiono z Tamizy martwą syrenę, do połowy kobietę, do połowy rybę, w Brandenburgii zaś urodziło się dziecko z trzema twarzami. Świat najwyraźniej zmierzał ku apokalipsie.

Pewnego grudniowego dnia królowa pojawiła się w sypialni Mildy wcześniej niż zazwyczaj. Już przy drzwiach poinformowała dziewczynę:

– Masz list od Amalii.

- Co? – Milda gwałtownie usiadła na łożu.
- Na Wawel przybył dzisiaj jej mąż, Zbigniew.
- Coś się stało?
- Nie, nie. Spokojnie. Z tego, co zdążyłam usłyszeć, z Amalią wszystko w porządku. Zbigniew przyjechał na wezwanie króla. Chodzi o tę wojnę, którą prowadził z bratem, kiedy trzeba było wysłać do Rożnowa jazdę koronną. Król takich rzeczy nie puszcza płazem.
- I gdzie ten list?
- Zbigniew pragnie ci go doręczyć osobiście.
- Osobiście?
- Tak mówił. – Monarchini była w rozpiętej szubie podbitej wiewiórkami, jakby przyszła prosto z dziedzińca.
- Kiedy? – spytała Milda.
- Pewnie jeszcze dzisiaj. Myślę, że wieczorem. Po rozmowie w królem. Też chcę wysłuchać wieści od naszej Amalii, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Do mnie również pisała, ale co innego do królowej, a co innego do przyjaciółki.

Jadwiga powiedziała to z lekkim smutkiem, jakby zdawała sobie sprawę, że w pewnym sensie zawiodła swoją dawną towarzyszkę z dzieciństwa.

Tego dnia nie było ani czytania, ani modlitwy, ani pogaduszek. Królowa zostawiła Mildę samą, aby ta zdążyła przygotować się na wizytę rycerza. Dziewczyna czuła się już na tyle dobrze, że mogła na ten czas wstać z łoża. Nie chciała przyjmować gościa w koszuli nocnej, pośród skotłowanej pościeli. Umyła się, uczesała i włożyła zieloną suknię, tę o francuskim kroju, obcisłą, z ozdobnym pasem na biodrach. Do tego pętlik, czyli czepek obszyty perełkami, prezent od królowej, który wreszcie mogła zaprezentować. Przed zapadnięciem zmierzchu była już gotowa i niecierpliwie chodziła po komnacie, co chwila przystając przy oknie, za którym biał zimowy pejzaż. Płonął ogień w kominku, zapalono też świece i oliwne lampki, pomarańczowe światło pełgało po belkach sufitu.

Zbigniew przybył godzinę po zapadnięciu zmroku, w towarzystwie królowej i jakiegoś młodego mężczyzny w czarnym płaszczu i czarnym

berecie. Młodzieniec ten, jak się zaraz wyjaśniło, miał odczytać na głos list, z czego Milda domyśliła się, iż mąż Amalii sam tego zrobić nie potrafi.

Pomimo owych braków w wykształceniu Zbigniew bardzo pragnął uchodzić za światowca.

– Pani – zwrócił się do Mildy, pochylony w głębokim ukłonie, z hełmem pod pachą. – To dla mnie wielki honor móc nareszcie poznać osobę tak bliską sercu mej umiłowanej małżonki.

– Mnie też miło was widzieć, panie – ceremonialnie odparła Milda.

Nie wiedziała jeszcze, co myśleć o tym mężczyźnie.

Wyobrażała go sobie jako kogoś starszego i bardziej prostackiego. Mąż Amalii nie był wprawdzie młodzieniaszkiem, ale twarz miał całkiem przyjemną i można by rzec: jeszcze całkiem młodą. Męską, o regularnych rysach, z szerokim czołem, obramowaną długimi do ramion włosami, w których, przynajmniej w tym świetle, nie widać było nitek siwizny. Choć oblicze Zbigniewa zdradzało jakiś rys pustoty, można było patrzeć na nie bez odrazy.

Krótko mówiąc, Milda spodziewała się czegoś gorszego.

Mąż Amalii ubrany był, jak na rycerza przystało, w płaszcz z karmazynowego adamaszku, haftowany srebrem i obramowany sobolowym futrem. Z trzymanego wciąż pod pachą hełmu sterczały pęki strusich piór. Wszystko to mogłoby zaimponować Mildzie, gdyby nie zauważyła przy okazji, że paznokcie rycerza są zaniedbane i długie, z czarnymi jak ziemia obwódkami.

– Moja małżonka przesyła gorące pozdrowienia oraz list, który... – Pan na Roźnowie odchrząknął i spojrzał na mężczyznę w czarnym berecie.

– Który pozwolę sobie odczytać – dokończył ten wystudowanym głosem i spod fałd płaszcza wyjął opieczętowany rulon. – Czy mogę?

Królowa i Milda skinęły głowami, po czym usiadły na krzesłach, a młodzieniec tymczasem sprawnie złamał pieczęć i rozwinął pergamin.

Nabierał już tchu, gdy do komnaty wślizgnął się Varnas.

– Przepraszam – szepnął Litwin, kłaniając się królowej, a potem stojącemu na środku komnaty rycerzowi. Sam zajął miejsce w głębi pomieszczenia, przy ścianie.

Gdy znów nastała cisza, mężczyzna w berecie zaczął odczytywać list, głośno i uroczyście, jakby obwieszczał na rynku królewską ustawę:

Najmilsza Mildo. Kreślę do Ciebie tych kilka słów, korzystając z okazji, iż mój najdroższy małżonek udaje się właśnie do Krakowa, przed Najjaśniejsze Królewskie Oblicze. Nie wiesz nawet, jak bardzo pragnęłabym mu towarzyszyć, aby móc nareszcie spotkać się z Tobą po tak długiej i bolesnej rozłące. Nieszczęśliwy los sprawił jednakże, iż przeziębienie zatrzymało mnie w łóżu. Przyjdzie mi więc poczekać dłużej na szczęście ujżenia Cię, najdroższa przyjaciółko. Myślę, że może to nastąpić już na wiosnę, jeśli dobry Bóg zezwoli i nie będzie miał wobec nas innych planów.

Lektor nabrał głębiej tchu i kontynuował, w tym samym napuszczonym stylu, tak nieprzystającym do osobistej treści listu:

U mnie nastały teraz dni szczęśliwe i choć pogoda zimowa – promienne. Mała Małgorzata każdego dnia napęnia me serce radością i matczyną dumą. Jest ona też miłością mego małżonka, który dzięki niej odnalazł w swej duszy wojownika także i ojcowską czułość oraz bezprzykładną opiekuńczość. Pamiętasz, moja droga, kiedy pewnego słonecznego lata, podczas wycieczki do klasztoru w Mogile, rozmawialiśmy o swym przyszłym macierzyństwie? Miałyśmy zaledwie po dwanaście lat, mogłyśmy tylko marzyć, zdawałoby się, po dziecięcemu. Tymczasem, najdroższa Mildo, pragnę Cię poinformować, że tamte sny, śnione tak niewinnie w cieniu mogiłskich krużganków, całkowicie się ziściły. Nawet nie wiesz, jak bardzo bym pragnęła widzieć Cię teraz przy sobie.

Bądź zdrowa i myśl o mnie, tak jak ja o Tobie myślę.

Mężczyzna umilkł, po czym uniósł dumnie podbródek, dając znak, że skończył.

Wszyscy słuchali tych słów uważnie – Milda niemal w rozmarzeniu, królowa z lekkim uśmiechem, stojący na baczność Zbigniew z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, Varnas zaś bacznie obserwował reakcję siostry. Miał wrażenie, że pismo od Amalii uspokoiło Mildę i wprowadziło ją w dobry nastrój. Nareszcie.

Można by rzec, że nadeszło w samą porę.

– Widzisz? – Podszedł do niej, kiedy wszyscy inni opuścili już komnatę. – Tamta wizja była nieprawdziwa. To choroba ją spowodowała, nie bogowie.

Milda nic nie odrzekła, tylko usiadła ciężko na brzegu łóża, patrząc nieobecny wzrokiem w trzaskający ogień.

– Źle się czujesz? – zaniepokoił się Varnas.

Pokręciła głową.

– Może to był błąd wstawać na tak długo?

– Nie o to chodzi – szepnęła.

– A o co?

– Amalia...

– Amalia jest szczęśliwa – odparł. – Urodziła dziecko i...

– Nie.

– O czym ty mówisz?

Milda uniosła głowę i spojrzała na niego takim wzrokiem, że ten aż poczuł ziąb.

– Nigdy nie byliśmy w mogiłskim klasztorze – powiedziała cicho – i nigdy nie rozmawialiśmy o przyszłym macierzyństwie. Wymyśliła to, by dać mi znać, że zmuszono ją do napisania tego listu. Varnasie, Amalia błaga mnie o pomoc.

ROZDZIAŁ DRUGI

Rożnów, grudzień 1392

To przerażające, jak łatwo pogodzić się z koszmarem, myślała ponuro Amalia, patrząc przez okno swojej komnaty, która od tygodni była jej celą, a raczej grobowcem, bo młoda kobieta już od jakiegoś czasu miała wrażenie, że została tu pogrzebana żywcem.

Tak, do wszystkiego można przywyknąć. Nawet do najgorszej rzeczy, jaką można sobie wyobrazić, czyli do utraty dziecka. Na początku umysł reaguje zwierzęcym krzykiem, płaczem, rozdzieraniem twarzy paznokciami, biciem pięściami w dębowe drzwi. Po tygodniach jednak przywyka do nowych warunków i choć otępiały, jakimś cudem funkcjonuje dalej. A powinien przecież pogrążyć się w całkowitym szaleństwie, prawda?

Bo jak można dalej żyć ze świadomością, że prawdopodobnie już nigdy się nie przytuli własnego dziecka?

Odkąd Zbigniew odebrał jej córkę, małą Małgorzatę, a ją samą zamknął w komnacie, Amalia przeszła przez wszystkie etapy cierpienia – od szaleństwa i rozpacz po zubożenie i pogodzenie się z losem. Najpierw miotała się po pomieszczeniu jak obłąkana, rwała włosy z głowy, krzyczała, potem – gdy już przekonała się, że jej córeczka żyje – przesypiała całe noce i dni, uciekając przed koszmarną rzeczywistością w równie koszmarnie sny. Ostatnio, gdy już przyszła śnieżna zima, przeważnie siedziała przy kominku, skulona i opatulona w futra, tępym wzrokiem wpatrując się w ogień.

Lecz teraz – niedawno – nastąpił już kolejny etap. Po rozpacz i otępieniu pojawiło się coś nowego: iskierka nadziei. Tak delikatna, iż Amalia bała się głębiej westchnąć, by jej nie zgasić.

Nadzieja ta była związana z pewnym listem.

W dniu, na który jej mąż zapowiedział swój powrót z Krakowa, Amalia czekała przy oknie i drżąc z zimna, usiłowała cokolwiek dostrzec poprzez gęstą zasłonę śnieżnej zawiei.

Otulona grubym futrem stała tak nieruchoma i cierpliwa jak posąg. Wiatr wył wściekle, przyginając stojące w dole drzewa niemal do ziemi i od czasu do czasu łamał słabsze z nich, wdzierał się w szpary nieszczelnego okna, gwizdał w kominie i wzniecał snopy iskier w palenisku. W komnacie panował półmrok, spowodowany nie tyle porą dnia, ile ową śnieżycą, i tylko ogień na kominku rzucał słabe światło na pomieszczenie. Osadzone w ołowianych ramach szybki dźwięczały przy każdym silniejszym uderzeniu skłębionego śniegu. W szparze między oknem a murem leżała zasuszona biedronka – smutna pozostałość po lecie, które zdawało się teraz tak odległe, jakby go nigdy nie było.

Amalia tkwiła w oknie niewzruszenie, gdyż nie pozostało jej już nic innego. Ostatnio całe jej życie sprowadzało się do bezczynnego wyczekiwania. W pierwszych dniach zamknięcia liczyła jeszcze na to, że gniew męża jednak osłabnie i Zbigniew w końcu wypuści ją z zamknięcia, pozwoli spotkać się z córeczką. Naiwnie czekała więc, by się opamiętał. Kiedy już pozbyła się tych złudzeń, uchwyciła się nadziei, że mieszkańcy wsi wpłyną w jakiś sposób na swojego pana, upomną się o nią, jako że przecież ocaliła ich przed ludźmi Emeryka. Lecz w tej kwestii także się zawiodła, najwidoczniej nikt nie zamierzał jej pomóc.

Teraz zaś liczyła na to, iż wizyta Zbigniewa na Wawelu okaże się przełomem.

Z dwóch powodów.

Pierwszy to list do Mildy. Jej przyjaciółka powinna się zorientować, że zawiera on ukryte przesłanie. Była bystra i przenikliwa, w dodatku miała niezwykle rozwiniętą intuicję, toteż owe fałszywe wspólne wspomnienia, o jakich Amalia napisała w liście, muszą zostać przez Mildę dostrzeżone.

Po drugie, Amalia liczyła na to, iż może podczas wizyty na Wawelu jej mąż ochłonie i wytrzeźwieje, zorientuje się, że uczynił rzecz szaloną. Że nie uda mu się więzić w tajemnicy kogoś, o kogo w Krakowie pyta sama królowa. Bo tutaj, w Rożnowie, Zbigniew zdawał się żyć w zupełnym zamroczeniu. Od kiedy dogonił Amalię na drodze do Krakowa,

zachowywał się jak szaleniec. Z jakimś upiornym grymasem, który mógłby uchodzić za uśmiech, wciągnął ją wtedy, jak kukłę, na swojego konia i nucąc coś pod nosem po drodze, zawiózł z powrotem na zamek. Nie opierała się, skamieniała pod wpływem wstrząsu i przerażenia. A przede wszystkim – bezsilności. To, że zostały schwytane niemal pod samymi bramami Krakowa, kiedy zdawało się, iż są już ocalone, odebrało Amalii wszelką chęć oporu – miała wrażenie, jakby zderzyła się z jakąś bezosobową siłą, której żadne ludzkie plany, choćby najmisterniejsze, nie są w stanie przechytrzyć.

Tak więc poddała się przeznaczeniu. Dostrzegła tylko, iż wóz z małą Małgorzatą oraz opiekującą się dzieckiem Katarzyną przejęli zbrojni jej męża. Woźnicę zapewne porzucono w lesie. Albo nawet zabito na miejscu.

Pan na Rożnowie nie wybaczał zdrady.

Jeśli chodzi o własny los, Amalia także spodziewała się najgorszego. Od momentu gdy powrócili do Rożnowa, czekała na atak furii męża. Sądziła, że ją pobije. Może nawet zatłucze na śmierć jak nieszczęsną Zofię.

Ale nie. Zaprowadził ją do jej sypialni, spokojny i dalej uśmiechnięty.

– Musisz wypoczywać – rzekł łagodnie. – Dojść do siebie, ty moja głupiutka żono. Na co ci to było?

– Gdzie Małgorzata? – spytała słabo.

– Jedzie do nas. Czemu chciałaś uciec?

– Chcę ją zobaczyć.

– Zobaczysz. Teraz odpoczywaj. Nareszcie jesteś w domu.

– W domu... – powtórzyła głucho.

Nie zobaczyła Małgorzaty ani tego dnia, ani następnego, ani przez kilka najbliższych dni.

Dni, które okazały się początkiem niewoli, ponieważ Zbigniew zamknął ją w sypialni, zasunął ciężki rygiel od zewnątrz, a pod drzwiami ustawił straż. On sam nie odwiedzał żony, przychodziła tylko jakaś dziewczyna, której imienia Amalia nawet nie знаła. Wyglądało na to, że służąca nie potrafiła mówić. Najwidoczniej była też poszkodowana na umyśle i nie dało się z nią nawiązać żadnego kontaktu. Spoglądała na swoją panią nic nierozumiejącym wzrokiem i tylko się uśmiechała, potakując z entuzjazmem na każde zadane jej pytanie. Po kilku nieudanych próbach Amalia musiała zrezygnować. Dziewucha rozpałała w kominie, wynosiła

nieczystości, przynosiła jedzenie, po czym wychodziła, nie wypowiedziawszy nawet jednego słowa.

Przez te pierwsze dni Amalia szalała ze strachu i rozpacz. Czuła się jak zwierzę uwięzione w sidłach, cały zamek musiał ją słyszeć. Znając Zbigniewa, obawiała się, że ten byłby w stanie zrobić dziecku krzywdę. Tym bardziej że przecież w jego chorej głowie zrodziło się podejrzenie, iż Małgorzata mogłaby być córką astrologa Grzegorza. Amalia waliła w drzwi, wyła i błagała, żeby ktoś jej powiedział, co stało się z dzieckiem, ale bezskutecznie.

Dopiero po ośmiu dniach niewoli niebios się nad nią zlitowały. Uczyniły to za pośrednictwem, jakżeby inaczej, nieocenionej Katarzyny. Gdy przed południem, wyczerpana płaczem i krzykiem, stała przy oknie, martwym wzrokiem spoglądając na las i płynący w dole Dunajec, nagle zauważyła delikatny ruch wśród gałęzi potężnych świerków. Przycisnęła nos do jednej z szybek i zauważyła kobiecą postać, trzymającą na rękach dziecko. Obraz był niewyraźny, zniekształcony przez grube i nierówne szkło, wszakże Amalia nie miała żadnych wątpliwości – kobietą tą była Katarzyna, a dzieckiem Małgorzata.

Służąca dała jej dyskretny znak ręką, że wszystko w porządku, i zanim Amalia pomyślała, żeby otworzyć okno i wychylić się z niego, zniknęła za drzewami, opiekuńczym ruchem przyciskając głowę dziecka do piersi i rozglądając się uważnie dokoła. Z pewnością obawiała się, że ktoś ją może zauważyć i donieść o tym panu. Amalia musiała wtedy usiąść, bo nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Kochana Katarzyna, wykorzystwała moment, kiedy prawdopodobnie Zbigniewa nie było na zamku, i pokazała jej Małgorzatę, żeby uspokoić nieszczęsną matkę.

O Boże, jak bardzo była jej wtedy wdzięczna.

Wyglądało na to, że Zbigniew darował życie Katarzynie tylko dlatego, aby ta zajęła się dzieckiem. Nie ośmielił się zrobić krzywdy córce, bo tego już nawet najwięksi jego zwolennicy pewnie by mu nie wybaczyli.

Był szalony, ale nie głupi.

Od tego momentu nieco się uspokoiła.

To, co najgorsze, już minęło. Małgorzata żyła i miała zapewnioną opiekę – dla Amalii nie było teraz ważniejszej rzeczy na świecie. Dzień po tym, jak ujrzała swoją córeczkę, Węgierka usłyszała też znajome poszczekiwanie Platona. Biedny pies musiał uciec przed zbrojnymi Zbigniewa, kiedy ci dogonili wóz na drodze do Krakowa, a potem błąkał się po nieznanym terenie, zanim odnalazł drogę powrotną do domu. Amalia była pewna, że zarówno Katarzyna, jak i ludzie ze wsi zajmą się biedakiem.

Świat, który jeszcze dwa dni wcześniej wydawał się całkowicie roztrzaskany, powoli odzyskiwał znajome kształty.

No a potem odwiedził ją Zbigniew i pojawiła się nowa nadzieja...

Pewnego poranka wkroczył do jej komnaty jak gdyby nigdy nic, można by pomyśleć, że rozstali się dopiero co, po wczorajszej kolacji.

– Jak zdrowie, szanowna małżonko? – spytał pogodnie. – Jesteś bardzo blada.

Zaskoczona, że zamiast niemej służącej przyszedł sam pan zamku, nie odpowiedziała. Przez głowę przebiegły jej gorączkowe myśli. Czy uznał, że dostatecznie ją ukarał, i zaraz wypuści z więzienia? Czy może wymyślił subtelniejszy rodzaj tortury? A może chce się po prostu nacieszyć jej poniżeniem i nędzą? Postanowiła poczekać, zanim zareaguje. Najpierw wybadać intencje męża. Gotowa była na wszelkie zachowanie – złość, przymilność, płacz, obojętność.

Gotowa była nawet uderzyć Zbigniewa leżącym tuż obok niej ciężkim pogrzebaczem.

Musiała tylko wiedzieć, co ma wybrać.

– Nawet słowem nie powitasz ukochanego małżonka? – zdziwił się. – Napełnia to me serce smutkiem, bo wynika z tego, że dni odosobnienia nie nauczyły mej pani niczego.

Spuściła głowę.

– Ani przywitania, ani przeprosin. – Ze smutkiem pokręcił głową. – Choroba, jak widzę, wciąż was trzyma.

– Czy jeśli przeproszę, będę mogła spotkać się z dzieckiem? – spytała głucho.

Usiadł na zydlu obok okna, uderzył dłońmi o uda.

– Nie tak szybko, przeprosiny muszą być szczere, a nie wymuszone.

– W takim razie możecie się stąd wynosić do wszystkich diabłów – syknęła.

– No właśnie. Między innymi z tego powodu nie mogę pozwolić wam na kontakty z córką. Wasze szaleństwo jest dla niej zagrożeniem. Nawet Hanna tak mówi.

– Na pewno nigdy czegoś takiego by nie powiedziała.

– Nie znasz jej. Uznała, że nawiedziły cię demony. Wszyscy we wsi słyszeli twoje wycie.

Nie odpowiedziała. Uznała, że lepiej teraz milczeć.

– Wszakże jeśli chcesz zobaczyć córkę – dodał – musisz udowodnić, że nie masz już zamroczonego rozumu.

– Jak mam to udowodnić? – Spojrzała na niego z nagłą nadzieją, tak potężną, że poczuła, jak łzy napływają jej do oczu.

– To proste.

– Mówcie, na Boga!

– Trzeba napisać list.

– List? – powtórzyła za nim oszołomiona.

– Tak. Do królowej. Za dwa dni jadę do Krakowa. Tłumaczyć się przed królem, co zawdzięczam głównie temu, że podeptałaś mój honor, wzywając wawelskiej pomocy. Mniejsza z tym, już ci wybaczyłem. Byłoby jednak dziwne, jak mniemam, gdybym przy okazji tej wizyty nie przywiózł królowej listu od jej ukochanej dwórki, a mojej słodkiej żony. Listu, w którym przyjaciółka dzieli się z królową radością życia w Rożnowie.

Natychmiast zrozumiała, o co chodzi.

– Czy jeśli napiszę taki list, będę mogła ujrzeć Małgorzatę? – zapytała.

Podrapał się pod pachą.

– Powiedzmy, że będzie to krok w odpowiednim kierunku. Tylko nie licz na to, że mnie przechytysz, bo nie potrafisz czytać. Mam od tego ludzi. Więc nie próbuj żadnych sztuczek, bo tylko pogorszysz sytuację. Swoją i małą.

Wyciągnął spod obszernego ciemnego płaszcza mały kuferek i postawił go na stoliku. W środku były przybory do pisania i zwinięty spory arkusz pergaminu.

– A co, jeśli nie napiszę? – zapytała nagle.

Wyraz jego twarzy się nie zmienił. Spojrzał na nią tylko swoimi pustymi oczami, przekrzywiwszy lekko głowę.

– Wtedy stąd wyjdę i więcej nie wrócę – powiedział cicho. – A ty, najdroższa, staniesz sobie przy tym oknie.

– Po co? – Już pożałowała swojego wcześniejszego pytania.

– Abyś zobaczyła, jak moi ludzie wyrąbują dziurę w lodzie, a potem wrzucają do niej twoją przeklętą córkę. Właśnie po to.

Poczuła, że brakuje jej oddechu. Zbigniew nie żartował ani nie straszył. Po prostu by to zrobił. Była na siebie wściekła, że znów rozdrażniła jego demony.

– Napiszę – wyszeptała, gdy doszła do siebie.

Uśmiechnął się szeroko.

– Tak myślałem.

– Ale...

– Ale co? – spytał obojętnie.

Choć ogarnięta paniką, dostrzegła nadarżającą się okazję, taką, jaka może już się nie pojawić.

– Jeśli napiszę do królowej – starała się opanować drzenie głosu – a nie przekażę nawet słowa Mildzie, będzie to wyglądało podejrzanie.

– Mówisz o tej pogance?

– Jest ochrzczona. To moja przyjaciółka.

– Masz zamiar do niej napisać?

– Inaczej pomyśli, że mi zabroniłeś. I że coś złego jest między tobą a mną.

Zbigniew się zamyślił.

– Próbujesz mnie oszukać... – oświadczył.

Zrobiła najśłodszą, najniewinniejszą minę, na jaką było ją stać.

– Przecież przeczytają ci oba te listy, a potem sam je zapieczętujesz.

– Masz jeszcze jakieś inne życzenia? – zapytał po chwili, teraz dopiero zniecierpliwiony.

– Tak.

Spojrzał na nią groźnie.

– Potrzebuję swojego pulpitu. I więcej światła – odparła spokojnie.

Bez szemrania spełnił tę prośbę. Proces pisania wydawał mu się czymś magicznym, ów prostak z rycerskim herbem czuł niemal pobożny szacunek wobec ludzi, którzy posiadli tę trudną sztukę, tak więc starał się przynajmniej nie przeszkadzać, gdy Amalia gęsim piórem pisała swoje rozpaczliwe wołanie o pomoc. Wyglądał przez okno, poprawiał polana na palenisku kominka, zaglądał za łóżko, poprawiał gobelin na ścianie, w końcu usiadł w fotelu.

– Długo jeszcze? – Nie wytrzymał dopiero wtedy, gdy za oknem zrobiło się ciemno.

– Chwila.

– Ileż można pisać?

– Już kończę, panie.

Teraz, stojąc przy oknie i wypatrując powrotu męża, miała poczucie, że wreszcie przechytrzyła tego nędznika. W oddali po swoim zaszczekał Platon i mogłaby przysiąc, że głos psa nigdy nie brzmiał w jej uszach równie optymistycznie.

Mildo, nie zawieź mnie, pomyślała.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kraków, grudzień 1392

Odkąd tylko Milda poczuła się na tyle dobrze, że mogła nareszcie opuścić łożę, a nawet ostrożnie powrócić do pracy w aptece, rozpoczęła przygotowania do wyjazdu z Krakowa.

Miała zamiar odwiedzić Amalię jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

– Nie możemy z tym poczekać do stycznia? – namawiał ją Varnas. – Jesteś jeszcze za słaba na taką podróż.

– Muszę to zrobić jak najszybciej – tłumaczyła mu stanowczo. – To nie daje mi spokoju. Nie mogę spać, nie mogę jeść, nie potrafię nawet normalnie oddychać.

Rzeczywiście, po wysłuchaniu listu od przyjaciółki była już pewna, że Amalia bardzo, ale to bardzo potrzebuje pomocy. O ile swoją wcześniejszą wizję Milda mogła uznać jeszcze za jedno z tych przeczuć, które często ją nawiedzały, ale przecież nie zawsze okazywały się prawdziwe, o tyle wiadomość na pergaminie nie pozostawiała już żadnych wątpliwości.

Był to ukryty przekaz.

Jej bystra przyjaciółka znalazła sposób, by przechytryć męża.

Pod powierzchnią radosnych, gładkich i pustych zdań zawarła prawdziwą wiadomość, którą tylko Milda mogła zrozumieć. Przytoczyła wspomnienie, z pozoru niewinne i bardzo pasujące do charakteru całego listu, tak naprawdę jednak wydawało się ono przykrym dysonansem, jaki spowodować może fałszywa nuta albo wręcz pęknięta struna podczas koncertu lutnisty.

Bo owo wspomnienie było nieprawdziwe.

Milda zbyt dobrze znała przyjaciółkę, by pomyśleć, iż ta mogła się po prostu pomylić, pisząc o wspólnej wizycie w miejscu, gdzie najprawdopodobniej była z jakąś inną dwórką.

Nie, Amalia na pewno się nie pomyliła.

I miała zbyt dobrą pamięć.

Dobrze wiedziała, że to się nigdy nie wydarzyło. I musiała być pewna, że przyjaciółka również zdaje sobie z tego sprawę.

Gdyby to od Mildy zależało, zapewne ruszyłyby do Rożnowa już na drugi dzień po wizycie Zbigniewa, prosto z pościeli. Na szczęście jednak Varnas nie odstępował jej na krok, a był dużo bardziej doświadczony, jeśli chodzi o układanie planów.

Po pierwsze, ustalili wspólnie, że wyruszą przed samym Bożym Narodzeniem, bo taki termin wizyty nie wzbudzi podejrzeń w umyśle męża Amalii, a teraz tych kilka dodatkowych dni odpoczynku pozwoli Mildzie na nabranie sił.

Po drugie, postanowili nie mieszać do tego królowej ani kogokolwiek innego na Wawelu. Choć Milda mogła być sobie całkowicie pewna, iż Amalia potrzebuje pomocy, a Varnas był w stanie uwierzyć w intuicję siostry, ponieważ znał jej dar, na przekonanie innych osób mieli za mało racjonalnych argumentów. Na podstawie samych snów, wizji i wiadomości między wierszami nie mogli zrobić zamieszania, angażując w swój wyjazd najważniejsze osoby w Królestwie.

Zatem Milda tylko poinformowała królową, że chce spędzić Gody z ich wspólną przyjaciółką, lecz nie podzieliła się z Jadwigą swoimi podejrzeniami co do Zbigniewa. Królowa pochwaliła ów pomysł i obiecała, że korzystając z tej okazji, napisze do Amalii list.

Milda odliczała dni do wyjazdu, który wyznaczyli na niedzielę dwudziestego drugiego grudnia.

Pomagała w aptece, znajdując przy tym czas na przyszykowanie kilku mikstur, które zamierzała zabrać ze sobą do Rożnowa. Choć miał jej towarzyszyć brat – wojownik, sama również musiała się uzbroić. Bo to było niczym kampania wojenna. Dziewczyna szybko odzyskiwała siły, gorączka odeszła i po tygodniu pracy Milda mogła już bez zmęczenia chodzić od rana do wieczora, nie czując miękkości w kolanach ani zawrotów głowy. Słowem, jej młody organizm wzmacniał się z każdym dniem, jakby przygotowując się na to, co miało nastąpić. Szykował się do walki.

Pośród wszystkich tych przepełniających ją emocji niemal zapomniała o Mikołaju. To znaczy myślała o nim codziennie, lecz zawsze pozostawał w jej głowie gdzieś w oddali, odsunięty przez sprawę, która angażowała ją w tych dniach najmocniej i bez reszty. Od momentu, gdy zachorowała, nie spotkali się ani razu. Przyjęła ten fakt z mieszaniną ulgi i rozczarowania. Cieszyła się, że nie musi odpowiadać teraz na jego oświadczyzny, zajmować sobie tym głowy w momencie, gdy musiała skupić się na czym innym. A jednak nie mogła nie poczuć czegoś w rodzaju nieprzyjemnego ukłucia z powodu nieobecności Mikołaja.

Rozczarował się mną? – zastanawiała się.

Uznał za obłąkaną? Chorą? Nie w pełni wartościową?

Dlatego była zaskoczona, kiedy na dwa dni przed planowanym wyjazdem w aptecce pojawił się młody mężczyzna, a raczej chłopak, przysłany przez rodzinę młodego kupca.

– Dlaczego pan Mikołaj nie przyszedł osobiście? – zapytała podejrzliwie Milda, gdy już dowiedziała się od posłańca, że zaproszono ją na dzisiaj do słynnej „żelaznej” kamienicy na rynku, rodowej siedziby rajcy, ławnika i kupca Bartłomieja z Tarnowa, ojca Mikołaja.

Posłaniec, zapewne jeden ze sprzedawców w sklepie żelaznym, miał perkaty nos i piegi na całej twarzy. Był sztywny i oficjalny, na granicy opryskliwości. Zapewne uznał, że nie musi okazywać nadmiernego szacunku zwykłej aptekarce, zresztą niewiele chyba starszej niż on sam.

– Nie wiem. – Spojrzał na nią z góry, unosząc przy tym wysoko podbródek gładki jak u dziecka. – Miałem tylko przekazać to, co przekazałem.

Było już południe, a zaproszono ją na wieczór. Wydało się to Mildzie nieco niegrzeczne, tak posyłać po nią w ostatniej chwili, jakby nie miała nic innego do roboty, tylko czekać na wezwanie. I czy zapraszał ją Mikołaj, czy jego ojciec? Na rozmowę czy na wieczerzę? Wiedziała już, że nie warto pytać zarozumiałego posłańca. Zresztą nieważne. Nie знаła zbyt dobrze mieszczańskich zwyczajów, zwłaszcza w bogatych rodach kupieckich, toteż niewykluczone, że tak to się właśnie zawsze odbywało, kiedy następowały oświadczyzny. Tak czy owak, wolałaby mieć więcej czasu na zastanowienie się i ewentualne przygotowanie.

– Poczekajcie na zewnątrz – rzekła do chłopaka, mając zamiar trochę utrzyć mu nosa.

Kiedy młody gbur posiedzi sobie na kamiennej ławce w nieogrzonej sieni, może opuści go na jakiś czas młodzieńcza buta.

Jeszcze nie wiedziała, czy pójdzie. Była całkowicie niegotowa na pierwsze spotkanie z potężną rodziną. A na przyszykowanie się potrzebowałyby kilku godzin. W gruncie rzeczy nie miała teraz ochoty ani głowy na tę wizytę. Wiedziała jednak, że odmowa mogłaby zostać źle przyjęta, zaważyć na jej przyszłości, toteż należało się jednak zastanowić.

Ostatecznie postanowiła pójść.

Kiedy już się wyszykowała i wyszła z apteki, otulona w podbitą białymi królikami szubę (prezent od Jadwigi), młodzieniec pociągał nosem i wyglądał jak mały zmarznięty chłopczyk. Popatrzył na nią z wyrzutem i Mildzie zrobiło się go żal.

Ale tylko trochę.

Okazało się, że przy bramie wawelskiej czekały na nią zadaszone sanie – woźnica ogrzewał się przy żelaznym koszu z żarzącym się węglem, gawędząc z wartownikami.

On także spojrział na nią z wyraźną pretensją.

Udając, że tego nie widzi, bez słowa wsiadła do sań, wciąż podenerwowana, niepewna, czego ma się tego wieczora spodziewać. Będzie oglądana i oceniana, zapewne z iście kupiecką skrupulatnością, niczym towar. To ją niepokoiło, bo czuła się brzydka. Po tak długiej chorobie bardzo schudła, miała podkrążone oczy, a jej twarz stała się jeszcze bledsza niż zwykle. Słowem, nie wyglądała na krzepką dziewczuchę o szerokich biodrach zdolną urodzić Mikołajowi całe zastępy przyszłych sprzedawców łyżek i noży, zanim umrze wycieńczona dziesiątą ciążą. Postanowiła jednak za bardzo się tym nie przejmować, a zamiast tego cieszyć się pierwszą od dawna okazją opuszczenia zamkowych murów. Powietrze było mroźne, rześkie i wonne, pachniało koniem, futrami i skórą uprząży. Przypomniało jej to czasy, gdy wraz z królową i Amalią przemierzały pokryte śniegiem bezkresne stepy Rusi Czerwonej, czasy wolności, beztroski i szczęścia.

Wiodąca w dół ku miastu droga przypominała trochę ślizgawkę, nieliczni wspinający się nią piesi mieli przypięte do obuwia żelazne raki, aby

utrzymać równowagę. Zjechali powoli i ostrożnie, samym poboczem. Milda widziała, jak lód na Wiśle odbija resztki światła dnia, wszystko inne szybko pograżyło się w mroku.

Miasto wyglądało jak zaczarowane: zmierzch oraz śnieg zacierały kontury, nadając krajobrazowi dookoła niepowtarzalną miękkość. Nie spotykali prawie żadnych ludzi, mieszkańcy chronili się teraz w swoich domach, za zamkniętymi drewnianymi okiennicami, które nie wypuszczały na zewnątrz światła palenisk, łuczyw, łojowych świec ani oliwnych lampek. Mogłoby się wydawać, iż stolica została opuszczona – jak te wioski w bajkach – z powodu zarazy, a może czarów. Milda wołała Kraków w takiej postaci, bez gwaru, hałasu, słodkawego fetoru zgniłych warzyw, bez widoku żebraków, ulicznic, młodych rozrabiaków, starych pijusów.

Nie wszystkie ulice były należycie odśnieżone, woźnica jednak znał wszelkie skróty, wynajdywał korytarze między zaspami. Wkrótce, skrzypiąc płozami i podzwaniając dzwoneczkami, znaleźli się na rynku i wydrążonymi w śniegu trasami dotarli do mrocznego budynku Wielkiej Wagi.

Jak pamiętała Milda, sklep Mikołaja oraz jego ojca znajdował się dokładnie naprzeciwko tego miejsca.

Nie zaprowadzono jej jednak do pomieszczenia, gdzie po raz pierwszy spotkała Mikołaja, gdy przyniosła mu skradzione łyżki, lecz wąskimi drewnianymi schodami wspięli się na drugie piętro kamienicy. Wszystko wokół wydało się Mildzie ciasne i mroczne, póki nie otworzyły się dwuskrzydłowe drzwi (ktoś zapewne dostrzegł jej nadejście) do królestwa Bartłomieja oraz Mikołaja.

Pomieszczenie było tak duże i tak rzęście oświetlone, że w pierwszym momencie nie mogła uwierzyć, iż mieści się ono w zwykłej kamienicy. Musiało powstać z połączenia wielu izb, ponieważ przypominało zamkową salę jadalną, ze swoją kamienną posadzką, ułożoną w szachownicę, kolumnami podtrzymującymi malowany na błękitno strop, olbrzymimi oknami z szybkami i kratownicami. Wydawało się tym większe, że było niemal puste.

Dopiero po chwili Milda ujrzała mężczyznę z siwą brodą, siedzącego na krześle pod zielonym baldachimem. Wyglądał jak grecki Zeus na olimpijskim tronie.

– Zbliź się, dziewczyno. – Skinął na nią Bartłomiej, ojciec Mikołaja.

Podeszła trochę niepewnie i przystanęła na środku komnaty. Po chwili zdała sobie sprawę, że są tutaj sami.

– A więc to ty! – Starzec westchnął.

– Panie...

– Podejdz bliżej światła, niezbyt dobrze cię widzę. Nie bądź taka nieśmiała.

Jeśli chcesz mnie lepiej widzieć, pomyślała, mógłbyś wstać ze swojego tronu i podejść do mnie. Wszakże posłusznie spełniła polecenie.

– Strasznie chuda jesteś – zawyrokował po chwili.

Spuściła głowę.

– Cierpisz na jakąś chorobę? – spytał.

– Chorowałam niedawno.

– Taka młoda, a choruje?

– Panie, chcieliście mnie widzieć...

– Nie przerywaj mi, dziewczyno.

Przytrzymawszy się poręczy, nestor rodu uniósł się ciężko ze stojącego na podwyższeniu krzesła, które, jak teraz zauważyła, ozdobione zostało płaskorzeźbami, inkrustacjami oraz kawałkami szkła, aż cud, że ktoś potrafił na czymś takim usiedzieć.

Po trzech stopniach zszedł z podwyższenia. Milda podniosła na niego wzrok i ujrzała wysokiego mężczyznę o szlachetnych rysach, do których były podobne rysy twarzy syna – ta sama regularność, stanowczość, tyle że tutaj naznaczona wpływem czasu, przez co mniej zmysłowa, a bardziej surowa i posągowa. Kupiec Bartłomiej miał na sobie zamszowy kubrak z przypiętą do ramienia pelerynką i pludry do kolan, połączone za pomocą wstążek z ciepłymi pończochami. Do tego na głowie fioletowy biret z watanianym aksamitem.

– Jesteś chuda i chorowita, lecz wcale nie wyglądasz na głupią – powiedział, stanąwszy dwa kroki przed nią.

– Nie rozumiem...

– Mówię, że nie jesteś głupią gąską, która szybko się zakochuje. Wyglądasz mi raczej na wyrachowaną niewiastę, taką, która zwietrzyła szansę.

Poczuła, że krew uderza jej do głowy.

– Szansę na co? – spytała twardo.

– Na bogatego męża.

– Jeśli łaska...

– Jeśli łaska, teraz ja mówię – tubalnym głosem przerwał jej starzec. – Myślisz, że nie wiem, czego pragniesz? Znam takie jak wy – z pozoru aniołki, w głębi duszy diablance. Nie zależy ci na tym głupcu, moim synu, zależy ci na tym, by wejść do naszej rodziny.

– Wypraszam...

– Tego gamonia łatwo omamić, dlatego też od razu zaproponował ci małżeństwo. Bo w waszym wieku trudno oddzielić zachwyty i zauroczenie od miłości. On jest głupi, lecz ty – pokiwał palcem – ty nie jesteś. O nie. Ty jesteś sprytna!

Była jak skamieniała. Wszystkiego mogła się spodziewać, lecz nie takiego brutalnego ataku. Pragnęła odwrócić się na pięcie i uciec z tego domostwa, ale jakaś część jej duszy nie pozwalała na to. Nie chciała odgrywać roli, jaką jej przypisał, przestraszonej dziewczuchy, której można wykrzyzczyć w twarz, co się chce. Specjalnie tak to zainscenizował, aby poczuła się jak na audiencji u papieża. Byli sami w tej wielkiej sali, a Bartłomiej dominował nad Mildą od samego początku.

Miała poczuć się jak zagubione dziecko przed obliczem ojca.

Albo Boga.

O nie, pomyślała. Takie sztuczki nie pomogą ci, starcze.

– Czy Mikołaj jest tutaj? – spytała.

– Nie ma go – odparł z gniewnym zniecierpliwieniem kupiec.

– Czy wie o mojej wizycie?

– Wie.

– Doprawdy?

– Zrozumiał już, że popełnił błąd, ale nie ma odwagi sam się przed tobą przyznać.

– Nie wierzę w to. – Poczowała napływające do oczu łzy goryczy i upokorzenia.

– Jak śmiesz!

– Po prostu nie wierzę.

– Zarzucasz mi kłamstwo?

Podszedł na tyle blisko, że mogła go widzieć dokładniej niż wcześniej. Złość i lepsze światło zburzyły iluzję posągowego piękna jego oblicza; teraz Milda widziała jedynie wykrzywioną gniewem pomarszczoną starczą

twarz o wyblakłych oczach. W rozszerzonych porach mięsistego nosa widniały czarne punkty.

Gdyby zdjąć z niego te szaty, pomyślała chłodno, niewiele różniłby się od awanturującego się pod kościołem dziada. Tyle tylko różni żebraków od rajców – odzienie i szacunek, jaki z góry okazuje się wysoko postawionym osobom. Tak naprawdę wszyscy starcy są do siebie podobni, szczególnie podczas ataków złości, tak samo odpychający i zdziecinniali. Dlaczego miałyby klękać przed takim Bartłomiejem? Ona, młoda i silna?

Nabrała większej pewności siebie. Odetchnęła głęboko, po czym rzekła spokojnie i zimno:

– Proszę posłuchać. Nie wiem, o czym, szlachetny panie, mówicie, bo ja, jak do tej pory, nie przyjechałam oświadczyć pańskiego syna. I nie zamierzam tego robić w przyszłości. Pańska rodzina, fortuna i znaczenie niewiele mnie obchodzą, zdążyłam poznać ludzi od was potężniejszych. A małżeństwo z głupcem i tchórzem – jak sami, panie, określacie swojego syna – nie jest ani moim marzeniem, ani celem.

Zaniemówił z wrażenia. Przez chwilę milczał, sapiąc ciężko przez nos, już zupełnie niczym starzec. Zacisnął usta tak mocno, że aż wargi mu zbieleły. Potem jednak nieoczekiwanie się uśmiechnął.

– No proszę. Właśnie zaczęłaś mi się podobać, Litwinko.

– Czy mogę prosić o odwiezienie mnie na Wawel? – spytała, wkładając w to całą uprzejmość, na jaką było ją w tej chwili stać.

– Naturalnie.

– Jestem nad wyraz wdzięczna.

– Mikołaj miał rację. Litewska wojowniczką.

– Czy mogę już iść?

– A i ty masz rację, Mildo, on jest głupcem i tchórzem.

– To już nie moja wina, tylko wasza, czcigodny panie.

Odwróciła się i wyszła z komnaty. Zbiegła po schodach, ramiona trzęsły jej się od płaczu. I po co to wszystko było? Na co w ogóle liczyła? Uwierzyła, że jest postacią z bajki? Głupia dziewczucha! Głupia litewska dziewczucha! Miała ochotę samą siebie spoliczkować.

Wyszła na mroźny wieczór, dopadła do sań i zanim woźnica zdążył usiąść na koźle, zagrzebała się w futrach. Przeklinała w myślach chwilę, gdy pierwszy raz spotkała...

– Mildo! – usłyszała w ciemności głos Mikołaja.

– Jedź! – nakazała woźnicy.
– Mildo!
– Powiedziałam: jedź!
– Pani, nie mogę... – wybąkał mężczyzna, nie chcąc uciekać przed swoim panem.

Mikołaj zajrzał pod budę.

– Poczekaj – poprosił.
– Niby na co?
– Nie wiedziałem, że...
– Czego nie wiedziałeś?
– Że ojciec cię wezwał. Dopiero teraz powiedział mi o tym chłopak, który cię sprowadził.

– Wszystko już zostało wyjaśnione.

– Nie. On jest stary i szalony. Jego zdanie mnie nie obchodzi.
Porozmawiaj ze mną, błagam cię.

– Było dużo czasu na taką rozmowę.

– Wszystko ci wytłumaczę.

– Nie teraz.

– A kiedy?

– Jak wrócę z Roźnowa.

– Czyli?

– Nie wiem. Pewnie za kilkanaście dni.

– Obiecujesz?

Nie odpowiedziała.

Kiedy wracała przez miasto, nie wydawało jej się już zaczarowane ani magiczne, tylko puste i martwe.

Było dla niej jak grobowiec.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Rożnów, grudzień 1392

Minęło kilka dni, a Zbigniewa wciąż nie było. Amalia zastanawiała się, co takiego mogło opóźnić jego powrót, i doszła do wniosku, że widocznie gwałtowne śnieżyce zasypały drogi, uniemożliwiając koniom poruszanie się w głębokich zaspach. Nie tęskniła, rzecz jasna, za mężem, z rozpaczliwą nadzieją wypatrywała jedynie listu od królowej i potwierdzenia, że Milda dobrze odczytała jej przesłanie.

Tego dnia, podobnie jak we wszystkie poprzednie, stała w oknie, wpatrując się w skuty lodem Dunajec i zaśnieżony las. Obawiała się, że przez te oblepione śniegiem drzewa nie będzie widać drogi dojazdowej do zamku i nie zauważy powrotu Zbigniewa, miała jednak nadzieję, że chociaż usłyszy jakieś poruszenie, świadczące o jego przyjeździe.

Bezskutecznie wyteęzała słuch. Wokół panowała martwa cisza.

Amalia roztarła zmarznięte dłonie i podeszła do kominka, by dorzucić nieco drewna. Służąca przyniosła rano całe naręczce, ale potem zazwyczaj pojawiała się dopiero w porze obiadowej, tymczasem suche szczapy już zaczynały się dopalać. Usiadła obok na niskim stołeczku, zazwyczaj przeznaczonym do opierania stóp, i w zamyśleniu spoglądała w ogień. Podsycone na nowo płomienie układały się teraz w ruchome obrazy. Oto smok otwierający straszliwą paszczę, która po chwili zaczęła się zmieniać w twarz Zbigniewa, za nim pojawiły się trawione ogniem poszarpane mury jakiejś budowli. Ogień poruszył się gwałtownie, rzucając krwawe refleksy na czarną okopconą ścianę wnętrza kominka, w górze znów zawył wiatr.

Amalia odsunęła się od żaru i zmieniła pozycję – teraz odwróciła się do niego tyłem, by ogrzać zmarznięte plecy. Zdjęła futro, żeby żadna iskra nie mogła na nie spaść, i położyła je na kolanach. Nareszcie było jej ciepło, choć w głębi duszy wciąż czuła przeraźliwy ziąb. Co się z nią stanie? Jaką przyszłość szykuje jej małżonek, człowiek, który nie potrafi wybaczać?

Amalia nie miała wątpliwości, że Zbigniew tylko czeka na sposobną chwilę, żeby jej się pozbyć. A co z Małgorzatą? Jeśli nawet daruje jej życie, jak ono będzie wyglądało w pobliżu potwora i mordercy? Co wyrosnie z takiego dziecka?

Z ciemnego kąta komnaty dobiegło do niej jakieś delikatne szuranie, szelest, potem skrobanie. Zaintrygowana odpaliła łuczywo od ognia i podeszła w tamtą stronę. Przekonana, że to mysz, już miała wrócić do kominka, kiedy nagle zauważyła, że przedstawiający scenę myśliwską gobelin na ścianie poruszył się nagle.

Wiatr?

Jeszcze bardziej zaintrygowana odsunęła ciężką materię, żeby znaleźć źródło przeciągu, i w ścianie z sitowia i wapna, którą kiedyś przedzielono większe pomieszczenie na kilka mniejszych, zauważyła powiększający się otwór. Okruchy zaprawy sypały się na podłogę.

– Kto tam?... – spytała drżącym głosem. – Co to ma znaczyć...?

Szuranie ustało, a z dziury wielkości guzika od kaftana rozległ się wyraźny szept.

– Pani, to ja, Katarzyna...

Amalia osunęła się na ziemię. Na dźwięk głosu wiernej służącej i powierniczki zalała ją fala radości. Opanowała się szybko.

– Co ty tu robisz, Katarzyno? – spytała półgłosem, bojąc się, żeby nikt z otoczenia Zbigniewa jej nie usłyszał. – Dlaczego tak się narażasz?

– Pan jeszcze nie wrócił z Krakowa, więc służba robi, co chce. Nikt na mnie nie zwrócił uwagi, wszyscy siedzą w ciepłej kuchni – uspokoił ją głos.
– A ja mam tu list od Hanny dla was, pani.

Po chwili z okrągłego otworu w ścianie wyłonił się skrawek zwiniętego w ciasny rulonik pergaminu. Amalia chwyciła go niecierpliwie i wyszarpnęła, zanim zdążył się wysunąć choćby do połowy.

– Przyjdę za godzinę po odpowiedź.

– Nie, zaczekaj! – krzyknęła Amalia, ale szybko się zmytygowała i powtórzyła już szeptem: – Zaczekaj. Co z moją córeczką, zdrowa?

– Małej nic nie jest. Opiekuję się nią jak swoją, niczego jej nie brakuje. Jej... ojciec... – Katarzyna zamilkła na chwilę, jakby wymówienie słowa „ojciec” sprawiło jej ogromną trudność. – ...to znaczy wasz mążonek jej nie odwiedza, ale też nie robi krzywdy. Jak tylko nadarzy się sposobność, przyprowadzę ją tutaj na chwilę.

– Dziękuję. – Amalia z trudem powstrzymywała łkanie i jeszcze długo po odejściu Katarzyny siedziała bez ruchu pod ścianą.

Ocknęła się, dopiero kiedy poczuła lodowaty chłód ciągnący od podłogi. Wstała, podeszła do kominka, który znów zaczynał przygasać, dorzuciła kilka szczap i zaczęła rozwijać zrolowany list od Hanny. Miejscami był nieco poszarpany od przesuwania przez dziurę w ścianie, ale na szczęście udało się go bez trudu odczytać. Po jego drugiej stronie widniały jakieś łacińskie zdania, najprawdopodobniej Hanna, z braku czystego pergaminu, wykorzystwała jeden z mniej ważnych dokumentów, przywiezionych ze sobą z klasztoru. Amalia nie zatrzymywała się na tekście, chcąc jak najszybciej przeczytać właściwy list.

Stara znachorka pisała jej przede wszystkim o tym, że Małgorzata jest bezpieczna i Amalia nie musi się obawiać o jej los, natomiast powinna bardziej myśleć o sobie.

Twój małżonek, Pani, rozpowiedział wszystkim, że oszalałaś, i dlatego nikt się do Was nie zbliża. Wszyscy słyszeli Wasze wycie i płacze, które były tylko potwierdzeniem jego słów. Prości ludzie boją się szaleńców, posądzają ich o kunszachty ze złymi mocami, więc trzymają się od nich z daleka. Musicie, Pani, zapanować nad swoimi reakcjami, teraz powinno być Wam łatwiej, kiedy wiecie, że córeczce nic nie grozi.

Amalia przycisnęła list do piersi i rękawem sukni otarła spływające po twarzy łzy. Poczuła ulgę, że nie jest sama, bo ktoś, poza murami tego więzienia, myśli o niej i czuwa. Jeśli nawet Zbigniew postanowi ją w końcu zabić, zostaną świadkowie tej zbrodni. Nie może się wszystkich pozbyć, a już na pewno nie Hanny. Boi się tajemnej mocy, o jaką podejrzewa starą kobietę.

Rozwinęła ponownie wilgotny już list, otarła napływające wciąż do oczu łzy i zaczęła czytać dalej. Pismo było staranne, widać wyćwiczone, ale drobnutkie, tak żeby mogło się zmieścić na niewielkiej powierzchni pergaminu.

Uważajcie też, Pani, na to, co Wam przynosi dziewczka do jedzenia, zwłaszcza na wino. Boję się, że pan zechce Was powoli podtruwać, więc lepiej je wylewajcie do kominka, tak żeby tego nie zauważyła. Nigdy nie wiadomo, co i w jaki sposób przekazuje o Was swojemu panu. Nie znam jej, może tylko udawać, że nie potrafi mówić.

Nie traćcie, Pani, nadziei, znajdziemy jakiś sposób, żeby was stamtąd wydostać. Spróbujcie znowu wysłać kogoś do Krakowa po pomoc. Dajcie mi znać przez Katarzynę, jak sobie radzicie i czego wam potrzeba. Może się uda przekazać to jakoś przez służącą.

A ten list natychmiast po przeczytaniu wrzucicie do kominka.

W dalszej części listu Hanna pozdrowiła ją i powierzyła opiece boskiej.

Amalia jeszcze raz przebiegła wzrokiem linijki pięknego pisma i podeszła do kominka. Z wahaniem wyciągnęła rękę, cofnęła ją, w końcu jednak wrzuciła list do ognia. Najchętniej zostawiłaby go sobie, żeby odczytywać na nowo w chwilach rozpacz i zwątpienia, ale wiedziała, że byłoby to nierozsądne. Gdyby Zbigniew się o nim dowiedział, zupełnie straciłaby kontakt ze światem na zewnątrz.

Wilgotny rulonik zatrzymał się na jednej z płonących kłód, przez chwilę na niej balansował, a potem zaczął się rozwijać i zwijać pod wpływem żaru. Poszczególne wyrazy ginęły stopniowo, raz łacińskie, raz polskie, w końcu zaś po liście został już tylko popiół, nie do odróżnienia od tego ze spalonego drewna.

W pierwszym odruchu Amalia chciała usiąść do pisania odpowiedzi, ale szybko uświadomiła sobie, że nie ma ani na czym, ani czym pisać. Zbigniew kazał zabrać z jej komnaty wszystkie przybory do pisania, nawet pulpit, słusznie się obawiając, że będzie próbowała pisać listy do królowej. Na szczęście zapomniał o cienkiej ścianie dzielącej jej sypialnię od pomieszczenia obok. Nie potrzebowała papieru, mogła teraz przekazywać, co trzeba, przez wydrążoną dziurę w ścianie za gobelinem.

Do jej uszu znów dobiegło ciche chrobotanie. Amalia podbiegła szybko w tamtą stronę i odsłoniła ciężką materię. Musiała przysunąć się jak najbliżej małego otworu, żeby lepiej usłyszeć szept Katarzyny.

– Przeczytaliście już list, pani?

– Nie mam tu ani czym, ani na czym pisać, ale przekaz, proszę, Hannie, że bardzo jej dziękuję za wieści i za to, że czuwa nade mną. Czuję się dobrze, żadna krzywda mi się nie dzieje.

– Nie potrzebujecie czegoś?

– To, czego bym potrzebowała, i tak nie zmieści się w tym małym otworze. – Amalia zaśmiała się gorzko. – Tak więc potrzebuję tylko wieści o Małgorzacie i o tym, co knuje mój mąż. Z resztą jakoś sobie poradzę. Chociaż... – Amalia zawahała się.

– Tak, pani?

– Gdyby jednak udało mi się jakoś zdobyć coś do pisania, mogłabym otwarcie zwrócić się do królowej o pomoc. Nie w taki zakamuflowany sposób jak poprzednio. Myślisz, że to byłoby możliwe?

– Nie wiem. Samo przekazanie przyborów mogłoby się udać. Kucharka, która jest po waszej stronie, pani, mogłaby je ukryć w przygotowanym dla was posiłku, tak żeby służąca się nie zorientowała. Gorzej byłoby z wysłaniem później listu do Krakowa.

– Co masz na myśli? A Jaśko? Przecież już raz wydostał się stąd i pojechał na Wawel z astrologiem. Zna tajne przejście i drogę na skróty, jest miejscowy...

Urwała, jakby właśnie coś zaczęło do niej docierać. Jakaś uporczywa myśl, która od pewnego czasu nie dawała jej spokoju. A kiedy za ścianą zapanowała długa i wymowna cisza, Amalia przypomniała sobie fragment listu Hanny:

Spróbuję znowu wysłać kogoś do Krakowa po pomoc.

Znowu.

– Czyżby Hanna próbowała już go wcześniej wysłać?...

– Tak...

Katarzyna nie musiała nic więcej dodawać, żeby Amalia zrozumiała, co mogło się stać z wiecznie uśmiechniętym młodym ogrodnikiem. Przecież Zbigniew nikomu nie wybaczwał zdrady.

Kiedy służąca odeszła, Amalia długo jeszcze nie mogła dojść do siebie. Uświadomiła sobie, że to przez nią straciły życie dwie niewinne osoby. Wcześniej Grzegorz, teraz Jaśko. Tylko dlatego, że chcieli jej pomóc.

To wszystko zaczynało ją przerastać.

Zbigniew wrócił kilka dni później, a jego obecność zdradziło Amalii szczekanie i ujadanie podnieconych psów z jego sfory. To one wyczuły swojego pana, zanim ten jeszcze zdążył się pojawić pod murami zamku. Niestety, ośnieżone drzewa zasłaniały drogę, a samego dziedzińca nie mogła już zobaczyć ze swojego okna, nie wiedziała zatem, czy jest z nim ktoś wysłany przez królową. Bo przecież Milda musiała odczytać jej przesłanie i podzielić się nim z Jadwigą.

Zanim pojawił się w jej komnacie, upłynęło kilka godzin, podczas których omal nie oszalała z niepewności. Kiedy w końcu usłyszała zgrzyt metalowego rygla na drzwiach, omal nie odgryzła sobie palców ze zdenerwowania. Zanim jednak Zbigniew wszedł do środka, zdążyła już się opanować i przyjąć dumną postawę.

– Długo was, panie mężu, nie było – odezwała się pierwsza.

– Czyżby moja piękna żona się za mną stęskniła? Cóż za wzruszające powitanie.

Amalia nie zareagowała na tę wyraźną kpinę, starając się wyczuć jego prawdziwy nastrój. Powinien być teraz na nią wściekły, lecz nawet jeśli tak było, na razie nie dawał niczego po sobie poznać. Wyraźnie obserwował jej reakcję. Szukał w twarzy Amalii czegoś, co mogłoby mu się wydać podejrzanym. Wytrzymała jego spojrzenie.

– Przekazałeś moje listy królowej i Mildzie? – ośmieliła się w końcu zadać mu pytanie, starając się nadać swojemu głosowi spokojne brzmienie.

Zbigniew rozluźnił się i uśmiechnął szeroko.

– A jakże, przekazałem. Mam nawet list od królowej do ciebie. Tamta poganica nie potrafi pisać, więc... – Rozłożył ręce z udawanym żalem.

Chciała mu odpowiedzieć, że zna też ludzi, którzy nie są poganami, a również nie znają sztuki pisania, ugryzła się jednak w język. Wyciągnęła tylko rękę po list. Podał jej zrolowany pergamin, a ona od razu zauważyła złamaną pieczęć, co znaczyło, że Zbigniew znał już treść pisma od królowej. Nawet nie próbował się z tego tłumaczyć.

– Możesz go, moja droga, przeczytać w samotności, jak już sobie pójdę. Teraz bowiem chciałbym cię nagrodzić, tak jak to wcześniej obiecałem.

Spojrzała na niego z nadzieją i niedowierzaniem. Za co chce ją nagradzać? Czym sobie zasłużyła na nagrodę i na jaką?

Nie musiała długo czekać na wyjaśnienie.

– Zachowałeś się jak posłuszna żona, nie próbowałaś żadnych sztuczek z tymi listami, więc pozwolę ci się zobaczyć z dzieckiem.

Podszedł do drzwi i zastukał w nie mocno sygnetem. Musiał to być umówiony znak, bo natychmiast uchyliły się z lekkim zgrzytem i do środka weszła Katarzyna z małą Małgorzatą na rękach. Amalia z głośnym szlochem podbiegła do niej i porwała dziecko w objęcia.

– Moja maleńka... – Tuliła córeczkę i obsypywała ją gorączkowymi pocałunkami. – Moje kochanie, mamusia jest z tobą. Nie bój się.

Ale przestraszona dziewczynka zaczęła głośno płakać i wrywać się w stronę Katarzyny. Miała dopiero roczek i chociaż minęło zaledwie kilka tygodni od chwili, kiedy została sama z opiekunką, wyglądało na to, że zdążyła już zapomnieć o matce.

– Wystarczy! – Zniecierpliwiony Zbigniew skinął na Katarzynę, żeby zabrała szlochające coraz głośniejsze dziecko.

– Proszę... – Amalia spojrzała błagalnie na męża. – Pozwól mi, panie, jeszcze chwilę z nią pobyc. Jeszcze chwileczkę!

Zbigniew jednak był niewzruszony. Stanowczym gestem ponaglił Katarzynę, a ta podeszła do Amalii i prosząc wzrokiem o wybaczenie, wyciągnęła ręce po dziecko.

– Nie odbierajcie mi jej! – krzyknęła Amalia, przytulając dziecko mocniej do piersi. – Błagam!

– Weź ją, do diabła!

Zbigniew nie wytrzymał, popchnął służącą tak, że ta aż wpadła na matkę i dziecko. Płacz małej zawsze go denerwował, ale wyglądało na to, że teraz jest dlań wręcz nie do zniesienia. Zrezygnowana Amalia oddała córeczkę już bez słowa protestu. Przegrała.

Małgorzata wtuliła się w opiekunkę i niemal od razu się uspokoiła. Tylko gwałtowne spazmy, przechodzące jeszcze przez jej drobne ciało, świadczyły o niedawnym płaczu.

– Obiecałem, że zobaczysz dziecko, i słowa dotrzymałem. – Zbigniew wydawał się niemal zaskoczony jej zachowaniem. – O niczym innym nie było mowy, nie rozumiem więc całej tej rozpacz. Teraz jednak widzę, że miałem rację, izolując cię od dziecka. Jesteś szalona i nie możesz się nim zajmować. Co za szkoda...

Kiedy już wszyscy wyszli, Amalia ocknęła się z odrętwienia, w jakie wpadła po oddaniu Małgorzaty Katarzynie. Sięgnęła po list od królowej, z nadzieją, że może tam znajdzie jakieś wskazówki lub choćby znak, że jej słowa zostały prawidłowo odczytane. Niestety, nic na to nie wskazywało. Jadwiga cieszyła się rodzinnym szczęściem Amalii, gratulowała udanej córeczki i kochającego męża. Zapraszała ją z całą rodziną na Wawel, jak tylko drogi będą przejezdne.

Wszystko poszło nie tak.

Milda nie zrozumiała przekazu zawartego w liście do niej, królowa nie zareagowała, a co najgorsze i co ostatecznie odebrało jej chęć do życia, to

świadomość, że Małgorzata, jedyna osoba, która naprawdę liczyła się w jej życiu, nie pamiętała już swojej matki.

Amalia odłożyła list na kamienną półkę nad kominkiem i jak lunaticzka podeszła do okna, które, w przeciwieństwie do drzwi, nie zostało niczym zabezpieczone. Zupełnie jakby to było celowe działanie, rodzaj zaproszenia. Otworzyła je na oścież i wychyliła się na zewnątrz, spoglądając na piętrzące się pod nim ostre skały i skutą teraz lodem Dunajec. Śmierć powinna być szybka i bezbolesna, pomyślała obojętnie. Jedną ręką oparła się o framugę okna, drugą ujęła suknię, żeby móc łatwiej wspiąć się na parapet. I wtedy poczuła zapach, którym przesiąknięte było jej ubranie. Słodki zapach dziecka. Dziecka, o które powinna teraz walczyć, a nie oddawać go potworowi.

O nie! – pomyślała z nagłym przypływem siły. Zatrzasnęła z hukiem okno i odwróciła się w stronę komnaty, gdzie wciąż unosił się zapach córeczki.

Nie ułatwię ci tego, mój mężu.

Musisz bardziej się postarać, żeby mnie złamać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kraków, grudzień 1392

W przeddzień wyjazdu do Rożnowa Milda zachowywała się tak, jakby ktoś rzucił na nią czar.

Snuła się po obu izbach apteki niczym widmo, wzrok miała nieobecny i zdawało się, że nikogo ani niczego wokół siebie nie zauważa. Kiedy do apteki przychodzili dworzanie z receptami, obsługiwała ich bez słowa, machinalnie, ktoś mógłby rzec: niegrzecznie. A jak na złość o tej porze roku był spory ruch. Dziś zaczął się już przed tercją i trwał do popołudnia. Musiała przygotowywać głównie mikstury na przeziębienie, kaszel i katar – w łagodniejszych przypadkach pomagały proste środki, takie jak podbiał czy też korzeń kobylego szczawiu – dwa razy wydała także lekarstwa na zatwardzenie, a Sasin, główny królewski koniuszy, przyszedł jak zwykle po roztertę kłacza węzownika, które miały mu pomóc w zwalczeniu kolejnej biegunki.

Gdy zadzwoniono na nonę, a następnie w pobliskiej katedrze rozbrzmiały przeznaczone na tę godzinę kanoniczną psalmy, zrobiło się trochę spokojniej. Milda przegarnęła węgle w piecu i zamiotła obie izby miotłą z brzozowych witek. Na zewnątrz trzymał mróz i dało się go odczuć nawet w nagrzej aptece, zwłaszcza w pomieszczeniu, gdzie stały półki z lekarstwami. Wciąż jeszcze była słaba po długotrwałej chorobie, toteż ubrała się tego dnia ciepło. Miała na sobie dwie warstwy odzieży. Na żółtą suknię wkładaną przez głowę nałożyła drugą, szarozieloną, sznurowaną z przodu. Do tego obowiązkowe wełniane pończochy, zawiązane tuż pod kolanami, a także ciepłe cizmy. Lnianą chustę okręciła wokół głowy niczym podwikę, tak że osłaniała boki twarzy i brodę. Wsunęła też na dłonie rękawiczki bez palców.

Tak opatulona miała pewność, że się nie przeziębi tuż przed wyjazdem.

Kiedy na zewnątrz zaczęło powoli zmierzchać, zapaliła świece oraz lampki oliwne, weszła do mniejszej izby, tej z medykamentami, i spojrzała na półki, zastanawiając się, czy czegoś jeszcze nie będzie jej potrzeba.

Po tych kilku miesiącach pracy u Zenobiusza czuła się w aptece jak u siebie w domu. Staruszek opisał jej każdy słoik w tym pomieszczeniu, tak więc nie musiała nawet podchodzić bliżej, by wiedzieć, co się kryje w mroku na ciężkich dębowych półkach.

Na samym dole umieszczone były preparaty galenowe, nazwane tak od imienia jakiegoś bliżej Mildzie nieznanego starożytnego guślarza, specyfiki w zamierzeniu mające przywracać w organizmie równowagę płynów, takich jak krew, śluz i żółć. Medykamenty owe musiały się znajdować w każdej szanującej się aptece, jednakże Zenobiusz, który studiował w młodości medycynę na Uniwersytecie Karola w Pradze, a potem w Paryżu, i najwyraźniej przesiąkł w tych miejscach nowoczesnymi ideami, nie bardzo wierzył w skuteczność prastarej metody humoralnej. Jeśli tylko mógł, zastępował bezskuteczne jego zdaniem rzymskie preparaty, w których było mnóstwo pokruszonych minerałów i Bóg wie czego, ziołami oraz innymi roślinami. Za jego przykładem Milda czyniła tak samo, zatem galenowe słoiki i puszki pokrywał kurz.

Wyżej stały wagi oraz klepsydry do odmierzania czasu podczas destylacji, mózdzierze, kolby, tłuczki oraz inne tego rodzaju przybory niezbędne w aptekarskim fachu.

Nad nimi – była to ostatnia półka, do której Milda mogła sięgnąć bez korzystania ze stołka czy drabiny – znajdowały się najprzeróżniejsze syropy, nalewki, maści, olejki, pigułki, owoce, korzenie, nasiona, a także cukier, którego właściwości pobudzające oraz poprawiające nastrój cenily szczególnie damy dworu.

Na półce powyżej białe ozdoby ceramiczne słoje z najbardziej drogocennym lekarstwem w całej aptece.

Najdroższym, choć w opinii Zenobiusza całkowicie nieprzydatnym.

Otóż w tychże słojach znajdował się tak zwany teriak. Był to specyfik uznawany przez większość uczonych doktorów za cudowny środek na wszystkie dolegliwości. Miał leczyć choroby serca, gorączkę, paraliż, epilepsję, puchlinę wodną, przywracać utraconą mowę, zapobiegać

obrzękom i niedrożności jelit, usuwać plamy skórne i wrzody, poprawiać trawienie, goić rany, dodawać sił lub też przeciwnie, działać nasennie. Jednym słowem, pomagał na wszelkie mankamenty zdrowotne. Aż dziw, że na świecie było tak wielu chorych, paralityków czy ślepców i że ludzie padali jak muchy z powodu tysięcznych niedomóg oraz dolegliwości, skoro istniało takowe panaceum.

– Jeśli coś jest dobre na wszystko, to oznacza jedynie, iż nie pomaga w niczym konkretnym – podsumował kiedyś Zenobiusz, gdy rozmowa zeszła na to cudowne lekarstwo. – Doprawdy, są to pobożne życzenia, dziecięce złudzenia. Wszelako potrafię je zrozumieć. Widziałem epidemię czarnej śmierci w miastach Italii. Doktorzy byli wobec niej bezradni w tym samym stopniu, co zwykli wieśniacy. Sam szatan nie wymyśliłby tak okropnych męczarni, jakie oglądałem. Objawy były nie tylko nieznośnie bolesne, ale i jawne – przez co zarażony widział wyraźnie, że nie ma dla niego ratunku, i tracił to, co wielu pomaga do samego końca, czyli nadzieję. W rozpacz nieszczęśni ci ludzie własnymi rękami, za pomocą szczypiec lub ognia starali się wyrywać albo wypalać ciemne znamiona śmierci. Ponieważ nie pomagało żadne lekarstwo. Dlatego nie dziwię się, że w obliczu takiego koszmaru zaklina się rzeczywistość i udaje, że cudowny lek istnieje. To czyni życie znośniejszym.

„Cudowny lek”, choć niewart garści psich kłaków, kosztował fortunę. I tutaj Zenobiusz potrafił wyjaśnić Mildzie, dlaczego tak jest:

– Lekarstwo musi być drogie, tylko wtedy chorzy mają do niego zaufanie.

Aby dodatkowo tę wysoką cenę uzasadnić, aptekarze powoływali się na niezwykle skomplikowaną i pracochłonną procedurę, jakiej wymagało stworzenie medykamentu. Przede wszystkim teriak, czyli *teriachum andromachi*, był mieszaniną ni mniej, ni więcej, tylko aż sześćdziesięciu czterech składników, w tym tak egzotycznych jak ciało obdartej ze skóry i upieczonej żmii. Nawet czterdzieści dni trwało przygotowanie specyfiku, a niejednokrotnie musiał on dojrzewać aż dwanaście lat.

Ale Mildy nie interesował teraz lek na wszelkie nieszczęścia świata.

Interesowała ją tonąca w ciemnościach najwyższa półka.

Ta, do której teoretycznie miał dostęp tylko Zenobiusz.

Zgromadzono na niej specyfiki, które w niewielkich, ściśle odmierzonych dawkach przynosiły pożytek, lecz przy nieroztropnym zastosowaniu stawały się groźne dla życia i zdrowia pacjentów.

A więc: żrący wiotriol, który, zmieszany z olejkiem rozmarynowym, pomagał na dolegliwości skórne dużo lepiej niż łośpuch, podobno łagodził nawet niektóre objawy trądu. Następnie sok z maku, posiadający – po doprowieniu szafranem, sproszkowanymi goździkami i cynamonem, naturalnie w ściśle określonej ilości – właściwości odurzające. Działał przeciwbólowo, wszelako bez tych dodatków był wielce, ale to wielce szkodliwy. Pod samym sklepieniem Zenobiusz umieścił też rośliny takie jak bielun, ciemiernik i lulek czarny. Ich właściwości leczniczych Milda jeszcze nie poznała, wiedziała jednak, już od czasów nauk pobieranych na Litwie u Iny, że wszystkie one mogły wywołać diabelskie wizje i doprowadzić do szaleństwa. Na samym końcu zaś, tuż przy ścianie znajdowała się rtęć, czyli żywe srebro, pomagająca przy chorobach wenerycznych, arsenik, służący głównie do sporządzania trutek na szczury, no i tojad.

Tojad.

Wyciąg z jego korzenia działał przeciwgorączkowo, pomagał też w chorobach oczu. Naturalnie przy precyzyjnym dozowaniu. W przeciwnym razie stawał się niezwykle skuteczną trucizną, o czym za sprawą Krystyny przekonał się niegdyś nieszczęsny ojciec Albert.

To właśnie w owo miejsce, gdzie w mroku powinien stać tojad, wpatrywała się teraz Milda. Zadarła do góry głowę i uniosła płonąca świecę, patrząc na słój. Czy wzięła wystarczającą ilość trucizny? Czy stary aptekarz dostrzeże jej brak?

Jakby go wywołała myślami, bo usłyszała za plecami stukanie kostura o kamienną posadzkę.

Wzdrygnęła się, jakby przyłapaną na czymś niestosownym.

Co było niedalekie od prawdy.

– Ale mróz – westchnął staruszek, stając w drzwiach.

– Okrutny – odparła machinalnie.

– Mistrz Erazm sporządził ponoć horoskop i gwiazdy mówią, że na same Gody szykuje się odwilż.

– Aha.

Nie ufała astrologom ani ich wykresom. Na Litwie te sprawy traktowano bardziej przyziemnie: wystawiano wełnianą suknię na zewnątrz i sprawdzano, jak bardzo nasiąkła wilgocią, co dawało niezawodny prognostyk w sprawach pogody.

– Czego szukasz? – zapytał Zenobiusz.

– Niczego konkretnego.

– Doprawdy?

– Z nudów sprawdzam, czy nie trzeba odkurzyć słoików – skłamała.

Aptekarz przysunął sobie zydel i usiadł na nim ciężko. Jego bura szata z kapturem jako żywo przypominała franciszkański habit. Podobieństwo do mnicha dodatkowo podkreślała łysina okolona wianuszkami siwych włosów, kojarząca się z tonsurą. Ledwie usadowił się wygodnie, na kolana wskoczył mu Leo.

– Znasz już chyba tę aptekę równie dobrze jak ja – powiedział cicho Zenobiusz, głaszcząc kota.

– To dopiero początek nauki...

– Jesteś bystra, a i nabrałaś zielarskiego doświadczenia na Litwie.

– Tak. Ale wielu rzeczy muszę się jeszcze nauczyć.

– To prawda. – Spojrzał na nią badawczo.

Pod wpływem spojrzenia i tonu głosu aptekarza zeszywniała, czując, że staruszek ją przejrzał. Choć miał już szósty krzyżyk na karku, jego umysł pracował tak sprawnie, że Zenobiusz mógłby zawstydzić swymi umiejętnościami wielu młodzieniaszków.

– Wiesz, Mildo, że zawód aptekarza nie cieszy się dzisiaj zbyt dużym szacunkiem ani poważaniem – rzekł cicho, drapiąc za uchem kota, który zaczął mrużyć tak głośno, jak tylko on potrafił.

– Sądziłam, że jest wprost przeciwnie – odparła zaskoczona.

– Na pozór mogłoby się tak wydawać. Niestety, w przeważającej części ludzie uważają nas za zwykłych szarlatanów. Jesteśmy w ich oczach zgrają oszustów, którzy zawarli układy z innymi nicponiami, czyli doktorami. Wszystko to w celu opróżniania mieszkań nieszczęśników dotkniętych chorobą. Żądamy srebra za specyfiki, których przyrządzenie nie jest warte miedziaka. Oszukujemy, że beznadziejne mieszanki mogą przywrócić zdrowie, tylko dlatego, że mądrze się nazywają i trzeba za nie słono zapłacić. Ludzie uważają, że żerujemy na nieszczęściu i desperacji, bo w obliczu śmierci człowiek chwyci się wszystkiego.

Słuchała jego słów w milczeniu, kiwając tylko głową na znak, że rozumie, jednocześnie zaś zastanawiała się, do czego Zenobiusz zdąża.

– Nic na to nie poradzimy – ciągnął starzec. – Owszem, wiele jest szarlatanerii w naszym zawodzie, wszakże moim zdaniem lepiej dawać

ludziom złudną nadzieję, niż odbierać jakąkolwiek. Wiadome jest, że chorzy, którzy się poddali, szybciej schodzą z tego świata. To niebezpieczna władza. Wszakże mamy też inną.

Milda machinalnie chciała dotknąć włosów, lecz zapomniała, że okrywa je chusta.

– Znamy tajniki leków – kontynuował aptekarz. – Wiemy, kiedy pomagają, wiemy, kiedy szkodzą. To daje poczucie władzy. Z powodu nadmiaru wiedzy łatwo zbłądzić. Sam jestem tego przykładem.

– Trudno mi w to uwierzyć – odezwała się cicho Milda.

Zenobiusz uśmiechnął się blado.

– Nie zawsze miałem pięćdziesiąt parę lat. No i nie zawsze byłem zgrzybiały. Grzeszyłem. Bo któż z nas *sine peccato est*?

Uświadomiwszy sobie naraz, że jego młoda pomocnica jest niezbyt biegła w łacinie, Zenobiusz objaśnił:

– Któż z nas bez grzechu.

Nie pozostało jej nic innego, niż przytaknąć.

– Wy, młodzi, uważacie zapewne, że starcy urodzili się już starcami – ciągnął Zenobiusz. – Zresztą, sam tak myślałem w młodości. Ale, wbrew pozorom, i ja byłem ongiś młody i krewki. Studiowałem w Paryżu, a to miasto niebezpieczne dla nieukształtowanego umysłu. Oj, niebezpieczne. Szczególnie w tym przeklętym stuleciu, w którym przyszło nam żyć.

– To samo mawiał ojciec Albert – mruknęła Milda.

– I doprawdy miał rację. Ja przekonałem się na własnej skórze. To, czego uczyłem się na wykładach, o wiele mniej mnie pasjonowało niż dyskusje w tawernach i różnych innych nieprzystojnych lokalach owego do cna zepsutego, obmierzłego miasta. Od studentów z Kastylii dowiedziałem się wtedy o naukach tajemnych. Zapoznali mnie z łacińskimi tłumaczeniami dawnych ksiąg, spisanych przez Saracenów. Ich tajemnicze słowa zawładnęły moim umysłem. Poczulem, że mam władzę nad światem. Albo że zaraz takową posiadę.

Przerwał, by zrzucić z kolan kota, który, niezrażony, natychmiast podbiegł do Mildy.

– Widzisz, Mildo, leczenie ludzi to niewdzięczne zajęcie, sama zresztą tego doświadczyłaś na Litwie. Rany, wrzody, krew, ropa, cierpienie, rozpacz. Proces zdrowienia, nawet jeśli zakończy się sukcesem, jest długotrwały, pełen bólu i zwątpienia. Nauki tajemne oferowały jak gdyby

drogę na skróty. Pozwalały uwierzyć, że za pomocą zaklęć można wpłynąć bezpośrednio na prawa natury, przyspieszyć je bez babrania się w całym brudzie materii. Choć wstyd mi teraz o tym mówić, studiowałem iście szatańską księgę pod tytułem *Picatrix*, dzieło perskich czarnoksiężników. Uwierzyłem w bzdury, że niegdyś udało im się za pomocą magii stworzyć istotę, która była skrzyżowaniem węża i ptaka. Pod ich wpływem próbowałem przywoływać demony i anioły. Kiedyś, w środku nocy, za pomocą pogańskich zaklęć wzywałem Archanioła Gabriela. Nie pojawił się, lecz w izbie, w której przebywałem, zrobiło się tak zimno, że poprzestałem w wysiłkach. Przeraziło mnie to.

– To okropne – powiedziała Milda, choć sama miała dużo groźniejsze doświadczenia ze światem niewidzialnym. Wolą jednak nie dzielić się teraz nimi z Zenobiuszem, podejrzewając, iż pogorszyłoby to jeszcze sprawę.

– Kiedy górujemy wiedzą nad małuczkimi – powiedział uroczyście aptekarz, jakby przemawiał z uniwersyteckiej katedry – łatwo pod wpływem pychy zejść na manowce. Nie myśl, Mildo, że jestem już tak stary i zniedołężniały, by nie zauważyć, że sięgałaś po trucizny. Te z najwyższej półki.

Serce zaczęło jej bić mocniej, chciała coś odpowiedzieć, jednak ugryzła się w język.

– Trucizna jest bronią – rzekł łagodnie staruszek. – Śmiertelną bronią. Wiesz o tym, Mildo?

Spuściła wzrok.

– Aptekarz może używać jej tylko w celach leczniczych. *Primum non nocere*. Po pierwsze, nie szkodzić. Przemyśl tę maksymę.

– Nie jestem aptekarzem – wyszeptała wreszcie, nie podnosząc wzroku. – Nie składałam żadnej przysięgi.

– Ale ja ci zaufałem, dziecko.

Uniosła głowę i spojrzała aptekarzowi w oczy.

– Wiem, mistrzu. I przepraszam. Lecz nie mam innego wyjścia.

– Zawsze jest inne wyjście.

– Nie w tym wypadku.

– Czyli w jakim?

– Gdy trzeba ratować czyjeś życie.

– Mówisz o swojej przyjaciółce z Roźnowa?

– Tak. Jest więziona przez zbója.

– Od tego są, dziecko, sądy.

Pokręciła powoli głową.

– Nie ma na to czasu. Zresztą sądy sprzyjają zazwyczaj mężczyznom i rycerzom. A kobiety są bezbronne.

– Sądy to sądy. – Zenobiusz nie ustępował. – Kim jesteśmy, żeby wymierzać sprawiedliwość w ich zastępstwie?

– Posłużę się przykładem, mistrzu. Pamiętacie pewnie sprawę bogatego pana oskarżonego o potrójny gwałt na kobietach? Napaść, włamanie i gwałt.

Zenobiusz skinął poważnie głową.

– Przypomnijcie mi zatem, jaki zapadł wyrok w jego sprawie?...

– Został uniewinniony...

– No właśnie, został uniewinniony, jak wielu innych przed nim. Bo, jak wyjaśnił sąd, oskarżony żadną miarą nie mógł popełnić tego czynu, chociaż mąż jednej z niewiast złapał go na gorącym uczynku. Nie mógł i już. Natomiast skrzywdzone kobiety zostały natychmiast oskarżone o zniesławienie gwałciciela. O takich sądach mówicie?

Aptekarz w milczeniu spuścił głowę.

– Wspominaliście przed chwilą, mistrzu, że trucizna to broń. I z tym się zgodzę – mówiła Milda. – Jest ona moim mieczem.

– Mieczem? Nie rozumiem.

Nabrała głębiej tchu, czując, że musi to z siebie wyrzucić.

– Z całym szacunkiem, kobieta nie nosi przy sobie miecza, nie jest też tak silna jak mężczyzna, by się obronić w razie każdej różnicy zdań. Jest bezbronna wobec sądów i wobec przemocy mężczyzn. Tak jak moja przyjaciółka, którą najprawdopodobniej zniewolił brutalny prostak. I który, obawiam się, nie zawaha się jej zabić, jeśli tylko taka myśl mu przyjdzie do głowy. A potem każdy sąd go uniewinni, bo przecież to zacny rycerz, który wiernie służy królowi...

Zenobiusz słuchał, nie przerywając. W jego spojrzeniu była zaduma i mądra troska.

– Skoro mężczyźni noszą u boku miecze – ciągnęła cicho – i wręcz się nimi chełpią, ja pojedę do Rożnowa z tymi ziołami z najwyższej półki. To właśnie jest moja broń. I mój miecz. Ale obiecuję, że wykorzystam ją tylko wtedy, kiedy nie będzie innego wyjścia.

Aptekarz nic nie powiedział, lecz jego milczenie było dla Mildy aż nadto wymowne. Sama dobrze wiedziała, że to, co czyni i – przede wszystkim – co zamierza uczynić, mało jest szlachetne. Delikatnie mówiąc. Opierało się na oszustwie i podstępie. Co najgorsze, musiała oszukać też mistrza, którego bardzo szanowała. Jednakże w ogólnym rozrachunku czuła, że czyni słusznie. Życie i zdrowie Amalii więcej dla niej ważyło niż zaufanie Zenobiusza, szlachetne zasady, kodeksy prawne, moralność, Święta Trójca oraz wszystko inne.

Na szczęście nie musiała kontynuować tej coraz trudniejszej dla niej rozmowy, ponieważ do apteki wszedł jakiś pacholek w rogatym kapturze i oświadczył, że ktoś znaczny chce z nią rozmawiać.

– Czemu nie wejdzie do środka? – spytała Milda.

– Czeka na zewnątrz.

Pewnie jakiś dworzanin ze wstydliwą chorobą, pomyślała, zadowolona jednak, że może uciec od wymownego milczenia aptekarza. Zarzuciła na ramiona wilcze futro i wyszła na wawelski dziedziniec. Było już ciemno, mrok rozświetlały jedynie ogniska straży oraz pochodnie trzymane w rękach dwóch pacholków stojących po bokach młodego mężczyzny w długim płaszczu i futrzanej czapie.

Przyjrzała się mu bliżej.

– Mikołaj? – wyszeptała.

– Mildo!

Mimo mrozu poczuła przypływ gorąca.

Podszedł ku niej i chwycił ją za rękę.

– Miałeś przyjść po Godach – powiedziała słabym głosem.

Jak zwykle w jego obecności targały nią sprzeczne uczucia. Z jednej strony czuła radość z powodu jego wizyty, z drugiej jednak wolałaby teraz się z nim nie spotykać. Nie tylko ze względu na wciąż dla niej bolesne spotkanie z jego ojcem, lecz głównie dlatego, że obecność Mikołaja rozpraszała ją w momencie, gdy powinna się skupić na rzeczy najważniejszej.

– Nie powinieneś – dokończyła.

– Musiałem, Mildo. Przemyślałem wszystko i...

– I?

– I doszedłem do wniosku, że nie mogę pozwolić, byś pojechała tam, czyli do tego Rożnowa, sama. Skoro twierdzisz, że twojej przyjaciółce grozi niebezpieczeństwo, to grozi je także tobie.

– Nie jadę sama – odparła szybko. – Brat będzie mi towarzyszyć.

– Wiem, lecz potrzebujesz silniejszej ochrony. A ja muszę cię przecież chronić, przecież masz zostać...

– Tak...? – Musiała to z niego wyciągnąć.

– Moją żoną.

Westchnęła.

– To bardzo szlachetne z twojej strony, Mikołaju, lecz nie powinieneś angażować się w tę eskapadę. Nie przystoi to twojej pozycji, poza tym pogoda jest okropna.

Mikołaj w zakłopotaniu opuścił głowę i potarł nos.

– Hm, Mildo, nie miałem na myśli siebie.

Poczuła się teraz równie niezręcznie jak on. Dlaczego przypuszczała, że ma zamiar tak się dla niej poświęcić?

– Miałem na myśli dalekiego kuzyna jednego z moich przyjaciół – wyjaśnił szybko.

– Kuzyna? Jak miałby mi pomóc?

– To młody rycerz, herbu Lis, bardzo szlachetny młodzieniec, wnuk Świętopelka, kasztelana i wojewody sieradzkiego.

– Nic mi to nie mówi.

– Chłopak ma głowę pełną rycerskich ideałów i wręcz płonie żądzą czynów na miarę rycerzy Okrągłego Stołu czy Ryszarda Lwie Serce. Gdy tylko usłyszał, że niewiasta jest w niewoli...

– Ostatnia osoba, jakiej nam potrzeba, to ktoś o tak gorącej głowie – przerwała mu Milda. – Doceniam jego chęć pomocy, ale załatwimy to sami.

– Zawsze przyda się ktoś umiejący władać bronią. Zbigniew ma swoich zbirów. Sam Varnas nie da im rady.

Zastanowiła się. Może i Mikołaj miał rację? Może warto było zostawić kogoś w odwodzie, poza murami zamku, aby w razie niepowodzenia mógł zorganizować pomoc? Rycerz nadawałby się do tego lepiej niż prosty woźnica, czyż nie?

– Jak on ma na imię? – spytała.

– Gniewko, choć woli, kiedy się mówi na niego Teodoryk.

– Aha. – To tylko pogłębiło jej sceptycyzm. – Niech się tu stawi jutro o świcie. Varnas zadecyduje, czy go weźmiemy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zgodnie z umową Gniewko, alias Teodoryk, rycerz herbu Lis, pojawił się na wawelskim dziedzińcu równo ze wschodem słońca.

Varnas już od dawna był na nogach, właściwie to nawet nie spał tej nocy, jak zwykle przed ważnymi zdarzeniami. Jeszcze przed świtem przygotowywał w stajni konie do podróży: swoją siwą klacz, a także srokiego wałacha, który miał ciągnąć małe sanki Mildy. W ciemnościach, jedynie przy chwiejnym blasku małej latarni, którą przytrzymał nad nim zaspany i kaszlący paskudnie stajenny, zakładał uprzęż. Dla takiego wojownika jak czarnowłosa Litwin każdy rzemyk i każda sprzączka były niczym amulet – wiedział, iż podczas walki byle szczegół decyduje o życiu lub śmierci – więc cała praca wyglądała jak religijny rytuał.

Starannie i powoli, zachowując całkowite milczenie, założył i dopasował siodło na grzbiecie klaczy, potem przełożył i dopiął popręg pod jej brzuchem, uporał się z munsztukiem, sprawdził jego luz, dopasował nachrapnik. Klacz wyczuwała, iż czeka ją jazda, toteż ze zniecierpliwienia przestępowała z nogi na nogę, strzygła uszami, a z jej nozdrzy buchały kłęby pary.

– Spokojnie, malutka – szeptał Varnas, poklepując jej aksamitną szyję. – Już niedługo.

Wtedy właśnie usłyszał wjeżdżającego na dzieciniec Gniewka.

Litewski wojownik nie zareagował przesadnie entuzjastycznie, gdy wczoraj wieczorem dowiedział się od Mildy, iż jakiś młodzik chce towarzyszyć im w „roznowskiej kampanii”, jak Varnas nazwał w myślach przedsięwzięcie siostry. Miał o rycerzach, a już zwłaszcza o tych młodych, jak najgorsze zdanie. Według niego owi zniewieściali głupcy uwielbiali się stroić oraz imponować naiwnym dwórkom. Byli jak pawie: kolorowi, pyszni i hałaśliwi. Farbowali i trefili włosy, czasami nawet malowali się na saraceńską modłę. Owszem, kruszyli kopie podczas turniejów, lecz na ogół

brakło im doświadczenia w prawdziwej walce. Dla Varnasa mało mieli wspólnego z wojownikami, należeli raczej do tej grupy, w której znajdowali się trubadurzy, gęślarze oraz podobni im młodzieńcy w pstrokatych portkach.

Wszakże czegoś takiego się nie spodziewał.

Gdy tylko wyszedł ze stajni, wprost go zamurowało.

Stał przed nim najwspanialszy koń, jakiego widział przynajmniej od czasów bitwy o Wilno. Bojowy rumak, *dextarius*, czarny ogier z białą strzałką na czole, prezentował się niczym najprawdziwszy demon wojny. Szyję miał wygiętą w łuk z istic królewską gracją, a zębra doskonale wysklepione. Choć tego szczegółu Varnas akurat nie mógł w tej chwili dostrzec, bo wierzchowiec stał przodem do niego, Litwin był pewien, iż zad rumaka jest odpowiednio szeroki i umięśniony.

Ile grzywien srebra było warte to cudo? Varnas nie miał pojęcia.

Wiedział natomiast, że rumak należy do końskiej elity. Tego rodzaju wierzchowce były wprost stworzone do walki – atakowały z impetem, nie bały się zderzeń z innymi końmi, błyskawicznie zrywały się do biegu, potrafiły też nagle się zatrzymać, wykonywać zwroty i obroty. Najlepsi francuscy i burgundzcy rycerze wykorzystywali je podczas turniejów, gdy przychodziło do walki na kopie.

W tej chwili koń też wyglądał jak przed starciem w szrankach. Miał na sobie naczółek i napierśnik. Kropierz w czerwono-czarną szachownicę sięgał niemal pięcin.

Dopiero na sam koniec, obejrawszy już sobie dokładnie całego rumaka oraz jego oporządzenie, Varnas spojrział na jeźdźca.

– Nie ma mowy – podsumował krótko. – Tak nie pojedziesz.

Gniewko najwidoczniej nie chciał być gorszy od własnego konia, wystroił się więc tak, jakby pozował do obrazka w księdze opowiadającej o przygodach króla Artura. Miał na sobie kosztowną zbroję, na oko Varnasa mediolańską, do tego hełm z wąskim wizjerem, a przy wysokim siodle, tuż u kolan, zatknął wielką tarczę z rodowym herbem, czyli ze stającym na tylnych łapach czerwonym lisem.

– Czy ty się, młodzieńcze, wybierasz do Roźnowa, czy raczej do Palestyny? – Litwin chwycił się pod boki, mrużąc oczy i kręcąc z niedowierzaniem głową.

Jeśli jednak sądził, że jego jawna drwina zbije z tropu młodzieńca, pomylił się srodze.

– Palestyna jest wszędzie tam, gdzie panuje nieprawość i należy pokonać zło – zadudniło głucho wewnątrz hełmu, zupełnie jakby ktoś przemawiał spod blaszanej miednicy. – Więc równie dobrze może nią być Rożnów.

– Nie prowadzimy krucjaty – odrzekł Varnas. – Tak naprawdę to nie chcemy się nawet rzucać w oczy. Krzyżujesz więc nasze plany, szlachetny rycerzu.

Gniewko milczał przez chwilę.

– Mogę się przebrać – rzekł wreszcie.

– Oby szybko, zaraz wyjeżdżamy.

Chłopak uwinął się błyskawicznie, bo zanim jeszcze zaprzężono wałacha do sanek, pojawił się ponownie – tym razem w zwykłym płaszczu z kapturem, podszytym wiewiórkami, na mniejszym koniu. Zamiast miecza miał przytroczony do siodła krótki topór.

Milda, która właśnie mościła się w saniach, dostrzegła, że ich towarzysz jest bardzo młody i bardzo piegowaty. Miał jasne włosy i chłopięcą twarz.

Dzieciak. Na co on im potrzebny?

– Czcigodna pani – powitał ją, zeskoczywszy z konia i złożony głęboki ukłon. – Będzie dla mnie zaszczytem móc ochraniać cię podczas tej wyprawy.

Jak na tak niepoważny wygląd Gniewko miał głos głęboki i męski.

– Ochroną zajmę się ja – odparł mu Varnas, który już siedział w siodle.

Miał na sobie podróżną opończę, a pod nią brygantynę, a także spodnie z kozłej skóry i wysokie buty. Wodze okręcił sobie wokół nadgarstka i trzymał teraz wysoko nad głową klaczy, która chrapała niecierpliwie, stukając kopytami na nierównym bruku dziedzińca.

– Jesteśmy wdzięczni za pomoc, ale to nie szranki ani inne zabawy, toteż doradzałbym trzymać się z boku i nie podejmować żadnych własnych działań.

– Zastosuję się do wszystkich waszych poleceń, panie. – Gniewko ukłonił się Varnasowi.

– Raczej do poleceń tej wojowniczej damy. – Litwin z krzywym uśmiechem wskazał głową na siostrę. – To ona dowodzi wyprawą.

Gniewko, alias Teodoryk, na moment zdębiał, lecz szybko się opanował. Rzucił tylko krótkie, zaskoczone spojrzenie na Mildę, tak opatuloną

w futra, że z odległości kilkunastu kroków trudno było rozpoznać, czy to mężczyzna, czy białogłowa, czy też może niedźwiedź, który wlaźł do sań. Najwyraźniej żadna z rycerskich pieśni, jakie śpiewano kiedyś małemu Gniewkowi przy blasku kominka, nie przygotowała młodego „Teodoryka” na sytuację, w której to niewiasta wydaje rozkazy.

Bo białogłowy i owszem, występowały w romansach, lecz raczej w charakterze ofiar do uratowania albo dam serca, których honoru należało bronić i które obdarowywały dzielnych rycerzy wstążkami czy puklami swych włosów. Nigdy jednak nie pojawiały się w takiej roli jak teraz. Na nieszczęście dla jasnowłosego wojownika od samego początku nic nie wyglądało tak, jak to sobie układał w marzeniach, a na wycofanie się z honorem było już za późno.

– Wedle waszego życzenia – rzekł cicho, po czym wskoczył na konia.

Na koźle sań, w których znajdowała się Milda, usadowił się woźnica, Błazej, jeden z wawelskich stajennych.

– W drogę! – Milda wydała pierwszy rozkaz podczas tej zimowej eskapady.

Kiedy opuszczali bramę Mikołajską, niebo było szare, a w powietrzu wirowały pojedyncze płatki śniegu.

Mimo że była owinięta w sobolowe futro, a na głowie miała borsuczą czapę, Milda drżała lekko. Nie z zimna, lecz z podniecenia. Niczym rumak przed bitwą. Nareszcie była w drodze, w końcu działała, a nie tylko zamartwiała się podczas wymuszonej przez chorobę bezczynności. Już niedługo ujrzy przyjaciółkę, niewidzianą od wielu miesięcy. Pozna prawdę. Okaze się, czy jej wizje były prawdziwe, czy też pochodziły od złośliwych demonów choroby. I jeśli będzie trzeba, przywiezie Amalię do Krakowa, na Wawel. Choćby musiała zgładzić jej męża.

Jechali przez białe pola, na czele Varnas, za nim sanie, pochód zaś zamykał Gniewko. Skromna drużyna, ale Milda nie potrzebowała nikogo więcej. Pojechałaby sama, gdyby nie było innego wyjścia. Prawdopodobnie ruszyłaby nawet pieszo, z wędrownym kijem i torbą wypełnioną truciznami.

Nic nie mogło jej zatrzymać.

Pachniało mrozem, wiatrem, dymem, futrami i koniem. Płozy skrzypiały w głębokiej ciszy grudniowego poranka, olbrzymie niebo stawało się coraz bardziej zachmurzone. Varnas raz po raz spoglądał w górę, najwidoczniej obawiając się śnieżycy. Lata wojaczki, polowań i dalekich wypraw nauczyły go bezbłędnie odczytywać znaki na niebie, dużo skuteczniej, niż to czynili najlepsi astrologowie.

– Będzie zawieja! – wykrzyknął w pewnym momencie, wstrzymawszy nieco konia i obróciwszy się w siodle.

– Zdążymy? – zapytała Milda.

– Nie sądzę.

– Musimy zdążyć.

– Mildo, zaraz zacznie sypać. Jedyne, nad czym możemy się zastanawiać, to nad tym, jak silna będzie ta zawieja i czy zastanie nas gdzieś na odludziu, czy w pobliżu domostw.

Zakłęła w duchu. Tego tylko brakowało. Czyżby nawet bogowie starali się jej przeszkodzić?

– Co więc mamy robić? – zapytała.

– Znaleźć ewentualne schronienie już teraz.

Łatwiej było powiedzieć, niż zrobić, gdyż jak na złość znajdowali się na pustkowiu, z dala od ludzkich siedzib. Nie widać było żadnych dymów z kominów, nic, tylko płaskie białe pola i jakieś liche zagajniki na horyzoncie. Przyspieszyli, lecz nie na wiele się to zdało. Po przejechaniu jakichś dwóch mil śnieg zgęstniał na tyle, że Milda musiała zmrużyć oczy. Niedługo potem znaleźli się w środku najprawdziwszej kurzawy. Nie można było dostrzec niczego na odległość trzech kroków. Wiatr niósł tumany śniegu prosto w ich twarze, tak że i Varnas, i Gniewko pochylili się nisko w siodłach, ukrywając głowy za końskimi karkami. Woźnica Mildy kłął na czym świat stoi, lecz w końcu zamilkł, gdyż wichur zmusił go do zamknięcia ust. Śnieg osiadał na jego ramionach i czapie, stopniowo upodabniając mężczyznę do wielkiej zasy.

– Tu gdzieś powinna być gospoda! – poprzez ryk wiatru zawołał Varnas.

– Najbliższa przed wsią kanonika Klemensa! – odkrzyknął mu woźnica.

– O niej mówię!

– To jeszcze ze trzy mile!

– Nie! To już gdzieś tutaj!

– Chyba lepiej znam drogę! – zaprotestował mężczyzna na koźle.

– W tej kurzawie troszkę się pogubiliście, Błażeju!

– Co? Ja się pogubiłem?

Milda pomyślała, że tylko mężczyznom chciałoby się w takich warunkach tracić cenne siły na głośne udowadnianie sobie, kto lepiej orientuje się w okolicy, lecz po chwili odetchnęła z ulgą, gdyż usłyszała triumfalny okrzyk brata:

– Miałem rację! Widzę gospodę!

Woźnica nie odpowiedział i wyglądało na to, iż musiał być teraz srodze zawiedziony rozwojem wypadków; wolałby pewnie, by zasypało ich na bezludziu, niż miałyby przyznać rację Varnasowi.

Niemal po omacku dotarli do gospody. Nazywała się groźnie: Pod Lutym Turem.

Wnosząc z widoku podwórza, nie tylko oni szukali dziś tutaj schronienia. Poprzez gęsty śnieg widać było dwa kupieckie wozy z płóciennymi budami, ustawione pod samą ścianą karczmy. Skoro stały tutaj, stajnia i wozownia musiały być już pełne.

Ponieważ nikt nie wyszedł, aby zająć się ich końmi, przywiązali je na razie pod zadaszeniem, na prawo od oświetlonego latarnią ganku.

Wnętrze karczmy Pod Lutym Turem okazało się gorące, cuchnące, duszne i zadymione – jednym słowem, było wprost wymarzonym miejscem po chwilach spędzonych pośród lodowatej zamieci.

– Nie ma już gdzie nocować! – krzyknął ktoś na powitanie. – Chyba że z końmi, na słomie.

– Przeczekamy tylko kurzawę – odparł niezrażony Varnas, strzepując z ramion śnieg.

– To możecie długo czekać. – Okazało się, że głos należał do chudego jak tyka, przygarbionego mężczyzny w fartuchu, pewnie gospodarza.

– Trudno – powiedział Litwin. – Podaj grzanego wina.

Milda rozejrzała się po izbie. Przy trzech stołach – dwóch pod ścianami, jednym na środku izby – siedziało na ławach kilkunastu mężczyzn. Na pierwszy rzut oka byli to kupcy oraz eskortujący ich rycerze i pachołkowie. Naturalnie, jak w każdej karczmie, na widok nowo przybyłych wszystkie głowy się podniosły i dziewczyna musiała wytrzymać długie, natarczywe spojrzenia czerwonych od wina mężczyzn, z których kilku miało raczej zbójcecki wygląd.

Dobrze, że w tej chwili była tak zakutana w futra, iż maskowało to skutecznie niewieście kształty.

Znaleźli miejsce na skraju środkowego stołu, kilka osób musiało się przesunąć, co wzbudziło niechętnie pomruki.

– Gospodarzu – rzekł Varnas. – Niech ktoś się zajmie naszymi końmi. Zapłacę z góry.

– Zaraz pošlę otroka – odpowiedział chudzielec. – Poszedł teraz po drzewo do pieca.

– Dziękujemy.

– Hola, hola... – Jakiś brodaty drab w kaftanie nabijanym ćwiekami podniósł się z ławy. – Ty, czarny!

– Do mnie mówisz? – Varnas spojrzał na niego.

– Do ciebie.

Siedzący najbliżej umilkli.

– Wszedłeś tu jak do chlewa pomiędzy świnie – drab wycelował palcem w Litwina – i nie pochwaliłeś imienia Chrystusa, naszego, psia twoja mać, Zbawiciela. Który umarł dla ciebie na krzyżu. Z jakiego cudzego kraju jesteś? Bo dziwnie jakoś po naszymu mówisz.

– Nie twoja rzecz.

Awanturnik chciał coś odpowiedzieć, lecz pociągnięto go za rękaw, by usiadł.

– Spokojnie, Maćko – powiedział do niego ktoś o wyglądzie kupca, siwowłosa mężczyzna w kapeluszu godnym kardynała. – Nie szukamy z nikim zwady.

Tamten uspokoił się nieco, lecz nie przestawał gniewnie łypać na Varnasa za każdym razem, gdy podnosił kubek z piwem do ust, czyli właściwie bez przerwy. Litwin odwrócił głowę, nie chcąc prowokować brodacza nawet samym spojrzeniem.

Gospodarz przyniósł wino.

– Radzę uważać – szepnął, nachylając się nad nimi. – To Maćko z Tarnowa, herbu Leliwa. Zbój jakich mało. Od samego przyjazdu pijany, szuka zaczepki.

– Zbójów się nie obawiamy, cny gospodarzu – odparł Gniewko.

– Ale i nie zamierzamy wchodzić im w drogę – dodał szybko Varnas. – Nie szukamy kłopotów. Spieszno nam.

– A dokąd się udajecie, jeśli wolno wiedzieć? – Niespodzianie wyrósł nad nimi siwowłosy mężczyzna, który dopiero co uspokajał krewkiego rycerza. Trzymał w ręku kubek z piwem grzanym z korzeniami.

Varnas już nabrał tchu, by odpowiedzieć, że nie wolno, lecz Gniewko był szybszy:

– Żadna to tajemnica. Do Rożnowa.

Litwin zgromił chłopaka wzrokiem, a siwowłosy tylko się smutno uśmiechnął.

– Właśnie tamtędy rano przejeżdżaliśmy. Niegościnne strony. Chcieliśmy się zatrzymać w jednym zamku nad Dunajcem...

Milda podniosła na niego wzrok.

– I...? – spytała.

– I nas nie wpuszczono.

– Pan jest na zamku? – Prawie wstała z ławy.

– Chyba tak – odrzekł zdumiony jej reakcją kupiec.

– A pani?

– Pani?

– Jego małżonka.

– Nie wiedziałem, że ma małżonkę. Zresztą ja z dalekich stron, nie znam tutaj rycerzy. Po prostu jadę do Krakowa z węgierskimi siodłami i uprzężą. Jestem Stefan, robię interesy na Węgrzech i w Mołdawii.

– A ci obwiesie – Varnas nieznacznym ruchem głowy wskazał na hałaśliwą kompanię – pilnują waszego bezpieczeństwa?

– Innej eskorty na tej trasie nie znajdę.

– Słyszałem co nieco o Maćku – rzekł Litwin, upiwszy łyczek wina. – Trudni się rozbojem. Nie dowiesz tych siodła do Krakowa, przyjacielu. Głowy też nie dowiesz.

Jakby na zawołanie czarnobrody stanął chwiejnie obok kupca Stefana.

– Namawiacie się czy co? – spytał, klepnąwszy siwego po plecach, aż tamten oblał się piwem. – Niemiła wam, siodlarzu, nasza rycerska kompania?

– Skądże znowu – odparł tamten słabym głosem. – Po prostu ciekawią mnie nowe twarze.

Maćko się roześmiał.

– Tak, dziadu, zwłaszcza te niewieście. I ładniutki.

Zatrzymał przy tym wzrok na Mildzie, która nie odwróciła spojrzenia, lodowatego jak aura na zewnątrz.

– Dziwna to jakaś drużyna. – Brodacz nie ustępował. – Przyblęda ze wschodu, jakaś dziewczka, też moskiewskiej urody, no i ten chłoptaş, sam piękny jako dziewczę, aż chce się sprawdzić, co tam ma między nogami.

Jego towarzysze obowiązkowo zarechotali, a on sam dodał:

– Co robicie na tym trakcie, w taką pogodę? Może wy szpiedzy?

– Prześwietny rycerzu – poprosił kupiec – dajcie spokój.

– Stul pysk, kiedy ja mówię! – Maćko go odepchnął, po czym oparłszy się dłońmi na stole, nachylił się nad Varnasem. – No więc: szpiedzy czy nie? Król płaci mi za ochronę tego traktu przed szpiegami.

– Król, szlachetny panie Maćko, wiesz takich jak wy.

Słowa te zostały wypowiedziane półgłosem, lecz nagle w całej karczmie nastąpiła cisza.

Nie pochodziły bowiem ani od Varnasa, ani nawet od Gniewka, lecz padły z pięknych ust okutanej w futra niewiasty.

Maćko pokręcił głową, jakby usiłował się zbudzić z głębokiego snu. Trwało to długo, bardzo długo. Potem powoli odwrócił się ku Mildzie. W jego spojrzeniu nie było wściekłości, tylko bezgraniczne zdumienie.

– Coś ty powiedziała, ruska kurwo? – wycedził wreszcie.

Varnas i Gniewko zerwali się na nogi jednocześnie, lecz to młody rycerz siedział bliżej pijanego draba, więc on pierwszy przewrócił go na stół.

– Obraziłeś damę – zadudnił swoim basem, przyciskając twarz awanturnika do zalanych piwem desek – stawaj przede mną na placu.

Zakotłowało się wokoło, wszyscy otoczyli rycerzy oraz młodą damę, która nawet w tej chwili zachowywała kamienny spokój.

Maćko szybko się wyprostował, poczerwieniał na twarzy.

– Przed tobą, smarku? – wydyszał. – Słyszeliście, kamraci, tego gnojka? Jestem Leliwa. Ubiję cię tutaj jak psa.

– A ja jestem Lis – odparł mu dumnie młodzian i rozchylił płaszcz, ukazując pod spodem tunikę z wyhaftowanym na niej czerwonym jak krew herbem.

Tamten jakby stracił rezon, jego kompani także spojrzeli po sobie, nie wiedząc, jak zareagować. Varnas miał w rękawie opończy sztylet, choć nie ludził się, że ta broń pomoże w konfrontacji z całą zgrają uzbrojonych mężczyzn, a raczej zbójców. Stało się to, czego najbardziej się obawiał, sprowadzili na siebie kłopoty już w drodze do Roźnowa.

– Lis, powiadasz? – Maćko wreszcie odnalazł w swym zamroczonym umyśle odpowiednio obraźliwe słowa. – Znakomicie, ruda kito. Mój ojciec i ja upolowaliśmy mnóstwo takich lisków jak ty. Zrobię sobie z ciebie kołnierza, gówniarzu.

– Stawaj! – odparł Gniewko. – Wychodź na plac.

– Chwila! – wtrącił się Varnas, lecz nikt go nie słuchał.

– Piesz czy konno? – spytał Maćko. – Miecz czy topór?

– Piesz! – odrzekł młodzieniec. – Topór!

– Gdzie będziecie się bić? – odezwał się ciekawym głosem gospodarz. – Chyba nie w izbie?

Zamiast odpowiedzi wszyscy ruszyli ku wyjściu. Wyglądało na to, że do pojedynku dojdzie na śniegu.

– Po co go prowokowałaś? – spytał Varnas, patrząc na Mildę, która jedyna została przy stole.

Podniosła na niego spojrzenie.

– Wiedziałałam, że się od nas nie odczepi. A że spieszę się do Amalii, wolałam załatwić tę sprawę raczej wcześniej niż później.

Varnas nabrał głębiej powietrza i oparł się plecami o ścianę.

– Czasami mnie przerażasz, siostrzyczko.

– Czasami przerażam samą siebie – odrzekła cicho, patrząc niewidzącym wzrokiem gdzieś w pustą przestrzeń.

Odchrząknął.

– A co, jeśli Maćko ubije Gniewka? – zapytał.

– Gniewko tylko na to czekał. Od samego początku.

– Na co? Na śmierć?

– Nie. Na sposobność wykazania się. Idź tam, Varnasie, przypilnuj, by walka była uczciwa. Jeśli taka będzie, mam co do jej wyniku dobre przecucia.

Na zewnątrz wciąż śnieżyło, choć już nie tak mocno jak wtedy, gdy Milda i jej towarzysze przybyli do karczmy. Mimo przedpołudniowej godziny było mrocznie jak o zmierzchu, toteż kilka osób trzymało zapalone

pochodnie, które syczały w zetknięciu z sypiącymi się z nieba białymi płatkami.

Placem walki miała być ta część podwórza, gdzie pozostało jeszcze nieco wolnego miejsca. Liczyła jakieś dziesięć na dziesięć kroków. Dwóch parobków szybko odgarnęło największy śnieg, reszta gapiów ustawiła się tak, że nie było możliwości ucieczki z placu boju.

– Zaczynamy już. – Maćko splunął, zważył swój topór w dłoni. – Bo trochę zimno. Bez ceremonii.

Gniewko miał jednak inny pomysł na początek działań. Ukląkł na jedno kolano, wyjął zza tuniki jakiś medalion na łańcuszku, ucałował go, skłonił głowę, przez chwilę poruszał bezgłośnie wargami, po czym przeżegnał się i wstał.

– Ja się pomodłę po walce – rzekł Maćko. – Za spokój twej duszy.

Obaj przeciwnicy mieli gołe głowy; gdyby nie topory i prostokątne tarcze, które dzierżyli w dłoniach, w ogóle nie przypominaliby rycerzy.

Ceremoniał, delikatnie rzecz ujmując, również odbiegał od najlepszych burgundzkich wzorów. Jak widać, Europa jeszcze nie dotarła w te okolice Królestwa Polskiego. Bez żadnego sygnału ze strony kogoś postronnego Maćko uczynił krok w kierunku Gniewka, wciąż jednak mając opuszczony topór. Młodzian ugiął kolana, lecz się nie cofnął, pozostał na swoim miejscu, także trzymając broń na wysokości uda. Brodacz odstąpił, powoli przesunął się w prawo, zakręcił ostrzem topora małe kółko w powietrzu, szukając lepszego podejścia, ale chłopak też zmienił pozycję wraz ze swym przeciwnikiem, jakby był jego odbiciem w zwierciadle. Przez pewien czas krążyli czujnie wokół siebie, wydychając parę z ust, to postępowali do przodu, to znowu cofali się nieco, ani na moment nie spuszczając z siebie wzroku.

Panowała absolutna cisza. Nikt z obserwujących te podchody nie wyrzekł ani słowa.

Sypał śnieg, obaj przeciwnicy co jakiś czas szybkimi ruchami przedramienia ocierali go z oczu, po czym wracali do wcześniejszej postawy. Na razie żaden z nich nie chciał zaryzykować frontalnego ataku, który na tak zdradliwym podłożu mógł się zakończyć poślizgnięciem i szybką śmiercią. Było oczywiste, że o losie pojedynku zadecyduje pojedyncza wymiana ciosów. Topory to nie kije, każdy ruch musi być

precyzyjnie zaplanowany i wykonany. A ten, kto atakuje, jednocześnie się odsłania.

Wreszcie któryś z kompanów czarnobrodego nie wytrzymał.

– Długo się, Maćko, będziesz tak z gówniarzem macał?

– Właśnie – poparł go inny. – Zimno okrutnie. Walczycie naprawdę albo wracamy do środka.

Maćko zareagował natychmiast. I to był jego błąd, bo zaatakował mimo zbyt dużego dystansu. Postąpił krok do przodu i zrobił zamach z boku, ale był zbyt powolny – Gniewko stał już gdzie indziej. Zanim rycerz herbu Leliwa zdołał na powrót przyjąć bezpieczną pozycję, otrzymał tak silny cios w tarczę, że ta pękła na pół, a on sam pod wpływem impetu uderzenia padł na kolana. Całe jego lewe ramię zapłonęło bólem, który, szybko niczym pożar, ogarnął też klatkę piersiową i plecy brodacza.

Było po wszystkim.

Wspólne westchnienie mężczyzn obserwujących walkę zagłuszyło nawet ryk wiatru.

Tymczasem Gniewko kopniakiem powalił przeciwnika na plecy.

– A teraz przeproś damę, którą obraziłeś – rzekł, z trudem łapiąc powietrze.

– Przepraszam – jęknął leżący.

– Nie ma jej tutaj, jest w gospodzie.

Przeprosiny zostały przyjęte, a kiedy wszyscy ochłonęli nieco, rycerze-zbójcy zorientowali się, że podczas całego tego zamieszania spowodowanego pojedynkiem kupiec Stefan skorzystał z okazji i odjechał w kierunku Krakowa. Część grasantów chciała go gonić, wszakże nie doszło między nimi do zgody w tej kwestii – zbyt wielu wypilo za dużo, a i pogoda nie zachęcała do pościgu.

Skończyło się na tym, że po dobrej godzinie narad upokorzony Maćko zebrał kilku kompanów i opuścił gospodę, by podążyć za kupcem, którego tak na dobrą sprawę nie miał już szans dogonić. Ci z jego ludzi, którzy zostali, kontynuowali pijatykę i jeden po drugim zasypiali z głowami na stołach.

– Przenocujemy tu – oznajmiła Varnasowi Milda. – Za późno już na jazdę, w dodatku wciąż sypie. Tych pijanych obwiesi nie musimy się obawiać.

– Też tak myślę – odparł jej brat.

– A wam, dzielny Teodoryku – dziewczyna odwróciła się w kierunku młodego rycerza – dziękuję gorąco za obronę mej czci. Jesteście prawdziwie dzielni i szlachetni.

Młodzieniec zaczerwienił się niczym mały chłopiec.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rożnów

Obudziło ją szczekanie psów.

Głośne i zajadłe, takie jak zawsze, gdy do zamku zbliżał się ktoś obcy. Nie żeby często przybywali tu goście, Zbigniew nie był typem otwartego i lubianego gospodarza, mimo to Amalia nauczyła się już odczytywać zachowanie zniechęconych przez nią ogarów męża. Przez chwilę zastanawiała się, czy ten hałas nie należy do snu, z którego właśnie się przebudziła, trwał jednak dalej. A potem wszystkie wątpliwości zniknęły – rozbrzmiał ochrypły głos rogu.

Ktoś nadjeżdżał.

Zanim jeszcze otworzyła oczy, poczuła szybsze bicie serca. Ktokolwiek zbliżał się do zamku, niósł ze sobą nadzieję, że odkryje jej obecność, a raczej jej nieszczęsne położenie. Jej, czyli pani zamku. A może...? Aż się przestraszyła, że sama myśl o tym mogła wszystko zepsuć. Jednocześnie zrobiło jej się naraz ciepło mimo przejmującego chłodu panującego w komnacie. Może to ktoś z Krakowa? Ludzie królowej? Milda? Może jej przyjaciółka odczytała jednak przesłanie ukryte między wierszami listu? Niewielka nadzieja, ale w tych tygodniach pustki pozbawionej jakichkolwiek dobrych przeczuć zawsze to coś.

Amalia odrzuciła niedźwiedzie futro, pod którym spała, i podniosła się z łoża. Narzuciwszy na ramiona pelerynkę z soboli, już całkowicie rozbudzona, ruszyła ku oknu. Posadzka była lodowata, co wyczuwała stopami, mimo że miała na nogach grube wełniane pończochy, których, podobnie jak zgrzebnej sukni, nie zdejmowała w te mroźne noce do snu.

Czy to Milda?

Nie, to nie może być ona. Przecież jest chora. Szaleństwem byłoby sądzić, iż w takim stanie i przy takiej pogodzie przyjaciółka zdecydowałaby się na

podróż do Rożnowa. Lecz czy na pewno była chora? A jeśli to tylko wymysł Zbigniewa, aby Amalia utraciła resztki nadziei na ratunek?

Podzielone na małe romby szybki okna były pokryte cienką warstwą lodu, toteż tak naprawdę nic nie mogła przez nie dojrzeć. Ponieważ jednak szczekanie na zewnątrz przybierało na sile, przybliżyła twarz do grubego zimnego szkła, chuchnęła i przetarła je rękawem, żeby stopić lód. Chciała dostrzec cokolwiek nawet z zamazanych kształtów, przypominających teraz jakieś zjawy. Sama nie zauważyła, kiedy zaczęła się cicho modlić:

Matko Boska, najświętsza z dziewic, spraw, by to był ktoś wysłany na ratunek.

Głos Amalii brzmiał chrapliwie i obco w uszach jej samej, ale cisza zdawała się czymś gorszym oraz groźniejszym dla umysłu uwięzionej. Ostatnio coraz częściej przyłapywała się na tym, że mówi do siebie, a czasami nawet tylko mamrocze coś bez sensu. To trochę pomagało. Niewiele, lecz pomagało.

– Kogo tu mamy? – wyszeptała teraz, przerwawszy modlitwę. – Goście, a ja niegotowa?

Prychnęła niewesoło, co zapewne miało być odpowiednikiem śmiechu.

Jeszcze raz przetarła częściowo odmrożoną szybkę i wyteżyła wzrok.

Konni.

– Konni – powiedziała, a raczej wychrypiała.

Wielu konnych i chyba jakieś wozy, sądząc po szarzejących na drodze kształtach.

Raczej nie z Krakowa, gdyż pojazdy nadjeżdżały z przeciwnej strony, ale przecież byli to jacyś ludzie z zewnątrz. Może kupcy? Może orszak jakiegoś biskupa lub możnowładcy? Albo sama para królewska wraca do stolicy z podróży i szuka teraz dachu nad głową. To byłoby chyba zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Drżąc z zimna i podniecenia, wsłuchiwała się w dochodzące od strony bramy odgłosy: chrapliwe okrzyki, uporczywe szczekanie, chrzęst śniegu na dziedzińcu. Wyczekiwała jednego: skrzypienia otwieranej przed podróżnymi bramy.

Niestety, nie doczekała się owej chwili.

Po kolejnej krótkiej wymianie zdań między wartownikami na murze a przyjezdnymi zrobiło się cicho i chwilę potem Amalia z uczuciem rozpaczki ujrzała, że wozy zawracają. Ostrożny i przebiegły Zbigniew nie wpuścił ich na zamek. W pierwszym odruchu chciała krzyknąć i bić

pięściami w szybki, lecz prędko się uspokoiła. Nic by tym nie wskórała, a jej szalony mąż zapewne znalazłby sposób na ukaranie jej za taką „nieroztropność”.

Tak, tego słowa by zapewne użył.

I mógłby skrzywdzić małą Małgorzatę.

Wróciła do łoża, usiadła na nim ciężko, zrezygnowana i przygnębiona, po czym opadła na poduszki. Nie miała nawet siły zapłakać ze złości, brakowało jej już chyba łez. Po tym wszystkim, co przeżyła, trudno było doprowadzić ją do płaczu. Przymknęła oczy. Stopniowo emocje zaczęły ją opuszczać. Czasami lepiej nie robić sobie zbyt wielu nadziei, gdyż rozczarowanie, jakie potem przychodzi, jest gorsze niż rezygnacja oraz pogodzenie się z losem. Kto nie oczekuje na dobre wieści, ten ich nie otrzymuje, ale też nic nie zostaje mu odebrane. Najprostsza filozofia białogłowy znajdującej się w potrzasku.

Nie ma co liczyć na rycerza, który przybędzie na białym rumaku, by uwolnić uwięzioną królową – nawet jeśli to córka samego króla Ludwika Wielkiego z Węgier. Takie rzeczy zdarzają się w opowieściach starych nianiek, prawie nigdy w prawdziwym życiu.

Niedługo po tym, jak tajemniczy orszak zawrócił spod bramy zamku, rozpętała się olbrzymia śnieżycy.

Amalia tak długo już przebywała w zamknięciu, że zupełnie straciła poczucie czasu, i dopiero widok, a przede wszystkim odgłosy tego zimowego żywiołu przypomniały jej o Godach. Do tej pory zupełnie o nich nie pamiętała. No bo niby jakie miały teraz dla niej znaczenie święta? Lecz nagle zaczęła się zastanawiać. Czy już minęły? Czy miały dopiero nadejść? A może właśnie trwały? Nie potrafiła odpowiedzieć na te pytania, nie liczyła bowiem dni, jakie upłynęły od momentu, kiedy została uwięziona we własnej komnacie.

Nie mogła też dowiedzieć się tego od dziewczki, która przynosiła jedzenie. Amalia pogodziła się już z myślą, że od służącej niczego nie usłyszy. I w tej sprawie jej prostacki i szalony mąż okazał się sprytny.

Gody. Wigilia. Boże Narodzenie. Dwanaście dni ciągłego świętowania, aż do Trzech Króli.

Jako dziewczynka wprost uwielbiała ten czas – śnieg, kolędy, świąteczny nastrój. Niewiele zapamiętała z Godów na Węgrzech, a tym bardziej w Wiedniu, jednak miała świeżo w pamięci wszystkie Boże Narodzenia obchodzone już w Krakowie. Na Wawel zajeżdżali wtedy znamienici goście z całego królestwa, a często i z zagranicy, w tym, co Amalię cieszyło najbardziej, wielu dobrze urodzonych młodzieńców. Trwały uroczyste nabożeństwa, biesiady, przedstawienia. Wigilia była dopiero wstępem; niewiele się owego dnia działo, prócz tego, że dziewczęta wróżyły sobie, która najwcześniej wyjdzie za mąż.

Dopiero w dzień narodzin Pana zaczynała się zabawa. Jeśli udało się w owym czasie zmylić Krystynę, a zwykle się udawało, bo zamieszanie na zamku robiło się ogromne, można było pobiec do miasta, gdzie działy się najciekawsze rzeczy. Amalia, najczęściej w towarzystwie Szymka oraz Mildy, odwiedzała kościoły, w których stawiano małe stajenki i często pokazywano przedstawienia, niby religijne, lecz zarazem ucieszne, bo prócz małego Jezusa i pastuszków występowali w nich diad z babą, diabeł i rycerz.

Jeszcze zabawniej było na ulicach, zwłaszcza w Dzień Świętego Szczepana, kiedy krążyli po nich mieszkańcy miasta w zwierzęcych maskach na twarzach, przebrani za jelenie bądź konie. Śpiewali kolędy i częstowali się wzajemnie jedzeniem i napitkami. Czasami bywało niebezpiecznie, zabawy przenosiły się na cmentarze, dochodziło do bójek i kradzieży, lecz Amalia mimo to zawsze dawała się unieść ogólnej atmosferze. Podobnie jak wszyscy wokoło święcie wierzyła, że gdyby kiedyś ludzie zaprzestali kolędowania, nastąpiłby koniec świata, ziemia by się nie odrodziła po zimie, nie wyrosłyby żadne rośliny.

No a w tym roku nie będzie kolęd na zamku w Roźnowie. Zatem jej, Amalii, świat zapewne się nie odrodzi po okresie pustki oraz martwoty. A śnieg nie kojarzył jej się już z zabawą, tylko ze śmiercią. Zarówno on, jak i lodowaty wichur dodatkowo odgradzały ją od świata, jakby dębowe drzwi, żelazna sztaba i mury zamku nie wystarczały.

Kto przy takiej pogodzie przybędzie jej na pomoc? Słuchała wycia wichru za oknem, gwizdania w kominie i patrzyła w zasnutą bielą okno, zastanawiając się, czy można się czuć bardziej samotnym i bardziej bezsilnym niż ona teraz.

Nawet tajne listy od Hanny przestały przychodzić. Wyglądało też na to, że po powrocie Zbigniewa ze stolicy jego ludzie wzmoгли czujność i Katarzyna nie mogła już niepostrzeżenie dostać się do pomieszczenia obok, żeby przekazywać swej pani wiadomości.

Kiedy tak wsłuchiwała się w odgłosy zimy, przepełniona najczarniejszymi myślami, naraz coś zwróciło jej uwagę. Nie wprost, lecz wyczuła to gdzieś w głębi swego udręczonego i otepiałego umysłu. Z początku nie potrafiła nazwać tego czegoś, jednakże gdy się skupiła, uświadomiła sobie, że odgłosy, które do niej dochodzą, są co najmniej dziwne.

Ten przeklęty zamek, zawsze pełen przeciągów, stanowił istny labirynt dla wiatru, wszakże teraz, podczas tej potężnej zawiei, rozbrzmiewał wszystkimi tonami niczym kościelne organy. Teraz owe dźwięki wydały jej się zbyt głośne. I zbyt bliskie. Ponieważ już od dawna żyła jak gdyby na pograniczu jawy i snu, a mówiąc ściślej: na krawędzi szaleństwa, dzisiejsze odgłosy sprawiały, że wyobraźnia Amalii zaczęła tworzyć chorobliwe wizje. Leżąc na poduszkach, młoda kobieta czuła się jak wewnątrz olbrzymiej katedry, pełnej zakapturzonych mnichów, którzy to wyśpiewywali niskimi głosami ponure psalmy gdzieś w górze, to krzyczeli, szeptali, gwizdali lub wybuchali śmiechem tuż, tuż obok.

Teraz jednak te omamy zniknęły. Jej umysł znów zaczął trzeźwo pracować.

Dźwięki były zbyt wyraźne.

Jakby pochodziły tuż zza ściany. Jakby obok komnaty Amalii istniała jakaś pusta przestrzeń.

Bardziej zaintrygowana niż zaniepokojona, powoli podniosła się z łoża, na którym przeleżała całe przedpołudnie. Podeszła do ściany obok kominka i zaczęła ją delikatnie opukiwać. Owszem, ta komnata została wydzielona przepierzeniami z pierwotnego większego pomieszczenia, podobno dawnej sali jadalnej – o tym Amalia wiedziała od samego przybycia do Rożnowa – lecz po tej stronie, skąd dobiegały szумы i gwizdy, powinien być już tylko gruby kamienny mur. Innymi słowy, nic tam nie mogło tak hałasować.

Najpierw palcami, a potem zaciśniętą pięścią opukiwała ścianę. Przy tym hałasie, jaki czyniła zawieja, istniały niewielkie szanse, że da się cokolwiek usłyszeć, mimo to wydawało jej się, że w tym miejscu nie ma muru.

– Po co ja to właściwie robię? – spytała samą siebie.

To było dobre pytanie. Nawet gdyby odnalazła cudowne tajemne przejście, prowadzące za mury zamku, na nic by jej się to teraz nie zdało. Żadna ucieczka nie wchodziła w grę. Nie przy takiej pogodzie, nie samotnie, nie w sytuacji, gdy Zbigniew miał przy sobie ich córeczkę.

Mimo to dobrze byłoby dowiedzieć się o tym zamku czegoś więcej, niż wiedział jej przebiegły mąż. Jeśliby odnalazła sekretne przejście czy też pomieszczenie, miałyby nad Zbigniewem pewną – niewielką, bo niewielką – zawsze jednak przewagę. Kto wie, w jakim momencie mogłoby jej się to przydać? A poza tym wszystkim – czym innym miała się zająć?

Sprawdziła kawałek po kawałku, szukając jakiegoś słabszego miejsca w zaprawie, ale ściana wyglądała na solidną, zbudowaną ze ściśle dopasowanych do siebie kamieni. W innych okolicznościach Amalia znudziłaby się pewnie i zrezygnowała z tego zajęcia, lecz akurat tak się złożyło, że mąż zaoferował jej mnóstwo wolnego czasu, za to niezbyt wiele rozrywek. Toteż sprawdzała dalej.

I wreszcie na coś trafiła.

Kilka kroków na lewo od kominka, pod niewielkim brązowo-żółtym gobelinem, przedstawiającym damę z jednorożcem, gdzieś na wysokości swoich kolan odkryła małą szczelinę. Na tyle jednak dużą, iż mogła wsunąć w nią palce dłoni, co natychmiast uczyniła. Odkryła dwie interesujące rzeczy: po pierwsze, nie poczuła muru, czyli za ścianą znajdowała się pusta przestrzeń, po drugie zaś – ściana w tym miejscu nie była zbudowana z cegieł ani kamieni.

– Ciekawe – szepnęła do siebie, czując żywsze bicie serca. – Bardzo ciekawe.

Podeszła do komina, wyjęła z niego kawałek suchego drewna, sprawdziła jego wytrzymałość, po czym wróciła do ściany. Chwilę zajęło jej zdjęcie wprawdzie niedużego, ale ciężkiego i zakurzonego gobelinu. Kiedy jej się to udało, uklękła i zaczęła cierpliwie wiercić w szczelinie, starając się ją poszerzyć na tyle, by móc spojrzeć do środka. Bo to, że za ścianą znajduje się jakieś pomieszczenie, było oczywiste. Nieduże, jednak pomieszczenie. Czy mogło ono należeć do pierwszej żony Zbigniewa? To prawdopodobne, choć trudno było się domyślić, jaką pełniła kiedyś funkcję ta izdebka. Na pewno nie sypialni – chyba była zbyt mała. Może to schowek, może nieduża kaplica, może stary wychodek...

A może kolejna cela?

– No nic, dowiemy się – powiedziała cicho, dłubiąc w otworze.

Znów poczuła się dzieckiem, małą, nieznosną Amalią, która niczym kotka badała wszelkie zakamarki zamków, czy to w Budzie, czy to w Wyszehradzie, czy na Wawelu. To był jej żywioł.

Po chwili bezowocnych wysiłków odrzuciła szczapę i przyniosła pogrzebacz, wiszący przy kominku. Nie zamierzała ustępować. Wprawdzie coś jej mówiło, że czyni źle, że jest „nieroztropna”, jak by to określił troskliwy małżonek, i prawdopodobnie wkrótce pożałuje swoich działań, lecz nic nie było w stanie jej powstrzymać.

Nawet za pomocą żelaznego pogrzebacza Amalii nie udało się zbytnio poszerzyć otworu, chwyciła więc za jego dolną krawędź, zacisnęła palce i spróbowała ją szarpnąć. To od razu przyniosło efekty, gdyż postawiona z trzciny i zaprawy wapiennej ścianka pękła z głuchym trzaskiem. Ku zaskoczeniu Amalii okazała się do tego stopnia krucha, że ta przestała dalej ciągnąć, w obawie, że wszystko runie pośród gruzu i pyłu, a wyrwy nie będzie można potem zamaskować. Mimo to w jej dłoni został duży fragment ściany.

Pochyliła się jeszcze niżej i z mocno bijącym sercem zajrzała w powiększony otwór.

Dostrzegła tylko ciemność.

Uświadomiła sobie, że jeśli była tam ukryta komnata, to zupełnie ślepa, bez najmniejszego okna czy też świetlika. Zresztą tego należało się spodziewać. Przez tyle miesięcy pobytu na zamku dostrzegłaby przecież z zewnątrz dodatkowe okna, których nie dało się przypisać znanym jej pomieszczeniom, prawda?

A może po drugiej stronie też wisi jakiś gobelin?

Sprawdziła dłonią – nic tam nie wisiało, natrafiła na lodowatą pustkę.

Prócz przejmującego chłodu z pomieszczenia za ścianą wydobywał się jeszcze nieprzyjemny zatechły zapach, zmieszany z wonią pyłu i pleśni. A nawet jakby zgnilizny. Szczerze powiedziawszy, załatywało stamtąd bardziej niż z piwnicy. Amalia pomyślała nawet o grobowcu, choć szybko odegnała od siebie tę upiorną myśl. To by było na tyle, jeśli chodzi o nadzieję odnalezienia jakiegoś wyjścia czy też zaczarowanej komnaty,

uśmiechnęła się smutno. Zaczynała powoli żałować, że przebiła otwór do tego pomieszczenia. Teraz nie uda jej się go załatać, toteż jedyne, co osiągnęła, to niepotrzebną dziurę, poprzez którą będzie teraz napływało zimno oraz nieprzyjemne zapachy.

Po tej niewesołej refleksji nagle zelektryzowała ją inna myśl:

Lada chwila może się pojawić służąca z jedzeniem.

Amalia pospiesznie wzięła się do pracy. Szybko i starannie sprzątnęła z podłogi pokruszone kawałki zaprawy oraz trzciny, podniosła się z kolan i wrzuciła śmieci do kominka. Teraz dziewczyna nie zauważy już niczego, co by ją zaskoczyło i o czym – sobie tylko znanym sposobem – mogłaby powiadomić Zbigniewa.

Ledwie skończyła sprzątać, kiedy rozległ się zgrzyt odsuwanej zasuwki w drzwiach. Stała w nich służąca i, ku przerażeniu Amalii, natychmiast zaczęła węszyć, rozglądając się podejrzliwie wokół. Najwyraźniej poczuła zapach wydobywający się z nowego otworu w ścianie.

– Zostaw jedzenie na stole – rozkazała władcym głosem Amalia – i sprawdź, co z paleniskiem. Od rana czuję tu dziwną woń, może komin jest zatkany?

Dziewczyna jak zwykle nie dała po sobie poznać, czy usłyszała polecenie, mimo to podeszła do kominka, przykucnęła i zaczęła poprawiać ogień odłożonym przed chwilą przez Amalię pogrzebaczem. Podczas gdy to robiła, młoda kobieta nagle zamarła. Ze strachem uświadomiła sobie, że nie powiesiła na ścianie zdjętego wcześniej gobelinu. Cóż za nieroztropność! – wyrzucała sobie w duchu, czując, że wilgotnieją jej dłonie. Jak mogła być aż tak nieostrożna? Czarna szczelina ziała teraz w ścianie niczym wyrzut sumienia.

A przynajmniej tak wydawało się Amalii w pierwszej chwili.

Bo kiedy służąca wygarnęła popiół z paleniska i wreszcie się wyprostowała, nawet nie rzuciła okiem w stronę otworu. Jej obramowana burą chustą twarz wciąż miała w sobie tyle wyrazu, co kamień. W komnacie było mroczno, a dziura znajdowała się w najsłabiej oświetlonym kącie, zatem trzeba było naprawdę sokolego wzroku, aby ją wypatrzeć pośród tańczących pod wpływem ognia cieni. Nawet gobelin nigdy nie rzucał się w oczy, a jego kolor zlewał się z kolorem ściany. Wszakże Amalia czuła, że dziewczyna miała niektóre zmysły wyostrzone

niczym zwierzę, jakby były przeciwwagą dla jej ułomności, i wcześniej czy później zauważy zmianę.

Zazwyczaj dziewczka sprawnie i szybko wykonywała swoje zajęcia, jednakże teraz każda jej czynność zdawała się w umyśle Amalii trwać nieskończenie długo. Tamta opróżniła kubek z nieczystościami i zebrała puste naczynia. Przez cały ten czas młoda kobieta starała się nie okazywać, jak bardzo jest zdenerwowana. Podeszła do okna, aby odwrócić uwagę służącej od *tamtego* miejsca. Wiedziała bowiem, że dziewczyna zazwyczaj śledzi jej ruchy.

Ukradkiem, lecz nieustannie.

– Na co jeszcze czekasz? – Amalia nie wytrzymała, gdy po zakończeniu wszystkich zwykłych czynności niemowa stanęła na środku komnaty. – Masz tu jeszcze coś do zrobienia?

Ta, rzecz jasna, nie odpowiedziała. Znów pociągnęła nosem, jakby wciąż wąsząc, toteż jej pani postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Całkiem dosłownie. Podeszła do dziewczki, chwyciła ją za ramiona i skierowała ku wyjściu.

– Idź już. Chcę zostać sama.

Niemal siłą wypchnęła ją ze swojej sypialni.

Kiedy nareszcie za dziewczką zamknęły się drzwi, a potem zazgrzytała przekłeta zasowa, Amalia odetchnęła z ulgą. Szybko podeszła do ściany. Powieszenie gobelinu z powrotem na miejscu, mimo że był nieduży, kosztowało ją wiele wysiłku.

Potem usiadła na krześle obok okna i próbowała jako tako zebrać myśli.

Jeśli niemowa coś odkryła, za chwilę zjawi się tu Zbigniew. Amalia musiała więc być na to przygotowana. Co mu powie? No cóż, że odkryła szczelinę. To przecież prawda, czyż nie? To, że początkowo dziura była mniejsza, to już inna sprawa, o której przecież nie musiał wiedzieć. To nie wina Amalii, że murarze tak niechlujnie wykonali swoją robotę.

Czy podejrzliwy mąż uwierzy w te wyjaśnienia, to już zupełnie inna rzecz. Lecz na to nie miała żadnego wpływu.

Pospiesznie zjadła polewkę, chleb z cebulą, kawałek sera oraz zimną juź rybę i wypila kubek wina, nawet nie czując smaku swego obiadu. Potem usiadła na łożu. Zamieć osłabła, zrobiło się ciszej, ale wciąż wiało, a okno było od wewnątrz całe zalepione śniegiem niczym pokryte bielmem oko. Mąż wciąż się nie pojawiał. Wyglądało na to, że niema służka jednak nie

zauważyła niczego podejrzanego. Może wcale nie była tak spostrzegawcza, jak się tego obawiała Amalia? Strach powoli zaczął ustępować. Rozluźniła się. A wraz z owym błogim poczuciem bezpieczeństwa pojawiło się także inne.

Którego w ogóle się nie spodziewała.

Bowiem odkryła naraz, że dreszczyk emocji, jakiego doświadczała od kilku godzin, jest... całkiem przyjemny. Tak właśnie. Spodobało jej się to. Po raz pierwszy od momentu, gdy otrzymała list od Hanny, coś ożywiło monotonię i pustkę jej życia. Miała czym zająć umysł, który – od tylu tygodni pozbawiony bodźców z zewnątrz – zaczynał pogrążyć się już w mroku. Nawet strach przed tym, że Zbigniew odkryje jej małą i raczej nieistotną tajemnicę, jaką było pomieszczenie za ścianą, powodował jedynie, że krew szybciej krążyła w żyłach Amalii.

Była dwórka królowej Jadwigi poczuła, że znowu żyje.

Zanim jeszcze zapadł wczesny zimowy wieczór, wiedziała już jedno: poszerzy otwór na tyle, by po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna móc się wydostać ze swojego więzienia.

Choćby na moment, choćby tylko na kilka kroków.

Lecz zawsze byłoby to jakieś zwycięstwo nad jej mężem.

Z dalszymi działaniami Amalia musiała odczekać do czasu, kiedy będzie już po kolacji.

Tym razem niema służąca nie pociągała nosem ani w ogóle nie sprawiała wrażenia, żeby cokolwiek jej się nie podobało, czy to teraz, czy kilka godzin wcześniej. Szybko i sprawnie wykonała wszystko to, co robiła zawsze, po czym wyszła. Albo jest całkowicie tępa, albo potrafi znakomicie się maskować, pomyślała Amalia. To na razie pozostawało jedną wielką tajemnicą. W każdym razie niemowa wyszła i nie powinna się tu pojawić do następnego dnia.

Amalia nawet nie spojrzała na jedzenie, które przyniesiono jej na tacy, tylko szybko podeszła do ściany i ponownie zdjęła gobelin z damą i jednorożcem, bo jego ciężar zbytby jej przeszkadzał. Potem ostrożnie powiększyła otwór, co było zaskakująco łatwe, zaprawa osypywała się pod każdym dotknięciem.

Wreszcie mogła już wsunąć głowę w otwór.

I uczyniła to, powstrzymując mdłości wywołane przez narastający smród. Nadal niewiele widziała w panującym po drugiej stronie mroku. Właściwie to prawie nic. Jedynie domyślała się obecności kilku mebli w miejscach, gdzie ciemność zdawała się bardziej zagęszczona. Chociaż mogła to być tylko jej wyostrzona wyobraźnia. Wiedziała, że w ciemnościach ludzie widzą przed sobą przedmioty, których tak naprawdę tam nie ma.

Nie zamierzała zdawać się tylko na wyobraźnię.

Podeszła do kominka, odpaliła od ognia jedną ze świec i wróciła do otworu. Czuła, jak krew pulsuje jej w skroniach. Gdyby w tej chwili Zbigniew postanowił ją odwiedzić, nie miałaby czasu, by ukryć swe grzeszne i nieroztropne poczynania. Byłaby zgubiona. Lecz ta myśl jej nie powstrzymała. Przysłaniając dłonią migotliwy płomyk, Amalia wysunęła świecę poza otwór. Nikły krąg światła wydobył z ciemności jakieś kształty, których jednak nie potrafiła rozpoznać. Poruszyła świecą na prawo i lewo, uważając, by przeciąg jej nie zgasił, lecz na niewiele się to zdało. Same cienie i trudne do rozpoznania widma. Na moment jej oczom ukazało się coś, co przypominało fragment staroświeckiego łoża.

Czyżby jednak sypialnia?

A może czegoś takiego po prostu oczekiwała?

W tym momencie świeca zgasła.

Amalia zrozumiała, że nie dowie się niczego, jeśli sama nie wejdzie do środka.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Postanowiła, że wejdzie.

Wszakże z wykonaniem swojego planu musiała poczekać aż do północy.

O tej porze cały zamek zazwyczaj pogrążony był we śnie, więc nikt nie powinien jej przeszkodzić. Wprawdzie nie wiedziała, jak daleko od drzwi jej sypialni znajduje się służba, miała jednak nadzieję, że o tej porze wszyscy będą twardo spać na kamiennej podłodze korytarza, musieli przecież być na nogach jeszcze przed świtem. Co do Zbigniewa, to zwykle już po wieczerzy, zmorzony winem, udawał się do swojej sypialni, gdzie nie zdejmując ubrania, padał nieprzytomny na łoże i do samego rana nic go nie mogło obudzić.

Jeśli czegoś Amalia była pewna, to tego, że jej mąż nie zmienił swych zwyczajów.

No więc dobrze. Musiała poczekać. Rzecz jasna, nie mogła wiedzieć, kiedy naprawdę nastanie północ, jednakże w tej kwestii postanowiła zdać się na intuicję. Nauczyła się już odmierzać czas na podstawie zamkowych hałasów. Toteż kiedy umilkły ostatnie pobrzękiwania i kaszle na korytarzu, gdy ucichły rozmowy strażników za oknem i odgłosy ich kroków na śniegu, odczekała jeszcze jakąś godzinę i przystąpiła do działania.

Ponownie zdjęła gobelin, zwinęła go w rulon i odsunęła na bok. Następnie zapaliła dwie łojowe świece (jej małżonek był bardzo oszczędny, jak przystało na dobrego gospodarza), wetknęła je w mosiężny lichtarz i ustawiła niedaleko otworu. Najciszej, jak tylko się dało, zaczęła poszerzać szczelinę, nie bawiąc się już w żadne dłubanie, po prostu kruszyła ściankę rękami. Uważała jedynie, by nie narobić niepotrzebnego hałasu. Śnieżyca za oknem ucichła wczesnym wieczorem, zrobiło się niesamowicie cicho, toteż każdy, najlżejszy nawet dźwięk wydawał się teraz nienaturalnie głośny. Co chwila przerywała pracę, nasłuchując, czy nikt się nie obudził i nie zamierza wejść do jej sypialni. Nie słyszała jednak

żadnych podejrzanych hałasów. Powstały z rozbiórki gruz układała na rozpostartej pod ścianą dużej chuście. Później będzie się zastanawiać, co z nim dalej zrobić, teraz chciała jak najszybciej przedostać się na drugą stronę.

Kiedy otwór był już na tyle duży, że mogła się w nim zmieścić, odpaliła nową świecę od ognia w kominku i przyklękawszy, ostrożnie wsunęła głowę w ziejącą ciemnością i chłodem jamę. Smród aż zatykał. Przeniosła świecę na drugą stronę, a potem sama, na czworakach, zanurzyła się głębiej w lodowatym mroku. Zaskwierczały włosy przypalone płomieniem świecy, gdy przypadkowo ją do siebie zbliżyła. Zaklęła w duchu. Powinna była je związać i ukryć pod chustą, zanim zdecydowała się przeciskać przez tak niewielki otwór.

W dalszym ciągu nie potrafiła rozpoznać żadnych sprzętów, stojąca na posadzce świeca niewiele teraz pomagała. Wreszcie Amalia przeszła cała na drugą stronę. Podniosła się powoli z kolan, otrzepała suknię z pyłu, wyprostowała plecy. A więc zrobiła to! Wydostała się ze swojej komnaty. Gdyby tylko Zbigniew się dowiedział! – Uśmiechnęła się w poczuciu triumfu. Pierwszego triumfu, jaki odniosła od wielu, wielu tygodni. W pomieszczeniu panował przejmujący ziąb, toteż postanowiła nie tracić czasu. Schyliła się po świecę i z mocno bijącym sercem uniosła ją nad głowę.

To była komnata. Mała i bez okna, tak jak Amalia przypuszczała. A raczej część komnaty. Zapewne sypialnej, którą ktoś oddzielił od reszty pomieszczenia cienką ścianką. Jedynym źródłem powietrza był tu na wprost zawalony kominek. Amalia wyraźnie czuła lekki przeciąg, ciągnący stamtąd w stronę otworu w ścianie. Nad szerokim łóżem zwisały pokryte kurzem i szarymi pajęczynami kotary.

Odetchnęła z ulgą – jednak to nie cela ani grobowiec. Ponieważ światło świecy wydobywało tylko małe fragmenty pomieszczenia, Amalia próbowała składać je w umyśle w jakąś całość. Zastanowiła się, czy nie wrócić do swojej sypialni po lichtarz, lecz nie chciała się ponownie przeciskać przez wąski otwór. Dostrzegła fotel, a na nim coś jeszcze. Podeszła bliżej i zobaczyła leżące na siedzisku szaty. Miała nadzieję, że rozpozna po nich, czy komnata należała do mężczyzny, czy też do kobiety. Kiedy ponownie się poruszyła, dostrzegła dziwne lśnienie tam, gdzie

powinno się znajdować boczne oparcie masywnego mebla. Pochyliła świecę, żeby przyjrzeć się temu bliżej, i nagle zamarła z przerażenia.

Natychmiast przycisnęła dłoń do ust, żeby jej krzyk nie zaalarmował śpiącej na korytarzu służby. Mimo to nie zdołała stłumić dosyć głośnego jęku zaskoczenia i strachu.

A także obrzydzenia.

Źródłem tajemniczego błysku okazał się ogromny rubin w pierścieniu. Lecz to nie sam klejnot tak ją przeraził. Pierścień wciąż tkwił na zaszuszonej dłoni siedzącej w fotelu postaci. Amalia odruchowo cofnęła się o dwa kroki i przyłgnęła plecami do ściany, łapiąc gwałtownie powietrze, a upiorny widok utonął na powrót w ciemności, jakby nigdy nie istniał. Zrobiło jej się miękko w kolanach. Nie, to musiało być jakieś urojenie. Sztuczka chorego umysłu. Stało się to, czego się obawiała od dawna: straciła rozum. W pierwszym odruchu chciała jak najszybciej wrócić do swej komnaty, jednakże z olbrzymim wysiłkiem powstrzymała to pragnienie. Musiała sprawdzić, czy to ułuda, czy prawda.

Gdyby uciekła, owo dręczące pytanie nie dałoby jej spokoju do końca życia.

Zebrała się na odwagę i niepewnie podeszła do fotela, trzymając przed sobą świecę w drżącej dłoni. Modliła się w duchu, by obraz kościstych palców okazał się tylko wytworem jej wyobraźni. Lecz chwilę potem pozbyła się wszelkich złudzeń. Zobaczyła w całej okazałości coś, czego nie oglądała nawet w najkoszmarniejszych snach.

– Boże Święty... – szepnęła.

Na fotelu znajdował się szkielet. Długie pasma przyklejonych do czaszki jasnych włosów i resztki strojnej, wyszywanej perłami sukni wskazywały dobitnie, że należał do kobiety.

Pod Amalią ugięły się nogi, opadła na pokrytą grubą warstwą kurzu posadzkę. Ogarnęły ją mdłości. Upuszczona świeca zgasła, więc przez chwilę młoda kobieta leżała tak w kompletnych ciemnościach, mimo to przed oczami wciąż miała wyraźny obraz martwej niewiasty, jakby wyjętej wprost z trumny i na urągowisko posadzonej w fotelu. Tego było za wiele. Amalia zaczęła cicho szlochać. Roźnowski zamek, który do tej pory wydawał jej się potworny ponad wszelkie granice, teraz otworzył przed nią kolejną otchłań grozy.

A więc jednak i cela, i kaplica.

Ta nieszczęsna musiała zostać żywcem zamurowana w tej izbie.

Taki los zapewne czeka także ją, królewską dwórkę, a być może i córkę...

Nie, dosyć tych złudzeń, dość już opowiadania sobie bajek. Nie była córką Ludwika, tylko niewolnicą szaleńca i bezwzględnego mordercy. Po omacku wróciła do swojej sypialni, owinęła się w futro i usiadła przy kominku, zapatrzona w ogień, kołysząc się w przód i w tył i mamrocząc coś pod nosem, całkiem jak te szalone biedaczki proszące o jałmużnę pod kościołami. Nie miała pojęcia, ile czasu tak przesiedziała, w końcu jednak pod wpływem bijącego od komina ciepła zasnęła.

Kiedy się obudziła, a raczej ocknęła z głębokiego zamroczenia, za oknem zrobiło się już niemal jasno, a ona miała wrażenie, iż wydarzenia tej nocy były tylko złym snem. Granica między rzeczywistością a jawą dawno stała się dla niej płynna, Amalia nie mogła być pewna niczego. Po tylu dniach zamknięcia nie odróżniała snów od tego, co jej się naprawdę przytrafiało. Tak więc szkielet mógł przynależeć do sfery jej wyobrażeń, mimo że wciąż miała dojmujące poczucie realności tego widoku. Ale i sny potrafią być niesamowicie realne, czyż nie? Zwłaszcza śnione w takich warunkach.

Tak czy inaczej, dotarło do niej, że – mimo sprzeciwu zarówno umysłu, jak i ciała – będzie to musiała sprawdzić.

Nie dbając już o to, czy zostanie przyłapana przez niemą służącą, czy też nie, Amalia po raz drugi przekroczyła granicę między dwoma światami – zwyczajności i koszmaru. Tym razem wzięła ze sobą lichtarz z trzema świecami. Jeśli przed chwilą łudziła się jeszcze, że tamto wszystko sama sobie wymyśliła, to jej nadzieje prysły natychmiast, w chwili gdy tylko znalazła się za ścianą. Przeróżliwy smród przypominał jej o nocnych wydarzeniach. A potem ujrzała szkielet.

Była już przygotowana na ten widok, zatem nie wywołał on niczego więcej ponad lekkie dreszcze i przyspieszenie oddechu. Teraz, po tym, jak przespała najgorsze nocne chwile, mogła już z większym dystansem spojrzeć na znalezisko.

Czy była to poprzednia żona pana na Rożnowie?

Ta myśl, rzecz jasna, nasunęła jej się pierwsza, lecz po krótkim namyśle Amalia musiała ją odrzucić. Małżonka Zbigniewa zmarła przecież

niedawno i urządzono jej pogrzeb, nie było zatem sensu ukrywać zwłok w zamku. Co więcej, szkielet zdawał się wręcz wiekowy, nie miał raptem kilku lat.

Oświetliła fotel dokładniej. Głowa siedzącej w nim kobiety przechylona była na prawe ramię, jakby ta po prostu zapadła spokojnie w sen. Wyglądało na to, że biedaczka nie walczyła o życie, nie buntowała się.

Dlaczego?

Czy dlatego, że pogodziła się z losem, czy też została podstępnie otruta?

Zakurzona aksamitna suknia zachowała zielony kolor, choć mocno już spłowiały, naszyte na nią perły były matowe i martwe. Amalia wiedziała, że perły umierają, kiedy nie mają styczności ze skórą żywego człowieka. Tracą blask i stają się mlecznobiałe, jak zasnułe bielmem oczy wędrownego ślepeca.

Kim była tajemnicza kobieta i jak długo spoczywała w komorze za ścianą?

Kto i dlaczego ją tam zamknął?

I, co teraz wydawało się Amalii bardzo ważne, czy Zbigniew o tym wiedział?

Na obudowie kominka zauważyła mosiężny świecznik z dość sporą świecą. Była zakurzona, jednak knot wydawał się nietknięty, jakby w ogóle jeszcze go nie zapalano. Przytknęła do niego płomień jednej ze swoich świec, knot zaskwierczał i buchnął jasnym ogniem, pryskając wokół palącymi się kawałkami pajęczyn i przyczepionych do nich zasuszonych owadów. Kiedy już wszystko spłonęło i światło przestało skakać, w pomieszczeniu zrobiło się dużo jaśniej. Amalia obeszła izdebkę dookoła, niestety, nigdzie nie znalazła ani drzwi, ani okna. Znajdowały się zapewne po drugiej stronie ściany działowej, w tej części komnaty, do której wślizgiwała się Katarzyna z listami od Hanny. Ściana ta, ku zaskoczeniu Amalii, nie była wykonana z trzciny i zaprawy, tylko z solidnych kamieni, jak prawie wszystkie inne ściany w tym zamku. Tylko nieco jaśniejszy kolor wskazywał na to, że postawiona została dużo później od pozostałych.

Wróciła do fotela.

U jego podnóża zauważyła teraz jakiś niewielki przedmiot, częściowo przykryty resztkami materii przypominającej szal. Schyliła się i podniosła małą, niepozorną książeczkę. Był to oprawiony w skórę modlitewnik z naderwanym od częstego używania grzbietem.

To ją zmroziło jeszcze bardziej, ponieważ nadało makabrycznym zwłokom ludzki charakter. Amalia wyobraziła sobie scenę, w której umierająca kobieta modli się żarliwie aż do samego końca. Ani Bóg, ani Matka Boska jednak jej nie wysłuchują. Kiedy już wydaje ostatnie tchnienie, modlitewnik wypada jej z dłoni, zsuwa się z okrytych suknią kolan, a w końcu miękko upada u stóp zmarłej.

Z zamyślenia wyrwał ją nagle przytłumiony odgłos otwieranych drzwi. Ktoś wchodził do komnaty obok.

Do jej sypialni!

Ponieważ czas w tej swoistej krypcie jakby się dla niej zatrzymał, Amalia kompletnie zapomniała, że zbliża się pora śniadania. Przerazona odłożyła modlitewnik i rzuciła się w stronę wyrwy w ścianie, gasząc po drodze wszystkie świece. Chwilę szamotała się rozpaczliwie, zaczepiwszy suknią o brzegi wyrwy, w końcu udało jej się przedostać z powrotem do sypialni. Niezdarnymi ruchami zaczęła poprawiać zmierzwione i zasypane wapiennym pyłem włosy, zastanawiając się jednocześnie, czy zdąży zamaskować dziurę.

Drzwi się uchyliły.

W progu nie stała wszakże dziewczyna z tacą.

Znajdował się w nich sam najdroższy małżonek Amalii, Zbigniew.

Jestem zgubiona, pomyślała na jego widok. To już koniec. Przez moją głupotę umrzemy, i ja, i Małgorzata.

– Moja miła małżonko – rozpoczął uroczyście Zbigniew, wciąż stojąc w progu. Miał na sobie odświętny zielony pikowany kaftan, haftowany srebrną nicią, z krótką pelerynką na ramionach. Amalia dostrzegła, że utrefił włosy i brodę. – Dzisiaj dzień szczególny, przypominający nam o narodzinach Pana naszego...

W miarę jak mówił, jego głos stawał się coraz mniej uroczysty i coraz cichszy, a wyraz twarzy zmieniał się w podobnym tempie: od ceremonialnego po zdumiony.

– Dlatego postanowiłem osobiście... Jak ty wyglądasz? Co ty ze sobą zrobiłaś?

Energicznie wszedł do środka i zbliżył się do Amalii, która stała obok kominka. Uświadomiła sobie, że zarówno jej włosy, jak i suknia muszą być szare od pyłu. Nie zdążyła wszystkiego otrzepać.

– Przecież ty.... ty masz na głowie pajęczynę... – niemal wyszeptał Zbigniew, unosząc rękę ku jej skroni.

Już nie czekał na wyjaśnienia, tylko zaczął się rozglądać po sypialni i prawie natychmiast odkrył otwór w ścianie.

– Próbowiałaś uciec? – W jego głosie nie było złości, raczej bezbrzeżne zdumienie.

– Nie. Ściana sama się rozsypała.

Nie słuchał. Podszedł do otworu, który bardzo krótko był tajemnicą Amalii, przyklęknął i zajrzał do środka.

– Co tam jest?

– Nie wiem.

– Nie kłam. Byłaś tam.

– Puste pomieszczenie. Bez drzwi i bez okien.

– Niemożliwe. Tam nie powinno być żadnej wolnej przestrzeni. Podaj mi świecę!

– Zbigniewie, nie wchodź – zwróciła się doń błagalnym tonem. – Nic tam nie ma, ubrudzisz się tylko. Trzeba to zamurować.

– Powiedziałem: podaj mi świecę!

Spełniła jego polecenie, niemal odrętwiała ze strachu, a mąż brutalnie poszerzył otwór uderzeniem łokcia i wszedł do środka.

Teraz nie pozostawało jej nic innego, niż stać i czekać na nieuniknione. Nie potrafiła przewidzieć reakcji Zbigniewa, kiedy ten ujrzy szkielet. Jego zdumienie po tym, jak odkrył dodatkowe pomieszczenie, wydawało się zbyt duże, by mogło być udawane, co świadczyło o tym, że prawdopodobnie nie miał nic wspólnego ze śmiercią tamtej kobiety. Więc kim ona była?

Czyżby jego...?

Mąż niewiele opowiadał o matce, a jeśli to robił, nie krył pogardy i niechęci do niej. Podobno opuściła swojego męża i małe dzieci, bo zawrócił jej w głowie jakiś kasztelan z Mazowsza. Jak się kiedyś wyraził Zbigniew, była jawnogrzesznicą i służebnicą szatana, ale wtedy Amalia specjalnie się tym nie przejęła, gdyż zdążyła już zauważyć, że w ten sposób nazywał wszystkie białogłowy, nie wyłączając poprzedniej i obecnej żony.

Nasłuchiwała odgłosów z krypty, jak zdążyła już nazwać w myślach cuchnące pomieszczenie, lecz panowała tam cisza. A przecież jej małżonek musiał natychmiast odkryć szkielet. Dlaczego więc wciąż tam siedział? Czas ciągnął się niemiłosiernie. Jeśli to naprawdę jego rodzicielka, to co on

zrobi? Może ów widok już do końca pomiesza mu rozum. Nikt raczej by się nie spodziewał, że w pierwszy dzień Godów odkryje szczątki własnej matki ukryte w ścianie, toteż nawet człowiek bardziej zrównoważony niż Zbigniew mógłby pod wpływem takiego wydarzenia oszaleć.

Wreszcie usłyszała hałas, a chwilę potem jej mążnek wynurzył się z otworu, także ubrudzony gruzem i kurzem. Twarz miał tak bladą, iż z początku Amalia pomyślała, że i ona jest pokryta pyłem. Ale nie – taką barwę przybrało teraz oblicze Zbigniewa. Mąż nie patrzył na nią, nie odezwał się ani słowem. Wyglądał jak ktoś, kto się zadumał nad szachownicą i całkowicie zapomniał o otaczającym go świecie. Mocno ściągnięte brwi i zmarszczone czoło świadczyły o dużym wysiłku umysłowym, a ów stan zdarzał się panu na Rożnowie niezmiernie rzadko, gdyż myślenie było dlań zbyt męczące.

– Zbigniewie... – Podeszła doń i lekko dotknęła jego ramienia.

Wzdrygnął się jak oparzony i spojrzał na nią zdumionym wzrokiem, można by pomyśleć, iż jej obecność go zaskoczyła, jak gdyby zapomniał, gdzie się właściwie znajduje.

Nie wiedziała, co robić. Spodziewała się reakcji bardziej pasującej do niego, czyli wybuchu wściekłości oraz agresji, a nie aż takiego pomieszania. Uderzył ją widok cierpienia i bólu na jego twarzy, która od dawna wzbudzała w niej tylko lęk i odrazę.

Niemal zrobiło jej się go żal.

– Czy to twoja matka? – spytała łagodnie.

Nie słyszał jej. Albo udawał, że nie słyszy. Podeszedł do stołu, machinalnie sięgnął po kubek z resztką wina, wypił, po czym zaczął chodzić po komnacie tam i z powrotem, w milczeniu kręcąc głową, jak gdyby nie przyjmował do wiadomości myśli i wniosków, które do niej napływały.

– Kim była ta kobieta? – spytała już głośniejszym głosem.

– Kłamstwo! – rzekł do siebie.

– Kim ona była?

– To sztuczki szatana. – Wreszcie na nią spojrzał i oskarżycielsko skierował ku niej palec. – Twoje sztuczki, wiedźmo. Stworzyłaś ułudę.

– Uspokój się.

Usiadł na krześle, położył łokcie na kolanach, pochylił głowę, a twarz ukrył w dłoniach.

– Przecież nas zostawiła – wybełkotał. – Wyjechała daleko, bo nas nie kochała.

– Skąd wiesz, że to ona?

Amalia już zrozumiała, że to jednak matka Zbigniewa, ale wbrew wszystkiemu, co wydawało się oczywiste, starała się go uspokoić. Wyczuła szansę, by wreszcie poczuł, iż żona jest mu bliska. Tamten upiór nic a nic jej nie obchodził, lecz może dzięki obecnemu załamaniu i słabości męża uda jej się wreszcie zdobyć jego przychyłność. Niespodziewanie olbrzymie zagrożenie przeistoczyło się w słabą nadzieję.

– Przecież nic prawie nie zostało z tej... kobiety, nie ma twarzy... – ciągnęła.

– To ona.

Przykucnęła obok małżonka i pogłaskała go po włosach.

– Przecież sam mówiłeś, że wyjechała.

Podniósł głowę i spojrzał jak mały chłopiec. Oczy lśniły mu od łez.

– To jej pierścień, rozpoznałbym go wszędzie – powiedział cicho załamującym się głosem. – Bawiłem się nim często, kiedy mnie brała na kolana. Mówiła, że wygląda jak kropla krwi. Chyba go nie lubiła, nosiła jednak, bo to był prezent od ojca.

Zapadła cisza, tylko z kominka dochodziły trzaski dopalających się polan.

– A przecież... – Zbigniewowi znów głos odmówił posłuszeństwa – przecież uciekła od nas. Miała dość ojca i nas, swoich dzieci. Uciekła...

Amalia przytuliła go do siebie jak skrzywdzone dziecko, którym w gruncie rzeczy w tej chwili był. Położył głowę na jej ramieniu i pozwolił się lekko kołysać. Poczwała, że powoli zaczyna przejmować kontrolę nad sytuacją. Ktokolwiek dawno temu zamurował tę nieszczęsną kobietę – najprawdopodobniej był to ojciec jej męża, bo niby któż inny? – wyświadczył Amalii swego rodzaju przysługę. Przysługa po latach. No cóż, być może to okrutne, bo ofiara zapewne przeszła prawdziwe piekło, lecz tamten koszmar należał już do przeszłości, a ona, Amalia, przeżywała swój własny, łudząco podobny, pragnęła więc tylko jednego: aby jej cierpienie nie zakończyło się w taki sam sposób.

– Często płakała – mówił dalej Zbigniew, jakby do siebie. – Myślałem, że to przez nas. Że byliśmy w jej oczach wstrętni, szczególnie ja. Przez te moje ciągłe ataki. A potem uciekła i nas zostawiła...

– Nie uciekła – szepnęła Amalia ze współczuciem. – Jest za ścianą. Nigdy cię nie opuściła.

– To nie ona. To złuda.

Prawdopodobnie Zbigniew ze wszystkich sił bronił się przed wnioskiem, który musiał mu się narzucać z taką samą mocą, z jaką od pewnego czasu narzucał się Amalii. Wniosek był zresztą prosty. Jeśli matka została zamurowana żywcem, to jedynym człowiekiem, mogącym coś takiego wtedy uczynić, był ojciec Zbigniewa. Ten sam ojciec, który wydawał się Amalii jakby postacią z Biblii albo z *Iliady* – nadludzki, mężny, sprawiedliwy, Jan z Roźnowa, rycerz bez skazy. Nieraz słyszała o jego wielkich czynach. W odróżnieniu od matki jawno grzesznicy nim można się było pochwalić.

No a teraz?

A teraz okazało się, iż Jan z Roźnowa był nie mniej szalony i okrutny niż jego syn.

Lecz tego Zbigniew chyba nie zamierzał zaakceptować i Amalia poczuła naraz, że jej kontrola nad sytuacją jest tylko chwilowa oraz ulotna, gdyż gniew i rozpacz męża będą musiały znaleźć ujście, on sam zaś poszuka kogoś, na kim rozładuje swe uczucia.

A ktoś taki właśnie przy nim siedział. I był świadkiem jego upokorzenia.

Jakby na potwierdzenie tych obaw, w Zbigniewie zaszła nagła zmiana. Nagle zeszywniał w jej objęciach, a potem powoli się z nich uwolnił i wstał z krzesła.

– To twoja wina – rzekł cicho.

– Zbigniewie...

– Po co w ogóle grzebałaś tam jak szczur? Po co przebiłaś tę przeklętą ścianę?

– Sama się rozsypała.

Niespodziewanie prychnął śmiechem, co było chyba jeszcze gorsze od gniewu. Krótkie chrapliwe prychnięcie człowieka, który przestał nad sobą panować.

– Gdyby nie ty, nigdy bym tego nie ujrzał – stwierdził.

– Proszę cię...

– Złamałaś moje zakazy! Ponownie je podeptałaś! Mimo że dawno wykazałem ci wszystkie twoje żalosne błędy, ty nie przejawiasz najmniejszego pragnienia pokuty ani poprawy!

W jego oczach płonęło już czyste szaleństwo, aż za dobrze jej znane.

– To nie moja wina, Zbigniewie. To nie ja zabiłam twoją matkę!

– To nie jest moja matka! – wrzasnął, po czym pchnął ją tak mocno, że upadła. – To tylko widmo, które wywołałaś swoimi diabelskimi praktykami. Jesteś wiedźmą i zasłużyłaś na śmierć! Tak jak i twoja córka! Ona też jest przeklęta przez Boga, Stwórcę i Mściciela, od samego początku. Jezus mnie w tej kwestii nie okłamał! Nie, nie, radził mi dobrze: zabij je obie!

Zrozumiała, że to koniec.

Mąż ją zamorduje, bo tak mu doradzał sam Jezus, ukształtowany w mrokach jego umysłu, a poza tym była jedynym świadkiem upiornej rodzinnej tajemnicy. Jeśli chciał zapomnieć o tym, co dzisiaj zobaczył, uznać to za diabelską sztuczkę i ułudę, musiał się pozbyć jej, Amalii. Może to i dobrze, pomyślała z rezygnacją. Nikt nie zdoła jej uratować, a dalsze życie w tej celi byłoby tylko przedłużaniem agonii. Niechaj więc to wszystko nareszcie się skończy.

Lecz nim umrze, musi jeszcze coś mu powiedzieć.

– Twój ojciec był mordercą i potworem! – wydyszała, podnosząc się z posadzki. – Takim samym jak ty. Nie był rycerzem, tylko łajdakiem, który powinien był zawisnąć na drzewie jak pospolity zabójca!

– Dosyć!

– Nie przerywaj mi! Ty też nie jesteś żadnym rycerzem, hańbisz tylko rodowy herb! Król nie ma z ciebie żadnego pożytku, bo wolisz pić wino i palić wsie. Nawet syna nie potrafisz spłodzić, bo twoje nasienie jest na to za słabe.

– Zamilcz, niewiasto!

– Dlatego, draniu, nigdy nie będziesz miał męskiego potomka! Pozostaną ci tylko psy! One odziedziczą ten diabelski zamek i te cuchnące zwłoki twojej matki!

Jakby na zawołanie ogary Zbigniewa znów zaczęły ujadać, lecz ani jedno, ani drugie nie zwróciło na to uwagi.

Zbigniewa aż zatkało. Upłynęła długa chwila, nim udało mu się wydobyć głos:

– Jak śmiesz tak do mnie mówić? – Patrzył na Amalię w zdumieniu, wyraźnie zbity z tropu. Szybciej spodziewałby się takiego ataku po dziewce

służebnej niż po potulnej małżonce. – Te plugawe słowa wstrętne są naszemu Panu! Twoja dusza jest zgubiona na wieki!

– Nie dbam o to! Była zgubiona, gdy tylko wyszłam za ciebie za mąż!

– Nie bluźnij, niewiasto.

Psy szczekały coraz głośniej, a po chwili rozległ się dźwięk rogu. I Zbigniew, i Amalia odwrócili głowy w kierunku okna.

Wyglądało na to, że znowu ktoś zbliża się do zamku.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy mały orszak, złożony z dwóch jeźdźców i sań zaprzęzonych w silnego, aczkolwiek wyraźnie zmęczonego konia, stanął pod bramą rożnowskiego zamku, na murach czekali już zbrojni z napiętymi i uniesionymi na wysokość twarzy kuszami. Nie było ich zbyt wielu, zaledwie kilku, lecz nie wyglądali na takich, z którymi można by swobodnie sobie pożartować. Już dawno ujrzeni przyjezdnych – świadczył o tym dźwięk rogu, w tej zimowej ciszy brzącający w uszach Mildy jak błagalny ryk prowadzonego na rzeź wołu. Potem znów zrobiło się niesamowicie cicho, jeśli nie liczyć odległego szczekania psów i krakania wron zataczających kręgi obok kamiennej wieży, która przypominała wznoszącą się nad jeziorem nagą skałę.

Więc to jest dom Amalii, pomyślała Litwinka i poczuła, że robi jej się jeszcze zimniej.

Zawsze wyobrażała sobie rożnowski zamek jako jedno z tych miejsc, które opisuje się w baśniach czy też rycerskich opowieściach, nieco tajemnicze, choć przytulne rodzinne gniazdo, dające poczucie bezpieczeństwa.

Jednakże ta siedziba nie miała w sobie nic z przytulności ani magii. Wprost przeciwnie, już z daleka sprawiała posępne wrażenie; czarna sylwetka na tle szarego, zachmurzonego nieba, w miarę jak się do niej zbliżali, stawała się jeszcze bardziej przygnębiająca i przytłaczająca, jakby należała raczej do świata złych snów niż do prawdziwego.

Może sprawiała to zimowa pogoda, a może wciąż jeszcze dające się odczuć osłabienie po chorobie i złe przecucia zniekształcały Mildzie rzeczywistość, w każdym razie wyczuwała tutaj zło.

Czyste zło.

Tak też musiała widzieć ten zamek Amalia, kiedy przybyła do Rożnowa. Były przecież tak do siebie podobne. Jakie uczucia towarzyszyły

przyjaciółce w tamtej chwili? Co sobie pomyślała, widząc owe nieprzyjazne mury? Milda nawet nie chciała sobie tego wyobrazić. Wystarczyło, że sama czuła teraz dziwny ucisk w żołądku na widok kwadratowej wieży, kamiennych murów, zamarzniętego jeziora i okalających go lasów. Do tego jeszcze krakanie wron. Pamiętała z dzieciństwa spędzonego na Litwie, że czarne ptactwo zawsze zwiastuje śmierć. Jakby powiedziała ukochana Ina: „To dusze zmarłych czekają na tego, kogo mają ze sobą zabrać do Krainy Cieni”.

Wprawdzie Milda była już chrześcijanką i opuściła świat pogańskich demonów, lecz nie była całkowicie pewna, czy te demony opuściły ją.

– Przybywamy z Krakowa! – krzyknął zakapturzony Varnas w kierunku strażników, uniósłszy otwartą dłoń na wysokość twarzy.

– Szlachetny pan Zbigniew nie przyjmuje gości! – odkrzyknął jeden z nich. – Nic tu po was.

– My nie do niego! – odparł Litwin.

– A niby do kogo?

Milda uniosła się w saniach i zawołała ile sił w płucach:

– Do pani zamku! Szlachetnej Amalii Węgierki, małżonki pan Zbigniewa! Przybywamy z Wawelu, w imieniu królowej.

To ostatnie, delikatnie rzecz ujmując, nie do końca odpowiadało prawdzie, ale cóż szkodziło nadać słowom jeszcze większą wagę, zważywszy na pogodę i wycelowane w nich kusze?

Zbrojnych najwidoczniej zatkało, bo opuścili broń i spojrzeli po sobie zdziwieni, nie wiadomo, czy bardziej tym, że ci goście przyjechali z królewskiego zamku, od samej monarchini, czy tak jawnym lekceważeniem prawdziwego pana na Rożnowie.

– Jak to z Wawelu? – zapytał wreszcie najstarszy z nich. – Wyglądacie mi raczej na włóczędzów i żebraków.

– Wołaj tu pana zamku. Natychmiast – odparła hardo Milda. – Szkoda mi czasu na rozmowy z tobą, bo ziąb dzisiaj okrutny.

A na dodatek bardzo chce mi się siku, dopowiedziała już w myślach.

Czuła, że jeśli natychmiast nie opróżni pęcherza, zakończy się to katastrofą. Tu, w saniach. Po drodze nie było warunków do zatrzymania się w lesie, uniemożliwiał to głęboki śnieg i towarzyszące wędrowcom wilki. Ich szare cienie przemykały bezszelestnie pomiędzy drzewami, zawsze w bezpiecznej odległości, ale gotowe ją przekroczyć w każdej chwili.

Strażnicy, choć niezbyt bystrzy, wyczuli zapewne, że jeśli białogłowa zwraca się do nich podobnym tonem, to nie może być zwykłą dziewczką. Może pochodzi z Wawelu, może nie, na wszelki wypadek lepiej jednak nie ryzykować i nie narażać się na królewski gniew.

– Mam powiedzieć, że kto przyjechał? – chciał wiedzieć stary, lecz zadał to pytanie już innym tonem.

– Anna Litwinka, dwórka Najjaśniejszej Królowej Jadwigi.

Nie czekali długo, wreszcie brama zaczęła się otwierać. Powolutku i opornie, a to z powodu wysokich zasp, jakie się przy niej potworzyły. Potem zobaczyli wreszcie pana zamku, który osobiście wyszedł im naprzeciw.

Był z gołą głową, w narzuconym na ramiona futrze.

– Kim jesteście? – zapytał.

Wydawało się, iż niepewnie stoi na nogach, jakby był pijany albo chory. Twarz miał woskowo bladą, a oczy mętne. Sprawiał wrażenie nieobecnego ducha.

– Nie udzielam schronienia, szukajcie gdzie indziej – dodał nieco roztargnionym tonem. – Zła to pora na odwiedziny.

Milda wygramoliła się z sań.

– Przybywam z Wawelu...

– Tak mi przekazano.

– Nazywam się Anna.

– Obawiam się, że nic mi to nie mówi.

– Dawniej Milda.

Oczy rycerza natychmiast stały się czujne.

– Milda... – powtórzył.

– Tak.

– Przyjaciółka mojej małżonki?

Litwinka zrzuciła futrzany kaptur z głowy i uniosła dumnie podbródek. Jasne warkocze, zaplecione w ślimaki nad uszami, były teraz lekko potargane, ale Zbigniew rozpoznał dziewczynę natychmiast. Widział ją, kiedy ostatnio gościł z wizytą na królewskim zamku.

– Dopiero co leżeliście w łożu, pani – wybąkał. – W chorobie. Modliłem się o wasze zdrowie.

– Jak widać, wasze modlitwy pomogły – odparła.

– Bogu niech będą dzięki.

– A czy wasza małżonka też już jest zdrowa?

Nie odpowiedział, przez twarz przeszedł mu nagły skurcz. W porównaniu z dumnym rycerzem, którego Milda nie tak dawno widziała w swojej wawelskiej komnacie, ten Zbigniew wyglądał jak jeden z obłąkanych, którzy wieszczą apokalipsę na jarmarkach. Poczwała jeszcze większy niepokój niż do tej pory.

– Niestety nie – odparł wreszcie mężczyzna.

Kłamie, pomyślała Milda, łże jak pies. Ale zapytała tylko:

– Nie wpuście nas?

– Złą porę wybraliście na wizytę.

– Możliwe. Wszakże tak się akurat złożyło, że już tutaj jesteśmy. Mam list od naszej Najjaśniejszej Pani do waszej małżonki. Nie wiem, czy królowa będzie zachwycona, jeśli się okaże, że nie mogłam go przekazać pani Amalii. I że nie udzieliliście schronienia jej ludziom w taką pogodę.

Zbigniew najwidoczniej nie bardzo pamiętał, jaką rolę ta młoda kobieta odgrywała na dworze, lecz już sam fakt, że stała wtedy u boku królowej, musiał dać mu do zrozumienia, że Litwinka była zapewne osobą zaufaną i bliską władczyni.

Takich ludzi się nie lekceważy.

Westchnął.

– No cóż, dobry chrześcijanin nie może odmówić gościny, zwłaszcza w dniu narodzin Pana.

– Dziękujemy z całego serca.

Pragnęła zapytać o zdrowie Amalii, ponieważ wcale a wcale nie podobało jej się zachowanie jej męża, lecz postanowiła jeszcze z tym poczekać, bo ucisk na pęcherz stawał się coraz silniejszy i nie wytrzymałaby dalszej wymiany zdań pod murami.

– Kim są ci dwaj? – Zbigniew skinieniem głowy wskazał na Varnasa i Gniewka.

– To moi pachołkowie – odparła natychmiast, bojąc się, by gospodarz nie rozpoznał w zakapturzonym jeźdźcu jej brata, obok którego stał przecież podczas pamiętnego odczytywania listu od Amalii.

Nie chciała zdradzać tożsamości Varnasa, miał zostać przy koniach i wraz z Gniewkiem uważać na strażników, kiedy ona...

Kiedy ona musiałaby zacząć działać.

Tak postanowili wspólnie jeszcze w Krakowie.

Na szczęście Zbigniew nie zwykł przyglądać się ludziom z pospólstwa dłużej niż spacerującym po dziedzińcu kaczkom.

– Zapraszam – rzekł tylko, odwrócił się do niej plecami i sztywnym krokiem ruszył w kierunku zamku. – Służba się wami zajmie. Ja muszę wydać dyspozycje kucharkom.

Znów zaczął prosić śnieg.

Cisza, jaka zapanowała po wyjściu Zbigniewa z komnaty, aż dzwoniła w uszach Amalii.

Młoda kobieta bezskutecznie usiłowała wyłowić choćby najcichszy dźwięk, który pozwoliłby jej rozpoznać głosy przybyłych gości, ale bezskutecznie. Żałowała, że wcześniej, kiedy tamci zbliżali się do zamku, nie miała możliwości zauważenia ich przez okno. Teraz prawdopodobnie zostali już wpuszczeni do środka, żadnym więc sposobem nie mogła ich ani zobaczyć, ani usłyszeć.

Ale była i dobra strona tej sytuacji: ktoś z zewnątrz wreszcie dostał się do środka.

Cieszyła się z tego przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, odciągnęło to uwagę jej szalonego męża, po drugie, stwarzało szansę na ratunek. Kim byli goście? I dlaczego zostali wpuszczeni, skoro poprzednich przegnano? Istniały dwie możliwości. Albo to jacyś dobrzy kompani Zbigniewa, których obecności nie musiał się obawiać, albo ktoś na tyle ważny, że nie można go było trzymać przed zamkniętą bramą. A jeśli to drugie, to...

To może Bóg wreszcie wysłuchał modlitw Amalii.

Bo z kim Zbigniew mógł się liczyć do tego stopnia, że wbrew sobie zaprosił go do siebie, do miejsca, które teraz już kryło dwie jego upiorne tajemnice? O ile wiedziała, jej mąż pokorniał jedynie w obliczu wyższej władzy, a ta kojarzyła się tylko z Krakowem i Wawelem. Czyżby więc...? Czy to ktoś od królowej? Milda i Varnas? Zbrojni z monarszym rozkazem uwolnienia jej? Kto wie, może Hannie udało się w końcu posłać kogoś do stolicy z wiadomością dla Jadwigi? Przecież to nie jest niemożliwe.

Zwłaszcza w taki dzień.

Dzień Bożych Narodzin.

Po czasie, który wydawał jej się wiecznością, drzwi znów się otworzyły i do środka wpadł zdyszany Zbigniew. Twarz miał czerwoną z emocji – ku swemu zaskoczeniu zobaczyła na niej jednak nie wściekłość, ale strach. Jej mąż się bał.

– Zbieraj się! – wychrypiał, brutalnie chwytając ją za ramię. – Idziemy!

– Gdzie?

– Nie gadaj, tylko wyłaź z tej nory.

– Ktoś przyjechał?

– Tak, wyobraź sobie, że ktoś przyjechał. Mamy niespodziewanych gości. Udane Gody, nieprawdaż?

– Mam ich powitać? – spytała z nadzieją, chociaż gdzieś w głębi duszy czuła, że nie po to małżonek każe jej teraz opuścić komnatę. W biegu chwyciła futro leżące na brzegu łóżka.

Nie odpowiedział, tylko szarpnął ją niecierpliwie, a potem popychał przed sobą.

– Pospiesz się.

– Dokąd mnie prowadzisz?

– Zobaczysz. I przypominam – zniżył głos – piśniesz choćby jedno słowo, a twoje szczenię wyląduje w rzece. Pod lodem.

To ją skutecznie uciszyło. Ruszyli w stronę ponurego korytarza, na końcu którego znajdowały się wąskie tylne schody prowadzące do pomieszczeń na parterze. Korzystała z nich głównie służba.

Czyżby więc miała naprawdę witać gości? W głowie Amalii panował mętlik. Z jednej strony na to się wyraźnie zanosilo, z drugiej jednak wydawało się czystym szaleństwem ze strony Zbigniewa. Bo chociaż zarzuciła na ramiona futro, wciąż przecież paradowała w nocnej koszuli, stroju raczej mało stosownym do przyjmowania kogokolwiek. Nie wspominając już o rozczochranych włosach, w których wciąż jeszcze musiał znajdować się pył z rozkruszonej ściany.

Tak, to byłoby szaleństwo.

Tyle że przecież Zbigniew jest szaleńcem.

Możliwe, że w panice całkowicie utracił już nad sobą kontrolę.

Tak byłoby nawet lepiej, pomyślała.

Dokądkolwiek ją teraz prowadził, poczuła ulgę, że wreszcie opuściła swoje więzienie, które od tej nocy stało się dodatkowo rodzinnym grobowcem. Była niemal szczęśliwa, mogąc znów chodzić po zamku.

Kiedy przechodzili obok izby, w której mieszkała Katarzyna z małą Małgorzatą, Amalia dostrzegła, że drzwi są uchylone. Zerknęła do środka, chcąc zobaczyć dziecko, i stanęła jak wryta.

Owszem, ujrzała swoją córeczkę, lecz nie w objęciach Katarzyny, tylko na rękach znienawidzonej dziewczuchy – niemowy.

– Gdzie Katarzyna? – krzyknęła.

– Nie bój się o nią – niecierpliwie odparł Zbigniew. – Nic jej nie jest!

– Dlaczego nasza córka jest z tą kobietą?!

Zbigniew zamknął jej usta dłonią. Pachniała kwaśnym potem i czymś, od czego zrobiło jej się niedobrze. Uświadomiła sobie nagle, że wcześniej musiał dotykać ręką szczątków swojej matki.

– Uważaj... – syknął. – Jeszcze jedno słowo, a dzieciak zginie. I ty sama będziesz temu winna. Zrozumiałaś mnie?

Przytaknęła.

– Będziesz już grzeczna i zejdziesz ze mną na dół?

Kolejny ruch głową.

Zdała sobie sprawę, że nie zawahałaby się ani chwili przed spełnieniem swojej groźby. Widać było, że stracił już resztki zdrowego rozsądku, że zachowuje się jak osaczone zwierzę. A do tego ciągle musiał mieć przed oczami obraz martwej matki. Kiedy doszli do schodów, już na pierwszym stopniu straciła równowagę i upadła na kolana. Zbigniew podniósł ją brutalnie i pchnął, nie dbając o to, czy Amalia znów się nie wywróci. Bardzo mu się spieszyło.

Kiedy w końcu zeszli na parter, okazało się, że jej szalony mąż wcale nie kieruje się w stronę pomieszczeń mieszkalnych, tylko dalej, na dół.

Lochy.

Prowadził ją do podziemi.

Jakaż była głupia, łudząc się, że idzie na spotkanie z ludźmi, na spotkanie z gośćmi. Ten potwór postanowił ukryć ją przed światem jeszcze głębiej, zapewne w lochu, w którym niegdyś więził nieszczęsną Zofię. Może i był szalony, lecz jego szaleństwo pozostawało metodyczne i zimne.

Kamienne ściany wąskiego korytarzyka wiodącego w dół zdawały się na nią napierać.

Zbigniew wziął płonąca pochodnię, która tkwiła w jednym z metalowych uchwytów w murze, i oświetlając nim sobie drogę, znów zaczął popychać Amalię przed sobą. Musiała przytrzymywać się szorstkich ścian, żeby nie spaść z nierównych i kruszących się schodków. Lochy nie były zbyt głębokie, więc szybko znaleźli się na samym dole. W świetle palącej się i syczącej główki zobaczyła przed sobą ciemny korytarz, a w głębi zamknięte na żelazną zasuwę drzwi. Kiedy podeszli bliżej, Zbigniew otworzył je i wepchnął ją do niewielkiej celi z małym otworem pod samym stropem. Napływało stamtąd zimne powietrze i nieco mętnego światła.

Tak, to było to samo miejsce, w którym przetrzymywał kiedyś Zofię, zanim ją zatłukł kijem na dziedzińcu.

Nerwowym ruchem poprawił włosy i zaczął sprawdzać stan swojego ubrania. Było w nieładzie po poprzedniej szamotaninie, ale całe.

– Zostaniesz tu, aż postanowię, co dalej – powiedział zdyszany.

– Zamarznę na śmierć, mój panie.

Amalia starała się, żeby jej głos nie zabrzmiał żałośnie, ale jej się to nie udało. Była przerażona. Zbigniew zamrugał nerwowo. Chyba nie tak to sobie planował, o ile w ogóle w tym amoku planował cokolwiek więcej niż jeden ruch do przodu, jednak przybycie nieproszonych gości zmusiło go do natychmiastowego i zupełnie chaotycznego działania.

– Coś wymyślę. Na razie masz to. – Ruchem głowy wskazał na futro, które zarzuciła przed opuszczeniem sypialni.

Odwrócił się bez słowa i usłyszała jeszcze tylko brzęk łańcucha spinającego zasuwę, a potem ciężkie kroki Zbigniewa w korytarzu i na schodach. Z jękiem objęła się ramionami. Wąski otwór pod sklepieniem dawał niewiele światła, ale po chwili jej wzrok przyzwyczaił się do nowych warunków na tyle, że mogła już rozróżniać niektóre szczegóły małego pomieszczenia. W zasadzie nie było tu nic do oglądania, ciemna cela zdawała się pusta.

No cóż, pomyślała niemal wesoło, choć był to humor wisielczy. Jeszcze przed chwilą narzekałam na swoją sypialnię, gdzie przynajmniej stało łóżko, a w kominie palił się ogień, a teraz znajduję się w malutkiej, mrocznej i upiornie zimnej norze pod ziemią, bez żadnego źródła ciepła, by nie wspomnieć już o meblach.

Jak by powiedziała nieodżałowana ciotka Csaksy: „Nie narzekaj, dziewczyno, na swój los, bo zawsze może być jeszcze gorzej”. O tak, cioteczko, gdziekolwiek jesteś, wiedz, że jak zawsze miałaś rację.

Nagle, ku swemu zdumieniu, ujrzała, że coś, co do tej pory uważała za ułożoną w kącie celi stertę szmat przeznaczonych do spania, poruszyło się i uniosło.

– Och! – Aż cofnęła się o krok.

A potem usłyszała cichy, spokojny głos Katarzyny:

– Nie wiem jak wy, pani, ale mnie zdarzało się już spędzać Gody w bardziej świątecznej atmosferze.

– To ty? – Amalia podbiegła do kobiety, która siedziała na słomie przy samej ścianie, obejmując rękami kolana. Była tylko w sukni i narzuconym na nią kubraczku. Ramiona miała okryte jakąś, prawdopodobnie końską, derką.

– Pan Zbigniew zadbał o towarzystwo dla was – odparła Katarzyna. Chciała coś dodać, lecz zaczęła dygotać z zimna i szczękać zębami.

Amalia natychmiast usiadła przy Katarzynie, objęła ją i przykryła połą swojego futra.

– Nie zrobili ci krzywdy?

– Nie. To ja jednemu z tych oprychów rozorałam policzek, kiedy ta wiedźma nakazała im odebrać mi Małgorzatę.

– Jaka wiedźma?

– Poznała ją pani aż za dobrze.

– Ta niema? Jak mogła im coś nakazać?

Katarzyna prychnęła niewesoło.

– Taka z niej niemowa jak ze mnie perska księżniczka.

– Przez cały ten czas udawała? – spytała zaskoczona Amalia, choć natychmiast zdała sobie sprawę, iż w gruncie rzeczy nie powinna aż tak bardzo się dziwić, albowiem wiele razy, gdy w nocy nie chciał do niej przyjść sen, czuła podobne podejrzenia wobec tej dziwnej kobiety.

– Miała was szpiegować – odparła Katarzyna. – A przed kimś, kogo masz za półgłówka, łatwiej się zdradzić ze swymi planami, bo nie zwracasz na niego uwagi.

– Prawda. To musiał być pomysł mojego męża.
– Całkiem możliwe.
– Mimo wszystko prawdziwa z niej wiedźma. Oby spłonęła na stosie.
– Ogień... Teraz to brzmi całkiem przyjemnie.
– Masz rację. – Amalia uśmiechnęła się blado. – Oby się zatem utopiła w gnojówce! Powiedz mi jeszcze jedno.

– Tak?

– Dlaczego zamknął tu także ciebie?

Katarzyna pociągnęła nosem.

– Bo jestem jedyną życzliwą wam osobą na zamku. A może i w całej okolicy, jeśli nie liczyć Hanny.

No tak, pomyślała gorzko Amalia, tamci szybko przestali mnie uważać za swoją wybawicielkę, panią na Rożnowie, która ocaliła zamek, a przy okazji i mieszkańców wsi. Wystarczyło, że wrócił mroczny rycerz, a hierarchia natychmiast została przywrócona. Cokolwiek uczyniła, nie miało już znaczenia, bo prości ludzie uważali, że tylko mężczyzna może być prawdziwym władcą, zatem jeśli Zbigniew powiedział im, że ona, Amalia, jest szalona, uwierzyli mu, no bo nigdy nie ośmieliliby się choćby pomyśleć, że można nie wierzyć panu. Nie winiła ich, do tego przywykli, wszakże czuła się zawiedziona.

– No i mogłabym się wygadać przed gośćmi z Wawelu, że jesteście tutaj więźniami – dodała Katarzyna.

– Z Wawelu? – Amalia drgnęła. – Skąd wiesz, że stamtąd przyjechali?

– Bo zanim mnie tu zawlekli, cały dziedziniec o tym huczał.

– Czemu od razu nie powiedziałaś?

– A co to zmienia?

– Wszystko. Widziałaś ich?

Kobieta wolno pokręciła głową.

– Nie.

– Strażnicy nic nie mówili? Nie wiesz, czy jest wśród tych gości jakaś kobieta?

– Chyba tak.

– To na pewno Milda. – Mimo zimna Amalia poczuła, że krew szybciej krąży jej w żyłach.

– Milda? – Katarzyna ponownie pociągnęła nosem, lecz już nie dygotała. Zdążyły się trochę ogrzać nawzajem, a i futro zrobiło swoje.

- Moja przyjaciółka. Pamiętasz, nieraz ci o niej opowiadałam.
- Ach, ta Litwinka.
- Jest niesamowicie mądra. Odczytała z mojego listu wezwanie o pomoc.

A pomyśleć, że zwątpiłam w jej rozum.

Katarzyna tylko westchnęła ciężko.

– Jeśli nie przyjechała tu z hufcem zbrojnych, to wiele nam nie pomoże – mruknęła, kuląc głowę w ramionach.

– Nie znasz jej.

– Nie przeżyjemy tutaj nocy.

– Mój mąż obiecał, że coś przyniesie.

– Że coś wymyśli. A i na to bym specjalnie nie liczyła.

– Nie pozwoli mi przecież zamarznąć.

– Obawiam się, że dla niego byłoby nawet lepiej, abyśmy zamieniły się w bryły lodu.

Amalia musiała ze smutkiem przyznać, że jej wierna służąca, a właściwie przyjaciółka, miała rację. Początkowo myśl o tym, że w zamku mogła się pojawić Milda, wlała w serce młodej kobiety nową nadzieję, lecz pod wpływem zimna i beznadziejnego położenia ta wiara zaczęła powoli ulatywać.

Przytuliła się mocniej do Katarzyny, powtarzając w duchu:

Mildo, tu jestem... Ratusz... Usłysz mnie!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Podczas gdy Amalia i Katarzyna wtulały się w siebie w ciemnicy, Milda siedziała samotnie w wielkiej i zimnej jadalnej sali, czekając, aż wreszcie pojawi się pan zamku.

Zniknął jej z oczu w momencie, gdy przekroczyli bramę i wjechali na dziedziniec. Wyglądało to na ucieczkę. Jego zachowanie zaskoczyło i zaniepokoiło dziewczynę, zwłaszcza że na Wawelu Zbigniew może i nie sprawił na niej dobrego wrażenia, ale przynajmniej zachowywał się w miarę normalnie, jak na prostego rycerza przystało. Dzisiaj było zupełnie inaczej. Wydawał się roztrzęsiony i jakby nieobecny duchem, a nade wszystko najwyraźniej starał się coś ukryć. Gdyby nie powołała się na królową, zapewne nie wpuściłby ich do środka.

To, że Amalia jest w tarapatkach, nie ulegało dla Mildy wątpliwości, pozostawało tylko pytanie – w jak wielkich? Czemu nie zeszła wraz z mężem, aby powitać przybyłych? Musiała przecież słyszeć, że przyjechali goście z Krakowa, powinna już tu być. Czy jest aż tak ciężko chora, że nie może się podnieść z łoża? To prawdopodobne, choć Mildzie trudno było w coś takiego uwierzyć. Nie ufała Zbigniewowi. Jeśli Amalia nie wyszła na powitanie gości, to istnieją dwa wyjaśnienia: albo nie ma jej na zamku, albo...

Albo jest tutaj więziona i nie może zrobić niczego bez zgody męża.

Milda chciała się tego dowiedzieć jak najszybciej, dlatego z każdą chwilą samotnego wyczekiwania narastało w niej rozdrażnienie. Może jednak powinna wstać od stołu i poszukać przyjaciółki na własną rękę? Wypytać kogoś ze służby? Wprawdzie ludzie w zamku, a zwłaszcza ta staruszka, która przyprowadziła ją tutaj, do jadalni, nie wyglądali przyjaźnie i unikali nawet spojrzenia Mildy, lecz chyba, do czarta, potrafią mówić ludzkim językiem i wiedzą, gdzie są komnaty ich pani?

A jeśli jej tu naprawdę nie ma? – przyszło nagle do głowy dziewczynie.

Po raz kolejny rozejrzała się po sali jadalnej. Była wielka, pusta i chłodna. Gdyby nie ogień w kominie oraz świece wetknięte w zawieszony u sufitu wielki koło od wozu, byłoby tu ciemno jak w pieczarze. Lecz nie to wydawało się dziwne. Raczej sam wystrój. Nie dostrzegła żadnego elementu, który nadawałby tej sali choćby pozory przytulności.

Inaczej mówiąc, nie widać tu było kobiecej ręki.

Żadnych tkanin, draperii, ozdób, zamiast tego zaschnięte psie kupy w kątach, kości na posadzce pokrytej brudną masą cuchnącego sitowia i zeschniętych ziół, sprany obrus na stole. Zauważyła, że półmisek z resztkami gnijących już owoców nieudolnie zakrywa dużą plamę po winie.

Tak wyglądają jadalnie, w których biesiadują sami mężczyźni.

Trudno uwierzyć, żeby Amalia, znana z zamięłowania do porządku i piękna, pozwoliła na takie zaniedbania ze strony służby. Zwłaszcza w dniu Bożego Narodzenia. W ogóle nie wyczuwało się tutaj świątecznej atmosfery, a przecież Milda wiedziała, jak ważne to dni dla Polaków.

Na Litwie, rzecz jasna, również w tym okresie świętowano (choć z zupełnie innej przyczyny), jednak Gody w Krakowie traktowano dużo poważniej i o wiele bardziej uroczyście. Amalia lubiła ten czas, bo w ogóle uwielbiała wszelkie okazje do zabawy. Dlaczego więc teraz o nich zapomniała?

Gdzie mogła być?

Wyjechała?

Do kogo mogła wyjechać, skoro prawdopodobnie nie miała żadnych znajomych w okolicy? W dodatku dopiero co była chora i z tego właśnie powodu nie mogła przybyć do Krakowa razem z mężem.

Nie, to nie miało sensu.

Chciała już wstać, aby ruszyć na poszukiwanie przyjaciółki, gdy w drzwiach sali wreszcie ukazał się Zbigniew.

– Gdzie ona jest? – zapytała bez żadnych wstępów, podnosząc się powoli z ławy.

Miała ściśnięte gardło.

Pan na Rożnowie ubrany był teraz na czarno, nosił jakąś luźną szatę, długą do kostek, bez żadnych ozdób, która nadawała mu wygląd mnicha, co dodatkowo podkreślał zawieszony na piersi srebrny krzyż.

To jeszcze bardziej zaniepokoiło Mildę.

– Co z Amalią? – spytała.

Zbigniew wyłonił się z cienia i mogła już ujrzeć jego twarz: bladą, ściągniętą i pustą.

– Przybyliście za późno – wyszeptał.

– Co to znaczy „za późno”? Czy ona...? – Podeszła do niego powoli, wpatrując się uważnie w to nieruchome, wręcz nieludzkie oblicze.

– Moja najukochańsza małżonka trzy dni temu oddała ducha Bogu – rzekł cichym załamującym się głosem, a potem ukrył twarz w dłoniach i zaczął szlochać.

Milda miała wrażenie, jakby ktoś niespodziewanie uderzył ją pięścią w żołądek, skuliła się i przytrzymała krawędzi stołu. Zrobiło jej się ciemno przed oczami, do gardła napłynęła fala mdłości. W jednej chwili wszystko stało się jasne: jej złe przeczucia, dziwne zachowanie Zbigniewa oraz służby, brak świątecznej atmosfery.

Amalia, jej najdroższa Amalia nie...

Nie, to niemożliwe.

– Nie wierzę – rzekła zdławionym głosem, starając się siłą woli opanować mdłości.

Zbigniew wciąż zasłaniał twarz dłońmi; nie odpowiedział, tylko pokiwał głową na znak, że jednak to prawda.

– Nie wierzę – powtórzyła; do oczu napłynęły jej gorące łzy. – Czułabym to. A nie wyczuwam jej śmierci.

Musiała to powiedzieć, bo inaczej prawdopodobnie by oszalała, ale czy naprawdę wierzyła w swoje przeczucia? Jakaś część jej umysłu nie chciała się pogodzić ze straszliwą wieścią, lecz inny głos w jej głowie, głośniejszy i wyraźniejszy, już zaczął ją przekonywać, iż przybyła za późno, że zawiodła przyjaciółkę.

Czując, jak łzy spływają po jej policzkach, powoli usiadła z powrotem, położyła łokcie na stole i także ukryła twarz w dłoniach. Próbowwała się uspokoić i uporządkować myśli. Serce waliło jej w szaleńczym rytmie. Nie wyczuwam jej śmierci, powtarzała sobie w duchu. Nie wyczuwam jej śmierci. Amalia żyje.

Nie wiedziała, jak długo przebywała w tym stanie. Kiedy odsłoniła twarz, zobaczyła, że Zbigniew siedzi naprzeciwko niej, a ktoś zdążył już przynieść i postawić na stole wino i lichtarz z łojowymi świeczkami.

– Napijcie się – rzekł łagodnie gospodarz, podając jej cynowy kielich.

Bez słowa chwyciła naczynie i jednym haustem wypła zawartość.

– Jak to się stało? – spytała słabym głosem, odstawwszy kielich. Otarła oczy rękawem sukni.

– Gorączka. Niewinne z pozoru przeziębienie przeszło w chorobę płucną. Chorowała przez wiele, wiele dni. W ostatnim tygodniu jej się pogorszyło. Biedaczka gasła w oczach.

– Posyłałście po lekarza? – spytała Milda bezbarwnym głosem, patrząc niewidzącym wzrokiem na żółto-czerwony ogień w kominie.

– Naturalnie, że tak. Wezwałem dwóch najlepszych w okolicy. Pierwszy jednak się spóźnił, a drugi w ogóle do nas nie dotarł, wszystko z powodu tej piekielnej zamieci. Dopiero dzisiaj rano mogłem wysłać też wieści na Wawel, ale, jak widzę, śnieżycy zaczyna się od nowa. Jakby same niebiosy się na mnie uwzięły.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Ale przecież zamieć rozpętała się dopiero wczoraj. Zaskoczyła nas w drodze.

Zbigniew drgnął, jakby poczuł się urażony jej dociekliwością.

– Was zaskoczyła wczoraj, ale tu, w Rożnowie, trwa już od kilku dni, pani.

Przez długi czas milczeli, słyhać było jedynie wycie wiatru i trzask palącego się drewna.

– Co z małą Małgorzatą? – zapytała wreszcie Milda.

– Jest pod dobrą opieką.

– Chciałabym ją zobaczyć.

– Oczywiście. Lecz powiedziano mi, że teraz śpi.

Pokiwała głową.

Wiatr na zewnątrz przybrał na sile, z komina posypały się iskry.

– Chciałabym też zobaczyć Amalię – rzekła po chwili.

– Wczoraj pochowaliśmy ją w rodzinnej kaplicy. Mówiłem, że umarła trzy dni temu.

– Chodźmy tam.

– Teraz? Jest zamieć. Poza tym musicie coś zjeść.

– Nie jestem głodna.

Nie potrafiłaby nic przełknąć, nawet kolejnego kielicha wina. Musiała tam pójść – teraz, natychmiast, bez chwili zwłoki. Poczuć, że jej przyjaciółka naprawdę umarła. Bo mimo że Zbigniew wyglądał jak ktoś,

kto naprawdę przeżył wielki wstrząs, intuicja mówiła Mildzie, że nie można ufać temu człowiekowi. Było w nim za dużo fałszu, co dostrzegła już przy pierwszym spotkaniu – jego umysł wydawał się mroczny i nieprzenikniony. Poza tym...

Poza tym wciąż nie wyczuwała śmierci Amalii, a nauczyła się już wierzyć swoim wizjom oraz przecuciom. Gdyby jej przyjaciółka nie żyła, Milda wiedziałaby o tym już z chwilą przybycia do zamku. Potrafiła wychwycić wiele złych wibracji wypełniających to miejsce, zarówno prastarych i dawno zapomnianych, jak i całkiem świeżych, wszakże wszystkie jej nadprzyrodzone zmysły mówiły wyraźnie, że w przeciągu ostatnich dni nikt tu nie umarł, a już na pewno nie jej najbliższa przyjaciółka.

Uczepiła się tej myśli kurczowo, jak człowiek tonący w bagnie, który chwyta się śliskiej kłody drewna.

– Chodźmy – powiedziała stanowczym tonem.

Zbigniew właśnie po raz kolejny dolał sobie wina; znieruchomiał teraz i utkwiał w niej swój pusty wzrok kamiennej rzeźby.

– Pani, nie bądź dla mnie okrutna, nie każ mi znowu tam schodzić. – Twarz mu się wykrzywiła, jakby do płaczu. – Mój najdroższy anioł. Ukochana żona. Dlaczego Bóg mi ją zabrał? Czymże mu zawiniłem, ja nieszczęsny?

W głowie Mildy odezwał się ostrzegawczy sygnał.

Spojrzała baczniej na pana zamku.

O ile do tej pory wydawał się raczej szczery w swoim zachowaniu, jakby naprawdę coś nim niedawno wstrząsnęło, to teraz ujrzała, że Zbigniew zaczyna przed nią odgrywać jakąś rolę. Rolę zrozpaczonego wdowca. Czynił to jednak nieudolnie.

Czego on się boi? – pomyślała. Co chce przede mną ukryć? Nie trzeba mieć żadnych nadzwyczajnych zdolności, by dostrzec, jak dziwne jest jego zachowanie.

– Chcę odwiedzić grób Amalii – rzekła, podniósłszy się z miejsca, zaskoczona spokojem własnego głosu. W tej chwili nabrała całkowitej pewności, że ten człowiek ją oszukuje. Że Amalia żyje. – A jeśli nie czujecie się, panie, na siłach, by mi towarzyszyć, wezwijcie kogoś, by mnie tam zaprowadził.

Jego twarz natychmiast się zmieniła. Grymas płaczu zniknął jak starty dłońią, a na jego miejscu pojawił się inny: źle skrywanej irytacji. Milda

domyśliła się, iż ten mężczyzna nie może znieść faktu, że oto białogłowa, w dodatku młoda i pochodząca z dzikiej Litwy, przemawia do niego podobnym tonem. Gdyby mógł, dałby jej to odczuć, i to zapewne bardzo brutalnie, lecz najwyraźniej coś go powstrzymywało.

To też uznała za dowód, że Zbigniew czegoś się boi.

Wytrzymała jego spojrzenie.

Opanował się po chwili.

– Dobrze więc. – Westchnął ciężko. – Zaprowadzę was tam. Nie mogę wam, pani, odmówić ostatniego pożegnania z tak drogą waszemu sercu przyjaciółką.

Powoli wstał. Nieco chwiejnie, jak zauważyła Milda. Widocznie wypił już sporo, zanim w ogóle pojawił się w sali jadalnej. Może to i lepiej, pijacy łatwiej zdradzają swe tajemnice, ponieważ szybko tracą czujność; nauczyła się tego, pracując w karczmie Pod Czarnym Psem.

Rodzinną kaplicę mieściła się na samym końcu ogrodu, w północnej części zamku.

Aby tam dotrzeć, trzeba było pokonać dziedziniec, gdzie stały kosze z płonącym węglem dla wartowników, potem zaś minąć stajnie i przejść przez furtkę w murze zbudowanym z surowych kamieni. Niezbyt długa droga, lecz przy takiej pogodzie okazała się uciążliwa. Niesione wiatrem płatki śniegu oślepiły, białe zasy trudniały marsz. Mildzie i Zbigniewowi towarzyszył jakiś pacholek z pochodnią, z czego dziewczyna była zadowolona, bo miała już dość przebywania z tym człowiekiem sam na sam. Sługa szedł na przedzie, za nim pan zamku, na końcu zaś Milda.

– Na pogrzebie prawie nikogo nie było – powiedział głośno Zbigniew, starając się przekrzyczeć wiatr. – To przez pogodę. Poza tym tutejsi mieszkańcy to prości i nieufni ludzie. Nie zdążyli się przyzwyczaić do nowej pani.

Bo zapewne w ogóle nie było żadnego pogrzebu, pomyślała, lecz nic nie rzekła. Wątpiła, czy uczestnictwo w tego rodzaju ceremonii mogło zależeć od chęci, czy też niechęci poddanych. Z każdym słowem wypowiedanym

przez tego człowieka nabierała coraz większego przekonania, że wszystko to jest jednym wielkim oszustwem.

Lecz musiała mieć pewność, zanim zacznie działać.

I zanim powiadomi Varnasa oraz Gniewka.

Była już spokojna, wstrząs i rozpacz minęły, pozostała lodowata determinacja. Należało teraz tylko kontrolować sytuację. Nie mogła dać poznać temu nędznikowi, że go przejrzała.

Skuleni, walcząc z naporem wiatru i śniegu, podeszli do kaplicy. Szara prostokątna budowla wyłoniła się spod kłębowiska gałęzi. Trudno było oszacować jej rzeczywiste rozmiary, ponieważ cała zasypana była śniegiem. Stare drzwi z metalowymi okuciami zazgrzytały nieprzyjemnie, kiedy Zbigniew za nie pociągnął.

Ze środka uderzył w nich zatęchły zapach krypty.

– Daj mi pochodnię! – nakazała pacholce Milda, a ten bez słowa spełnił jej polecenie.

Weszła ostrożnie do środka, oświetlając sobie drogę. Pomieszczenie było niewielkie i panował w nim niesamowity ziąb. Ujrzała trzy bazaltowe, jak się domyśliła, ozdobione reliefami sarkofagi. Zostały ustawione pośrodku kaplicy, na wysokich kamiennych postumentach. Niewiele jak na rodzinny grobowiec, lecz pozostałe mogły znajdować się na półkach wykutych w ścianach lub też zostały w nich zamurowane. Płomień pochodni chwiało się w przeciągu, rzucając ruchome cienie na łukowe sklepienie z cegieł. Układały się w przerażające postaci upiorów, wyciągających długie ręce w stronę Mildy. Tylko że ona nie bała się świata zmarłych, duchy nie mogły jej zrobić krzywdy, przeciwnie, zwykle okazywały się pomocne. Bardziej obawiała się teraz Zbigniewa, w którym wyczuwała mieszaninę szaleństwa, wyrachowania i bezwzględnego okrucieństwa.

– To ten? – Wolną ręką wskazała na sarkofag, na którym wyrzeźbiono leżącą, jakby pogrążoną w śnie, kobiecą postać.

– Tak. – Zbigniew stanął obok niej. – To miejsce było przygotowane dla mojej matki, lecz... – urwał, wyraźnie zmieszany.

Ponieważ Milda była szczególnie zainteresowana życiowymi bądź pośmiertnymi losami rodzicielki pana zamku, nie podjęła tematu. Zamiast tego pochyliła się i pogładziła dłonią szorstki i zimny kamień.

– Wracajmy już – nalegał Zbigniew. – Trudno tu wytrzymać przy takiej pogodzie.

– Możecie iść, jeśli chcecie – mruknęła Milda, nie odwracając wzroku od kamiennej płyty. – Ja chciałabym się jeszcze pomodlić za duszę zmarłej.

– Doprawdy...

– Idźcie już. To zaś możecie zabrać. – Wręczyła pochodnię zdumionemu rycerzowi.

– Chcecie zostać tu samotnie w ciemności? – spytał.

– Tak. Tego właśnie pragnę.

Opuścił kaplicę, ale Milda słyszała, że wraz z pachołkiem czeka na zewnątrz. Mrok, jaki nastał po jego wyjściu, sprawił, że natychmiast zaczęła głębiej odczuwać przepływające przez pomieszczenie niewidzialne prądy. Uklękła przy sarkofagu, położyła obie dłonie na zimnym kamieniu i zamknęła oczy, aby już absolutnie nic jej nie rozpraszało.

W myślach przywołała wszystkie siły, które towarzyszyły jej od dzieciństwa, odkąd tylko zaczęła doświadczać swoich dziwnych wizji. Zjawy nie miały imion ani nawet konkretnych kształtów: raz mogły przybrać formę ludzką, raz zwierzęcą, czasami objawiały się pod postacią drzewa czy też wiatru. Były łącznikami ze Światem Cieni. Milda wiedziała, że umarli pozostawiają zazwyczaj coś w rodzaju niewidzialnego śladu, czasami silniejszego, czasami słabszego, lecz możliwego do uchwycenia, jeśli duchy były temu przychylnie.

Bywało, że wizje pojawiały się nie wiadomo skąd, bez żadnego wysiłku z jej strony, mocne i wyraźne, jak choćby ta, która nawiedziła ją podczas tańców na Wawelu, kiedy indziej zaś Milda nie potrafiła przeniknąć mroku mimo największych starań.

Musiała więc bardzo się skoncentrować.

Ona, chrześcijanka z Krakowa, prosiła teraz wszystkie demony pogańskiej Litwy, aby przybyły jej na pomoc.

Nie miała pojęcia, jak długo tak klęczała z zamkniętymi oczami, zanim wreszcie go poczuła: stan, który najłatwiej byłoby porównać z tym, w jakim człowiek znajduje się niedługo przed zaśnięciem, kiedy balansuje na granicy jawy i snu, zanim całkowicie zanurzy się w tej drugiej krainie. Pod jej powiekami zaczęły się przesuwac niewyraźne obrazy, chaotyczne i dziwne, całkiem właśnie jak nocne zwidy. Spostrzegła starca w zbroi, starą kobietę o smutnej twarzy i młodą rudowłosą w białej sukni, doświadczała jakichś krótkotrwałych emocji, ale odległych niczym echa sprzed dziesięcioleci. I dochodziły one do Mildy gdzieś z boku, jakby z sąsiednich

sarkofagów, nie z tego, przy którym klęczała i w którym – wedle słów Zbigniewa – miała spocząć Amalia.

Ślady, jakie wychwytywała, pochodziły od obcych umarłych, a dominowała nad wszystkimi jakąś mroczna postać, chyba mężczyzny, emanująca złymi emocjami. W pewnym momencie jednak gdzieś, jakby z góry – bo na pewno nie z kamiennych trumien – zaczął się przebijać słaby dziewczęcy głos. Niby niepodobny do głosu Amalii, niższy i nieco bezosobowy, lecz mógł brzmieć obco pod wpływem zniekształcenia, co czasami w takich przekazach się zdarzało. Milda wyteżyła siły, aby złowić choć słowo. Musiała odepchnąć od siebie wszystko inne, przede wszystkim zaś zignorować obecność tamtej mrocznej postaci.

Mildo...

Czyżby ktoś zwracał się do niej po imieniu?

Ratuj...

Wizję tę przerwało pojawienie się Zbigniewa z pochodnią.

– Dosyć tego, pani – odezwał się ze złością. – Idziemy! To nie miejsce na odprawianie diabelskich czarów.

Ocknęła się i chwilę potrwało, zanim dotarły do niej jego słowa. Widocznie mówiła coś podczas wizji. Powoli skinęła głową, wciąż słysząc gdzieś w głębi duszy tamte słowa: *Mildo, ratuj*. Czy rzeczywiście je usłyszała, czy też sama to sobie dopowiedziała? Były tak słabe i niewyraźne, w dodatku nie brzmiały, jakby wypowiadała je Amalia...

– Tak, macie rację – odrzekła cicho. – Wystarczy już.

Powoli wstała. Teraz też zaczęło już dokuczać jej zimno.

– Kto tu jeszcze został pochowany? – spytała, gdy wychodzili.

– Mój ojciec, babka i moja pierwsza żona. Chodźmy już, na Boga, bo zaraz zamarzniemy oboje na śmierć.

Milda jeszcze raz obrzuciła spojrzeniem sarkofag. Ciężka pokrywa wyglądała na nienaruszoną i nic nie wskazywało na to, żeby ktoś ją ostatnio otwierał. Nie podzieliła się jednak tym odkryciem z mężem Amalii. Wiedziała już, co chciała wiedzieć.

Co do jednego miała pewność: Amalii tutaj nie było.

Znajdowała się gdzieś w zamku i wzywała pomocy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Śnieg, który z początku wpadał przez wąskie okienko do środka lochu tylko w postaci pojedynczych płatków, osiadał teraz w zagłębieniach muru i pod nim.

Dwie skulone pod futrem kobiety zaczęły powoli tracić nadzieję na ratunek z zewnątrz. Obejmowały się mocno, żeby złapać od siebie nawzajem trochę ciepła, ale było go coraz mniej. Zamarzały. Nikt o nich nie wiedział, a jedyna świadoma ich obecności tutaj osoba nie miała żadnego interesu w tym, żeby przetrwały. Nie mówiąc już o wypuszczeniu ich na wolność. Wręcz przeciwnie, póki na zamku byli obcy ludzie, one musiały pozostać w ukryciu. Sprawy zaszły zbyt daleko, żeby teraz Zbigniew mógł pozwolić sobie na odruch słabości.

Zresztą nigdy jej nie okazywał, dlaczego więc miałyby to robić teraz?

Jeśli do Roźnowa przybyli jacyś ważni goście – w co Amalia nie przestawała gorąco wierzyć – w tym momencie ważyły się przecież także i jego losy.

– Słyszałaś to, pani? – odezwała się w pewnej chwili Katarzyna.

– Co? – Amalia jakby ocknęła się z płytkiej drzemki. Być może nawet rzeczywiście zasnęła. Słyszała kiedyś, że śmierć z zimna jest bezbolesna, po prostu w pewnym momencie się zasypia.

– Jakby jakieś głosy.

Zaczęły bacznie nasłuchiwać.

– Nie, nikogo nie ma – uznała w końcu Amalia. – To tylko ten wiatr.

– Przecież musi tu być jakiś strażnik, prawda?

– Był ktoś taki, kiedy mój mąż więził Zofię. Pamiętam, bo właśnie strażnik mnie tu wtedy zaprowadził.

– Więc go zawołajmy – powiedziała Katarzyna. – Nie możemy siedzieć tak beczynnie, pani. Umrzemy tutaj. Nie zostawił nam nawet wody ani jedzenia. Swoje psy trzyma w lepszych warunkach.

Amalia głośno przełknęła ślinę.

– Masz rację. Musimy walczyć.

Myślała już o tym wcześniej, ale wciąż paraliżował ją strach o życie córki. Zbigniew zagroził przecież, że jeśli Amalia będzie krzyczeć, utopi Małgorzatę pod lodem. Zdała sobie teraz sprawę, że straszył ją tak przy każdej okazji, ponieważ dobrze wiedział, że to najskuteczniejsza metoda. Poza tym jak by miał spełnić swoją groźbę w obecności przybyłych? Nie, nie mogły siedzieć tu cicho, czekając na śmierć. Ta niespodziewana i niedogodna dla Zbigniewa wizyta była prawdopodobnie ich jedyną i ostatnią szansą na ocalenie. Musiały zaryzykować i wykorzystać wszystkie możliwości, jakie im pozostały.

Dosłownie wszystkie.

Energicznym ruchem wydostała się spod ciężkiego futra i podeszła do drzwi.

– Jest tam kto? – krzyknęła.

Katarzyna podniosła się również, jakby w przypływie nowych sił, wszystko było lepsze niż bierność.

– Pomocy! – krzyknęły jednocześnie.

Amalia zaczęła uderzać pięściami w okute drzwi, lecz wywołało to tylko głuchy odgłos, jakby wydobywający się gdzieś z dna studni. Krzyczały jeszcze przez chwilę, zanim opadły z sił.

– Nikt nas nie słyszy – stwierdziła z rozpaczą Amalia.

Albo nikogo tam nie było, albo strażnik otrzymał polecenie, aby nie podchodzić do drzwi celi.

– Okno – powiedziała Katarzyna. – Może stamtąd ktoś usłyszy wołanie.

Spojrzały na niewielki okratowany otwór pod sklepieniem. Był za wysoko, aby mogły się do niego dostać.

Amalia rozejrzała się gorączkowo po celi. W jej kącie dostrzegła pień, służący zapewne jakiemuś przetrzymywanemu tu nieszczęśnikowi za stołek, bo cóż innego by tu robił? Nieważne, powinien się nadać. Bez słowa ruszyła w tamtą stronę i już po chwili ustawiła go pod oknem. Podtrzymywana przez Katarzynę, weszła na pień i uchwyciła się lodowatych prętów. Czubkiem buta namacała szczelinę w murze, wspięła się po niej wyżej, tak żeby jej twarz znalazła się przy samym otworze.

Momentalnie zrozumiała, że wszystko to na nic.

Okienko wychodziło na las i płynący dołem Dunajec. Silny prąd rzeki rozbijał pokrywający ją w tej części lód. Huk wody uderzającej o lodowe tafle zagłuszyłby całkowicie nawet najgłośniejsze krzyki. Tylko ktoś stojący tuż przy okienku na zewnątrz mógłby je usłyszeć. I to też pod warunkiem, że uważnie by się wsłuchiwał. Dopiero teraz Amalia uświadomiła sobie ogrom okrucieństwa swojego małżonka.

Tutaj nikt nigdy ich nie znajdzie.

Były zgubione.

Rozczarowanie stało się tym boleśniesz, że jeszcze przed chwilą naprawdę miała nadzieję, że może jej się udać. Czuła, jak dłonie zaczynają jej przymarzać do prętów, z trudem oderwała palce i zeskoczyła na dół.

– Nic z tego – powiedziała, a Katarzyna tylko opuściła głowę.

– Jak długo zamierzacie, pani, tu zostać? – zapytał Zbigniew, pochylony nad misą.

Po wizycie w kaplicy powrócili do sali jadalnej, gdzie czekał już na nich skromny posiłek: sery, pasztety, polewka, a do tego, rzecz jasna, kolejny dzban wina.

– Jeśli to nie kłopot, do rana. Wyjedziemy o świcie – odparła Milda.

– To żaden kłopot. Możecie zatrzymać się tak długo, jak tylko pragniecie. Być może wydałem się wam mało gościnnie, ale sami rozumiecie, wciąż nie mogę się otrząsnąć po tej tragedii.

– To zrozumiałe.

Nie patrzyła na niego; ze wzrokiem utkwionym w półmisku jadła ser. Zamierzała najeść się do syta, aby nabrać nieco sił, uporządkować myśli i przystąpić do poszukiwań Amalii.

Na początek zamierzała pójść do komnaty przyjaciółki, lecz nie mówiła jeszcze o tym Zbigniewowi, nie chcąc zbyt wcześnie pobudzić jego czujności. Już i tak z trudem hamował gniew, kiedy musiał ją zaprowadzić do kaplicy. Nie był głupi, wiedział, że Milda mu nie ufa. Należało więc teraz go uspokoić i udawać, że wizyta w grobowcu rozwiała wszelkie jej wątpliwości.

– Wina? – zaproponował.

– Nie. Dziękuję.

Oczywiście sam sobie dołał.

– Amalia dużo mi o was opowiadała – rzekł swobodniejszym już tonem, podnosząc kielich do ust. W blasku świec błysnął pierścień na jego palcu.

– Doprawdy?

– Kochała was jak siostrę.

– Ja ją również. Znamy się prawie od dzieciństwa.

– Dostrzegam nawet pewne podobieństwo charakterów.

– Co dokładnie macie na myśli, panie? – zapytała bez szczególnego zainteresowania, ponieważ myśli miała zajęte ważniejszymi sprawami.

– Upór.

Nie wiedziała, jak ma to skomentować, pomyślała jedynie, że ów „upór” nie jest cechą, jaką gospodarz najbardziej ceni u niewiast, i zapewne jej przyjaciółka musiała za niego drogo zapłacić.

Na tym chyba podobieństwa się nie kończyły, bowiem im więcej Zbigniew pił, tym bardziej zmieniał się również sposób, w jaki przyglądał się Mildzie. Wyraźnie już rozluźniony, czerwony na twarzy, patrzył na nią coraz bezczelniej. Znała takie spojrzenia z karczmy, kiedy obsługiwała wszelkiej maści opilców. Czy zastanawia się teraz, ile zdrowych dzieci mogłabym urodzić? – pomyślała, starając się opanować wstręt do siedzącego naprzeciwko niej mężczyzny. Przebywanie z nim sam na sam było męczące, lecz nie chciała go teraz drażnić, toteż udawała, że niczego nie dostrzega. Wolą, by czuł się raczej zbyt pewnie niż w jakikolwiek sposób zagrożony.

W pewnym momencie Zbigniew klasnął głośno w dłonie i ruchem głowy przywołał do siebie jasnowłosego chłopaka, który dolewał wina do dzbanka. Gdy służący do niego podszedł, rycerz kazał mu się nachylić, po czym powiedział coś do ucha. Chłopak skinął głową i szybko wyszedł z sali.

Milda zeszywniała, starając się wyczytać z twarzy gospodarza, o co chodzi. Lecz ten uśmiechał się tylko głupkowato, wyraźnie z siebie zadowolony.

– Obiecałem wam coś i zamierzam dotrzymać obietnicy – rzekł, dostrzegłszy jej niepokój. – Zbigniew z Rożnowa, który przelewał krew za króla, zawsze dotrzymuje obietnic. Nie na darmo nosi ten herb.

Z hukiem uderzył się pięścią w pierś, za późno dostrzegając, że jest w czarnej szacie bez żadnego herbu.

– To znaczy... – wybąkał.

Ale przerwała mu szybko:

– O jaką obietnicę chodzi?

– To niespodzianka, miła pani.

Niespodzianki były tym, czego właśnie pragnęła uniknąć, lecz zrozumiała, że niczego się od tego człowieka nie dowie. Nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać.

Po krótkim czasie wszystko się wyjaśniło. Do sali jadalnej ostrożnie wsunęła się kobieta, trzymająca na rękach dziecko.

– Oto moja przepiękna córka, Małgorzata – oświadczył uroczyście Zbigniew, a Milda poczuła, że zalewa ją fala ulgi i radości. Dziewczynka miała takie same włosy jak jej matka, natomiast jasnoniebieskie, niemal przezroczyste oczy odziedziczyła po ojcu.

Amalii śniło się, że znów jest małą ośmioletnią dziewczynką i wraz z Szymkiem bawią się na wawelskim dziedzińcu. Było pusto, jak prawie nigdy w tym miejscu, a i jej towarzysz zachowywał się dziwnie, ponieważ nie odzywał się do niej. Nie potrafiła nawet zrozumieć, na czym polegała ich zabawa, po prostu wspinali się na jakieś pagórki, może w poszukiwaniu skarbów.

– Strasznie tu zimno – rzekła mała Amalia.

Rzeczywiście, wstrząsały nią dreszcze i zapragnęła jak najszybciej wrócić do komnaty dwórek.

– Nie bądź głupia – odparł poważnie Szymek. – Jest przecież środek lata.

Zbudziła się nagle, uświadamiając sobie, że ktoś szarpie ją za ramię.

– Obudźcie się pani, szybko!

Głos Katarzyny. Cichy, lecz podekscytowany.

Amalia w mgnieniu oka wróciła do ponurej rzeczywistości: mroku i zimna piwnicznego lochu.

– Co?

– Ktoś zszedł do piwnicy, pani, i zmierza w naszą stronę.

– Naprawdę? – zapytała, jeszcze nie do końca przytomna. – Kto do nas idzie?

– Skąd mam wiedzieć? Pewnie on, bo któżby inny?

Zazgrzytała zasuwa i obie kobiety zerwały się na równe nogi.

Śliczna czarnowłosa dziewczynka, mająca około roku, nie mogła być nikim innym, jak tylko Małgorzatą, córką Amalii.

Milda zerwała się z miejsca i podbiegła do trzymającej ją na rękach opiekunki o wyjątkowo ponurej i tępej twarzy.

Poczuła łzy pod powiekami. Mała była tak podobna do swojej matki, że nie było ani cienia wątpliwości, czyim Małgorzata jest dzieckiem.

– Chodź do mnie, maleńka. – Milda wyciągnęła do niej rękę. – Niech cię przytulę.

Kobieta cofnęła się o krok, jednocześnie obracając się w jej kierunku barkiem, jakby chciała ochronić małą.

– Spokojnie – rzekł do opiekunki Zbigniew. – To przyjaciółka mojej małżonki. Obiecałem jej, że zobaczy Małgorzatę. A ja obietnicę dotrzymuję.

Tamta, wciąż nieufna, podała dziecko Mildzie. Ciepłe, pachnące mlekiem maleństwo wtuliło się w nią, jakby czuło, że w tych objęciach będzie bezpieczne.

– Mój Boże, jaka ty jesteś słodka, moja maleńka.

Wyglądało na to, że córka Amalii była tu należycie traktowana. Dobrze odkarmiona, czysta, odziana w podbity popielicami aksamitny kubraczek z koronkowym kołnierzem, wyglądała jak mała księżniczka. Milda spojrzała w duże niebieskie oczy dziewczynki i całkowicie zatoneła w tym czystym spojrzeniu.

– Gdzie twoja mama, skarbie? – wyszeptała.

Zbigniew albo usłyszał jej słowa, albo też w swym podejrzliwym umyśle domyślił się, że coś jest nie tak, bo zeszywniał i natychmiast zainterweniował:

– Dobrze, wystarczy już. Dziecko jest zmęczone.

I wtedy Małgorzata zaczęła głośno płakać.

Posępna opiekunka zrobiła krok w stronę Mildy, chcąc odebrać jej dziecko, ale Litwinka spojrzała na nią w taki sposób, że tamta od razu się wycofała, pospiesznie czyniąc znak krzyża.

– Pani... – odezwał się groźnym tonem Zbigniew, cała jego poprzednia uprzejmość gdzieś się ulotniła.

Wszakże go nie słuchała.

Przytuliła twarz do ciepłej buzi dziecka i zamknęła oczy. Natychmiast pojawiły się obrazy, zwykle tak się działo w obecności małych dzieci, które były najsilniejszym przekaźnikiem wizji. Poczowała, jak w jej głowie zaczął narastać szum, a świat wokół zawirował. Zniknęła jadalnia, zniknął pan zamku, jego służąca i dziecko. Milda stała się na moment małą Małgorzatą i właśnie spoglądała przerażona na jakiś korytarz, po którym ciągnięto jej matkę, Amalię. Tym zaś, kto ją szarpał i popychał, był Zbigniew. Milda wyraźnie widziała jego wykrzywioną strachem i wściekłością twarz. W tle majaczyły jakieś schody.

Wiedziała już wszystko.

– Znajdę twoją mamę – szepnęła, oddając dziecko służącej.

Przysięgam, dokończyła w myślach.

Amalia i Katarzyna czekały w napięciu, aż drzwi do lochu się otworzą, przekonane, że zaraz stanie w nich Zbigniew. Albo ruszyło go sumienie i przyniósł im coś do rozgrzania się i jedzenia, albo...

No właśnie: albo co? Wyprowadzi je stąd wreszcie i Amalia wróci do swojej sypialni? Goście wyjechali? Niemożliwe, aby opuścili zamek tak szybko, skoro już znaleźli się w środku. Nie przy takiej pogodzie. W każdym razie obie kobiety nie miały pojęcia, na co się przygotować.

– Bogu dziękować, nie zamarzyście jeszcze. – Usłyszały znajomy głos.

– Hanna? – Amalia wydała z siebie cichy jęk, jakby ujrzała ducha.

– A niby kto inny? – Staruszka się uśmiechnęła. – Święta Kinga, myślałyście? Pewnie, że ja. Żyjecie?

Padły sobie w objęcia.

– Co ten drań wam zrobił! – Znachorka z niedowierzaniem pokręciła głową, kiedy wreszcie się rozłączyły. – Zimno tu jak w psiarni. Szubienica byłaby dla niego zbyt łagodną karą.

– Wypuścisz nas, Hanno? – spytała z nadzieją w głosie Amalia.

– Na razie nie mogę – odparła tamta. – Strażnik pilnuje wejścia. Nie wpuściliby was nawet na schody. Sama z trudem tu weszłam.

– Jakim sposobem?

– Dzięki temu nicponiowi. – Ruchem głowy wskazała na korytarz. – Wejdz, Jędrzeju – nakazała.

Do celi wsunął się strażnik, posępny młody człowiek, dźwigający żelazny koszyk z węglem. Postawił go na środku celi, po czym prędko i niezdarnie uklonił się kobietom. Widać było, że targają nim sprzeczne uczucia. Zapewne bał się reakcji Zbigniewa.

– Uratowałam kiedyś od śmierci jego młodszą siostrę. Obiecał wtedy nieopatrnie, że będzie mi to pamiętał i się odpłaci. No i, na nieszczęście dla niego, nadszedł teraz ten czas.

Amalia spojrzała na ponurego chłopaka, który bez słowa zaczął rozpalać ogień w koszu.

– Kiedy tylko usłyszeliśmy we wsi, że zajechali na zamek jacyś goście – kontynuowała Hanna – od razu poszłam pod bramę. Miałam nadzieję, że zdołam im jakoś przekazać, że mąż więzi was w komnacie, niestety, zdążyli już wejść do środka. Może to i dobrze, bo na szczęście Jędrzej tam stał i pił ze strażnikami. I to od niego dowiedziałam się, że pan zdążył was ukryć przed gośćmi w lochu. Gdybym powiedziała im o komnacie, nikogo by już tam nie zastali.

– Mało z nimi piłem – mruknął młodzieniec znad krzesiwa, jakby to było w całej sprawie najważniejsze.

– Nie było łatwo coś z niego wyciągnąć, ale nieboraczek zeni się niedługo i nie chciałby, żeby ktoś rzucił na niego klątwę męskiej niemocy. Prawda, Jędrzeju?

– Nie wierzę w nijakie czary – odparł nieprzekonująco chłopak. – Z dobroci serca pomogłem. Bo was szanuję, mimo żeście szpetna i na dodatek garbata.

– Pięknie dziękuję za te dworne słowa. – Staruszka się uśmiechnęła.

– Wiecie, co to za goście? – zwróciła się Amalia do Hanny.

– Nie wiem. Ponoć zacni. Ze stolicy. Tyle że draby pilnują zamku, sami nic nie mówią.

– Białogłowa jest z nimi – wtrącił się Jędrzej. – Jasne włosy, młoda i nadobna. Gwizdaliśmy przy bramie, jak ją zobaczyliśmy.

– Milda! – niemal wykrzyknęła Amalia.

– Na to wygląda – odrzekła Hanna.

– Oby tylko ten suczy syn nie zrobił jej krzywdy.

– Jeśli prawdą jest to, co słyszałam o tej Litwince, to obawiałabym się teraz raczej o twojego małżonka, pani.

Zapłonęły węgle i trzy kobiety odruchowo zbliżyły się do kosza.

Strażnik tymczasem wyszedł na korytarz i po chwili przyniósł stamtąd dodatkowe futra. Były to wprawdzie źle wyprawione, ale ciepłe skóry wilcze. Potem przytargał jeszcze duży wiklinowy kosz z chlebem, serem i winem w gąsiorku.

– Ogrzejcie się i zjedzcie coś – powiedziała Hanna. – A ja zobaczę, co się da zrobić tam na górze. Obiecuję wam, że Milda nie wyjedzie stąd, nie dowiedziawszy się, co z wami. Choćby mnie mieli za to kijami zatłuc.

– Ratujesz nam życie – wyszeptała Amalia, czując, że do oczu napływają jej łzy.

Ciepło płynące z kosza tak przyjemnie promieniowało, rozgrzewając całe jej ciało.

– No dobrze – odezwała się Milda, gdy służąca wyniosła małą Małgorzatę z sali jadalnej i Litwinka znów została sama ze Zbigniewem. – Koniec tych gierek. Gdzie uwięziliście Amalię?

– Szalona niewiasto!

– Darujcie sobie. Powiedziałam: dosyć tych gierek.

– Jak śmiecie mnie obrażać w moim własnym domu?

– Gdzie Amalia?

– Ona nie żyje!

– To kłamstwo. Trumna waszej matki nadal jest pusta. Moja przyjaciółka przebywa gdzieś tutaj, na zamku. Chcę zobaczyć jej komnaty. Chcę zobaczyć wszystkie tutejsze pomieszczenia, łącznie z lochami.

Zbigniew zrobił się jeszcze bardziej czerwony na twarzy.

– Nie wpuszczę cię, więdźmo, do świętego miejsca, gdzie mieszkała moja ukochana żona – wycodził przez zęby. – Jesteś wysłanniczką diabła. Dostrzegłem to od razu.

– A kto powiedział, że proszę was o pozwolenie? Sprawdzę sama.

Ruszyła w kierunku drzwi, lecz musiała się zatrzymać, bo niespodziewanie wyrosło w nich dwóch mężczyzn w kolczugach.

– Co to ma znaczyć? – spytała zdumiona.

– To, że powinniście wrócić do stołu, łaskawa pani – odparł Zbigniew, wskazując jej ławę. – W przeciwnym wypadku każę tym ludziom zawlec was tu za włosy.

– Chcecie mnie uwięzić?

– Siadajcie z powrotem – nakazał.

Powoli wróciła na swoje miejsce, zastanawiając się, jak szybko Varnas zorientuje się, że sytuacja uległa drastycznej zmianie. Wierzyła, że potrafił takie rzeczy zrozumieć od razu. A może te zbiry już go zabiły? Nie, to niemożliwe, nie dałby się tego typu oprychom. Zapewne czeka z Gniewkiem na jej sygnał, tak jak się umawiali.

Tyle że już było za późno na wysyłanie sygnałów.

Zbyttnio się pospieszyła.

O tak, popełniła gruby błąd, odkrywając bez przygotowania wszystkie karty.

Usiadła, a Zbigniew znów zajął miejsce naprzeciwko niej.

– Może wina? – zaproponował spokojnym już głosem.

Potwierdziła.

Nalał jej, na powrót uśmiechnięty, jakby cała złość nagle go opuściła.

– Jeśli mówiłem, że jesteście podobni do mojej małżonki – rzekł, podając jej kielich – miałem na myśli to, że obie służycie diabłu i obie lubicie węszyć. Jak suki.

Starła się uspokoić oddech.

– Dlaczego uważacie, że Amalia służy diabłu? – spytała, aby podtrzymać rozmowę i zyskać na czasie.

Machnął lekceważąco ręką.

– Nieważne, już ona wie dlaczego. Dobrze wie.

Wie, pomyślała Milda. A nie: wiedziała.

– Ważne teraz jest co innego – ciągnął gospodarz. – A mianowicie wasze diabelstwo. Ono musi być ukarane.

– Nie możecie mnie zabić – powiedziała, starając się, by jej głos zabrzmiał pewnie, lecz efekt daleki był od ideału. – Wszyscy na Wawelu wiedzą, że tu przyjechałam.

– A mało to zbójów na drodze w tych podłych czasach? – Zbigniew spojrzał jej w oczy. – Znajdą was, razem z pacholkami, gdzieś w lesie, wiele mil stąd. Was, czcigodna pani, ci zbójcy splugawią jeszcze przed śmiercią, postaram się o to. Bo zbójcy zazwyczaj tak robią, nieprawdaż?

Jednym słowem, nigdy tu nie dotarliście. Nikt mi złego słowa nie powie. Moja żona umarła na płucną chorobę, was zaś napadli złoczyńcy. Zły los tak chciał, wola Boga. Kto wie, może nawet ich wyłapię i powieszę, aby was pomścić. Królowa niewątpliwie byłaby mi za to bardzo wdzięczna.

Zrobiło jej się zimno, ten człowiek nie żartował.

– A co z Amalią? – wyszeptała.

Westchnął i spojrzał na nią z politowaniem

– Przecież ona już nie żyje. Mówiłem wam, ale odkąd tu jesteście, nie słuchacie mnie uważnie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Według szacunków Varnasa zamkowa straż nie była zbyt liczna – najwyżej ośmiu ludzi.

Wszyscy ci, którzy wyszli na mury, kiedy Varnas, Milda i Gniewko tu przybyli. Dwóch pozostało teraz przy bramie, jeden obserwował dziedziniec z przyklejonego do wieży ganku ze spadzistym gontowym dachem – miejsce to sprawiało wrażenie ptasiego gniazda – trzech zaś krążyło przy schodach, kolejny zszedł w towarzystwie jakiejś starej garbatej kobiety do lochów, no i był jeszcze grubas, który nie spuszczał oka z Varnasa i Gniewka.

Wszyscy oni wydawali się ospali, podpici i słabo wyszkoleni.

A czego tak gorliwie pilnowali? – Litwin domyślał się, że pan Roźnowa niejedno ma na sumieniu, skoro cała straż staje w pełnej gotowości nawet podczas wizyty młodej białogłowy.

Nie podobał mu się ten zamek.

Wciąż jednak czekał na znak od Mildy. Wraz z młodym rycerzem krążyli między stajniami a zabudowaniami gospodarczymi, udając mało rozgarniętych pachołków, nasłuchując rozmów i starając się wydobyć od służby i wartowników cokolwiek, co mogłoby się przydać w razie potyczki. Prawdę powiedziawszy, niewiele tego było. Dowiedzieli się od młodego stajennego, że pani Amalia ciągle siedzi w swoich komnatach, a od mężczyzny odgarniającego śnieg przed wejściem, że w ogóle jej nie widują.

Że chora ponoć.

O panu w ogóle nie chcieli mówić. Widać było wyraźnie, że boją się go jak diabła.

Kiedy w Krakowie opracowywali plan, umówili się tak, że jeśli tylko Milda spotka swoją przyjaciółkę i okaże się, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, natychmiast da bratu znać. Tymczasem mijała już

kolejna godzina bez sygnału. Varnas zaczynał się niepokoić. Niemożliwe, aby siostra zapomniała, że cały czas tutaj czuwają. Jeśli nie wysyła sygnału, może to oznaczać tylko dwie rzeczy: że wciąż nie jest pewna sytuacji albo że ktoś jej na to nie pozwala.

Ta druga ewentualność bardzo, ale to bardzo mu się nie spodobała.

Toteż postanowił rozejrzeć się dokładniej.

– Gniewko, byłoby dobrze, jakbyś na chwilę odciągnął uwagę tego grubasa – zwrócił się do młodego rycerza, gdy znowu znaleźli się w stajni, przy koniach.

– Zaczyna się? – spytał młodzieniec.

– Nie wiem. Ale denerwuje mnie już to czekanie.

Gniewko skinął głową.

Przez cały czas zachowywał się bardzo odpowiedzialnie, znosząc ze spokojem rolę, jaką mu wyznaczono. Z pewnością inaczej sobie wyobrażał tę przygodę i wolałby zajechać do Roźnowa w blasku rycerskiej chwały, z uniesioną przyłbicą, pokonać złego smoka i uwolnić białogłową więzioną w kamiennej wieży, tymczasem musiał udawać pachółka czy stajennego i kręcić się bez celu między końmi a gnojówką. Mimo to nie narzekał i był cierpliwy. Varnas zdążył polubić chłopaka, chociaż wciąż miał jak najgorsze zdanie o młodych rycerzach.

– Zapytaj tłuściocha o latrynę.

– Nie odczuwam potrzeby...

– Odczuwasz, i to wielką.

– Aha, rozumiem.

– Zapewne pójdzie za tobą i będzie pilnował, żebyś nie pobłądził albo przypadkiem nie wszedł do zamku. Przytrzymaj go tam jak najdłużej, a ja w tym czasie prześlizgnę się do kuchni.

– Rozumiem. Już teraz?

– Nie ma na co czekać, druhu.

Chłopak położył rękę na brzuchu i krzywiąc się, jak na gust Varnasa nieco nadmiernie, podszedł do otyłego wartownika i zaczął mu coś tłumaczyć. Tamten nie krył irytacji, zadawał jakieś dodatkowe pytania, jak gdyby tego typu rzecz jak czyjaś pilna naturalna potrzeba wymagała wyjaśnień czy też specjalnej konsultacji, w końcu jednak wskazał na jakiś budynek. Gniewko

ruszył w tym kierunku, a wartownik, zupełnie jak to przewidział Varnas, podążył z wolna w ślad za młodzieńcem. Z pewnością miał przykazane, aby nawet na chwilę nie spuszczać ich z oczu, co też dało Litwinowi do myślenia. To, że podążając za chłopakiem do wygodki, gruby nie mógł pilnować Varnasa, widocznie przerastało już zdolności organizacyjne wartownika.

Czarnowłosa wojownik tylko na to czekał. Błyskawicznie podszedł do sań i spod futer wyjął ukryty tam sztylet. Schował go w rękawie oponczy, po czym wyszedł na dziedziniec, uważając, by nie dostrzegł go strażnik czuwający w przyklejonym do muru gnieździe. Miał szczęście, bo tamten chyba się ukrył przed śnieżycą w głębi wartowni. Varnas szybko wślizgnął się do wielkiej zamkowej sieni. Spodziewał się ujrzeć jakiegoś zbrojnego przy schodach, lecz nikogo takiego nie było. Kolejny dar od losu. Napotkał tylko siwowłosego sługę, który niezdarnie próbował złapać spacerującą po posadzce kure.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – rzekł z krzywym uśmiechem do starego.

Zdumiony mężczyzna stanął jak wryty, z szeroko otwartymi ustami.

– Na wieki wieków – wybąkał tylko.

– Gdzie kuchnia?

Tamten ruchem głowy wskazał mu drogę.

Pomieszczenie, w którym Varnas się znalazł, było dużo bardziej imponujące, niż można by przypuszczać na podstawie zaniedbanego dziedzińca i równie zaniedbanej sieni. Podejrzał, iż jest tak dlatego, że kuchnię zarządzały kobiety, a pan zamku niewiele miał tu do powiedzenia.

Zobaczył kopułowy piec chlebowy, mnóstwo beczek, antałków i koszy. Na ścianie nad kominem wisiały kiełbasy, co przypomniało mu, że od rana nic nie jadł. Było tu przyjemnie ciepło od ognia w piecu i na palenisku.

– A wy tu czego? – groźnie powitała go czarnowłosa kobieta, zapewne kucharka.

– Nie macie, czcigodna pani, garnuszka gorącego mleka dla głodnego pachółka? – Zrobił pokorną minę.

– Wy od tej pani, co na górze? – spytała nieufnie.

– Właśnie.

– Jak tu wleźliście?

– Zwyczajnie. Przez drzwi.

– Pozwolono wam?

– Ano.

Kobieta wytarła dłonie o fartuch, położyła je na biodrach. Jej spojrzenie złagodniało. Przystojny czarnowłosy mężczyzna nie wyglądał na ostatniego zbira.

– I nic wam nie dali do żarcia?

– Zapomniano o nas, dobrodziejko.

– Eh, pan za dużo pije, o wszystkim zapomina. Zaraz wam coś przygotuję.

– Jesteście prawdziwym aniołem.

– Dobrze, dobrze. – Urwała kawałek kielbasy. – Z Krakowa?

– Tak.

– Znacie Kachnę? To moja najmłodsza córka, służy tam u Niemca z mennicy.

– Taka młoda?

– No.

– To chyba znam. Dobrze jej się wiedzie.

– Dam wam jeszcze barszczu. Zimno, a dzisiaj Boże Narodzenie przecież.

– Dziękujemy. Nasza pani dalej na górze?

– Tak. Byli gdzieś z panem Zbigniewem w ogrodzie, nie wiem, czego tam szukali w tej zamieci, ale już wrócili.

– Biesiadują, jak mniemam.

– Ano biesiadują, tylko wejść tam nie wolno.

– A to czemu?

– Straż pilnuje wejścia.

– Straż? – Varnas spojrzął czujnie na kobietę.

– Coś tam niedobrego się dzieje po mojemu. Gdzie idziecie? Barszczu nie wzięliście.

Litwin szybkim krokiem wychodził z kuchni.

– Wielkie dzięki – rzucił przez ramię – zjemy później.

Gdy wrócił do stajni, Gniewko i wartownik byli już przy koniach.

– A ty gdzie się szwendałeś? – spytał grubas.

– Śpiewałem kolędy z kucharką – odparł Varnas, nawet na niego nie patrząc, po czym zwrócił się do młodego rycerza: – Przynieś broń. Idziemy na górę.

– Że co? – Tłusciuch wydawał się zdumiony.

Litwin bez słowa chwycił go za kołnierz i przyciągnął do siebie, po czym uderzył głową strażnika o drewniany słup podtrzymujący dach stajni. Tamten stracił przytomność i bezwładnie się osunął na ziemię. Niedługo później Varnas i Gniewko – jeden uzbrojony w miecz, drugi w topór – znaleźli się w sieni zamku, czujni, przyczajeni do skoku. Już mieli wejść na schody, kiedy wyrosła przed nimi garbata staruszka.

– Wy jesteście bratem Mildy? – zwróciła się do Varnasa, wcale niezdziwiona ani tym bardziej niespeszona ich obecnością oraz bronią, jaką przy sobie mieli.

– Skąd to wiecie? – spytał Litwin.

Widział już tę kobietę, jak szła ze strażnikiem do lochów.

– Domyśliłam się. Poprowadzę was schodami dla służby, żeby ci na górze nie widzieli, że nadchodzicie.

– Kim jesteście?

– Przyjaciółką. Pani Amalia więziona jest w lochach. Na razie nic jej tam nie grozi, za to wasza siostra jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Chodźcie za mną.

Milda intensywnie wpatrywała się w Zbigniewa, modląc się w duchu już tylko o jedno.

Mianowicie o to, by wypite przez niego wino – a pił i dolewał sobie co chwila – zmusiło go wreszcie do odejścia choćby na chwilę od stołu. To była jej jedyna szansa na zmianę biegu zdarzeń, które potoczyły się w tak niefortunnym kierunku. Powoli zaczynała wątpić, czy się tego doczeka, gospodarz zdawał się mieć zaiste przepastny pęcherz.

Wreszcie jednak nadeszła owa upragniona przez nią chwila.

– Przykro mi, że tak to się musiało skończyć. – Zbigniew podniósł się ciężko. – Same jednak jesteście sobie winne. Służycie diabłu, a ja wyznaczam tylko karę, jestem mieczem w ręku Pana. Musicie mi teraz na chwilę wybaczyć, pani.

Odkąd uwięził ją w tym pomieszczeniu, wyraźnie delektował się swą przewagą, jak każdy łotr i okrutnik. A to był poważny błąd. Mógł kazać ją zabić od razu, lecz poczucie pewności siebie w połączeniu z zamroczeniem alkoholowym osłabiło jego czujność. Bo niby czego miał się obawiać?

Kruczej białogłowy? Dwóch nieuzbrojonych pacholców w stajni? Zdawało mu się, że całkowicie panuje nad sytuacją, a Milda nie miała zamiaru wyprowadzać go z błędu.

Strażnicy wycofali się w głąb korytarza, kiedy pan zamku wychodził z sali, aby oddać mocz, chyba gdzieś bezpośrednio przy schodach, jak na prostaka przystało. Oni też czuli się pewnie, mając tak łatwe zadanie, czyli pilnowanie, by dziewczyna pozostała przy stole. Dziecinnie proste. Tyle że ta dziewczyna, o czym nie mieli pojęcia, była o wiele niebezpieczniejsza, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka.

Kiedy tylko Zbigniew odwrócił się do niej plecami i ruszył ku drzwiom, Milda poszukała ukrytego pod suknią lnianego woreczka. Sprawnie rozwiązała supełek i sięgnęła palcami po znajdujący się w środku proszek. Nabrała szczyptę, po czym wsypała go do swojego kielicha. Trucizna, podebrana z półki aptekarza Zenobiusza, miała skomplikowaną łacińską nazwę, lecz dziewczyna przyzwyczajona była do starej, tej, której nauczyła ją jeszcze na Litwie Ina.

Wężowa Sól.

W odpowiedniej dawce powodowała chwilowy paraliż, coś, co można by nazwać pozorną śmiercią.

Dzisiaj Milda nie mogła dokładnie odważyć właściwej dozy Wężowej Soli, lecz perspektywa przedawkowania wcale nie wydała jej się straszna. Najwyżej przesoliła.

Z mocno bijącym sercem zamieszała winem, a następnie, udając, że strzepuje okruchy z obrusa, podmieniła kielichy. Szybko i sprawnie. Były identyczne, ozdobione herbem Zbigniewa, toteż gospodarz nie powinien się zorientować. Jeśli wypije zawartość swojego kielicha, na pewien czas zostanie całkowicie unieszkodliwiony, a może i na zawsze. Strażnicy, pozbawieni pana, nie będą wiedzieli, co robić. Podejmowanie decyzji na własną rękę nie leżało w ich naturze. Pewnie pod wpływem zaskoczenia stracą głowę i pierwsze, co zrobią, to postarają się pomóc Zbigniewowi, tymczasem ona będzie miała szansę się wymknąć albo przynajmniej wołać o pomoc. Należało jedynie się modlić, by pan na Roźnowie kontynuował libację.

I aby jakimś gwałtownym ruchem nie wylał wina.

Zbigniew powrócił do stołu z tym samym uśmiechem, z jakim odchodził.

– Wydałem właśnie rozkaz, aby zabito waszych pacholków – oświadczył swobodnym tonem, jakby przekazywał jej, że wydał nowe dyspozycje w kuchni.

– Czym oni wam zawinili? – spytała, przestraszona teraz, czy Varnas sobie poradzi z uzbrojonymi zbirami.

– A co mam niby z nimi zrobić?

– Splamicie się krwią w dniu Bożych Narodzin?

Drgnął. Widocznie w ogóle o tym nie pomyślał. Wszakże szybko odzyskał pewność siebie.

– Taka jest wola boska.

– Boska czy wasza?

– Powiedziałem już, że jestem tylko mieczem w ręku Sprawiedliwego.

Sięgnęła po swój kielich, starając się zasugerować jego mrocznemu umysłowi, że zostało jeszcze coś do wypicia, lecz Zbigniew nie uczynił żadnego ruchu. Zaniepokoiło ją to.

– Opowiedzcie mi o swojej matce – rzekła.

Przypomniała sobie bowiem, jak był zmieszany, kiedy w kaplicy wspomniął, iż trumna była przygotowana dla jego rodzicielki.

Trafiła w czuły punkt, bo uśmiezek zniknął z jego twarzy.

– Co powiedzieliście?

– Dlaczego nie leży w rodzinnym grobowcu? A może wcale nie umarła?

– Jak śmiesz, więdźmo? – wysyczał.

– Uciekła czy wyrzekła się was? – zaryzykowała, a wyraz twarzy Zbigniewa potwierdził, że znów trafiła.

– Milcz!

– Nie kochała takiego zwyrodniałego syna jak ty? Takiego małego potwora?

Podniósł się, trącając udem stół, przez co odrobina wina wylała się na obrus, a Mildzie serce zamarło w piersi.

– Nie masz prawa o niej wspominać, diablico!

– A więc uciekła. Nawet nie wiesz dokąd, prawda? Nie wiesz, widzę to.

– Ty czarownico, ona nigdzie nie uciekła! – wrzasnął, aż zaniepokojeni strażnicy zajrzeli do środka. – Ona...

– Jeśli nie, to gdzie jest? – naciskała Milda.

Po pierwsze, liczyła, że krzyki zaalarmują Varnasa i Gniewka, po drugie, chciała, aby Zbigniew stracił nad sobą kontrolę.

I dopięła swego. Machinalnie sięgnął po kielich i wypił duszkiem całą jego zawartość.

– Ty...

Nie dokończył. Najpierw zajrzał do kielicha, jakby smak wina go zaskoczył, potem czknął i skrzywił się niemiłosiernie. Chwilę stał bez ruchu, w końcu odstawił pusty kielich i ze zwieszoną głową przytrzymał się krawędzi stołu. Potem spojrzął na Mildę zdumionym, mętniejszym już wzrokiem.

Truczina działała bardzo szybko, dziewczyna sama była tym zaskoczona.

– Co to...?

– Myślę, że wypiliście dzisiaj o jeden kielich wina za dużo, panie – odparła zimno. – A po mojemu macie do tego za słabą głowę.

– Straże! – wychrypiał, zanim zwałił się ciężko pod stół.

Milda przygotowała się na wtargnięcie strażników, jednakże zamiast tego usłyszała dobiegające z korytarza krzyki i odgłosy walki. Krótkiej walki. Dwa głucho uderzenia świadczyły o dwóch upadających na ziemię ciałach. Chwilę potem do sali wbiegli Varnas i Gniewko. Obaj byli uzbrojeni.

– Mildo! – krzyknął jej brat.

– Nic mi nie jest – odparła, starając się zapanować nad drżeniem głosu. – Ale Bogu dzięki, że przyszliście.

– Co z nim? – Varnas wskazał głową na leżącego pod stołem gospodarza.

– Żyje, ale przez jakiś czas nie wstanie – odparła. – Chodźmy po Amalię.

Kiedy znaleźli się na korytarzu, przybiegł do nich jakiś pies. Szczekając zawzięcie, próbował prowadzić ich w stronę bocznych schodów.

– Platon? Tak, to Platon.

Milda przyjrzała się bliżej zwierzakowi. Wprawdzie był wychudzony i zaniedbany, sierść miał skołtunioną, lecz nie dało się go pomylić z żadnym innym psem pod słońcem. Litwinka pamiętała, jak kiedyś biegał po wawelskich pokojach. Był prezentem dla Amalii od Szymka.

– Dobry piesek, prowadź do pani – powiedziała teraz.

Platon zaczął zbiegać po schodach. Podążyli w ślad za nim.

Już w lochach czekała na nich garbata staruszka.

– Co z resztą strażników? – spytał Varnas, podczas gdy jakiś chłopak mocował się z kłódką od drzwi prowadzących do celi.

– Jeśli nie liczyć tego tutaj – kobieta spojrzała na Jędrzeja – na dole nie ma już żadnego.

Kiedy otworzyły się drzwi do celi, pierwszy wpadł do środka z radosnych szczekaniem Platon. Skoczył na skuloną w kącie Amalię i z przeraźliwym jazgotem zaczął wykonywać wokół niej psi taniec szczęścia, lizał ją po twarzy i po rękach, przypadał do nóg.

Milda poczuła, jak łzy spływają jej po policzkach. Ujrzała swoją piękną przyjaciółkę wynędzniałą i z podkrążonymi oczami. Piękne kiedyś czarne włosy zmatowiały i opadały w smętnych strąkach wokół bladej twarzy. Obok niej, na stercie szmat siedziała jej służąca. Obie kobiety bliskie były zamarznięcia.

– Amalio...

– Mildo...

Amalia próbowała wstać, ale Platon wciąż ją przewracał swoim ciężarem. Kiedy w końcu jej się to udało, przyjaciółki padły sobie w objęcia, płacząc, jakby znów miały po dziesięć lat.

– Wiedziałałam, że po mnie przyjdiesz. – Amalia nie mogła opanować spazmatycznego szlochu. – Wiedziałałam.

– Usłyszałam twoje wołanie. Po prostu.

No tak, „po prostu”, Amalia uśmiechnęła się przez łzy. Cała Milda.

– Wracajmy szybko na górę, zanim ten potwór się obudzi. – Litwinka pierwsza opanowała emocje. – Nie znam dokładnie działania ziół, które mu podałam w winie, nie wiem więc, jak długo pozostawiają one człowieka w nieświadomości.

– Nie wiesz? – zdziwiła się Amalia.

– Nie, ale od tej pory już na pewno będę wiedziała. Pospieszmy się.



CZĘŚĆ DRUGA
DAMY I RUSAŁKI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Asyż, styczeń 1397

Dopiero pod koniec drugiego tygodnia pobytu w gospodzie U Lodovica udało się wreszcie Miłoszowi zwrócić na siebie uwagę ślicznej córki właściciela, Emilii.

Lodovico miał aż cztery córki. Trzy młodsze – kilkuletnie złośliwe diabllice, Lauretta, Magdalena oraz Isabetta – z racji dziecięcego wieku pozostawały, rzecz jasna, poza obrębem zainteresowań młodzieńca z Krakowa, choć nieustannie go prowokowały swoimi żartami oraz zaczepkami.

Natomiast ta czwarta...

No cóż, ta czwarta sprawiła, że już przy pierwszym, przelotnym spotkaniu, gdy dziewczyna usługiwała podczas kolacji i jedynie musnęła go suknią, Miłosz, który uchwycił przy tym zapach Emilii, przepadł z kretesem. Jeszcze nigdy w swym szesnastoletnim życiu nie widział tak płomiennego spojrzenia. Czarne oczy, osłonięte długimi rzęsami, rzuciły na niego czar. Już tej samej nocy nie mógł zasnąć, mimo że podczas owych chwil przy wieczerzy oczy te nie zatrzymały się na Miłoszu dłużej, niż wymagała tego zwykła uprzejmość.

A on zawsze był kochliwy, lecz tym razem poczuł się wręcz chory z miłości.

Czuł na przemian przypływy gorąca i zimna, jakby dopadła go febra, i rzucał się na posłaniu na piętrze gospody, pod spadzistym sufitem, pośród zapachu siana. Myśli chłopaka krążyły uparcie tylko wokół Emilii. Zdawało mu się, że już wie o niej wszystko, choć tak naprawdę było tego niewiele. Zaledwie tyle, że jest od niego nieco starsza – wypytał o to jednego z pachółków jeszcze przy posiłku – wysoka, trzymała się prosto, miała pełne piersi i chociaż pomagała tylko przy obsłudze gości, w oczach

Miłosza czyniła to z godnością szlachcianki albo i nawet perskiej księżniczki z saraceńskich bajek.

Jednym słowem, natychmiast stała się jego kobiecym ideałem.

Do tej gospody trafili wraz z Wojciechem Jastrzębcem, kanclerzem królowej Jadwigi, i to raczej przypadkowo, po wielu perypetiach.

Przybyli do Asyżu w listopadzie, wioząc ze sobą listy od królowej Jadwigi i króla Władysława do papieża Bonifacego IX. Na czele delegacji stał właśnie Wojciech, a oprócz młodego skryby Miłosza, który miał się uczyć przy wuju sztuki dyplomacji, w skład poselstwa wchodził jeszcze kanonik Rafał od Świętego Floriana, a także nauczyciel szkoły katedralnej na Wawelu, Bartłomiej z Jasła.

Ojciec Święty od dawna już nie przebywał w Rzymie, albowiem został stamtąd wygnany przez miejski motłoch, co jeszcze bardziej nadszarpięło jego autorytet, i tak już mocno osłabiony z powodu trwającej od lat schizmy, pozwalającej na urzędowanie drugiego papieża mającego swą siedzibę w Awinionie.

Z początku Miłosz żałował, iż nie dane mu będzie ujrzeć Romy, świętego miasta słynnych cesarzy i Piotra, pierwszego namiestnika Chrystusa, lecz doświadczeni towarzysze szybko go uspokoili.

– To zwykła dziura – pewnego dnia wytłumaczył chłopakowi Wojciech, który do Watykanu jeździł z poselstwami jeszcze w czasach, gdy na papieskim tronie siedział Urban VI, a Wojciech reprezentował wówczas interesy gnieźnieńskiego biskupa. – Mój chłopcze, na tych słynnych z historii wzgórzach, pośród ruin, łązą teraz kozy, owce i krowy. Grzebią pośród rozsypujących się starożytnych kolumn i dzisiejszych lepianek. Nawet Bazylika Świętego Piotra nie może się równać z byle pałacem w Mediolanie albo we Florencji.

– I mnóstwo kurtyzan – dopowiedział Bartłomiej z Jasła.

– O tak – przytaknął Wojciech. – Zwłaszcza na Zatybrzu. Ale w te miejsca lepiej się nie zapuszczać. Znałem kilku nieroztropnych dyplomatów, którzy tam stracili życie.

Okazało się jednak, że nawet w prowincjonalnym Asyżu audiencja nie jest sprawą tak prostą, jak mogłoby się wydawać komuś takiemu jak

Miłosz, dopiero uczący się sztuki dyplomacji. Kiedy dotarli do miasta, po uciążliwej jesiennej przeprawie przez Alpy, od razu poinformowano ich, iż papież przebywa akurat w Perugii. W dodatku zachorował na płuca, pozostaje w łóżu i nikogo nie przyjmuje.

Cóż począć, służba nie družba, trzeba było poczekać na jego powrót.

Na początku zamieszkali w pałacu biskupa Palermo, Cesarego Viscontiego, który wynajmował pokoje przyjezdnym, gdyż sam przebywał głównie na Sycylii. Wszakże szybko trzeba było się z tego miejsca ewakuować, gdyż – głównie ku zgorszeniu Wojciecha Jastrzębca – lokum to przypominało bardziej rzymski lupanar niżli siedzibę duchownego, wprost roiło się w nim od kurtyzan z Italii, Francji i Hiszpanii oraz ich klientów. Tak więc wysłannicy z Krakowa przenieśli się szybko do klasztoru dominikanów, gdzie przez kilka tygodni spać musieli we wspólnym dormitorium, wraz z interesantami i pielgrzymami ze wszystkich stron chrześcijańskiego świata.

I tak mogli mówić o dużym szczęściu.

Bo w Asyżu po prostu brakowało już miejsc na nocleg.

Jeśli nawet papież Bonifacy był pasterzem wypędzonym przez swoje własne owce, a na dodatek jego duchowego przywództwa nie uznawano w wielu krajach Europy, to wciąż jednak opłacało się zabiegać o jego względy. Dlatego też Asyż był wprost oblegany – przybywali tu nie tylko królewscy dyplomaci i biskupi walczący o swoje beneficja, ale i szemrani duchowni proszący o zdjęcie z nich prawdziwej czy urojonej klątwy, nawiedzeni prorocy, wędrowni kaznodzieje, a przede wszystkim bankierzy upominający się w kurii o swoje pieniądze. Jak Miłosz przekonał się bardzo szybko, to sprawy finansowe decydowały ostatecznie w kontaktach z Ojcem Świętym. Nie można było załatwić najprostszej sprawy, jeśli się wcześniej komuś nie zapłaciło.

Po mieście krążyła złośliwa piosenka, śpiewana zwykle nocami przez rozochoconą młodzież:

*Quam ad papam veneris, habe pro constati,
Non est locum pauperi, solo favet danti.*

Co oznaczało po prostu:

*Przybędziesz do papieża, miej to na uwadze:
Tu nie miejsce ubogich, sprzyja tym, co dadzą.*

Wojciech Jastrzębiec nie pierwszy raz przybywał do papieża, toteż doskonale znał reguły finansowej gry. Ze środków przeznaczonych na ten cel przez królową Jadwigę opłacił wielu obecnych w mieście kardynałów, aby ci sprzyjali polskim interesom, głównie zabiegom o utworzenie wydziału teologicznego w Krakowie. Dla samego Ojca Świętego także przywieźli bogate dary: dwie złote wazy, cztery sobolowe szuby i gronostaje.

Trudniejszym niż przekupstwo zadaniem okazało się jednak znalezienie noclegu. Tutaj żadne sumy nie pomagały, bo wszystkie kwatery w Asyżu zostały dawno zajęte, do ostatniej izby. Kiedy w dominikańskim dormitorium zrobiło się już za ciasno, a Ojciec Święty wciąż nie wracał, Wojciech i Miłosz znaleźli miejsce na piętrze gospody U Lodovica. I to też tylko dzięki znajomościom. Dzień po tym, jak się tam przenieśli, papież wreszcie przyjechał do Asyżu i Wojciech, Bartłomiej oraz Rafał mogli w końcu poprosić o audiencję, a kiedy udzielono im na nią zgody, poszli przekazać królewskie listy i dary najwyższemu dostojnikowi Kościoła. Miłosz został wówczas w gospodzie, ponieważ był trochę przeziębiony.

Ale wtedy i tak myśli miał już zajęte czym innym.

Gdy czekali na kolejną audiencję i papieską odpowiedź, młodzieniec stale szukał okazji, aby zbliżyć się do powabnej, czarnowłosej i czarnookiej, Emilii. Z początku dziewczyna zdawała się ignorować młodego Polaka o wyglądzie cherubina, po kilku dniach jednak nie mogła już dalej udawać, iż nie dostrzega, że przybysz z Krakowa nie odrywa od niej wzroku. Chyba ją to bawiło, a nawet trochę imponowało. Miłosz był przystojnym młodzieńcem, wysokim i szczupłym, o jasnych włosach skreconych w loki, w dodatku wiadano w gospodzie, że uczy się sztuki dyplomacji.

Pewnego popołudnia, w godzinie zmierzchu, nazywanej tutaj *vespro*, dziewczyna odezwała się w końcu do niego po włosku. Miłosz znał zaledwie kilkanaście zdań w tym języku, lecz ratując się francuskimi i łacińskimi zwrotami, a także zrozumiałymi dla każdego gestami, zdołał z nią chwilę porozmawiać. Emilia zapytała, jak podoba mu się w Asyżu, na co odparł, że tak naprawdę niewiele jeszcze widział, bo zimowa aura nie

sprzyjała zwiedzaniu, lecz byłby szczęśliwy, gdyby pokazała mu najciekawsze miejsca.

Mając ją za przewodniczkę, poszedłby nawet do piekła.

Tego akurat nie powiedział, lecz dziewczyna musiała dobrze o tym wiedzieć. Odgarnęła z czoła kosmyk włosów, uśmiechnęła się i rzekła tylko:

– *Domani!*

Czyli jutro. To słowo akurat dobrze znał, albowiem używali go nagminnie wszyscy interesanci w mieście.

Następnego ranka wstał w znakomitym nastroju.

Nawet głośne bicie dzwonów, które zazwyczaj działało mu na nerwy, tego dnia brzmiało w jego uszach jak najśłodsza muzyka. Zdawało mu się, że rozpoznaje już po dźwiękach rozedrganego metalu, z których kościołów dochodzą konkretne dźwięki. Te powolne i majestatyczne musiały dobiegać z katedry Świętego Rufina, z kolei ciepły i głęboki ton należał zapewne do dzwonu kołyszącego się na wieży kościoła Świętej Klary. Do koncertu rozgrywającego się *supra urbem* – nad całym miastem – przyłączyły się także dzwonnice kościołów Świętego Mikołaja, Świętego Jerzego, a także Świętego Damiana oraz najbardziej odległego, leżącego już w dolinie, Świętej Maryi Anielskiej.

Ubierając się, Miłosz zerknął przez okienko, czy nie ma śniegu albo deszczu. Na szczęście nie padało, choć niebo było pochmurne. Ponieważ Asyż wznosił się wysoko nad okolicą, spiętrzony na zboczu góry Subasio, chłopak wyobrażał sobie, że Emilia zaprowadzi go w miejsce, skąd rozciąga się widok na rozległą dolinę Spoleto i dzikie górskie pustkowia. Byłaby to wymarzona sceneria ich pierwszej schadzki, jeśli w ogóle miała to być schadzka.

Zresztą dokądkolwiek pójdą, będzie szczęśliwy.

To nie miasta ani górskich widoków tak naprawdę był ciekaw, tym bardziej że o tej porze roku było tu zimno i wilgotno. Wciąż padał śnieg na zmianę z zimnym deszczem, zatem panująca aura zupełnie nie zachęcała do wycieczek. Miał nadzieję, że dziewczyna zna jakieś przytulne miejsce, gdzie mogliby się lepiej poznać.

Kiedy był już ubrany, do izby wszedł Wojciech Jastrzębiec, który zwykle wstawał przed świtem i od rana załatwiał w mieście jakieś sprawy.

– Musisz się przebrać – rzucił już od drzwi.

– Przebrać?

– Tak. W najlepsze rzeczy. Te z mniejszego kufra.

– Co się stało?

– A jak myślisz? Po co tu przyjechaliśmy?

Wojciech był mężczyzną około czterdziestoletnim, o regularnych rysach twarzy, mimo wyraźnie zbyt długiego nosa. Jasna broda skręcona w gęste loki i takie same włosy nadawały mu wygląd łagodnego poczciwca, lecz były to tylko pozory. Potrafił być szorstki i nieprzyjemny w obejściu, nie znosił sprzeciwu i zawsze wiedział, jak dopiąć swego.

– Audiencja? – spytał Miłosz.

– Tak. Papież przyjmie nas w południe.

– Mnie również?

– Czas, byś się zaprezentował. Może jeszcze nie raz będziesz do niego przyjeżdżał. Nie wziąłem cię z Krakowa do towarzystwa, tylko na nauki.

Niedługo przed południem, odziani w najlepsze płaszcze, w ozdobionych pawimi piórami kapeluszach, wszyscy krakowscy posłowie zbliżali się do zamku Rocca Maggiore, olbrzymiej kamiennej cytadeli, w której rezydował wypędzony z Romy Ojciec Święty. Budowla wznosiła się wysoko nad miastem, na szczycie wzgórza. W ponurym styczniowym świetle, na tle zaciągniętego chmurami nieba, jej cztery kwadratowe wieże zdawały się posępne, surowe i niedostępne, co sprawiało, że Miłosz czuł się jeszcze bardziej przestraszony niż rano, kiedy dowiedział się, iż stanie przed obliczem samego papieża. Ich konie wspinały się z wysiłkiem stromymi wąskimi uliczkami, obramowanymi starymi domkami z różowego kamienia. Jeźdźcy co chwila musieli przystawać, aby przepuścić prowadzone na targ owce czy też wozy z jarzynami.

Im wyżej się znajdowali, tym piękniejszy mieli przed sobą widok na miasto i otaczające je góry, a także rozległą dolinę ciągnącą się od Perugia do Spello, Foligno i Spoleto. Wojciech nie tracił czasu na podziwianie krajobrazów i udzielał w tym czasie siostrzeńcowi ostatnich wskazówek

i rad na temat zachowania się podczas audiencji. Było to raczej przypomnienie najważniejszych zasad, gdyż wiele razy omawiali już te sprawy podczas długiej podróży z Krakowa do Italii.

– Być może będziesz dzisiaj świadkiem bardzo ważnego wydarzenia – rzekł w pewnym momencie. – Doszły mnie słuchy, choć to wszystko jeszcze nie zostało potwierdzone, że papież ma wyrazić zgodę na utworzenie w Krakowie wydziału teologicznego.

– Naprawdę? – zdumiał się Miłosz, wiedział bowiem, że ta sprawa ciągnęła się od dobrych dziesięciu lat i wszyscy na Wawelu powoli tracili nadzieję na jej pomyślne rozwiązanie. – Czemu zawdzięczamy tę łaskę?

– Żadna to łaska – burknął jadący za nimi Bartłomiej z Jasła. – Takie same pozwolenia nasz dobry papa dał, i to bez zbędnych ceregieli, uczelniom w Ferrarze, Pawii i Budzie.

– Skąd więc taka zwłoka?

– Z trzech przynajmniej powodów – odparł Wojciech. – Po pierwsze, papież nie przepada za naszym królem. Nie bardzo chyba wierzy w jego nawrócenie. Po drugie, kuria od zawsze robiła problemy z wydziałem teologicznym miastom, gdzie działało już dominikańskie Studium Generale. No a do tego wszystkiego doszły jeszcze sprawy z biskupem Piotrem Wyszem. Chciałby być kanclerzem uniwersytetu, a Jego Świątobliwość ma najwidoczniej na to stanowisko innego kandydata.

– Dlatego królowa tym razem nie przysłała tutaj Piotra Wysza? – przytomnie zapytał młody skryba.

– Dokładnie, chłopcze. W zamian za to przysłała dużo gotówki, a ta naszemu papieżowi wciąż jest potrzebna, zważywszy na to, że utrzymuje własną armię, a cały skarbiec i administrację finansową wywieziono z Rzymu do Awinionu. Gdzie, jak dobrze wiesz, są teraz w rękach jego konkurenta, uzurpatora Benedykta XIII.

– No tak.

Miłosz nie był jeszcze może obeznany w polityce, ale o słabości papieża do pieniędzy wiedział, tak jak wiedzieli o tym wszyscy. Bonifacy nie miał skrupułów, jeśli chodziło o gromadzenie gotówki, nie rezygnował z najmniejszych nawet dochodów. Jego urzędnicy przemierzali całą Europę, strasząc piekłem i sprzedając po wygórowanych cenach odpusty całkowite, czyli prawdziwe weksle pozwalające na wstęp po śmierci do raju. Handlowali również relikwiami: gwoździemi, drzazgami z krzyża,

paznokciami, piszczelami, a nawet przedmiotami należącymi ponoć do samej Matki Boskiej. O samym Bonifacym mawiano, że tylko raz w czasie swego pontyfikatu zrobił coś za darmo, mianowicie ekskomunikował urzędującego w Awinionie drugiego papieża Klemensa VII.

– I jest jeszcze jedna sprawa – ciągnął Wojciech. Wspięli się już tak wysoko, że widzieli otaczający Asyż pierścień murów obronnych wraz z ich blankowanymi bramami, a za nim puste teraz winnice oraz gaje oliwne. – W naszej części Europy, na wschodzie, zmienia się powoli układ sił. I nie chodzi wcale o króla Władysława ani o umiłowaną królową Jadwigę.

– O księcia Aleksandra?

– Otóż właśnie. O naszego starego, dobrego Witolda.

– A jego nawrócenie na prawdziwą wiarę nie wydało się papieżowi podejrzanym?

Wojciech prychnął lekko, uśmiechnął się jakby bezwiednie, czym sprawił wrażenie, iż nie ma ochoty odpowiadać na to pytanie. Mijali akurat kępę cyprysów, które na moment przesłoniły im widok na zamek, ale jednocześnie chroniły przed coraz mocniejszym styczniowym wiatrem.

W końcu dyplomata niechętnie podjął temat:

– Odkąd został na Litwie Wielkim Księciem, Witold zdaje się Jego Świątobliwości wzorcem chrześcijanina. – Nie można było nie wyczuć ironii w jego głosie. – Książę umie układać się z Zakonem, a na dodatek Bonifacy widzi w nim maczugę nie tylko na Tatarów, ale, kto wie, w przyszłości nawet na Turków. Teraz zrobi więc wszystko, by podtrzymać swoje wpływy i w Polsce, i na Litwie.

– Będzie wojna z Tatarami?

– Wcześniej czy później na pewno. Co do Turków, nie byłbym tego taki pewny. Piękne czasy krucjat dawno minęły. Kościół nie ma już ani takiej siły, ani posłuchu. Ale niech się papież łudzi, że to możliwe, jeśli dzięki temu my uzyskujemy swoje.

Świadomość, że wuj oraz jego towarzysze wtajemniczają go w tak zawiłe sprawy, a w dodatku on sam stanie niedługo przed samym papieżem, Bożym Namiestnikiem, sprawiła, że Miłosz przestał nareszcie myśleć o Emilii i o spotkaniu, jakie prawdopodobnie dzisiaj mu przepadnie. Teraz poczuł się uczestnikiem wielkich wydarzeń, jakby co najmniej on sam pociągał za sznurki.

Nareszcie – ponieważ zaczął już sypać drobny śnieg – dotarli do zbudowanych z różowego kamienia zamkowych murów.

Po przekroczeniu niewielkiej bramy, gdzie musieli pokazać odpowiednie pisma strażnikom z halabardami, krakowscy posłańcy znaleźli się na dziedzińcu z ułożonych w jodełkę kamieni. Choć z zewnątrz zamek imponował swą wielkością, tutaj, w obrębie murów, Miłoszowi zdał się ciasny i raczej pustawy. Kręcili się wprawdzie jacyś pacholki oraz kilku duchownych w prostych wełnianych sutannach, zapewne kapelani, lecz młodzieniec nie dostrzegł nikogo naprawdę znacznego.

A spodziewał się przecież lśniących infuł, pastorałów, przepychu złota oraz purpury. No bo jak inaczej można wyobrazić sobie papieski dwór?

Wojciech odgadł jego zdziwienie oraz rozczarowanie.

– Na zamku przebywa z papieżem tylko kilku ważniejszych kardynałów – wyjaśnił, zeskakując z siodła, podtrzymywany przez pazia. – Większość mieszka w mieście, w willach oraz pałacach.

– A wielu pozostało w Rzymie – dodał kanonik Rafał. – Żeby tam trzymać rękę na pulsie.

Oczekiwanie na mistrza ceremonii, który miał zaprowadzić Polaków przed papieskie oblicze, trwało dość długo. W tym czasie umieszczono ich w niewielkiej mrocznej, ale dobrze nagrzej sali na parterze zamku. Wreszcie nadszedł otyły mężczyzna, z podwójnym podbródkiem, w cappa magna, i przedstawił się jako kardynał Rafael Verrochio. Widocznie znał Wojciecha, bo uśmiechnął się i porozmawiał z nim przez chwilę, a następnie zapytał o Miłosza oraz o to, czy młodzieniec zna nakazy protokołu.

Potem poprowadził wszystkich zaskakująco wąskimi kamiennymi schodami na piętro, gdzie skręcili w lewo. Gdy – minawszy strażników oraz paziów – stanęli przed drzwiami papieskiej komnaty, Miłoszowi mocniej zabiło serce.

Z racji swojego urodzenia, a także pozycji wuja na wawelskim dworze, przywykł do przebywania w doborowym towarzystwie, przedstawiono go nawet królowej Jadwidze. Ale niewielu młodzieńców z Polski miało okazję stanąć przed samym rzymskim papieżem, następcą świętego Piotra. Prawdę mówiąc, Miłosz nie znał nikogo takiego. Dlatego czuł się teraz tak, jak poczuł się pewnego dnia, kiedy przebywali Alpy, a on, podczas jednego z postojów, stanął niemal na skraju urwiska. Doznał wtedy zawrotu głowy,

oszołomiony potęgą i pięknem rozciągającego się przed nim krajobrazu, a jednocześnie przerażony wysokością.

Dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się i Verrochio wyćwiczonym głosem zaanonsował gości. Widocznie od razu otrzymał pozwolenie na ich wejście, gdyż ruchem głowy nakazał posłańcom, by podążyli za nim.

Znaleźli się w dosyć dużej, lecz mrocznej sali, którą rozświetlało tylko światło z niewielkich i wysoko umieszczonych wykuszowych okien, a także blask świec z pięcioramiennych kandelabrow, ustawionych na kolumnowych postumentach w rogach pomieszczenia. Ze swoimi surowymi kolumnami i ostrołukami sala przywodziła na myśl wnętrze kościoła.

Papież Bonifacy zasiadał na tronie, stojącym na podwyższeniu, do którego droga wiodła między dwoma rzędami dębowych krzeseł zajętych teraz przez dostojników Kościoła – odzianych w purpurę i szkarłat kardynałów oraz biskupów. W głębokim cieniu, pod ścianami i przy olbrzymich kamiennych filarach, młody skryba dostrzegł zbrojnych strażników.

Obok papieskiego tronu stał wysoki poważny mężczyzna z kruczoczną brodą i blizną na lewym policzku, która nasuwała na myśl podejrzenie, iż zanim został kościelnym dostojnikiem, wiódł całkiem inne życie.

– To kamerling papieża – szepnął do ucha Miłoszowi Wojciech. – Corrado Caraccioli.

Przechodząc między siedzącymi nieruchomo kardynałami, mistrz ceremonii dwa razy przed nimi uklęknął, a wysłannicy z Krakowa posłusznie uczynili to samo. Potem Rafael Verrochio zbliżył się do papieskiego tronu, padł przed nim na kolana i ucałował podsunięty mu pierścień Rybaka. Ojciec Święty rzekł coś do niego, tamten odpowiedział ze schyloną głową i wtedy Miłosz usłyszał, jak papież mówi cicho po włosku:

– *Si, d'accordo. Facciami cosi...*

Po czym nieznacznym ruchem dłoni, do połowy zakrytej koronkowym mankietem, przywołał do siebie posłów.

Miłosz był tak przejęty, iż obawiał się, że za chwilę zemdleje z wrażenia. Wszyscy po kolei, za przykładem sekretarza, uklękli na oba kolana przed papieżem i ucałowali jego pierścień.

– Rad jestem wielce, że was widzę, umiłowani moi synowie w Chrystusie – rzekł już po łacinie Bonifacy, ledwo otwierając wąskie zapadnięte usta. – Zwłaszcza że przybywacie z dalekiego kraju, którego król i królowa dali nam tyle dowodów wierności oraz oddania.

Mówił słabym głosem, z wyraźnym wysiłkiem i wyglądał na bardzo wycieńczonego. Było powszechnie wiadomo, że oprócz choroby płucnej dokucza mu też od lat podagra, nie wspominając już o wielu innych, mniej dotkliwych dolegliwościach. Purpurowy płaszcz, przykryty na ramionach gronostajami, i wysoka tiara podkreślały tylko drobną posturę Jego Świątobliwości, a szczupła, ascetyczna twarz o podkrążonych oczach i ostrym nosie zdawała się w tym świetle woskowo blada.

Ruchem dłoni nakazał, by powstali, a kiedy to uczynili, zaczął rozpytywać Wojciecha, którego znał najlepiej, o zdrowie biskupa Piotra Wysza oraz o ostatnie negocjacje króla Władysława z Zakonem, podkreślając z zatroskanym wyrazem twarzy, iż niezgoda między chrześcijańskimi władcami smuci jego serce, albowiem nie służy jedności Bożego państwa.

Potem zainteresował się Miłozsem, który, wciąż czując zawroty głowy, na uprzejme zapytanie Bonifacego, kim jest i co zamierza w przyszłości robić, wybąkał, że skrybą, ale uczy się na królewskiego notariusza oraz posła. Ojciec Święty łaskawie pochwalił ten zamiar i życzył sił oraz wytrwałości.

Następnie przeszedł do sedna.

– Nie myślcie, że zapomnieliśmy o prośbie waszej dotyczącej krakowskiej akademii – powiedział, westchnąwszy głęboko, jak człowiek, który musi zebrać w sobie resztki sił. – Zaiste, jak dobrze rozumiecie, wolno mielą młyny Boże, wszelako zbyteczne wydaje się dalsze odwlekanie tej sprawy, tym bardziej że zbliża się już chyba kres mej ziemskiej wędrówki. Postanowiliśmy zatem, że w podzięcie za wierność i oddanie króla Władysława i królowej Jadwigi...

Przerwał, wstrząsany gwałtownym atakiem kaszlu. Przykładając do ust haftowaną chusteczkę, ze łzami w oczach skinął na szambelana, by ten dokończył za niego.

– Postanowiliśmy zatem – podjął natychmiast szambelan, najwyraźniej nie pierwszy już raz wyręczając w ten sposób papieża – obwieścić wreszcie naszą decyzję. Przypominamy też na wstępie, choć przypomnienie to mogłoby się zdawać zbyteczne, iż Jego Świątobliwość Bonifacy, dziewiąty

tego imienia, jest jedynym, prawdziwym, zgodnie z prawem wybranym Namiestnikiem Kościoła, podczas gdy uzurpator Benedykt, który świętokradczą ręką sięgnął po Piotrowe klucze, pozostaje zatwardziałym sługą szatana.

Przytaknęli skwapliwie – tę obowiązkową formułkę słyszeli zresztą nie po raz pierwszy – w niecierpliwym oczekiwaniu na oświadczenie.

– Postanawiamy zatem, iż wolą papieską jest, by odtąd po wszystkie czasy był w Krakowie wydział teologiczny – oznajmił uroczyście kamerling, czyniąc gest w kierunku kogoś stojącego obok kolumny. – Aby mogli się kształcić ci, którzy nieść będą słowo Boże poganom i przywozić ich do prawdziwej wiary.

Papież kiwał nieznacznie głową na znak zgody, choć zdawało się, jakby zasypiał na siedząco – oczy miał przymknięte, a usta lekko uchylone. Tymczasem do szambelana podszedł młody kapłan i wręczył mu jakąś tubę w kolorze purpury.

– Żadnemu człowiekowi – ciągnął Caraccioli, odebrawszy z rąk duchownego dokument – nie wolno naszego rozporządzenia, postanowienia i nadania złamać ani z zuchwałym uporem mu się sprzeciwiać. Gdyby zaś ktoś się na to odważył, niechaj wie, że działa przeciwko Wszechmogącemu Bogu i świętym jego apostołom Piotrowi i Pawłowi.

Miłosz zerknął na wuja i ze zdumieniem dostrzegł, iż ten twardy człowiek, będący wręcz uosobieniem opanowania, ma teraz w oczach łzy. Tymczasem szambelan z namaszczeniem wyjął z tuby zwiniętą w rulon kartę pergaminu, z której na jedwabnej nici zwisała okrągła ołowiana pieczęć.

Młody skryba widywał już takie pieczęcie w wawelskiej kancelarii: na awersie były na nich podobizny Piotra i Pawła, na rewersie zaś widniało imię obecnego papieża.

Mieli przed sobą bullę, która według prawa czyniła akademię w stolicy Polski równą wszystkim najsłynniejszym uczelniom Europy.

Nazajutrz z niskiego i zaciągniętego nieba sypnął śnieg.

Od samego świtu wysłannicy krakowscy gotowali się do długiej drogi powrotnej. Wojciech postanowił bowiem, że teraz nie ma co zwlekać,

szkoda każdego dnia. Wiedział, jak bardzo królowej Jadwidze zależało na krakowskiej uczelni.

Podczas przygotowań do wyjazdu wszystkim Polakom towarzyszyły mieszane uczucia. Z jednej strony czuli radość i dumę, że to im właśnie przypadł w udziale zaszczyt dostarczenia do Krakowa tak ważnego pisma, z drugiej zaś – martwiła ich perspektywa zimowej przeprawy przez Alpy.

Miłosz miał w głowie i w sercu jeszcze większy zamęt niż jego starsi towarzysze. Wciąż odczuwał uniesienie po tym, jak stał się świadkiem, a nawet uczestnikiem wielkiego wydarzenia, ale też trochę żał mu było wyjeżdżać, i to wcale nie z powodu śniegu, mrozu czy alpejskich przełęczy.

Nie zdążył spotkać się z Emilią.

A teraz, po papieskiej audiencji, dziewczyna musiała patrzeć na niego jeszcze przychylniej – tak to sobie przynajmniej wyobrażał.

Kiedy siodłali konie na podwórzu gospody, kuląc się przed coraz gęściej sypiącym śniegiem, wciąż spoglądał na tylne drzwi, czy nie wyjdzie z nich czarnowłosa piękność, aby pożegnać go choćby jednym spojrzeniem. Wyglądało jednakże na to, że ta albo o nim zapomniała, albo miała zbyt wiele obowiązków w kuchni – zbliżał się właśnie czas śniadania, o czym świadczyły ciężkie zapachy wydobywające się przez niewielkie okienko.

No cóż, było to niewątpliwie smutne, ale przecież zrozumiałe, wymienili ze sobą zaledwie kilka zdań. A mało to innych pięknych dziewczyn na świecie? I tak pewnie już nigdy w życiu jej nie zobaczy, myślał Miłosz, zaciągając popręgi. A jeśli nawet wróci tu jeszcze z innym poselstwem, Emilia będzie zapewne mężatką otoczoną gromadką dzieci.

Tym bardziej więc uradował się, gdy – siedząc już w siodle, gotowy do drogi – ujrzał ją w progu.

Była w wełnianej sukni, otulona grubym szalem, w czepku zakrywającym czarne włosy. Trzęsła się z zimna, obejmując się ramionami, ale zdążyła jeszcze posłać młodemu skrybie smutny pożegnalny uśmiech.

Ten uśmiech miał go rozgrzewać podczas wielu dni i nocy podróży.

ROZDZIAŁ DRUGI

Praga, marzec 1397

Od strony Wełtawy powiał chłodny wietrzyk, przynosząc ze sobą lekki zapach nadbrzeżnej roślinności oraz rzecznej mułu.

– To co robimy teraz? – spytała Amalia.

– Teraz to mam dla ciebie niespodziankę – odparł z tajemniczym uśmiechem Szymon, gładząc krótką, starannie przystrzyżoną brodę, którą zapuścił już podczas nauk w Italii, aby nadać swej chłopięcej twarzy więcej powagi oraz dostojności. Broda w połączeniu z czarnymi szatami, a także z pilśniowym kapeluszem, wskazywała wyraźnie, że jej właściciel jest człowiekiem wykształconym.

– Oho. Zdradzisz mi coś więcej? – zaciekawiała się jego żona.

– Wtedy nie byłaby to niespodzianka.

– No niby tak. Ale pozwól mi zgadnąć: odwiedzimy kolejną bursę?

– Nie. – Pokręcił głową.

– Wysłuchamy kolejnego sędziwego profesora o tym, jak Tomasz z Akwinu odarł nauki Arystotelesa z ich przyrodniczego charakteru?

– To już niemożliwe. Od dobrych pięćdziesięciu lat.

– No to może...

– Zmiłuj się, Amalio.

Odkąd na początku roku przybyli do Pragi, niemal każdego dnia obracali się w towarzystwie ludzi związanych z praskim Uniwersytetem Karola: profesorami, magistrami, doktorami, bakałarzami. Można by pomyśleć, że nic poza uniwersytetem w tym mieście nie istnieje. Odwiedzali kolegia, bursy, biblioteki, aule, lektoria oraz mieszkania żaków. Szymon notował w pamięci każdy szczegół, dopytywał o statuty, regulaminy, patrzył, jak są rozplanowane akademickie budynki, gdzie znajdują się kuchnie, pomieszczenia gospodarcze, a nawet latryny.

Nic mu nie umknęło.

No cóż, po to właśnie, między innymi, królowa Jadwiga wysłała go do tego miasta.

Kiedy dwa lata temu powrócił wreszcie ze studiów w Bolonii jako świeżo upieczony, a na dodatek brodaty doktor obojga praw, natychmiast stał się jednym z najbardziej zaufanych doradców monarchini w kwestii wznowienia działalności krakowskiej Akademii. Tutaj, w Pradze, wraz z innymi wysłannikami Jadwigi miał szukać wzorów organizacyjnych dla tego wielkiego i ambitnego przedsięwzięcia.

– Myślę, że dzisiaj możemy sobie pozwolić na trochę odpoczynku od świata nauki – powiedział teraz do żony.

– To znaczy, że pójdziemy znowu na Małą Stranę?

– Pewnie, że tak.

– A do Nowego Miasta?

– Jeśli starczy nam sił, czemu nie? Nawet na Hradczany.

Wyszli właśnie z dwupiętrowego budynku Collegium Carolinum, mieszczącego się przy ulicy Żelaznej, naprzeciw kościoła Świętego Gawła, i znaleźli się na staromiejskim rynku, pełnym ludzi i gołębi, obramowanym kamienicami o malowniczych nazwach, takich jak Baranek, Czerwone Drzwi, Jednorozec i Łabędź. W łagodnym blasku marcowego słońca Praga wyglądała cudownie. Trochę przypominała Amalii Kraków, ale była większa, bardziej kolorowa, pełniejsza życia.

Nie bez przyczyny uważano to miasto za piękniejsze od Rzymu.

Wrażenia nie psuły nawet zapachy dochodzące w tej chwili z pobliskiego targu rybnego.

– Mamy więc cały dzień dla siebie? – ucieszyła się Amalia.

– No, prawie cały. Aż tak pięknie nie będzie. Wieczorem spotykam się z pewnym Niemcem.

– No tak... Zapomniałam.

– Ale teraz cieszymy się swobodą.

Tego dnia nie zabrali ze sobą małej Małgorzaty. Uparta i humorzasta sześciolatka miała już serdecznie dość wycieczek po mieście, wolała zostać w domu i bawić się lalkami z córkami gospodarzy. Szymek i Amalia znaleźli na czas pobytu w Pradze gościńnię u profesora botaniki i zoologii, jowialnego Jindrzicha z Opatowic i jego wiecznie uśmiechniętej żony Błażeny, w kamienicy przy ulicy Sukienniczej, o uroczej nazwie U Tri Hvezdicek, czyli Pod Trzema Gwiazdkami. Młode małżeństwo miało

dwójkę dzieci mniej więcej w wieku Małgorzaty, co się znakomicie składało, bo mała się w tym towarzystwie przynajmniej nie nudziła. Oboje gospodarze mówili trochę po polsku, więc wszyscy mogli się swobodnie ze sobą komunikować.

Natomiast półtoraroczna córeczka Amalii i Szymona, Jadwisia, pozostała pod jeszcze lepszą opieką wiernej służącej Katarzyny, wiele mil stąd, w Krakowie. Była jeszcze za malutka, by mogli ją zabrać ze sobą w tak daleką podróż.

– Czyli mi nie zdradzisz, gdzie dokładnie idziemy? – nieśmiało nalegała Amalia, otulając się mocniej płaszczem, bo wiatr stał się silniejszy.

Mimo słonecznej pogody było dosyć chłodno, więc zarzuciła też kaptur na swoje niegdyś piękne włosy. Już nie były tak lśniące jak skrzydła kruka, nie opadały w miękkich wijących się pasmach na plecy. Włosy Amalii zmatowiały po przejściach w Rożnowie i wciąż nie mogły odzyskać swojego poprzedniego wyglądu.

– Jeszcze nie teraz.

– Taki jesteś nieprzejednany?

– A i owszem.

– Wobec tego obiecaj mi przynajmniej jedno.

Szymon uśmiechnął się pod wąsem.

– Chyba nawet wiem, o co chodzi – odparł.

– Doprawdy?

– Przecież ja też czuję ten zapach.

Jedną z rzeczy, które Amalia z całego serca pokochała w Pradze, były sprzedawane tu na każdym kroku bułki, zwane caltami. Miały wprawdzie nieco nieprzyzwoity kształt, który w dużo bardziej tradycyjnym Krakowie wzbudziłby zapewne czujność kleru, ale smakowały wybornie.

– Cóż za bystrość umysłu, doktorze – pochwaliła męża.

– Za dobrze cię znam, droga żono.

– Kupimy?

– Naturalnie. A do tego może jakieś pasztety. Też już zgłodniałem.

Opuścili staromiejski rynek i poszli w kierunku Kamiennego Mostu, przebijając się przez wypełniający ulicę różnobarwny tłum. Między innymi

właśnie dzięki uniwersytetowi Praga, od lat jedno z najważniejszych miast w Europie, stała się ośrodkiem nowych idei, zwłaszcza w zakresie teologii, nic zatem dziwnego, że widywało się tu przybyszów ze wszystkich stron świata. Stare Miasto opanowane było głównie przez Niemców oraz profesorów uniwersytetu, jeśli nie liczyć Żydów, którzy jednak zazwyczaj nie opuszczali murów swego getta. Poza nimi spotykało się tu także wielu przyjezdnych z Moraw, Śląska, Litwy, Italii, Francji, a nawet z Aragonii i Portugalii.

W pewnym momencie, gdy mijali mały błotnisty plac, Szymon dyskretnie pociągnął żonę za rękaw płaszcza i zapytał szeptem:

– Widzisz tego mężczyznę obok wózka z drewnem?

– Którego?

– Na czarno. Tak jak ja.

– Tego chudego z wyłupiastymi oczami?

– O Boże, ciszej...

– Przecież nie słyszy.

– To profesor Jan z Husinca.

– Ktoś znaczny?

Szymon odchrząknął.

– Profesor teologii. Ciekawy człowiek, wszyscy o nim tutaj gadają. Na wykładach cytuje podobno głównie Wiklifa.

– Wiklifa powiadasz? – Amalia zrobiła mądrą minę, po czym dodała: – Szczerze mówiąc, niewiele mi to mówi.

– No cóż, Wiklif to był, że się tak wyrażę, istny diabeł, przynajmniej w oczach papieży. Jego poglądy są zwalczane przez Kościół. Oskarżał duchownych o chciwość i niemoralność.

– Uff. Brzmi groźnie. Mam nadzieję, że nie chcesz z nim teraz przeprowadzić dysputy?

Po minie męża poznała, że właśnie tego by w tej chwili pragnął, na szczęście jednak potrafił się opanować.

– Ależ skąd. To nawet nie moja dziedzina.

– Dziękować Bogu.

Odwróciwszy głowy w inną stronę, ruszyli dalej.

Kamienny Most robił naprawdę duże wrażenie, mimo że Amalia i Szymon widywali go praktycznie codziennie. W porównaniu z nim te w Budzie czy w Krakowie zdawały się raczej kładkami przerzuconymi

przez polne strumienie. Zaopatrzony w kilkanaście kamiennych łęków oraz filarów, był tak długi, że kiedy się stało u wejścia, nie dostrzegało się końca.

Tym bardziej dzisiaj, natknęli się bowiem na zator: kilka wozów wyładowanych ceglami i gruzem, prawdopodobnie z jakiejś rozbiórki, tarasowało drogę i przesłaniało widoczność.

W okolicach mostu, koło łaźni ze schodkami prowadzącymi w dół ku Weławie, stało sporo straganów z jedzeniem, toteż Szymon, zgodnie z obietnicą, kupił od starej Cyganki w kolorowych chustach dwie praskie bułki o „sprośnych” kształtach, a do tego serdelki w drewnianej budzie.

Zjedli to wszystko po drodze, zanim jeszcze dotarli na drugą stronę rzeki.

To była już Mała Strana.

– No dobrze – odezwała się Amalia. – Koniec tych tajemnic. Dokąd mnie prowadzisz?

Tutaj, na otwartej przestrzeni, wiatr nabrał większej śmiałości, głośno szumiał w przybrzeżnych łożach, zrywał przechodniom kaptury z głów i sprawiał, że furkotała wycięta w drobne ząbki pelerynka płaszczka Amalii. Trochę się zachmurzyło i młoda kobieta miała nadzieję, że nie zacznie padać akurat teraz, kiedy mają czas wyłącznie dla siebie.

– Do niejakiego Radima z Kozojed – oświadczył dumnie Szymon, przytrzymując kapelusz.

Amalię zamurowało.

– Tego krawca, o którym mówiła Błażena?

W odróżnieniu od Jana z Husinca czy też jakiegoś tajemniczego i srogiego Wiklifa, o tym człowieku słyszała, i to dużo.

Przytaknęła.

– Owszem. Pomyślałem, że moja małżonka powinna przywieźć sobie z Czech kilka sukien, aby wzbudzić zawiść wawelskich dwórek.

Amalia z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Szymonie, przecież nie stać nas na to!

Słyszała, że z usług Radima korzystają tylko najbogatsze prażanki, a nawet czeska królowa Zofia.

– Naturalnie, że nas stać.

– Mamy chyba pilniejsze wydatki, prawda?

– Nie. W tej chwili to jest najpilniejsze.

– Nie muszę się stroić. Poza tym przytyłam...

– Zaokrągliłaś się – poprawił ją z czułym uśmiechem. – Tym bardziej więc potrzebujesz czegoś nowego, co podkreśli tve piękne kształty.

– Ale...

– Moja żona zasługuje na najpiękniejsze suknie. Koniec dyskusji.

Spojrzała na męża z zachwytem, którego nie potrafiła ukryć.

Ani nawet nie chciała ukrywać.

Od ponad dwóch lat, czyli odkąd Szymon z Łobzowa wreszcie powrócił do stolicy Polski po ukończeniu nauk w Italii, Amalia żyła niczym we śnie, bajecznym i kolorowym.

Bała się jedynie, że w końcu ktoś ją z niego obudzi.

Właściwie to z trudnością mogłaby odróżnić, co w przeciągu tych ostatnich burzliwych sześciu lat jej życia było – czy też nadal jest – prawdziwe. Okres małżeństwa ze Zbigniewem i pobytu w mrocznym Roźnowie też wydawał jej się teraz zupełnie nierealny, niczym stary nocny koszmar. Najstraszliwszy z możliwych, lecz w gruncie rzeczy nieprawdopodobny. Zły sen po prostu albo wizja wywołana diabelskimi ziołami, nic więcej. Starala się o tym wszystkim nie myśleć, aby szybciej wyrzucić ów czas z pamięci.

Naturalnie nie było to łatwe.

Koszmar powracał nieubłaganie, zarówno w ciemnościach nocy, jak i w świetle dnia, czasami w zupełnie niespodziewanych okolicznościach. Bywało, że w słoneczną pogodę, podczas najzwyczajszej pogawędki z Szymonem, Mildą czy z Katarzyną nagle i całkowicie niespodziewanie Amalię ogarniał niesamowity chłód, jakby raptem zaszło słońce i zerwał się lodowaty wiatr. Sztywniała wtedy, a serce waliło jej jak młotem. Wiedziała, że ów wicher nadciągnął z Roźnowa i był dalekim echem tamtego koszmaru.

Ileż to razy, już na Wawelu, budziła się w środku nocy, święcie przekonana, że znów została zamknięta w zamkowym lochu, a jej córeczka jest w niebezpieczeństwie. Zrywała się wtedy z łoża i zagubiona w ciemnościach, nie rozpoznając otoczenia, przerażona biegła szukać Małgorzaty. Nawet kiedy wreszcie ją odnalazła, długo nie potrafiła się uspokoić i czuwała do rana przy łóżeczku dziecka.

Pogodziła się już z myślą, że te nagłe ataki strachu nie opuszczą jej pewnie do końca życia, choćby odtąd miało ono być już tylko sielanką.

Zbigniew zatruł umysł Amalii na zawsze, zniszczył jakąś część jej duszy.

Nawet po tym, jak Milda z Varnasem ją uwolnili, gdy już, urządziwszy chrześcijański pogrzeb matce szalonego Zbigniewa, wrócili do stolicy, Amalia przez długie miesiące pozostawała w stanie jakiegoś oszołomienia i nie mogła dojść do siebie. Jak przez mgłę pamiętała proces swego męża, którego Varnas, Gniewko oraz kilku ludzi ze wsi przywieźli w pętach do Krakowa, wprost przed królewskie oblicze. Odpowiadała na jakieś pytania członków trybunału, ale mówiła całkowicie obojętnie, bezbarwnym głosem, jakby nieobecna duchem. Całe zamieszanie spowodowane tym procesem – a było to duże wydarzenie w Krakowie – dochodziło do niej jakby gdzieś zza ściany, jakby zupełnie jej nie dotyczyło.

Zamieszkała wtedy w jednej z komnat na Wawelu, w najspokojniejszej części zamku, z widokiem na Wisłę. Była otoczona troskliwością wszystkich, którzy ją znali wcześniej, a w szczególności królowej Jadwigi i Mildy. Ta ostatnia prawie nie opuszczała przyjaciółki, nie chcąc, by Amalia choć przez krótki czas pozostawała bez towarzystwa i opieki, mimo że sama też potrzebowała odpoczynku po wszystkich dramatycznych przejściach i wyczerpujących wizjach, jakich doznała na diabelskim zamku.

Amalia wtedy niemal nie wypuszczała z rąk małej Małgorzaty. Po tym, co przeszła, po miesiącach przymusowej rozłąki, teraz musiała mieć dziecko wciąż przy sobie, przynajmniej w zasięgu wzroku. Za każdym razem, gdy choć przez chwilę nie widziała lub nie słyszała córki, ogarniał ją obezwładniający strach.

Mijały miesiące.

Wiadomość o tym, że Zbigniew został skazany przez króla Władysława na śmierć, przyjęła obojętnie. Potem dowiedziała się, że o wyroku zadecydowało nie tyle jej uwięzienie, ile zamordowanie astrologa Grzegorza, który był człowiekiem znanym, a w dodatku pochodził z możnego i bogatego rodu. Do morderstwa przyznali się przesłuchiwani przez sąd ludzie Zbigniewa i natychmiast wyjawili, na czyje polecenie działali.

Do tego wszystkiego doszły jeszcze dawne grzechy i grzeszki rycerza z Roźnowa, napady i gwałty dokonywane w okolicach jego zamku, których, jak się okazało, wykryto dosyć sporo. Może udałoby mu się ocalić skórę za pomocą jakichś prawniczych sztuczek sprytnego obrońcy, ponieważ rycerzom wiele wybaczano, wszakże Zbigniew miał tego pecha, że śmiertelnie naraził się samej królowej.

Chciał zabić jej dwórki. Jej przyjaciółki.

Nie miał więc żadnych szans.

Na początku stycznia tysiąc trzysta dziewięćdziesiątego trzeciego roku ruszył jego proces, a już w lutym, w wigilię Dnia Świętego Walentego, Zbigniew z Roźnowa został poprowadzony na krakowski rynek, gdzie w obecności bodaj całego miasta kat ściął mu głowę. Na wieść o tym wydarzeniu Amalia nie odczuła żadnej ulgi, ponieważ wiedziała, że ów człowiek – mimo że martwy – będzie ją prześladował do końca jej dni.

Zresztą udręka związana z roźnowską przeszłością nie skończyła się z dniem egzekucji. Wkrótce potem trzeba było uregulować sprawy spadkowe, a także długi Zbigniewa. Tym zajęli się wynajęci przez królową wawelscy prawnicy. Okazało się, że rycerz z Roźnowa był winien tak wiele pieniędzy tylu osobom, iż jego zobowiązania przekraczały wartość i zamku, i przylegających do niego terenów. Niektórych wierzycieli spłacono dzięki wyprzedazy dóbr: mebli, futer, biżuterii, broni i naczyń. Aby jednak zapłacić największe długi, trzeba było oddać cały zamek w ręce brata Zbigniewa, tego samego, przed którym Amalia obroniła się kilka miesięcy wcześniej – swego rodzaju ironia losu. Wyraziła na to zgodę, bo po pierwsze, szwagier obiecał spłacić wszelkie pozostałe należności, na co jej samej nie byłoby stać, po drugie zaś, nie chciała mieć już nic wspólnego z tamtym miejscem.

Tak więc pani na Roźnowie niemal z dnia na dzień pozostała z niczym.

Nie martwiła się z tego powodu.

Bo potem przysła wiosna i rozpoczęło się nowe życie.

Milda, jej przyjaciółka, wyszła za mąż za kupieckiego syna, urodziwego Mikołaja, i wydawała się szczęśliwa, a jej radość udzieliła się także Amalii. Ślub był wielkim wydarzeniem w mieście, uroczystości miały iście królewski rozmach, bo stary rajca Bartłomiej nie liczył się z kosztami. Wprawdzie przyjaciółki nie mogły już się tak często spotykać, gdyż Milda

opuściła wawelską aptekę, by przenieść się do okazałej kamienicy przy rynku, niemniej wciąż utrzymywały więź między sobą.

Na początku lata zaś przyjechał do Krakowa Szymek.

Dawny ukochany Amalii.

Mimo że tak długo się nie widzieli, ich uczucie natychmiast zapłonęło od nowa, jakby rozłąka trwała zaledwie kilka dni, a nie kilka lat. Szymek zmężniał i spoważniał, lecz w gruncie rzeczy wcale się nie zmienił, wciąż był tym jasnowłosym, beztroskim i pełnym uroku chłopcem, w którym Amalia zakochała się, będąc dwórką na Wawelu. On sam był wstrząśnięty i przerażony, usłyszawszy, przez co przeszła. Dojrzał też zmianę w jej zachowaniu, stała się smutniejsza i bardziej zamknięta w sobie. Sprawilo to jednak, że jego dawne uczucie do Amalii przybrało na sile, zapragnął się z nią ożenić i otoczyć najlepszą opieką, by pomóc ukochanej zapomnieć o przeżytych koszmarze.

Ich szczęście trwało, niestety, krótko, zaledwie dwa miesiące, bo student prawa musiał wracać do Italii, aby kontynuować naukę, jeśli kiedyś chciał stać się kimś znaczącym w Krakowie. Długo się wahał przed podjęciem ostatecznej decyzji. Oboje pragnęli ślubu, a myśl o kolejnych miesiącach rozłąki i dla Szymka, i dla Amalii była bolesna i trudna do przyjęcia, w końcu jednak, po wielu naradach, ustalili, że tak będzie lepiej dla nich i przyszłej ich rodziny.

I tak nie mogliby się pobrać od razu, gdyż wdowa po Zbigniewie musiała przejść obowiązkowy okres żałoby.

Zatem Amalia znów została sama z Małgorzatą.

Dni upływały leniwie.

Tęskniła, często grała na lutni, haftowała i zaczęła czytać mądre księgi wypożyczone z zamkowej biblioteki, po części z nudów, po części zaś dlatego, aby na tle swego przyszłego znakomicie wykształconego męża nie wydać się głupią gąską. Przedzierała się więc z mazołem przez łacińskie tłumaczenia dzieł Arystotelesa, a także jego arabskich i hiszpańskich komentatorów, starając się zrozumieć zagadnienia materii oraz formy, czytała włoskie poezje Petrarke, francuskie romanse rycerskie, dzieła historyczne Herodota, Pliniusza Starszego, Józefa Flawiusza. Podjęła nawet próbę nauczenia się greki, w czym pomagał jej stary aptekarz Zenobiusz, który po wyprowadzce Mildy bardzo odczuwał swą samotność.

Miesiące, wcześniej spędzone przez młodą kobietę w osamotnieniu, kiedy była więziona przez męża, sprawiły, że teraz łatwiej mogła znieść ten niemal klasztorny czy wręcz pustelniczy tryb życia. O ile dawna Amalia kochała towarzystwo oraz zabawy, angażowała się we wszelkie wydarzenia na Wawelu, ta nowa stroniła od ludzi i dworskich rozrywek, siłą trzeba ją było wyciągać na spacerów czy też zamkowe uroczystości. Do szczęścia potrzebowała jedynie spokoju, poczucia bezpieczeństwa, towarzystwa Mildy, no i – przede wszystkim – małej Małgorzaty.

Jesienią urodził się Tomko, syn Mildy i Mikołaja. Pojawił się na świecie przedwcześnie i teraz wszyscy drżeli o jego życie. Na szczęście, wbrew wszelkim obawom, dzięki czulej i troskliwej opiece udało się go utrzymać przy życiu.

Małgorzata miała wtedy dwa latka, była rezolutną i ciekawską dziewczynką. I co już dawało się zauważyć, upartą i stanowczą jak jej ojciec. Szybko zaczęła mówić, jakby nie chciała czekać z wyrażaniem swoich opinii przed całym światem. Kiedy coś jej się nie podobało, potrafiła dać temu wyraz tak, że słychać ją było niemal na całym Wawelu.

Szymon powrócił do Krakowa pod koniec tysiąc trzysta dziewięćdziesiątego czwartego roku jako doktor obojga praw.

Nie tracili czasu. Mimo że królowa natychmiast zaangażowała młodego uczonego do prac nad wznowieniem działalności Akademii, szybko urządzili ślub, a dziewięć miesięcy później urodziła im się córka, której, na cześć monarchini, nadali imię Jadwiga. To chyba właśnie od momentu pojawienia się na świecie Jadwisi do teraz, kiedy znaleźli się w magicznej Pradze, Amalia miała wrażenie, że śni.

I każdego dnia modliła się gorąco, by ten piękny sen trwał jak najdłużej.

– Chyba nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać – rzekła teraz do męża, który strzepywał okrucy bułki ze swojej czarnej akademickiej szaty.

Wiatr zelżał, a marcowe słońce wyszło zza chmur, złocąc blaszane kopuły kościołów, i sprawiło, że Wełtawa znów stała się przejrzystą błękitną.

– Jeśli się spodziewasz zaskoczeń, to jest już o jedno mniej.

– Dosyć dialektyki – upomniała go.

Przytaknął z poważną miną.

– Masz rację. Dosyć. Idziemy?

– Tak, mój mężu.

Przez pierwsze miesiące ich małżeństwa z trudem przychodziło Amalii zwracanie się do Szymona w ten sposób. Przypominało jej to o Zbigniewie. Dawniej jednak słowo „mąż” było dla niej jedynie formalnym, beznamiętnym określeniem, pozbawionym całkowicie jakiegokolwiek uczucia, jeśli nie liczyć strachu czy pogardy.

Teraz wszystko się zmieniło.

– Idziemy – powiedziała.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kraków, marzec 1397

Marcowe słońce przygrzewało już dość mocno.

Milda z lubością zmrużyła oczy, ciesząc się jego ciepłem. Po długiej srogiej zimie w końcu do miasta zawitała wiosna, i to od razu niemal w pełnej krasie.

Śpiew ptaków budził zwykle Mildę o świcie, zanim jeszcze na ulicach pojawiali się pierwsi przechodnie czy łaźiebnicy, nawołujący mieszkańców do korzystania z czynnych już łaźni. Ani ona, ani jej poślubiony przed czterema laty mąż Mikołaj nie musieli korzystać z publicznych kąpeli, ponieważ stać ich było na własną łaźnię. W domu przy rynku znajdowało się pomieszczenie z ogromną wanną z drewna kasztanowca, wyłożoną dla zabezpieczenia przed drzazgami prześcieradłem z czesanej wełny. W dzień kąpeli służące napełniały wannę gorącą wodą, a następnie wrzucały do niej rozmaryn i majeranek, ale Milda coraz częściej przyłapywała się na myśli, że tęskni za tamtymi zwykłymi kąpielami, za możliwością spotkania innych ludzi, takich, z którymi teraz nie wypadało jej rozmawiać.

Nie wypadało zdaniem jej teścia, srogiemu panu Bartłomiejowi, ojca Mikołaja, u którego teraz mieszkali. To on rządził nie tylko rodzinnym interesem, ale i życiem wszystkich domowników.

W ogóle kobiecie należącej do bogatej kupieckiej rodziny nie wypadało robić wielu rzeczy. Między innymi nie do pomyslenia była praca w wawelskiej aptece, zajęcie, które Milda tak kochała i którego coraz bardziej jej brakowało. Teść bardzo stanowczo tego zakazał. Stary kupiec nie pozwolił też synowej na jakiegokolwiek zaangażowanie w ich sklepie, miała się zajmować wyłącznie obowiązkami pani domu.

Czyli praktycznie niczym, bo wszystko i tak robiła służba.

Wychodziło więc na to, że miała być tylko ozdobą tego domu.

Nienawykła do bezczynności Milda czuła się jak uwięziona w złotej klatce. Owszem, stać ją było teraz niemal na wszystko, nie musiała się o nic martwić, ale wcale nie sprawiało jej to radości. Nudziła się w domu, w którym nawet czytanie książek było czymś niestosownym dla kobiety. Mikołaja, swojego męża, widywała teraz rzadziej nawet niż w czasach przed ślubem. Przejął większość obowiązków starzejącego się ojca, często wyjeżdżał w interesach, a kiedy wracał, czekała na niego nagromadzona podczas nieobecności praca. Kochał Mildę i starał się okazywać jej to na każdym kroku, lecz nie poświęcał jej zbyt wiele czasu. Dlatego też ogromnie się ucieszyła, kiedy kilka miesięcy temu dostała pozwolenie na działalność dobroczynną w szpitalu stradomskim, tym samym, w którym kiedyś pomagała.

I od którego zaczęła się historia z Krystyną...

Praca na rzecz biednych, o tak, to było coś, czym według jej teścia mogła się zajmować kobieta zamężna. Zwłaszcza niezbyt lubiana synowa. Chociaż nigdy nie powiedział jej tego wprost, stary kupiec i rajca prawdopodobnie wciąż nie potrafił zaakceptować wyboru swego syna, uważając ją za dzikuskę i poganę, mimo chrztu i zmiany imienia.

Co rozumiało w takiej sytuacji, ich niechęć była wzajemna, chociaż Mildzie udawało się ją ukrywać, ze względu na Mikołaja i ich syna, Tomka.

Malec też nie był ulubieńcem dziadka. Chłopiec bardzo się różnił od swoich rówieśników. Był spokojny, zamknięty w sobie, nie lubił pieścizot ani nawet zwykłego przytulania. A co najgorsze, wciąż nie mówił, mimo że skończył już cztery lata. Nie wypowiedział nawet najprostszego słowa, takiego jak „mama”, nie wspominając już o „dziadku”, na co zapewne najbardziej liczył stary kupiec.

Tomko zazwyczaj chował się przed groźnym dziadkiem, który miał zwyczaj wpadać bezceremonialnie do pokoju dziecięcego, żeby sprawdzić, czy wnuk poczynił już jakieś postępy w rozwoju. Wyciągał go spod łóżka albo zza kotary i potrząsając nim jak małym psiakiem, grzmiał: „Odezwij się do mnie! Powiedz: dziadek, do diaska!”. A potem, jakby speszony poważnym i nieruchomym spojrzeniem malca, nie kryjąc irytacji, stawiał go na podłodze i szybkim krokiem wychodził na korytarz.

Milda odkłoniła się machinalnie przechodzącej obok kobiecie, odwzajemniła uśmiech innej, zatrzymała się na chwilę, żeby spytać zaprzyjaźnioną żonę krakowskiego bławatnika o zdrowie córeczki.

– Dziękować Bogu, już jej lepiej – odparła tęga kobieta.

Stały u wylotu rynku, gdzie zaczynała się Grodzka.

– Przyjdźcie do mnie po zioła – powiedziała Milda.

– Naprawdę nie trzeba.

– Przyjdźcie – nalegała z uśmiechem żona Mikołaja. – Przed sekstą. Ta pogoda jest zdradliwa. Mała musi nabrać sił.

– Skoro tak mówicie.

Ceniono w niej to, że zawsze i dla wszystkich miała czas i dobre słowo. Wiedzano też jednak, że jakimś szóstym zmysłem wyczuwała fałszywych i złych ludzi i potrafiła być dla nich bardzo nieprzyjemna. W takich sytuacjach wychodziła z niej dzika i niebezpieczna Litwinka, której lepiej było schodzić z drogi.

Większość krakowian jednak darzyła szacunkiem tę dwudziestotrzyletnią żonę bogatego kupca, piękną, zawsze elegancko i ze smakiem ubraną, noszącą się z godnością, jak przystało na dawną dwórkę królowej Jadwigi. Kobiety podziwiały jej stroje, najczęściej sprowadzane z Czech, Włoch albo z Francji. Każda jej suknia, surcot czy też nowa peleryna były natychmiast dostrzeżone i później mniej lub bardziej udolnie kopiowane przez potrafiące szyć mieszczki.

Tego poranka miała na sobie długą ciemnoniebieską pelerynę z kapturem opadającym na plecy, spiętą pod szyją ozdobną broszą. Na przodzie peleryny były modne pionowe rozcięcia na ręce. Rozchylające się przy chodzeniu poły ukazywały pod spodem błękitną wełnianą suknię zapinaną z przodu na długi aż do ziemi rząd drobnych guzików.

Gdyby to od niej tylko zależało, ubrałaby się dzisiaj dużo skromniej. Udawała się w końcu do chorych, a nie na audiencję w zamku, bardziej stosowna byłaby więc prostota i wygoda.

Tyle że od momentu wejścia do kupieckiej rodziny od Mildy zależało bardzo niewiele.

I tak miała szczęście, że zgodzono się na wizyty w szpitalu. Pewnie zdecydowało głównie to, iż w podobny sposób udzielała się sama uwielbiana w stolicy królowa Jadwiga.

Ale gdyby mąż zobaczył dzisiaj Mildę, zapewne nie obeszloby się bez małej sprzeczki. Wyruszyła bowiem do miasta sama, bez zwykłej ochrony, czyli ponurego sklepowego sługi Wojciecha. Miał on dbać o bezpieczeństwo małżonki pana Mikołaja na coraz bardziej ostatnimi czasy niebezpiecznych ulicach Krakowa. I nie chodziło nawet o zwykłych rzezimieszków. Od kilku miesięcy w stolicy narastał ferment; członkowie rzemieślniczych cechów coraz głośniej wyrażali swoje niezadowolenie z powodu poczynań miejskiej rady. Wytykali jej członkom liczne nadużycia, a nawet zbrodnię. Jak twierdzili, jeden z rzeźników, niejaki Pietrek z Brzegu, został w styczniu tego roku załuczony na śmierć pałkami, ponoć na polecenie któregoś z czcigodnych rajców – nie wiadomo którego. Cały kwartał rzeźniczy wszczął wówczas zamieszki, atakowano miejskich strażników i próbowano dostać się pod ratusz. Motłoch odgrażał się, że jeśli winny nie zostanie ukarany, a kilku przedstawicieli ich cechu nie wejdzie do Rady i Ławy, może się to skończyć jak kiedyś za króla Władysława – dla mizernego wzrostu zwanego przez pospólstwo Łokciem – albo jak całkiem niedawno we Wrocławiu, czyli krwawymi miejskimi rozruchami. Przedsnak tego dali rzeźnicy zaraz po tym, gdy zabito ich Pietrka, kiedy to pobili na śmierć brata niemieckiego kupca Kaspara Steina, a także wrzucili do Wisły kramarza Floriana, który zachował życie, lecz rozchorował się ciężko po tej zimnej kąpieli. Pewnej nocy ktoś chciał nawet podłożyć ogień pod Sukiennicami, ale go przyłapano i zbiegł, zanim udało mu się wzniecić pożar. Robiło się więc nieciekawie.

No a Milda była przecież synową rajcy Bartłomieja.

Po pierwsze, nie obawiała się motłochu – czemu tamci mieliby atakować białogłowy? Po drugie, nie znosiła Wojciecha, jego obecność wprawiała ją w zły nastrój, a po trzecie, przez tych kilka lat przed ślubem polubiła samodzielność i nie zamierzała teraz udawać kruchej damy z bogatego domu, którą strach wypuszczać na ulicę. Odróżniała się tym od innych zamożnych mieszczek, te bowiem nigdy nie pokazałyby się na ulicy bez towarzystwa, lecz niewiele ją to obchodziło.

Różniła się od nich o wiele bardziej już od dnia pojawienia się w mieście.

Minęła kościół Świętej Marii Magdaleny.

Obok niego stał jednopiętrowy budynek z dwuspadowym dachem pokrytym gontem. Jak powiedzieli Mildzie Amalia i jej mąż, Szymon, miał on być niedługo wykupiony przez królową za kwotę siedmuset grzywien i stać się Colegium dla profesorów oraz studentów prawa odnowionej Akademii, czyli, jak to mądrze brzmiało w języku łacińskim, *Collegium Iuridicum*. Jeśli do tego dojdzie, to całkiem możliwe, że przyjaciele właśnie tutaj zamieszkają.

Daleko od rynku, od jej kamienicy, lecz, no cóż, Rożnów był jeszcze dalej, więc Milda nie zamierzała narzekać.

Gdzieś od strony Wawelu nadjeżdżał orszak rycerski, siedmiu konnych. Ludzie pospiesznie schodzili im z drogi. Milda z daleka ujrzała, że wśród jeźdźców znajduje się Gniewko. Młody rycerz nie widział jej, jechał z wysoko uniesioną głową, przez te kilka lat od wyprawy na zamek Zbigniewa bardzo zmęźniał, a ze swoimi jasnymi włosami wyglądał teraz jak młody bóg. W nagrodę za pomoc w uwolnieniu Amalii królowa obsypała go zaszczytami, a najważniejszym z nich było przyjęcie Gniewka do jej osobistej straży. Zasługiwał na to, ponieważ był szlachetny, mężny i tylko odrobinę mniej naiwny niż przed pięcioma laty. No i teraz nazywano go, jak zawsze tego chciał, Teodorykiem.

Rycerz Teodoryk.

Milda znalazła się wreszcie na Stradomiu i weszła na teren szpitala.

Ojca Winicjusza, hospitalariusza, ujrzała przed wejściem do głównego budynku.

Widać właśnie wybierał się na obchód.

– Wygląda na to, ojcze, że zdążyłam w ostatniej chwili – wysapała, podchodząc do niego szybkim krokiem.

– Myślałam już, że dzisiaj nie przyjdziecie – mruknął na powitanie. – Że nabraliście znowu zwyczaju spóźniania się, jak za dawnych czasów.

Ten gderliwy ton nie mógł jej zmylić.

Taki był sposób bycia tego człowieka, który szorstkim zachowaniem starał się zamaskować wrodzoną łagodność i dobroć.

A Mildę po prostu bardzo lubił.

Kiedyś wydawała mu się zupełnie niezainteresowana pracą w szpitalu i myślał, że przychodziła tam tylko z przymusu, potem jednak docenił młodą buntowniczkę, jej ofiarność i bezinteresowność. Nie wspominając już o umiejętnościach. Nie każda dama nadawała się do pracy z chorymi. Ściślej mówiąc, prawie żadna. Bardzo żałował, że Milda, wraz z drugą dwórką, jej przyjaciółką, została niegdyś wygnana z Wawelu, lecz niewiele mógł wtedy zrobić. Zeznawał wprawdzie na jej korzyść przed komisją złożoną z surowych medyków i kleru, nikt jednak nie wziął pod uwagę jego słów. Za mało znaczył w tym wielkim świecie, a tamci ludzie wydali wyrok na długo przed tym, zanim ruszył proces.

Tak więc ucieszył się ogromnie, kiedy pojawiła się tu znowu przed kilkoma miesiącami. Był zadowolony, że udało jej się odzyskać dobre imię i ułożyć sobie życie. Obecnie stała się szanowaną i bogatą żoną kupca, osobą, z którą inni musieli się liczyć. I jako przedstawicielka bogatej części krakowskiej społeczności mogła teraz pomagać szpitalowi nie tylko swoją pracą, ale i hojnymi datkami.

A co najważniejsze, odzyskała względy królowej.

– Zagadałam się po drodze. – Poczula się teraz jak skarcona dziewczynka. Hospitalariusz skrzywił się, jakby złapał go jakiś nagły skurcz.

– Szkoda czasu na gadanie – rzekł i ruszył przed siebie, podpierając się kosturem, ubrany w swój codzienny habit, z naszytym na lewej piersi białym krzyżem. – Idziemy do dzieci.

– Aha.

Spodziewała się tego, najczęściej tam chodzili.

– Aż mi zimno na samą myśl o spotkaniu z przełożoną.

Milda uśmiechnęła się w duchu, lecz nic nie powiedziała. To też dobrze już znała. Relacje między Winicjuszem a ową kobietą przeszły już do lokalnej legendy.

– To prawdziwa wiedźma – kontynuował. – A co najgorsze, zawsze ma rację.

Dotarli do małych domków, gdzie znalazły schronienie matki z dziećmi, a także sieroty. To im Milda starała się najbardziej pomagać. Wprawdzie szpital nadal był pod opieką królowej Jadwigi, wciąż jednak brakowało pieniędzy na jego rozbudowę, a nawet na najpilniejsze potrzeby. Obiecała porozmawiać z królową na ten temat, bo do tego potrzebne były znacznie większe pieniądze niż te, które sama mogła ofiarować.

Dobroczynność, według teścia Mildy, też miała swoje granice.

W księgach rachunkowych wszystko musiało się zgadzać.

Weszli do jednego z domków i w jego mrocznej sieni od razu natknęli się na siostrę przełożoną.

– No nie, znowu ten stary dziad – mruknęła, niby to do siebie, wszakże w ten sposób, by jej słowa dotarły do starego Winicjusza.

– Ja też się cieszę, że znów was widzę, Hanno – wycedził starzec.

Garbata staruszka z Rożnowa pracowała tu już od pięciu lat, czyli od czasu, gdy wraz z Amalią przybyła do Krakowa.

Podobno bardzo trudno było namówić Hannę do przeprowadzki. Przywykła do swojego miejsca zamieszkania i nie widziała samej siebie w wielkim mieście. Wtedy Amalia powiedziała jej o stradomskim szpitalu. Gdzie, jeśli nie tam, mogłaby zrobić właściwy użytek ze swojej wiedzy i umiejętności. Zaważyło też chyba i to, iż stara kobieta była bardzo zawiedziona postawą mieszkańców wsi, którzy wykazali tak wielką niewdzięczność w stosunku do swojej pani podczas jej gehenny. Owszem, byli biednymi, prostymi ludźmi, którzy zostali zastraszeni przez swego pana, ale nawet oni powinni zachować odrobinę przyzwoitości. Wydawałoby się, że wszyscy zapomnieli o uwięzionej Amalii, co gorsza, uznali ją za szaloną. Mimo tego wszystkiego, co dla nich zrobiła.

Hanna mogła nadal mieszkać we wsi, należącej teraz do nowego właściciela, Emeryka – brat Zbigniewa wykupił zamek i spłacił długi oskarżonego o morderstwo, a potem straconego rycerza – Amalia jednak przekonała staruszkę, że raczej nie będzie w Rożnowie mile widziana.

Tak więc zielarka przyjechała do Krakowa i została przedstawiona ojcu Winicjuszowi. Oboje natychmiast się polubili, lecz na swój specyficzny sposób, starając się za wszelką cenę nie okazać wzajemnej sympatii. Wszakże ktoś, kto jak Milda dobrze ich znał, nie nabierał się już na owe kłótnie i wieczne złośliwe docinki.

Jednym słowem, staruszkowie nie potrafili bez siebie żyć.

Na widok Mildy twarz Hanny się rozpogodziła, wobec niej nie musiała niczego udawać, kochała tę dziewczynę za jej odwagę i poświęcenie, które uratowały życie Amalii.

– Czemu nie nałożyłaś kaptura? – spytała teraz. – Przecież wieje.

Milda nie chciała jej tłumaczyć, że kaptur zasłaniałby przepaskę w formie miękkiego wałka z niebieskiego aksamitu, przetykanego złotą nitką. Wiedziała, że to zwykła próżność z jej strony, lecz nic na to nie mogła poradzić.

Przepaska była prezentem, który przywiózł jej Mikołaj z Flandrii.

– Nie wieje aż tak strasznie. Jest ciepło – odparła niepewnie.

Odwykła już od tego, żeby ktoś ją strofował jak dziecko. Chociaż było to całkiem miłe.

– Dobra, dobra. Masz nosić kaptur.

– Już nakładam.

– Tutaj nie musisz. Jesteśmy pod dachem.

– Skończyłyście? – wtrącił niecierpliwie ojciec Winicjusz. – Nie mam zamiaru tkwić tu jak kołek. Hanno, miałaś mi pokazać jakieś księgi rachunkowe, czyż nie?

– Nie uciekną – odparła staruszka.

– Co z nimi nie tak?

Hanna nabrała głębiej powietrza.

– Zapłaciliście w zeszłym roku za sześć nowych łóżek, a od stycznia dostarczyli wam tylko trzy.

– W ogóle nie przypominam sobie tego zamówienia.

– Jakoś mnie to nie dziwi.

Winicjusz machnął ręką w geście irytacji.

– Mam się zajmować jakimiś łózkami? – spytał.

– A na czym położycie nowych chorych? Na słomie?

Hospitalariusz westchnął niczym człowiek, którego Bóg pokarał wszelkimi plagami.

– No dobrze, zajrzyjmy do tych ksiąg. Udowodnij, jak bardzo jestem już stary i zniedołężniały.

– Nie muszę się nazbyt starać.

Wyszli, kierując się do głównego budynku. On kroczył powoli i z godnością, podpierając się nieodłącznym kosturem, ona, pochylona jak zwykle, robiła drobne kroczyki u jego boku. Milda odprowadziła ich wzrokiem, uśmiechając się z czułości.

Szybko jednak przywołała się do porządku.

Nie przysła tutaj w celach towarzyskich.

Chore dzieci od zawsze wzbudzały w niej ogromne emocje, a wzmogło się to jeszcze z chwilą, kiedy sama została matką. Źle znosiła błogosławiony stan, Tomko urodził się dwa miesiące za wcześnie i prawie nikt nie dawał mu większych szans na przeżycie. Gdyby nie Hanna i jej doświadczenie, pewnie nie udałoby się dziecka uratować. Chłopczyk był maleńki jak nowo narodzone kocię, nawet piszczał podobnie. Stara zielarka kazała Mildzie trzymać cały czas synka na piersi, żeby ogrzewać go własnym ciałem. Jak twierdziła, mały musi czuć ciepło matki i bicie jej serca, tak jak je słyszał przed swoimi narodzinami. Żeby dać położnicy odpocząć, zmieniała ją i sama ogrzewała chłopca w ten sposób. Wbrew złym prognozom Tomko wciąż żył i stawał się coraz silniejszy. Jego głos nie przypominał już popiskiwanie kociaka, lecz rozbrzmiewał coraz głośniejsze w całym domu. Chociaż Milda chciała go nadal karmić, prawdopodobnie ze zdenerwowania straciła pokarm i trzeba było nająć mamkę. Tomko radził sobie coraz lepiej.

Rok po narodzinach synka wydała na świat maleńką córeczkę. Ona też urodziła się przedwcześnie i niestety nie udało się jej uratować. Hanna wiedziała o tym od razu, kiedy tylko zobaczyła noworodka, i kilka godzin później przyszło im obu pożegnać drobniutkie, sine maleństwo. Kolejny, trzeci poród był już tak ciężki i skomplikowany, że zaistniała obawa, iż Milda go nie przeżyje. Straciła mnóstwo krwi, a wyjątkowo duże dziecko omal jej nie rozerwało.

Niestety, duży piękny chłopiec odszedł kilka miesięcy później. Nikt nie wiedział, co tak naprawdę się stało. Po prostu, piastunka, która przyszła rano do kołyski malca, żeby go zanieść matce do karmienia, zauważyła, że dziecko nie oddycha. Zmarło po cichutku w nocy, prawdopodobnie podczas snu. Milda szalała z rozpacz i tylko świadomość, że Tomko, jej pierwszy syn, potrzebuje matki, podtrzymywała ją w tamtym czasie przy życiu.

Mikołaj przeżywał śmierć dzieci po swojemu, nie okazując większych emocji, ale po jego oczach widać było, że cierpi razem z żoną. Teść z początku czuł się zawiedziony, zwłaszcza że był to chłopiec, i wyglądało na to, że o jego śmierć Bartłomiej miał pretensje do synowej. Opamiętał się jednak w porę, pocieszając ją niezdarnie, że jest młoda i urodzi jeszcze dużo zdrowych dzieci, nie powinna więc tak rozpaczać. Dzieci umierają i należy się z tym pogodzić.

Jednak Hanna przestrzegła Mildę, że ta nie powinna już więcej rodzić.

W tajemnicy przed Mikołajem i jego ojcem zaopatrzyła młodą kobietę w odpowiednie zioła.

Od tamtego czasu Milda przeżywała odejście każdego dziecka, nawet cudzego, ale niewiele mogła pomóc. Nie wyczuwała już nadchodzącej śmierci. Straciła swoje nadprzyrodzone zdolności z chwilą pojawienia się na świecie pierwszego synka. Nie martwiła się tym zbyt, bo te wizje często bywały dla niej prawdziwym przekleństwem, niemniej jednak zdarzały się dni, kiedy jej tego daru brakowało.

Śmierć dzieci często następowała nagle, bez wcześniejszych wyraźnych oznak choroby, i gdyby nadal potrafiła ją wyczuwać, mogłaby zawczasu próbować im pomóc.

Jak choćby kiedyś swoim dzieciom, a teraz małej dziewczynce o pięknych smutnych oczach koloru chabrów.

Gdy Milda weszła do pierwszej izby, zauważyła już od progu, że łóżeczko dziecka jest puste.

Dziewczynka zawsze ożywiała się na jej widok, oczy małej wręcz rozjaśniały się blaskiem.

– Tak, odeszła w nocy. – Usłyszała cichy głos młodej zakonnicy o twarzy obsypanej piegami. – Chyba nie cierpiała.

A więc ów blask zgasł już na zawsze.

– Jak to się stało? – spytała wstrząśnięta Milda, choć takie wypadki zdarzały się przynajmniej raz w tygodniu. Zdążyła jednak przywiązać się do tego dziecka.

– Tylko Bóg to wie. – Zakonnica bezradnie wzruszyła ramionami. – Gdybyśmy tu mieli prawdziwego medyka, może potrafiłby pomóc niektórym chorym. Ale jest, jak jest. Musimy się zdawać na Jego łaskę.

Prawdziwy medyk.

Dobre sobie. Żaden prawdziwy medyk nie pojawi się w tym dusznym ubogim miejscu. Prawdziwi medycy leczą bogatych ludzi, też zresztą na odległość, a za swoje wizyty żądali sówitej zapłaty. Milda miała o nich jak najgorsze zdanie.

– Co z innymi? – opanowała się wreszcie.

– Ten mały Cyganek już nie kaszle.

– Wspaniale.

– Bliźniaczki spokojne.

– Nie płaczą?

– Nie.

– Pojawiło się jakieś nowe dziecko?

– Poparzone. Z Kleparza. Ale teraz jest u dorosłych. Pani Anno...

– Tak?

– Ojciec Winicjusz tego nie powie, bo jest zbyt dumny, ale nie mamy na opał. Dostawca znowu się spóźnia, a na nowe zamówienie brakuje pieniędzy.

– Ile wam trzeba?

– Tak żeby starczyło do końca tygodnia.

– Nie mam tyle przy sobie, ale jeszcze dzisiaj pošlę chłopaka. Nie mówcie ojcu Winicjuszowi, niech Hanna to załatwi.

– Bóg zapłać.

Nagły stłumiony charkot przerwał ich rozmowę.

Obejrzały się zaskoczone.

W łóżeczku przy oknie mały, najwyżej dwuletni chłopiec dusił się, rozpaczliwie usiłując złapać powietrze. Twarz dziecka siniała przy każdej takiej próbie, oczy wręcz wychodziły z orbit. Podbiegły do malca, a zakonnica zaczęła go energicznie klepać po plecach. Niestety, chłopiec nadal się dusił i wyraźnie zaczynał słabnąć. Milda chwyciła jego wiotczące ciało, uklękła na jedno kolano i przerzuciła malca przez drugie, cały czas uderzając w chudziutkie plecy. Nadaremnie.

– To na nic... – Piegowata zakonnica wyprostowała się i zrobiła znak krzyża nad umierającym dzieckiem.

– Żadne na nic! – Milda przycisnęła chłopca plecami do siebie, otoczyła rękami jego pierś i mocno szarpnęła do siebie. Rozległ się kolejny charkot i nagle z buzi dziecka wyskoczył, jak z katapulty, kawałek jabłka. Chłopiec z płaczem złapał w końcu powietrze, a jego twarzyczka powoli zaczęła odzyskiwać normalną barwę.

– Skąd wiedziałaś, pani, co robić? – Zakonnica była najwyraźniej zdumiona.

– Nie wiedziałam – odparła Milda zgodnie z prawdą.

Miała wrażenie, jakby coś albo ktoś nią kierował.

A może już to kiedyś widziała? Nie była pewna. Najważniejsze, że dziecko zaczęło swobodnie oddychać i teraz płakało tylko z przestachu. Przytuliła malca na pocieszenie, a potem oddała w ręce wciąż roztrzęsionej zakonnicy.

Nie chodziło nawet o to, że umierało dziecko, do takich zdarzeń wszyscy tutaj zdążyli się już przyzwyczaić. Poza tym dla szpitalnych opiekunów to było tylko dziecko. Wiele tych maleństw umierało zaraz po urodzeniu albo kilka miesięcy później. Nikt się specjalnie do nich nie przywiązywał, bo na ich miejsce przybywały nowe, a kiedy i te pomały, pojawiały się kolejne. Wszakże reakcja Mildy była zaskakująca i niecodzienna. Młoda zakonnica nigdy nie widziała, żeby udało się uratować dziecko, które było już sine, bezwładne i prawie martwe.

Ponad główką płaczącego wciąż malca spojrzała na Mildę z mieszaniną podziwu i zabobonnego lęku.

Czy to prawda, że o tej kobiecie kiedyś mówiono „czarownica”?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Praga, marzec 1397

Dom, a zarazem sklep i pracownia Radima z Kozojed, znajdował się na Małej Stranie, po lewej stronie Wełtawy, w pobliżu targu, skąd wiatr przynosił zapach gnijących jarzyn i owoców.

Szymon i Amalia minęli plac i doszli do szeregu okazałych kamienic jedno- i dwupiętrowych, skierowanych fasadami w stronę głównej ulicy, bokami zaś do przecznic. Dolne ich partie, podobnie jak w Krakowie, zbudowano z kamienia, a wyższe kondygnacje z cegły lub drewna. Domy pokryte były dachówką lub gontem.

– Popatrz na to biedactwo – rzekła cicho Amalia.

Na rogu ulicy, w pobliżu sklepu Radima siedziała mała, na oko czteroletnia, dziewczynka w za dużym zniszczonym płaszczu po kimś dorosłym. Bezskutecznie naciągała szary materiał, żeby zakryć gołe i brudne nogi.

– Nie przyzwyczaiłaś się jeszcze do tego widoku? – spytał Szymon, obejmując żonę ramieniem.

– Jaka podobna...

Amalia poczuła ucisk w sercu.

Mała przypominała jej Małgorzatę, jednak dla tej tutaj dziewczynki okrutny los wybrał inne życie. Córka Amalii miała wszystko, co tylko mogła sobie wymarzyć, a ta marzyła najprawdopodobniej tylko o ciepłej strawie i równie ciepłym ubraniu. Węgierka sięgnęła do haftowanego srebrną nicią mieszka zawieszzonego u pasa i wyjęła stamtąd wszystko, co miała przy sobie, czyli trzy praskie grosze i garść halerzy. Nie mogła się jeszcze przyzwyczać do tych pieniędzy i ich wartości. To Szymek, jako bardziej obeznany i światowy, robił wszelkie sprawunki. Rzuciła pieniądze małej. Umorusana buzia dziecka rozjaśniła się na ich widok. Dziewczynka

zerwała się i szybko zniknęła za rogiem kamienicy, jakby w obawie, że elegancka dama zmieni zdanie i odbierze jej monety.

– Chodźmy, kochanie – ponaglił Amalię mąż. – Nie mamy aż tak dużo czasu dla siebie. Pamiętaj o moim wieczornym spotkaniu.

– Ale to dziecko...

– Przecież nie będziesz jej gonić. Poza tym nie jesteś w stanie pomóc wszystkim biednym na tym świecie. Uwierz mi, nawet te grosze ucieszą dzisiaj jej rodzinę.

Przez kamienną bramę wkroczyli do szerokiej sieni, która zajmowała cały parter od frontu, a na tyłach domu przechodziła w klatkę schodową, wiodącą na górę, do pomieszczeń mieszkalnych. Amalia i Szymon rozglądali się wokoło; pracownia mistrza Radima powinna znajdować się na parterze. Trafili bez trudu, bo dochodziły stamtąd krzyki, a ściślej mówiąc, gromki głos kogoś mocno wzburzonego.

– Jak to, durniu, skroiłeś?! Czy wiesz, ile mnie kosztował ten jedwab?

Właściciel głosu krzyczał po czesku, lecz nawet Amalia, nieznająca tego języka, domyśliła się, że ów mężczyzna był, delikatnie mówiąc, niezbyt z czegoś zadowolony. Resztę przetłumaczył jej szeptem Szymon. Dość długo przebywał w towarzystwie studentów z różnych krajów, żeby bez trudu rozumieć niektóre języki.

– Może zrezygnujemy?... – spytała również szeptem Amalia.

– Dlaczego?

– To jakiś...

Nie zdążyli jednak podjąć żadnej decyzji, gdy drzwi pracowni otworzyły się gwałtownie i wybiegł z nich zapłakany chłopak. Musiał być tym uczniem, który naraził się mistrzowi. W progu stał zaczerwieniony z gniewu korpulentny mężczyzna w długiej tunice, nieudolnie maskującej jego obfite kształty. Wzrok miał pełen gniewu, włosy potargane. Zmieszał się nieco na widok niespodziewanych gości, nerwowym ruchem poprawił fryzurę i spojrzał pytająco na przybyłych. Wyglądali dostatnio i nobliwie, zwłaszcza mężczyzna, poza tym mogli być jego potencjalnymi klientami. A takich nie powinno się zrażać.

– Szanowni państwo do mnie? – spytał, przybrawszy przymilny wyraz twarzy, chociaż tłusta pierś wciąż falowała mu z oburzenia na ucznia.

Szymon przedstawił się i zgodnie z radą Jindrzicha, znającego dziwactwa krawca, dodał, niby mimochodem, że jego żona była dwórką polskiej

królowej Jadwigi. Słowa te podziały na otyłego mężczyznę jak oliwa wylana na wzburzone fale morza. Zmienił się natychmiast, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Witam znamienitych gości w moich skromnych progach. – Ukłonił się tak nisko, że omal nie stracił przy tym równowagi, a Amalia z trudem powstrzymała wesołość, jaka ją na ten widok ogarnęła. – Czym może państwu służyć taki marny robak jak ja?

Przez dłuższą chwilę trwała wymiana uprzejmości i przekonywania się nawzajem, kto jest bardziej zaszczycony, a kto jest marniejszym robaczkiem, w końcu jednak Szymon nie wytrzymał i przerwał tę komedię.

Szybko, żeby krawiec znowu mu nie przerwał, wyłuszczył sprawę, z którą tutaj przybyli.

– Chciałbym, żeby moja ukochana małżonka zamówiła u pana najpiękniejsze stroje, z jakich jesteście, panie, znani nie tylko w Czechach. Wasza sława sięga wielu miast w Europie, w tym również Krakowa.

– Ależ cóż taki skromny szwacz... – zaczął znowu mistrz Radim, wszakże Szymek, zdając sobie sprawę z upływu czasu, wszedł mu szybko w słowo.

– Moja małżonka pochodzi z Węgier, wychowała się na dworze króla Ludwika, była dwórką królowej Jadwigi, rozumiecie więc, panie, że musi mieć stroje godne jej pozycji.

– Wszystko, czego sobie, pani, życzyście – mistrz Radim zwrócił się do Amalii po węgiersku, a widząc jej zdumienie, dodał: – Moja matka była Węgierką, więc w naszym domu mówiono i po czesku, i po węgiersku.

– Jakże miło mi to słyszeć – ucieszyła się Amalia.

– Dla mnie to większa radość – krawiec nie dał się zepchnąć na drugi plan – bo od śmierci mojej świętej pamięci matki nie miałem okazji, żeby tego języka używać. Aż do tej szczęśliwej chwili.

– Ja również od dawna nie rozmawiałam z nikim po węgiersku – zapewniła go. – Prawdę mówiąc, to od czasów dzieciństwa, czyli od przyjazdu do Krakowa z naszą wielce umiłowaną królową Jadwigą.

Zauważyła ponagląjący wzrok Szymona, więc szybko zmieniła temat.

– Mogłabym bez końca prowadzić tę miłą rozmowę, ale nie chcielibyśmy, mistrzu, zabierać pańskiego cennego czasu. Słyszałam, że szyjecie najpiękniejsze stroje w Pradze. No i oczywiście w całych Czechach – dodała szybko, widząc, że krawiec czeka na dalsze pochwały. – Nie mówiąc już o tym, że i u nas, w Polsce, mówią o was.

Zaczęła się obawiać, że będzie zmuszona wymieniać kolejne zachwycone kraje, kiedy mistrz otrząsnął się jak z pięknego snu i w końcu zadał pytanie, na które czekała.

– Co zatem łaskawi państwo chcieliby zamówić u skromnego... – Wrócił do czeskiego.

– Jakąś piękną i oryginalną suknię – odpowiedział szybko Szymon, widząc, że żona się waha. – Taką, jakiej jeszcze żadna dama nie miała. A może nawet kilka takich sukien.

– Ale z jakiego materiału? Wszystko zależy od tego, na jaką porę roku mają być te stroje i na jakie okazje?

Obrócił się na pięcie skórzanego bucika z wydłużonym noskiem i zatoczył dłonią okrąg, pokazując przy tym stosy leżących w belach materiałów jedwabnych, wełnianych, lnianych i zwykłego płótna.

– Wybór pozostawiam już mojej małżonce. Zupełnie się na tym nie znam.

Amalia przypomniała sobie dwór węgierski, a później polski, gdzie ostatni raz widziała takie bogactwo kolorów i faktur. Westchnęła z zachwyty, robiąc tym ogromną przyjemność krawcowi.

– Sama nie wiem. – Rozłożyła bezradnie ręce. – Taki tu wybór...

– To może ja najpierw pokażę, co ostatnio jest w modzie. Mam tu kilka rysunków, jakie wykonałem, tworząc niektóre projekty. No i dwie suknie, których jeszcze nie odebrano. Zapraszam.

Amalia podeszła do drugiego stołu przy oknie, gdzie leżał plik pergaminów z odręcznymi rysunkami. Były starannie i po mistrzowsku wykonane w każdym, najdrobniejszym nawet szczególe. Przez dłuższą chwilę mistrz Radim pokazywał jej wzory modnych ostatnio rękawów z długim obszyciem zwisającym poniżej kolan.

– Pięknie się układają do ciała, kiedy niewiasta zegnije łokieć – tłumaczył, starając się pokazać to na własnym ramieniu. – Do tego zgrabny kaptur otwarty na przodzie. Albo taka suknia...

Pokazał jej rysunek wierzchniej sukni z wąskim przodem i tyłem, pięknie podkreślającą figurę kobiety. Kolejna miała sznurowania po bokach, a jeszcze inna mnóstwo guziczków i futrzane obszycie dołem.

Mistrz Radim wyciągnął ze stosu pergaminów następny, tym razem z nakryciami głowy.

– A spójrzcie, pani, na ten czepiec, czyż nie jest piękny? Płócienny, z licznymi falbankami wokół twarzy. Ten sznureczek tutaj – wskazał na

jeden koniec sznurka – służy do lepszego dopasowania czepca. Dzięki niemu przylega on ściślej do szyi.

– To kruseler?

Krawiec uśmiechnął się z wyższością.

– Tak, pani. Ale nie taki zwykły i pospolity kruseler, jak gdzie indziej. Moje falbanki nie mają sobie równych i jak żadne inne układają się przepięknie wokół twarzy niewiasty. Ozdabiam nimi również chusty.

Zanim Amalia zdążyła zareagować, mistrz chwycił białą chustę, leżącą na jednej ze skrzyń, oraz długi biały zawój.

– Pozwólcie, że wam zademonstruję, jak tworzę zawój z podwinki na głowie niewiasty.

Zarzucił jej na szyję chustę, zwinnym ruchem zawiązał ją po prawej stronie głowy na górze, następnie doczepił do niej jeden z końców długiego zawoju, okręcił nim dwa razy głowę Amalii, a pozostały koniec przerzucił przodem z prawej strony na jej lewe ramię. Zawój miękko ułożył się pod podbródkiem. Wszystko to trwało tak krótko, że w klepsydrze, stojącej w kącie pracowni, zdążyła się przesypać zaledwie garstka piasku.

Mistrz Radim wyrzucił w górę ręce z okrzykiem triumfu.

– Gotowe! A teraz spójrzcie, pani, na ten cudowny efekt.

Sięgnął po lustro z wypolerowanej blachy, chuchnął na nie, przetarł rękawem i podał je Amalii.

Wyglądała identycznie jak wtedy, kiedy sama sobie wiązała podwikę w domu, ale uznała za stosowne zachwycić się jego dziełem. Tak naprawdę to podziwiała jedynie sprawność i szybkość, z jaką to zrobił, bo jej ta czynność zajmowała zwykle znacznie więcej czasu.

Dyskretne chrząknięcie z kąta sprowadziło Amalię na ziemię. Chętnie oglądałaby wszystkie te projekty jeszcze długo, ale, niestety, czas ich gonił i Szymon zaczynał się już niecierpliwić.

A prawdopodobnie także i nudzić.

To zdecydowanie nie był jego świat.

Mistrz Radim pokazał jeszcze Amalii dwie gotowe już suknie, jedną z zielonego aksamitu, wyszywanego złotą nitką, a drugą adamaszkową, z dopasowanym stanikiem i szeroką spódnicą, rozszerzoną klinami

dochodzącymi do bioder. Taką właśnie postanowiła kupić. Krawiec namówił ją jeszcze na pasujący do sukni pasek z metalowych wypukłych ogniw. Młoda kobieta wybrała jeszcze dwie wierzchnie suknie z krótkimi rękawami i dwie, zakładane pod spód, z długimi.

Suknie wierzchnie i te pod nimi musiały mieć kontrastowe kolory.

– Kolory łączymy tak – krawiec zaginał kolejne palce – szafirowe z białymi, czerwonymi lub zielonymi, zieleń z błękitem, róż z bielą, a żółty z zielonym.

Szymon ziewnął, dyskretnie zasłaniając usta, po czym rozejrzał się bezradnie po pomieszczeniu w poszukiwaniu jakiegoś obiektu, na którym mógłby zawiesić oko.

– Jeśli zaś chodzi o stroje podszywane futrami – krawiec kontynuował swój wywód, chociaż Amalia wcale nie miała zamiaru takich zamawiać – modre podbijamy popielicami, czerwone gronostajami, a złote sobolami.

Podczas zdejmowania miary krawiec namówił ją jeszcze na perłową suknię, zapinaną od góry do dołu i ozdobioną guziczkami. Jak twierdził, była ona popularna we Włoszech pod nazwą *cipriana*.

Amalia zgodziłaby się już na wszystko, byle tylko mistrz Radim pozwolił im w końcu wyjść.

Umówili się na pierwszą przymiarke za kilka dni.

– Ale tym razem ja poczekam na zewnątrz – zaznaczył Szymon, kiedy wracali do domu swoich przyjaciół. – Jeśli każesz mi tam siedzieć, wysłuchiwać znowu waszej niezrozumiałej mowy i oglądać jego dziwny taniec, zabiję go nożycami krawieckimi.

Zrobiło się dużo cieplej, a Amalia była tak uradowana i podekscytowana wizytą u krawca, że nie chciała jeszcze wracać do domu.

– Ile mamy czasu? – spytała męża, który nareszcie oddychał pełną piersią.

– Do obiadu? Jeszcze trochę.

– Może zatrzymajmy się gdzieś nad rzeką?

– Aby nacieszyć się spokojem?

– Właśnie.

Trójka dzieci w domu potrafiła dać w kość, a i gospodarze nie należeli do cichych, wiecznie coś mówili i się śmiali. Jeśli dodać do tego ciągle szczekającego pieska – perspektywa zbyt wczesnego powrotu nie wydawała się nazbyt atrakcyjna.

Przeszli na Hradczany i tam usiedli na kamiennej ławce nad brzegiem Weławy, w otoczeniu wierzb i krzewów, z dala od gwarnych ulic oraz placów. Amalii przypomniały się czasy sprzed małżeństwa ze Zbigniewem, wawelskie lata, kiedy to wraz z Szymkiem puszczały wianki na Wiśle i pływały łódką po rozlewiskach.

Wspomniała o tym mężowi.

– Z jednej strony to miłe wspomnienia – rzekł, sięgając po leżący na ziemi płaski kamyk. – Z drugiej trochę smutne. Jak pamiętasz, tamta wyprawa miała być naszym ostatnim spotkaniem.

– To prawda. Byliśmy tacy młodzi i naiwni.

Rzucił kamykiem do rzeki, płosząc jakieś wodne ptaki.

– Naiwni? – odrzekł wesoło. – Przecież w końcu jesteśmy razem, nieprawdaż? Nawet Wawel nas nie powstrzymał.

– No tak. Nie jesteś już prostym chłopakiem z Łobzowa.

– A ty zastraszoną dwórką. – Przytulił ją do siebie i pocałował.

Cieszył się, że nadal udawało mu się wywołać uśmiech na twarzy najukochańszej istoty na świecie. Kobiety, która wciąż na nowo uczyła się żyć bez strachu. Która niejednokrotnie budziła się w nocy i przerażona biegła do sypialni dzieci, żeby sprawdzić, czy nic im nie grozi.

Dałby wszystko, żeby mogła zapomnieć o niedawnych przejściach i cieszyć się szczęściem u jego boku. Wiedział jednak, że może się to nigdy nie udać.

Zamyślony podniósł szare piórko, które zgubił jakiś przelatujący nad ławką ptak. Ujął je w dwa palce i dmuchnął. Piórko zawiroowało i dało się unieść prądowi powietrza, ciągnącego od strony rzeki.

Amalia zerknęła z czułością na Szymka.

Mój piękny i mądry mąż.

Tak bardzo go kocham.

Kiedy wrócili na Sukienniczą, do Jindrzicha i Blażeny, zastali naburmuszoną Małgorzatę, siedzącą samotnie w kącie. Dziewczynki gospodarzy bawiły się osobno: piegowata Vlasta chodziła na jakichś małych szrudłach, robiąc przy tym, jak to zwykle ona, mnóstwo hałasu, a jej młodsza siostra, Zuzanna, bawiła się lalkami.

- Co się stało? – Amalia przytuliła córkę.
- One są głupie. – Małgorzata oskarżycielsko wyciągnęła palec w stronę koleżanek.
- Nie wolno tak mówić – Amalia skarciła ją szybko, spoglądając przeproszająco na Błażenę, ale uśmiechnięta pulchna kobieta machnęła tylko lekceważąco ręką.
- Dajcie spokój, Amalio. To dzieci, najpierw się kłócą, a chwilę później godzą. Nie zwracajcie na to uwagi.
- Ja się nie pogodzę. – Małgorzata zacisnęła pięści. – Nie chcę się z nimi bawić, bo się śmiały, że mam brzydką sukienkę i sama jestem brzydka.
- Amalia się roześmiała.
- Skąd możesz wiedzieć, że tak właśnie mówiły. Przecież nie znasz czeskiego, a one nie mówią po polsku.
- Trochę mówią. Poza tym pokazywały swoje suknie, a potem dotykały mojej i udawały, że wymiotują. Myślą pewnie, że jestem od nich gorsza. A wcale nie jestem.
- Nie jesteś, kochanie. Kiedyś opowiem ci, kim być może jesteś... – Amalia tajemniczo zawiesiła głos. – Mamy swoją rodzinną tajemnicę.
- Tajemnicę? – Oczy małej rozbłysły.
- A tak, tajemnicę naszego pochodzenia. Ale do tego musisz jeszcze trochę podrosnąć. Wtedy wszystko ci opowiem.
- Już jestem dorosła! Już jestem dorosła!
- Nie, nie jesteś. Dorosła kobieta nie zachowuje się jak rozpieszczone małe dziecko. I nie podskakuje tak śmiesznie jak ty.
- Szymon z pobłażliwym uśmiechem przyglądał się tej wymianie zdań. Podziwiał żonę za to, że potrafiła się przeciwstawić rozkapryszonej sześciolatce. Wiedział, że Amalia kochała córkę nad życie, ale kiedy zachodziła taka potrzeba, potrafiła też zapanować nad trudnym charakterem dziewczynki.
- Jeśli chcesz – pocałowała małą w czubek nosa – możemy zamówić dla ciebie jakąś piękną suknię u mistrza Radima.
- O nie! – zaprotestował natychmiast Szymon. – Tylko nie u niego!
- Dobrze – zgodziła się rozbawiona Amalia – możemy to zrobić w Krakowie, zaraz po powrocie do domu. Co ty na to, Małgorzatko?
- A dlaczego nie tutaj?

– Bo mistrz Radim szyje suknie tylko dla dorosłych kobiet. Zapomniałam o tym. Nie chcesz chyba wyglądać jak jakaś stara niewiasta?

– Nie chcę. A kiedy znów tu przyjedziemy, pokażę tym dziewczynom, jakie piękne suknie mamy w Krakowie. Niech zazdroszczą.

Zadowolona Amalia ruszyła za Blażeną do kuchni, żeby pomóc jej w przygotowaniu obiadu. Czescy przyjaciele Szymona nie mieli służącej, więc pani domu musiała wszystkim zajmować się sama. Nie wyglądała wcale na nieszczęśliwą z tego powodu. Po kształtach jej i jej męża widać było, że ona lubi gotować, a on zjadać to, co przyszykowała.

Szymon do późnego wieczora rozmawiał z niemieckim kupcem, niejakim Bernardem, starając się go namówić do sprzedaży piętrowego domu na Starym Mieście. To było jedno z zadań, jakie wyznaczyła mu przed wyjazdem królowa Jadwiga. Zamierzała stworzyć w Pradze bursę dla kilkunastu studentów z Litwy i Rusi, przyszłych teologów, którzy mieli urzeczywistnić największe marzenie młodej monarchini: całkowitą chrystianizację terenów wschodnich. Potrzebowała do tego jakiegoś odpowiedniego budynku. Dom Bernarda, w którym teraz mieścił się skład win, a także przylegająca do niego działka, wydawały się Szymonowi idealne. Pozostawało ustalić cenę. Królowa przeznaczyła na ten cel trzy tysiące pięćset grzywien, a kupiec okazał się twardy w pertraktacjach.

W tym czasie Amalia rozmawiała z Blażeną, a na koniec zajrzała do pokoju, w którym spała jej córka.

– Mamo, proszę mi powiedzieć o tej tajemnicy. Proszę. – Małgorzata objęła matkę za szyję, kiedy ta podeszła do łóżeczka, żeby pocałować córkę na dobranoc.

– Mówiłam już...

– Ale choćby tyle. – Dziewczynka pokazała czubek paluszka. – Tyci, tyci.

– No dobrze – westchnęła Amalia – tylko troszeczkę. Resztę opowiem, jak już dorośniesz.

Ściszyła głos, żeby śpiące w tym samym pokoju dziewczynki gospodarzy nie słyszały ich rozmowy. Nie miała pewności, czy na pewno nie rozumieją, o czym mówi się przy nich po polsku. Dzieci, nie tylko jej własna córka, zaskakiwały ją nieustannie. Często zdarzało się, że ją

i Szymona odwiedzali zagraniczni goście ze swoimi dziećmi i te natychmiast potrafiły się ze sobą bawić, tak jakby nie było między nimi żadnej bariery językowej. Każde z nich mówiło po swojemu i żadnemu to nie przeszkadzało.

Zupełnie tych różnic nie zauważały.

– Hmm... – zaczęła powoli, szukając odpowiednich dla dziecka słów – pamiętasz bajki, które ci nieraz opowiadałam, o biednych dziewczynkach, sierotkach, które na koniec okazywały się córkami królów albo innych możliwych panów. Z różnych przyczyn ukrywano przed nimi tajemnice ich pochodzenia, ale wcześniej czy później prawda i tak wychodziła na jaw.

– Jestem królową? – Małgorzata aż usiadła na łóżeczku z wrażenia. W świetle łożówki jej szeroko otwarte niebieskie oczy stały się teraz niemal granatowe.

– No, może niezupełnie. – Amalia uśmiechnęła się, widząc poruszenie małej. – Ale mamy w rodzinie trochę podobną sytuację. To znaczy mamy pewną tajemnicę, której jeszcze nikt nie odkrył. Może pewnego dnia ty to zrobisz, jak już dorośniesz. Kto wie?

Położyła małą z powrotem, przykryła pierzynką aż po samą brodę, pocałowała na dobranoc i cichutko wyszła z dziecięcej sypialni.

Długo nie mogła zasnąć, wciąż mając przed oczami roziskrzony wzrok Małgorzaty i wyraz zachwyty na jej twarzyczce.

Nie była teraz pewna, czy dobrze zrobiła, pobudzając wyobraźnię dziecka. Ale jak każda matka bardzo chciała teraz poprawić nastrój Małgorzaty i wzbudzić w niej poczucie własnej wartości.

Rano obudziło ich głośne pukanie do drzwi.

Jindrich poinformował wszystkich tubalnie, iż przybył posłaniec z Krakowa.

– Co się stało? – Wciąż jeszcze do końca nierozbudzony Szymon niezdarne nakładał kaftan na nocną koszulę. – Jakieś złe wieści, nie daj Bóg?

– Nie wiem. Powiedział jedynie, że będzie rozmawiał tylko z tobą.

Kiedy Szymon ubrał się w końcu i wyszedł, Amalia nie mogła już zasnąć. Martwiła się, co takiego mogło się stać, że aż wysłano do nich posłańca.

O Boże! Stłumiła nagły krzyk i wyskoczyła z łóżka. Chyba nic złego nie stało się mojej małej Jadwisi?!

Na szczęście okazało się, że nic złego się nie wydarzyło.

Wręcz przeciwnie, Królowa Jadwiga wzywała Szymka i Amalię do powrotu na Wawel z powodu radosnej dla miasta nowiny.

– Królowa pisze, że mam wracać, bo przyszła wiadomość, że papież zgodził się w końcu na otwarcie w Krakowie wydziału teologicznego. – Szymon nie krył entuzjazmu.

– A więc jednak! – Amalia także się ucieszyła, jako że, chcąc nie chcąc, od miesiący żyła sprawami Akademii.

– Bulla została wydana w połowie stycznia.

– To czemu dowiadujemy się dopiero teraz?

– No wiesz, z Rzymu do Krakowa droga daleka. Zwłaszcza przy obecnych roztopach. A ten posłaniec też musiał nas tutaj odnaleźć.

– Kiedy mamy wracać?

– Jak najszybciej. Znasz naszą Najjaśniejszą Panią lepiej niż ja. – Uśmiechnął się porozumiewawczo do Amalii. – Jeśli już sobie coś postanowi, nie lubi czekać z realizacją.

– To prawda.

– Wreszcie będziemy mogli zacząć działać naprawdę.

– A co z bursą dla Litwinów? – Amalia zarzuciła futrzaną pelerynę na koszulę nocną.

– Przejmie to ktoś inny. Zwłaszcza że ten Bernard to szczywany lis. Próbował mnie wczoraj naciągnąć.

Jeszcze tego samego dnia Amalia wybrała się do mistrza Radima na ostatnią przymiarke, prosząc, żeby gotowe suknie wysłano jej do Krakowa. Zapłaciła więcej za tę dodatkową usługę, przez co musiała wysłuchać dłuższych niż do tej pory podziękowań i zapewnień, że mistrz dołoży wszelkich starań, żeby jego dzieło zachwyciło klientkę.

A może i samą królową Jadwigę?...

Szymek, jak obiecał, czekał na nią na dole. Wytłumaczyła krawcowi, że małżonek źle znosi zapach takiej ilości tkanin, wołał więc zaczekać na świeżym powietrzu, żeby swoim kichaniem nie przeszkadzać mu w pracy.

Radim nie mógł sobie przypomnieć, czy mąż szanownej klientki kichał podczas ostatniej wizyty, ale umiejętnie naprowadzony przez Amalię „przypomniał” sobie, że istotnie, tak. Wyraził ubolewanie z tego powodu i poprosił ją o przekazanie małżonkowi życzeń zdrowia.

Żałował, że oboje muszą tak szybko wyjechać, lecz Amalia obiecała mu, że przy każdej kolejnej wizycie w Pradze nie omieszka go odwiedzić, by znów sobie coś zamówić.

Serdecznie żegnali się też z Jindrzichem i Blaženą. Zdążyli się już zaprzyjaźnić i wszystkim było smutno z powodu rozstania. Szymon zaprosił ich do Krakowa, a Jindrzich zapewnił, że odwiedzi stolicę Polski z przyjemnością, aby zobaczyć postępy w pracach nad odbudowywaniem krakowskiej Akademii przez królową Jadwigę. Uważał, że takie miasto jak Kraków powinno mieć swój uniwersytet, nie gorszy niż w Bolonii, gdzie razem z Szymkiem uzupełniał swoje wykształcenie.

Tuż przed podróżą po raz ostatni wybrali się na spacer nad Wełtawę. Łagodny wietrzyk niósł zapachy znad rzeki i owiewał ich twarze pożegnalnym czułym podmuchem. Amalia z przyjemnością poddała się tej pieszczocie. Prawie nie rozmawiali, każde zajęte swoimi myślami. Szymek już pewnie planował pierwsze kroki i działania przy tworzeniu Akademii, a Amalia... Ona też miała swoje marzenie, którym postanowiła się podzielić z mężem podczas długiej podróży powrotnej do domu. Myślała o tym, że może przy okazji udałoby się im stworzyć własną szkołę dla biednych dzieci. A ona uczyłaby tam także dziewczynki. Tak, właśnie dziewczynki. One również powinny mieć dostęp do nauki, nie tylko chłopcy.

Poza tym nadałoby to jej życiu jakiś głębszy sens. Chciała robić coś pożytecznego, mieć jakieś godne zajęcie, a nie tylko zajmować się domem i wychowaniem córek.

Czuła, że Szymek pochwali jej pomysł.

Trzeciego marca Praga żegnała ich piękną słoneczną pogodą.

Złote promienie odbijały się w falach Wełtawy, przywołując wszystkie piękne chwile, jakie tu spędzili. Małgorzata, początkowo przejęta z powodu czekającej ich długiej drogi, siedziała teraz cicho w kącie kwadratowego wozu wysłanego zielonym aksamitem i widać było, że za chwilę zapadnie w sen, jak zwykle podczas podróży.

Amalia spojrzała na nią z miłością.

Czy będzie niegdyś wspominać ten pobyt jako najcudowniejszy okres swojego życia?

A może, kto wie, dopiero jako jego początek?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kraków, marzec 1397

Królestwo Mildy obejmowało trzy duże komnaty na pierwszym piętrze kamienicy w północnej pierzei rynku.

Tak naprawdę miała dostęp niemal do każdego z kilkunastu pomieszczeń kupieckiego domu, lecz jej prawdziwa władza ograniczała się do tego właśnie rejonu, a więc: sypialni, przylegającej do niej przestronnej świetlicy, w której spędzała zwykle większość dnia, i do izdebki małego Tomka. Jeżeli chodzi o olbrzymią kuchnię na parterze, żona Mikołaja przebywała w niej często, wydając dyspozycje kucharce, lecz to właśnie ta stara kobieta, służąca kupieckiej rodzinie już od kilkadziesiąt lat, była prawdziwą królową pośród rondli, patelni i garnków.

Milda nie zamierzała tego kwestionować.

Jedyne pomieszczenia, do których zaglądała rzadko lub w ogóle – prócz, rzecz jasna, prywatnych apartamentów Bartłomieja oraz Mikołaja – należały do mieszczącego się również na parterze sklepu. Od samego początku dano jej grzecznie, acz stanowczo do zrozumienia, iż jako białogłowa nie ma tam czego szukać. Ten świat należał całkowicie do mężczyzn. Obejmował położony od frontu sklep, pomieszczenia dla terminatorów, obszerny magazyn oraz kantor, gdzie ojciec i syn zajmowali się księgowością, pochyleni w skupieniu nad abakusem, woskowymi tabliczkami oraz pergaminem, przeliczając weksle i gotówkę chowaną w okutej żelazem kasetce.

Tam pod żadnym pozorem nie wolno było jej wchodzić.

Tak więc, chcąc nie chcąc, większą część dnia spędzała na piętrze.

Kiedy zaraz po ślubie po raz pierwszy ujrzała swój nowy dom, aż zabrakło jej tchu z wrażenia. Nawet Wawel nie uderzał tak swoim przepychem. Wszystko tu zdradzało, iż właściciele są bajecznie bogaci. Od dawna słyszała o kupieckich fortunach i o tym, że ludzie zajmujący się

handlem stanowili – obok bankierów – największą władzę w dużych miastach, mimo to była oszołomiona.

Oszołomiona, lecz i nieco zmieszana.

Szczerze mówiąc, nigdy nie zależało jej na bogactwie, mogłaby się doskonale obejść bez tych wszystkich oszklonych dwuskrzydłowych okien, drewnianych kratownic, mozaikowych posadzek, mebli sprowadzanych z Burgundii oraz Neapolu, kosztownych draperii, solniczek w kształcie syren, lwów i jednoroźców. Przywykła do skromnego życia, poza tym zdawała sobie sprawę, że wielu mieszczan uważa, iż poślubiła Mikołaja tylko po to, aby wejść do słynnej rodziny i stać się wielką panią.

Często wyobrażała sobie, jak krakowianie komentują jej wybór:

„Czyż ta dziewczyna nie mieszkała kiedyś w Kazimierzu i nie pracowała w gospodzie?”.

„No tak, usidliła kupieckiego syna za pomocą swego pogańskiego uroku. Nie taka głupia ta Litwinka. Zrobiła dobry interes”.

A przecież nie wyszła za Mikołaja dlatego, że był bogaty.

Właściwie to nawet stanowiło dla niej przeszkodę, dużą przeszkodę, zwłaszcza po pamiętnej rozmowie z Bartłomiejem, podczas której zrozumiała jasno, iż surowy i zasadniczy starzec, delikatnie rzecz ujmując, nie darzy jej nadmierną sympatią.

Nie żeby pragnęła związku z biedakiem, aby zamieszkać z nim w jakiejś norze na Kleparzu, bez przesady, tak naiwna i głupiutka nie była, po prostu zdawała sobie sprawę, że dzięki małżeństwu stanie się częścią tego olbrzymiego interesu i całkowicie utraci wolność. Że teść będzie nią rządził tak samo jak wszystkimi w rodzinie.

Lecz Mikołaj był pierwszym mężczyzną, który rozbudził w niej kobiece pragnienia, wpatrywał się w nią z zachwytem i traktował ją jak damę nawet wtedy, kiedy wszyscy inni mieli ją za wiedźmę, paserkę i posługaczkę. Umiał poruszyć jakąś strunę w jej duszy nie tylko dzięki temu, że był urodziwy i czarujący, co też naturalnie miało znaczenie – lecz jednocześnie czuła, że jest przez niego kochana i szanowana.

A ona też chciała już dorosłego życia, takiego, jakie wiodły wszystkie dziewczęta w jej wieku, a przynajmniej te, które nie wstąpiły do klasztoru; pragnęła mieć męża, dom, dzieci. Nie mogła wiecznie mieszkać gdzieś kątem na Wawelu, samotna, otoczona aptecznymi słojami. Bo wcale a wcale nie miała usposobienia mniszki.

Tak więc, mimo wielu wahań, wątpliwości oraz obaw, przyjęła w końcu oświadczyzny Mikołaja. Niedługo po powrocie z Rożnowa, na początku tysiąc trzysta dziewięćdziesiątego trzeciego roku odbyły się ich zaręczyny, bardziej wystawne niż niejeden ślub. A cóż dopiero powiedzieć o samych zaślubinach! Mogła przewidzieć, że ojciec Mikołaja nie poskąpi grosza na uroczystości i przyjęcie weselne, dla niej jednak było tego za wiele. O ile jeszcze tuż przed ceremonią, gdy Amalia i znajome dwórki pomagały jej się ubrać, dopasowywały wianek oraz welon, czuła się szczęśliwa i podekscytowana, to potem cała owa wystawność najzwyczajniej w świecie ją przytłoczyła i Milda modliła się w duchu, aby to wszystko jak najszybciej się skończyło.

Orszak ślubny, który ruszył spod Wawelu ku kościołowi Najświętszej Marii Panny, przypominał przejazd jakiegoś monarchy. Towarzyszyli im liczni konni, żonglerzy i hałaśliwi muzykanci, a gapie wprost tarasowali przejazd, przez co droga ciągnęła się w nieskończoność. Milda zdawała sobie sprawę, że większość tych gapiów przybyła głównie po to, żeby zobaczyć królową, która, jak sama stwierdziła, nie mogła się tam nie pojawić. Litwinka dostała też od monarchini spory posag, czym uradowała przede wszystkim Bartłomieja mającego na wskroś kupiecką duszę.

Świątynię rozświetlał blask mnóstwa świec.

Milda była tak przejęta, że niewiele pamiętała ze słów, jakie wypowiadał kapłan. Przywitał ich, trzymając otwartą księgę i pierścień, a potem zadawał pytania, na które byli przygotowani: o wiek, stopień pokrewieństwa, zgodę rodziców. Mniej zrozumiała z długiej homilii. Było w niej coś o biblijnym potopie, o tym, iż Bóg nie bez przyczyny uratował po parze stworzeń. Duchowny wspominał też o Najświętszej Dziewicy, jej małżeństwie z Józefem i łasce, dzięki której to Maryja dostąpiła zaszczytu porodu Syna Bożego.

Wreszcie mistrz ceremonii pobłogosławił obrączkę, którą Mikołaj założył na serdeczny palec Mildy, wypowiadając słowa: „Ten pierścień jest symbolem tego, że biorę cię sobie za żonę. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego”.

Gdy wyszli z kościoła na rozświetlony i zapchany ludźmi rynek, aż zakręciło jej się w głowie.

A trzeba było jeszcze rozdać jałmużnę ubogim, a potem jechać na huczne wesele.

Teraz, tego marcowego popołudnia, gdy Milda wracała ze stradomskiego szpitala do domu, tamten dzień wydawał jej się tak odległy, że aż nierzeczywisty. To, co prawdziwe i co trwało od dnia następującego zaraz po zaślubinach do dzisiaj, to była owa dziwna egzystencja, jaką wiodła w kamienicy przy rynku.

Jak gdyby trwała w zawieszeniu.

Przebiwszy się przez ciżbę sprzedawców i kupujących, dotarła do bramy domu, gdzie przy schodkowym nadprożu powitał ją ukłonem pacholek pilnujący sklepu. Pierwsze, co zrobiła, to wbiegła na piętro i zajrzała do izby, w której zwykle przebywał jej synek.

Wprawdzie dziecko miało bardzo dobrą piastunkę, jasnowłosą Jagnę, Milda jednak musiała zawsze wszystkiego osobiście dopilnować.

Chłopiec siedział na posadzce, w kolorowym kwadracie padającego od okna blasku zachodzącego słońca, przefiltrowanego przez żółte i niebieskie szybki. Był otoczony zabawkami: drewnianymi małpkami, kogucikami z gliny, figurkami brodatych rycerzy na koniach, szklanymi kulkami, a także – co Milda odnotowała z pewnym przestraszaniem – leżały obok niego misternie rzeźbione figurki oraz szachownica, należące do dziadka. Wiele z zabawek kupił synowi Mikołaj, gdy przebywał w Norymberdze, i kosztowały one majątek, Tomko jednak od samego początku nieszczególnie się nimi interesował. W pobliżu chłopca, jak zwykle, ulokował się jego nieodłączny przyjaciel, Benedykt, stary kocur Mikołaja. Zwierzak od razu polubił malca, od momentu, kiedy ten pojawił się na świecie. Nie odstępował na krok od kołyski, alarmował, gdy dziecko zaczynało się niespokojnie kręcić, a potem znosił cierpliwie jego pieszczoty. Tomko, który nie przepadał za bliskim kontaktem z ludźmi, przytulał się tylko do kota.

Teraz obaj siedzieli nieruchomo, wpatrzeni w jakiś punkt obok kaflowego pieca, jakby tylko oni coś tam widzieli. Tomko wyglądał nad wyraz poważnie z tą swoją zadumaną miną, w kubraczku będącym pomniejszoną wersją stroju dorosłego mężczyzny.

Na ten widok Mildzie znów ścisnęło się serce.

– I jak się sprawował mój synek? – spytała piastunkę, która porządkowała rzeczy w stojącej pod oknem skrzyni.

– Jak zwykle – odparła obojętnie dziewczyna, bez cienia złościwości.

Po prostu stwierdziła fakt. Chłopczyk jak zwykle zajmował się swoimi myślami, nie zwracając uwagi na otoczenie.

Milda podeszła do Tomka i nachyliła się nad nim. Mały nie spojrzął na nią, ale nie uchylił się też, kiedy pogłaskała go po głowie.

Dlaczego był taki dziwny?

Czy rzeczywiście zawiniła jego pierwsza mamka?

Tak przynajmniej twierdził stary Bartłomiej. Uznał, że dziewczyna, która karmiła niemowlę, musiała mieć w piersiach skażone mleko, ponieważ nie przestrzegала odpowiedniej diety. Podobno kucharka przyłapała ją kiedyś na podjadaniu cebuli i czosnku. Czy była to prawda, czy też wymysł służby, nieistotne; choć dziewczynę wyrzucono z hukiem, a jej następczyni pilnowano na każdym kroku, nic to nie pomogło.

Tomko okazał się inny.

Nie potrafił wypowiedzieć nawet najprostszyc słów. Milczał jak zakłęty.

Swoje potrzeby najczęściej sygnalizował płaczem. Mało się też uśmiechał, można wręcz powiedzieć, że właściwie wcale tego nie robił. Poważna buzia, okolona złotymi lokami, z ogromnymi zielonymi oczami po ojcu, prawie nigdy nie zmieniała swojego wyrazu. Tylko ona, matka, mogła wyczuć, czy synek jest zadowolony, czy smutny. Zwykle mały wydawał się spokojny, skupiony wyłącznie na własnych sprawach – najczęściej było to obserwowanie mrówek, much albo, ku zgrozie kucharki, karaluchów, które pojawiły się pewnego lata w kuchni. Mógł się w nie wpatrywać godzinami, po swojemu mruczając coś pod nosem, nadawał im paluszkami kierunek marszu albo podnosił te, które się przewróciły na grzbiet.

Taki wnuk z pewnością nie mógł napawać dumą potężnego dziadka. Bartłomiej wręcz wstydział się chłopca i nie pozwalał mu kręcić się po domu, kiedy przychodzili goście.

Milda czuła, że ów stan rzeczy spowodowany był przedwczesnymi narodzinami synka, i czekała na cud. Jej owo inne dziecko nie przeszkadzało, wręcz kochała chłopca za to jeszcze mocniej i starała się otaczać go większą opieką niż znajome matki swoje dzieci. Bała się tylko, że Tomko może sobie kiedyś nie poradzić w zimnym i niechętnym wobec wszelkich odmienności świecie.

Nagle Milda przypomniała sobie o czymś.

– Zaraz do ciebie wrócę, kawalerze – powiedziała do synka i ruszyła w kierunku swojego pokoju.

Kiedy się tam znalazła, otworzyła zamykaną na klucz skrzynkę i wyjęła z niej małą kasetkę. Trzymała w niej zaoszczędzone drobne sumy oraz biżuterię. To był jej prywatny skarbiec. Bartłomiej i Mikołaj pozwalali Mildzie na posiadanie własnych pieniędzy, przeznaczonych głównie na cele dobroczynne. Wszystkie inne wydatki były opłacane ze sklepowej kasy, nad którą tylko oni trzymali pieczę. Młoda kobieta nie mogła nic kupić bez ich wiedzy i pozwolenia.

Zdjęła zawieszony na szyi kluczyk i otworzyła pudełko.

Zza okna dochodził gwar rozmów i trzask zamykanych jak zwykle o tej porze sklepów, a także kantorów. Przyzwyczyła się już do tego, że mieszka bezpośrednio przy rynku, gdzie od wschodu słońca do zmierzchu trwał ożywiony handel. Niemal pod jej oknami znajdowały się Sukiennice, bogate kramy, stoiska drobnych sprzedawców, wagi towarowe oraz topnie srebra i złota. Z początku trudno było jej się przyzwycząć do hałasu, teraz jednakże prawie nie zwracała na niego uwagi.

Wyjęła z kasetki pięćdziesiąt groszy i wsypała monety do jedwabnej sakiewki.

Na opał dla szpitala. Byłaby na śmierć zapomniiała.

Do końca tygodnia powinno wystarczyć.

Zawiązała sakiewkę i kręconymi schodami szybko zeszła na parter. Tam, przy bramie na podwórze, odnalazła Macieja, zaufanego sługę.

– Mam do was prośbę – rzekła.

– Tak, pani?

– Zanieście tę sakiewkę do stradomskiego szpitala, zanim się ściemni.

– Pan kazał mi uporządkować piwnicę. – Maciej poskrobał się po głowie pod skórzaną czapkę z nausznikami.

– To może poczekać – stwierdziła krótko.

Przez bramę przeciskał się jakiś wóz z nową dostawą, od strony kuchni napływały ciężkie zapachy przygotowywanej wieczerzy.

– Jeśli tak, pani, mówicie.

– Tylko nie do rąk ojca Winicjusza...

– Bogu niech będą dzięki.

– Oddajcie Hannie.

– Tej garbatej?

- Tej właśnie. Powiedzcie, że to ode mnie, na opał.
- Wedle życzenia.
- Trzy grosze dla was, na piwo świdnickie, za fatygę.
- Bóg zapłać.

Wziął od niej sakiewkę i już go nie było.

Z czystym sumieniem wróciła na górę, gdzie służba zapalała już świece. Była zadowolona, że tym skromnym datkiem zrobiła niewielki dobry uczynek. Wprawdzie szpital znajdował się pod opieką królowej, ale Wawel miał teraz pilniejsze wydatki niż pomoc chorym. Jadwiga zbierała fundusze na odnowienie Akademii, a w skarbcu, jak powiadano, wcale się nie przelewało.

Wróciła do Tomka.

Chłopiec już nie siedział pośród zabawek, tylko z uroczystą miną stał na środku pokoju.

– Jestem – wysapała Milda, zmęczona chodzeniem tam i z powrotem po schodach.

– Tęskniłem – oznajmił malec.

Stanąła jak wryta, rozglądając się za piastunką, by sprawdzić, czy ona też to usłyszała, ale Jagny nie było w tej chwili z nimi.

– Co powiedziałeś, synku? – Przypadła do dziecka.

– Powiedziałem, że tęskniłem – odrzekł spokojnie, nie patrząc na nią.

Milda chwyciła go w objęcia, zapominając, że mały nie lubi uścisków. Kiedy to sobie uświadomiła, zdziwiła się, że nawet specjalnie nie protestował.

– Tęskniłeś? – zapytała, bojąc się, że coś jej się przywidziało.

– Tak, mamó. Byliście i nagle znów gdzieś wyszliście.

Serce biło jej jak szalone. Tomko przemówił.

I to nie pojedynczymi słowami, tylko pełnymi zdaniem. Nie wiedziała, co robić: próbować sprowokować dziecko do dalszego mówienia czy jak najszybciej zawołać Mikołaja. Zdecydowała się na to drugie.

Jeszcze raz przytuliła chłopca, który teraz aż się wzdrygnął, i chwilę potem znów była na schodach.

– Gdzie mój mąż? – spytała dziewczynę, niosącą z kuchni na górę wazę z gorącą zupą.

– Odbiera dostawę ze starszym panem.

Na podwórzu było już niemal całkiem ciemno, jeśli nie liczyć żółtawego blasku rzucanego przez zawieszona na drągach latarnie. Mikołaj z ojcem stali obok wozu i rozmawiali z mężczyzną w wysokiej ruskiej czapie.

– Mężu! – zawołała, z trudem łapiąc oddech.

Obaj mężczyźni odwrócili głowy w jej kierunku.

– Stało się coś, Anno? – zapytał zaniepokojony Mikołaj.

Przy ojcu starał się do niej zwracać jej chrześcijańskim imieniem, kiedy byli sami, nadal nazywał ją Mildą.

– Chodź szybko.

– Pali się? – mruknął niechętnie Bartłomiej. – Cóż takiego mogło się stać, moja synowo, że zawracasz nam głowę? W takich warunkach nigdy się tych lichtarzy nie doliczymy.

Milda, nie zwracając uwagi na słowa teścia, podbiegła do męża i pociągnęła go za rękę.

– Chodź, nasz Tomko mówi!

– Powiedział coś? – zapytał Mikołaj.

– Jeśli tak, to lichtarze mogą poczekać – rzekł innym już tonem rajca. – Siergieju, musicie nam wybaczyć na chwilę. Sprawy rodzinne.

Wszyscy ruszyli w kierunku sieni i schodów, Milda szła szybko, poganiając niecierpliwie męża, stary kupiec kroczył w ślad za nimi statecznym krokiem biblijnego Mojżesza.

Weszli do izby, w której mały Tomko w milczeniu przestawiał swoje zabawki. Były tam zmyślnie wystrugane z drewna zwierzątka: koniki, małpki i wielbłądy. Służba, która widocznie wyczuła, że w domu dzieje się coś niezwykłego, zaglądała ciekawie przez drzwi do środka, szepcząc coś między sobą.

Milda uklękła przy synu.

– Tęskniłeś? – spytała.

Żadnej reakcji.

No tak, pewnie wystraszyło go całe to zamieszanie. Wszystko popsuła, jak zwykle.

– No, powiedz nam coś. – Bartłomiej stanął przy nich, górując nad malcem niczym wieża kościelna. – Podobno zacząłeś w końcu mówić.

Odpowiedziała mu cisza. Tomko nie przestawał bawić się swoimi zwierzątkami, jakby nikogo innego nie było w pokoju.

Milda i Mikołaj próbowali jeszcze kilka razy sprowokować chłopca do mówienia, ale mały milczał jak zakłęty.

– Wracajmy do pracy, synu – wysapał zirytowany Bartłomiej. – Widocznie Tomko przemawia tylko do wybranych osób. Na mój rozum nic się od dzisiejszego ranka nie zmienił.

Milda skuliła się jak od uderzenia, Mikołaj uciekł spojrzeniem w bok.

– Ma nam tyle do powiedzenia, co ta małpka, którą się bezmyślnie bawi – dodał Bartłomiej; poczucie zawodu wywołało w nim złość oraz okrucieństwo. – W sumie to jest jak ona.

Odwrócił się w stronę drzwi.

– A właśnie że powiedziałem – nagle rozległ się wyraźny głos Tomka. – Powiedziałem mamie, że za nią tęskniłem.

Wszyscy zastygli w bezruchu.

– I nie jestem małpką – mówił dalej chłopiec, wyciągając w stronę Bartłomieja jedno ze swoich drewnianych zwierzątek.

– Tak wygląda małpka, dziadku.

Stary kupiec zamarł, a wraz z nim Milda. Spodziewała się wszystkiego, lecz nie tego, co potem nastąpiło.

Bartłomiej odwrócił się ponownie w kierunku wnuka, przyjrzał mu się uważnie, a następnie, chyba po raz pierwszy w jej obecności, zaniósł się tubalnym, serdecznym śmiechem.

– Ma charakterek, a niech mnie! Mój wnuk. Bez żadnych wątpliwości, mój wnuk.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kraków, marzec 1397

Pojawienie się w okolicach kościoła Świętej Anny królowej Jadwigi wraz ze świtą złożoną z samych najznamienitszych wawelskich dostojników wywołało niemałe poruszenie pośród mieszkańców tego rejonu.

Nic w tym dziwnego. Monarchini rzadko tu gościła, ponieważ w tym tak zwanym kwartale garncarskim mieszkała przeważnie ludność żydowska. Zabudowa była przede wszystkim drewniana, a domy zaniedbane. Straż oraz uzbrojeni w pałki pachołkowie musieli teraz utworzyć kordon oddzielający dostojnych gości od gawiedzi.

Ostatni tydzień marca, tuż przed świętami Wielkanocnymi, przyniósł spore ochłodzenie, z nieba spływały płatki śniegu. Królowa siedziała na siwym koniu, opatulona w ciężką szubę, i przyglądała się budynkowi należącemu do niejakiego Stefana Pęcherza, krakowskiego obywatela.

– To wszystko nie wygląda zbyt zachęcająco – rzekła do siedzącego obok niej na karym rumaku Piotra Wysza z Radolina. – Mam na myśli całe to miejsce.

– Na razie to jeszcze dziki teren – odparł krakowski biskup, pociągając nosem, był bowiem przeziębiony. – Trzeba będzie wykupić sąsiednie domostwa.

– Koniecznie.

Po drugiej stronie siedzieli na koniach Wojciech Jastrzębiec oraz jego jasnowłose bratanek Miłosz. Obaj nie tak dawno powrócili z Asyżu, przywożąc papieskie pozwolenie na otwarcie wydziału teologicznego w krakowskiej Akademii i od tej pory Jadwiga chciała ich mieć cały czas przy sobie.

– Ale sam budynek wydaje się solidny i wystarczająco duży – powiedział kanclerz, doświadczony dyplomata.

– Tak, jest odpowiedni – przyznała władczyni.

Siedzibą Pęcherza była dwupiętrowa kamienica, wzniesiona na planie prostokąta, z dwuspadowym gontowym dachem i szeroką bramą wjazdową. Zbudowano ją kilkadziesiąt lat temu, z drobnego kamienia wapiennego, i teraz górowała nad otoczeniem, dlatego powszechnie nazywano ją Maius, czyli Większą.

To właśnie tutaj Jadwiga pragnęła stworzyć siedzibę pierwszego w Polsce uniwersytetu.

Kiedy rzymski Ojciec Święty, Bonifacy IX, łaskawie zezwolił na otwarcie w Krakowie wydziału teologicznego, królowa niezwłocznie przystąpiła do dzieła. Pierwszym zadaniem było wyznaczenie mieszkań dla mistrzów, licencjatów, bakałarzy oraz studentów, a także miejsc, gdzie mogłyby się odbywać wykłady, ćwiczenia i zajęcia naukowe.

– Podobno w Bolonii kolegia zostały utworzone w pałacach miejskich możnych – rzekła Jadwiga.

Wiedziała to z listów męża Amalii, Szymona.

– To prawda – odpowiedział Wysz. – Collegio Gregoriano mieści się w domu należącym niegdyś do bogatej rodziny Pepoli. Nie możemy jednak, Najjaśniejsza Pani, od razu się przyrównywać do słynnych na cały świat miast Italii. Spójrzmy na taką Pragę, bliższą nam przecież. Tam pierwszą siedzibą Uniwersytetu, Carolinum, był dom w dzielnicy żydowskiej.

– Wiem. Później kupiono od Jana Rotleva kamienicę przy staromiejskim rynku. Wszystko to jest mi wiadome, ekscelencjo. Ta kamienica może i byłaby odpowiednia, lecz cały rejon będzie wymagał kosztownej przebudowy.

– Nie da się ukryć, Najjaśniejsza Pani.

– Ile będziemy musieli zapłacić?

– Dużo.

Królowa w zadumie pokiwała głową.

Aby zamienić to ponure miejsce w nowoczesną dzielnicę uniwersytecką, trzeba było sięgnąć po nadzwyczajne środki. Królowa patrzyła na drewniane domki otaczające kamienicę, wyrastające z błota i nagich o tej porze roku zarośli rudery, które trzeba będzie wykupić, a potem rozebrać.

Zadania nie ułatwiał fakt, iż w pobliżu znajdowało się również żydowskie getto, ze swoimi synagogami, szpitalem, szkołą i łaźnią – miejsce, gdzie kiedyś znalazła schronienie Milda. Jadwiga nie chciała za bardzo ingerować

w plany zabudowy, aby nie zrazić sobie starozakonnych bankierów, od których wawelski dwór często pożyczał pieniądze.

– Co z ulicą Garncarską? – spytała.

Biskup kichnął.

– Trwają rozmowy – odparł po chwili, wycierając nos.

– To musi być szybko załatwione – oświadczyła królowa, poklepując konia po karku. – Ja tymczasem zajmę się szukaniem funduszy.

– Skoro mowa o funduszach... – Podjechał do niej na kasztanowym rumaku Spytek z Melsztyna.

– Tak?

– Sprawa jest delikatna.

– Mówcie.

Tamten odchrząknął, po czym rzekł:

– Czy nie należałoby poniechać, Najjaśniejsza Pani, planów związanych z praską bursą?

Jadwiga na chwilę zacisnęła usta w wąską kreskę. Ten problem nurtował ją od miesiąca.

– Nie mogę się z tego tak po prostu wycofać – powiedziała cicho. – Złożyłam obietnicę, wydałam dokument.

– Rozumiem doskonale – ciągnął Spytek. – Lecz zważcie, królowo, iż podjęliście ową decyzję jeszcze przed papieskim zezwoleniem.

– Wiem – odparła chłodno, marszcząc czoło.

– Sytuacja się zmieniała – mówił mimo jej niechętniej postawy. – Po pierwsze, nie powinniśmy finansować konkurencyjnego projektu, a po wtóre, w zaistniałej sytuacji każdy grosz jest ważny. Bursę dla teologów z Litwy stworzymy tutaj, nie mam racji?

W planach były kolegia i bursy dla poszczególnych działów oraz narodowości, trwały poszukiwania odpowiednich na nie miejsc. Collegium Iuridicum miało się mieścić przy Grodzkiej, daleko od kwartału garncarskiego. Wszystko to na razie było jeszcze chaotyczne, co drażniło Jadwigę, bo nie tak wyobrażała sobie swoją idealną uczelnię.

– To nie jest łatwa decyzja – stwierdziła, nie patrząc na niego. – Muszę ją przemyśleć.

– Naturalnie.

Jakiś chudy pies przedarł się przez kordon i ku uciesze gapiów zaczął piskliwie obszczekiwać konie wawelskich gości.

– Na razie czekam jeszcze na wieści z Pragi – dodała królowa. – Jak do tej pory chyba nie zaczęto jeszcze żadnych prac związanych z tą bursą.

To, nad czym teraz się głowiła, zdawało jej się dużo pilniejsze: jak uzyskać dodatkowe środki. W tym celu musiała rozmawiać nie tylko z podskarbim oraz wawelskimi dostojnikami, lecz przede wszystkim z królem. A na myśl o takiej rozmowie ogarniało ją zniechęcenie. Wprawdzie Władysław popierał inicjatywę odnowy uniwersytetu, ale skąpił na nią grosza, zawsze tłumacząc się pilniejszymi wydatkami, związanymi głównie ze sprawami wojennymi.

Szczerze mówiąc, łatwiej przychodziły Jadwidze pertraktacje z papieżem niż z jej własnym mężem. Bonifacy często ulegał „najdroższej córce w Jezusie Chrystusie”, jak nazywał polską władczynię, choć nie czynił tego bezinteresownie: w sytuacji, gdy trwała schizma i było dwóch papieży, nie mógł, rzecz jasna, narażać na szwank dobrych stosunków z Koroną Polską. Nie chciał stracić poparcia chrześcijańskiej władczyni. Co innego Władysław, ten bywał uparty jak wół i niespecjalnie liczył się ze zdaniem dużo młodszej małżonki.

Na domiar złego niewiele mieli okazji do rozmowy, ponieważ rzadko się widywali.

Król wiecznie był w rozjazdach. Na Wawelu, którego ten niedawny poganin szczerze nie cierpiał, przebywał rzadko. Jadwiga także podróżowała ze swoim dworem, lecz nie oddalała się zbyt od Krakowa, zajeżdżała głównie do Proszowic, Wiślicy, Bochni, Wieliczki czy Nowego Sącza, podczas gdy jej małżonek wizytował polityczne centra kraju.

Królowa przywykła już do tego, że Władysław jej unikał. To, co zaczęło się psuć już na początku ich małżeństwa, teraz przybrało rozmiary katastrofy. Z początku bardzo cierpiała z tego powodu, z czasem jednak nauczyła się radzić z tym sobie. Lekarstwo stanowiła dla Jadwigi działalność polityczna i dobroczynna. A także gorliwość religijna. Królowa zapragnęła być taka jak kanonizowana przed kilku laty Brygida ze Szwecji.

I choć wciąż nie doznawała religijnych wizji jak owa święta, gorąco się o nie modliła.

Każdego dnia.

– Sprawię, że powstanie tu kolegium – rzekła teraz cicho, bardziej do siebie niż do otaczających ją zmarzniętych dostojników. – Bez względu na wszystko.

Tego chłodnego południa Milda jak co dzień była na mszy w kościele Najświętszej Marii Panny, a potem kręciła się trochę po rynku, oglądając różne drobiazgi wystawione przez krakowskich sprzedawców. Czasami udawało jej się natrafić na coś oryginalnego, zabawnego czy po prostu ładnego, ale dzisiaj nic nie zwróciło jej uwagi. Rozczarowana i zziębnięta, postanowiła wrócić do swoich dobrze nagranych komnat.

Weszła na schodki wiodące na taras przed domem kupca Bartłomieja, jak zwykle w myślach nazywała kamienicę. Wprawdzie obecnie był to również jej dom, jednak wcale tego nie czuła. Wciąż miała wrażenie, że jest tu tylko gościem, może trochę milej widzianym, ponieważ była matką Tomka.

Dziadek, który początkowo wstydził się wnuka, jakby malec był jakimś potworkiem, teraz wręcz pękał z dumy, zachwycony każdym wypowiedzianym przez chłopca zdaniem. Podkreślał przed znajomymi wyjątkową mądrość wnuka i wyszukiwał dla niego najlepszych wychowawców oraz nauczycieli. Milda martwiła się trochę, że dziecko nie jest jeszcze przygotowane do obowiązków, jakie nakładał na niego dumny Bartłomiej, wszakże Tomko znosił wszystko ze stoickim spokojem. Nawet wyglądało na to, że bawi go ów nowy rodzaj zajęć. Wprawdzie zaczął mówić – i to od razu płynnie – nadal jednak przeplatał okresy rozmowności dawnym upartym milczeniem i nigdy nie było wiadomo, w jakim akurat będzie nastroju.

Uśmiechnęła się do służącej, która czyściła balustradki, podtrzymujące drewniany daszek nad tarasem. Wprawdzie znów zrobiło się zimno, a rano nawet spadło trochę śniegu, lecz nadchodziła powoli wiosna, niedługo pan domu wraz z synem będą mogli tam przesiadywać i popijając dobre piwo, omawiać interesy. Milda też miała zwyczaj przebywać na tarasie w słoneczne i ciepłe dni, najczęściej pod nieobecność Bartłomieja i Mikołaja. Piła wtedy węgierskie wino, jadła orzechy i obserwowała ludzi na rynku – całkiem jak wielka pani, kupiecka żona.

Weszła teraz do szerokiej sieni i skierowała się wprost ku schodom prowadzącym na piętro mieszkalne.

Jak zwykle najpierw zajrzała do Tomka.

Stała w drzwiach zaskoczona.

Jej syn siedział na podłodze w towarzystwie jakiegoś ubranego na czarno nieznanego mężczyzny. Grali w szachy. W tak wielkim skupieniu nachylali się nad pionkami i figurami, iż nie zauważyli jej wejścia. Spostrzegła, że ta szachownica nie należała do Bartłomieja, była wyjątkowo piękna, figury zaś wyglądały na zrobione z kości słoniowej.

Chrząknęła dyskretnie, a nieznamy, który dopiero teraz ją zauważył, zerwał się spłoszony.

– Kim jesteście, panie? – spytała nieco ostrzej, niż zamierzała. – I co robicie w komnacie mojego syna?

Mężczyzna wyglądał na cudzoziemca, ściślej mówiąc, południowca. Wrażenie to podkreślała jego charakterystyczna ostra bródka. Był niezbyt urodziwy, miał jakieś trzydzieści lat, ponure rysy, ale żywe spojrzenie.

– Wybaczcie pani. – Skłonił jej się, kładąc przy tym dłoń na piersi. Mówił po polsku z silnym obcym akcentem. – Jestem Miguel de Gualbes i właśnie uczę tego oto młodzieńca gry w szachy. Na polecenie pana Bartłomieja, pana tego domu.

Oczywiście, pomyślała kwaśno Milda, pan tego domu nawet nie uznał za stosowne poinformować mnie o tym. Mój mążonek również nie wspomniał ani słowem o pomysłach swego ojca. Nie miała nic przeciwko takiej nauce, ale wolałaby nie spotykać bez uprzedzenia obcych mężczyzn w swoich pokojach. W dodatku cudzoziemców.

Jednak nie zmieniając wyrazu twarzy, odparła:

– Aha, tak, rzeczywiście. Mówiono mi o tym. Zupełnie zapomniałam. I jak idzie nauka?

Mężczyzna uśmiechnął się lekko, przez co jego ostre rysy złagodniały. Od razu wydał się Mildzie sympatyczniejszy.

– Muszę przyznać, pani, że łąda chwila moje nauki nie będą wcale potrzebne. Gramy zaledwie od kilku godzin, a pani syn już zrozumiał zasady i radzi sobie niemal jak równorzędny partner.

Musiało w tym być wiele kurtuazyjnej przesady, lecz przybysz wiedział, jak pobudzić matczyną dumę.

– Tak, to mądre dziecko – przyznała, patrząc z miłością na Tomka, który wpatrywał się w szachownicę, zastanawiając się pewnie nad kolejnym ruchem.

– Gramy? – spytał tylko, nie podnosząc głowy.

– Zróbmy może małą przerwę, paniczku – zaproponował Miguel. – Ja w tym czasie porozmawiam z twoją matką. Nie wypada ignorować damy, kiedy ta znajdzie się w naszym towarzystwie. To pierwsza zasada dobrze wychowanego kawalera.

– Dobrze – zgodził się Tomko. – Ale tylko mała przerwa.

Milda z trudem stłumiła uśmiech. Spodobał jej się sposób, w jaki Miguel rozmawiał z jej synem. Kiedy tak stał naprzeciwko niej, nagle uświadomiła sobie, że już go wcześniej widziała w tym domu. Jego szczupła i lekko przygarbiona sylwetka teraz wydała jej się znajoma.

– Czy nie jesteście, panie, medykem mojego teścia? – spytała. – Tym z Katalonii?

Wiedziała, że stary Bartłomiej korzysta z porad jakiegoś cudzoziemskiego lekarza, lecz odbywało się to zawsze w komnatach kupca, za zamkniętymi drzwiami, zapewne więc widziała tego mężczyznę najwyżej raz, i to przelotnie.

– Tak, mam zaszczyt przychodzić do niego dwa razy w tygodniu – potwierdził.

– Powinam się była domyślić.

– No cóż. Na stojąco wyglądam trochę inaczej, niż siedząc na podłodze, nic zatem dziwnego, że mnie nie rozpoznaliście, pani.

Parsknęła serdecznym śmiechem. Katalończyk miał poczucie humoru, a to zawsze podobało jej się w ludziach.

– Jak zdrowie mojego teścia? – zapytała, uznając, że powinna się tym zainteresować.

Starzec często narzekał na niestrawność. Trudno było się temu dziwić, skoro objadał się ponad miarę, zwłaszcza na noc. Milda nie zauważyła, aby ostatnio zmienił swoje nawyki.

– Jest w dobrym zdrowiu. Jak na jego wiek – odparł Miguel. – Lecz ostatnio mówi tylko o swoim wnuku. Dzisiaj kazał mi zagrać z nim w szachy, no więc gramy.

– Ach tak.

– A co do mnie, jestem raczej chirurgiem niż medykem.

– A to jakaś różnica?

– Taka mniej więcej jak między teorią a praktyką.

– Rozumiem.

Spojrzał na nią przelotnie, w sposób, jaki niestety dobrze znała – z pewną męską wyższością, której nie jest w stanie zamaskować największa nawet uprzejmość. No bo cóż ona, mdła białogłowa, mogła zrozumieć z takich spraw?

Lecz ona rozumiała. Wszak Ina również leczyła ludzi, choć nie znała ksiąg. Po prostu odwiedzała chorych w domach, badała ich dokładnie, nie na odległość, nastawiała kości, zszywała rany, przynosiła zioła. Poza tym Milda zdążyła poznać metody wawelskich medyków.

– Czyli raczej nie stawiacie, panie, horoskopów? – zapytała.

Pokręcił głową, a w jego oczach pojawił się błysk zdziwienia.

– Gdyby gwiazdy tak bezbłędnie wskazywały metodę leczenia, jak utrzymują uczeni, to medycy przywracaliby do zdrowia wszystkich swoich pacjentów. Tymczasem mało komu potrafią choćby odrobinę ulżyć. Nie stawiam więc horoskopów, nie nadużywam też puszczenia krwi dla pozbycia się z ciała chorego złych humorów. Zwykle osłabia to pacjentów jeszcze bardziej. Na Uniwersytecie w Barcelonie nauczyłem się, rzecz jasna, całej tej teorii, jakiej wymaga się od medyków. Więcej jednak skorzystałem na praktyce, którą odbyłem u pewnego arabskiego lekarza. Wszakże nie chcę was, pani, zanudzać.

– Nie zanudzacie – zapewniła go skwapliwie. – Rzadko mam tutaj okazję porozmawiać z kimś uczonym.

Spodobał jej się ten człowiek. Miał zarówno wiedzę, jak i rozsądne podejście do leczenia, które tak bardzo przypominało Mildzie działalność Iny. I tak płynnie mówił w obcym dla siebie języku! Musiał mieszkać w Krakowie już od kilku lat.

– No więc odwiedzaliśmy z moim mistrzem nie tylko bogaczy, lecz również ubogich.

– A dzieci?

W tym momencie Tomko uznał za stosowne przypomnieć dorosłym, że na szachownicy trwa przecież bitwa.

– Gramy? – spytał łagodnie.

– Poczekaj, synku – odrzekła jego matka. – Zaraz dokończycie.

– Długo czekam...

– Szachy wymagają cierpliwości – upomniał go Miguel, po czym zwrócił się ponownie do Mildy: – Czemu pytacie o dzieci, pani?

Opowiedziała pokrótce o swoich wizytach w stradomskim szpitalu i o tamtejszych warunkach. Katalończyk słuchał jej uważnie, w milczeniu, co jakiś czas przytakując.

– Tak jest wszędzie – westchnął, kiedy umilkła. – Czy w Krakowie, czy w Barcelonie, medycy unikają tego typu miejsc. Wolą zabiegać o bogatych pacjentów, bo w tym zawodzie konkurencja jest duża. Sam nie jestem bez winy, lecz, rozumiecie, muszę z czegoś żyć, będąc daleko od swojego rodzinnego domu. Owszem, odwiedzaliśmy z moim mistrzem także przytułki dziecięce. Niestety, obecnie nie miałbym już na to czasu.

Milda westchnęła w duchu. Tak, gra w szachy z kupieckimi dziećmi zabiera dużo sił i czasu, pomyślała.

– No cóż – rzekła tylko.

– Ale... – Miguel w zamyśleniu zaczął lekko szarpać ostrą bródkę.

– Ale?

– Znam młodego chirurga. Uczy się u mnie od grudnia. Jest stąd, z Krakowa. Myślę, że byłoby to dla niego znakomitą nauką zawodu, gdyby raz czy dwa razy w tygodniu zetknął się z prawdziwymi chorobami, a nie tylko z przejedzeniem.

– Naprawdę? – ucieszyła się Milda.

– Wydaje mi się, że mógłbym go do tego przekonać. Choć niczego nie obiecuję. To szlachetny i ambitny młodzian. No i zdolny. Jakiegoś partacza bym nie polecał. Na pewno pomoże w miarę swoich możliwości. Gdyby z czymś sobie nie dawał rady, zawsze mogę mu udzielić wskazówek. Raz na jakiś czas, naturalnie.

Chciała ponownie mu podziękować, lecz właśnie w tej chwili do pokoju wszedł Mikołaj. Na widok żony w towarzystwie jakiegoś obcego, stojącego do niego tyłem mężczyzny zatrzymał się gwałtownie.

– Mężu – odezwała się uspokajającym tonem Milda. – Odwiedził nas medyk waszego ojca, mistrz Miguel.

– Czy coś niedobrego z Tomkiem? – Wbrew intencjom żony Mikołaj wcale się nie uspokoił.

– Nic z tych rzeczy, panie Mikołaju – pospieszył z wyjaśnieniem Miguel.

– Przyszedłem tylko na partię szachów.

– Szachów?

– Tak, na prośbę waszego ojca.

– Och! – Mikołaj odetchnął głęboko. – Już się przestraszyłem. Czemu mój ojciec chce, byście, czcigodny mistrzu, bawili się z dzieckiem klockami? Gorzej z nim ostatnio?

– To nie klocki. To starożytna gra wojenna. Przy okazji miałem zaszczyt poznać waszą czcigodną małżonkę. Niezwykłe, że z takim poświęceniem pomaga chorym w szpitalu.

– To prawda.

– A i mistrz obiecał pomóc – wtrąciła Milda.

– Zdążyła was namówić podczas pierwszego spotkania, panie Miguelu? – Mikołaj zaśmiał się głośno. – To bardzo podobne do mojej małżonki. Nie przeszkadzam zatem. Przyszedłem tylko poinformować cię, droga żono, że twoi przyjaciele właśnie wrócili z Pragi.

– Amalia! – ucieszyła się Milda. – A nie mieli zostać tam do lata?

– Królowa ich wezwała – wyjaśnił Mikołaj, potem raz jeszcze spojrzął na synka oraz Miguela, którzy wrócili do szachów. – I kto wygrywa w tej wojennej grze?

Katalończyk podniósł swoją figurę, misternie wyrzeźbionego białego konia, i postawił ją w prawym rogu szachownicy. Na ten widok Tomko westchnął ciężko i spuścił głowę.

– Na razie jeszcze ja – odparł Miguel. – Zanim jednak młody człowiek nauczy się w tej grze wygrywać, musi odrobić dużo trudniejszą lekcję: godnego przegrywania. Uważam, że dzisiaj przegrał godnie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Turzyce pod Krakowem, marzec 1397

Niewiele brakowało, a Varnas cisnąłby oszczepem w młodą dziewczynę, która pewnego popołudnia, podczas wielkiego postu, wyłoniła się nagle spomiędzy drzew.

Potem, kiedy wspominał tę chwilę przy płonącym w kominie ogniu, popijając grzane wino z korzeniami, nie potrafił sobie wyjaśnić, w jaki sposób on, wychowany w lesie, mógł aż tak się pomylić, biorąc zwykłą dziewczkę za dzika czy innego zwierza. Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło. No, ale też nigdy wcześniej nie napotkał podczas polowania samotnej niewiasty.

Tej dziewczuchy po prostu nie powinno tam być.

Nie powinna była kręcić się po jego lesie, w dodatku tuż przed zmrokiem. Nie należała do osady Turzyce, która od przeszło czterech lat była własnością Litwina, a więc zdążył już poznać wszystkich jej mieszkańców, nie mogła też pochodzić z żadnej z sąsiednich wiosek – a to z tej prostej przyczyny, że żadnych wiosek w sąsiedztwie nie było. Najbliżej Turzyc znajdowała się Mogiła, należąca do opactwa chciwych cystersów. Aby dotrzeć stamtąd do siedziby Varnasa, trzeba było pokonać trzy mile lasów i mokradeł. Niby możliwe, acz wysoce nieprawdopodobne. On sam miałby trudności z taką przeprawą, a przecież poznał, co to litewskie głusze.

Równie daleko było do traktu kupieckiego, który wiódł z Krakowa, poprzez Mogiłę, wieś Igołomia, potem zaś przez Wiślicę, Sandomierz, aż w końcu docierał do Wilna i biegł dalej jeszcze na Ruś, do czarnomorskich kolonii kupieckich Genuńczyków. Podróżowali nim wprawdzie liczni kupcy – zwykle wożący ze wschodu jedwab, korzenie i воск – lecz do Turzyc nigdy nie trafiali, za bardzo były ukryte pośród bagien i lasów.

W jaki więc sposób owa dziewczyna wyrosła przed nim tak nagle, wcześniej przez niego niedostrzeżona?

Tego dnia, po południu, Varnas postanowił, że pokaże małemu Michałowi, jak się poluje na wodne ptactwo.

Syn miał już ponad cztery lata, zatem najwyższy czas, by zaczął poznawać świat. A jego światem był na razie dwór, wioska, pola uprawne, no i las. Niegościnnie podmokły las, w którym trzeba umieć się poruszać, aby kiedyś nie paść jego ofiarą.

– Dopiero wyzdrowiał, a ty go zabierasz w taką pogodę? – próbowała protestować Sońka, żona Varnasa, która na chrzcie przyjęła imię Elżbieta.

Nigdy tak się do niej nie zwracał, podobnie jak ona nie mówiła do niego: Aleksandrze.

– Nic tak nie buduje zdrowia jak zimno, wilgoć i wysiłek – mruknął. Siedział na ganku ich drewnianego dworu, wiążąc rzemyki przy spodniach. – I nic tak nie osłabia jak siedzenie przy piecu. Ja w jego wieku nigdy nie chorowałem.

– Oho, zaczyna się... – westchnęła żona. – Wspominki z Litwy.

– Oj, nie marudź, niewiasto. Poza tym jest ciepło.

Rzeczywiście, wprawdzie jeszcze dwa dni temu sypał śnieg, lecz od wczoraj niebo się rozpogodziło i powiał ciepły wiatr przepelnięny zapachami wiosny.

– Kiedy wrócicie?

– Niedługo. O zmierzchu.

– Dopiero o zmierzchu? Czemu?

– Bo ptactwo zwykle opuszcza wiklinę o świcie i przy zachodzie słońca.

To właśnie chciał między innymi pokazać Michałowi, który, cały przejęty, przygotowywał się do wyprawy. Chłopiec był jeszcze za mały, by mu pokazywać, jak się zakłada sidła, podchodzi pod grubszego zwierza czy urządza czaty, lecz podpatrywanie kaczek i gęsi zdawało się dla niego w sam raz. A te zwykle przez cały dzień nie opuszczały swoich kryjówek. Dopiero pod koniec dnia wyruszały na żerowiska. Varnas chciał również pokazać chłopcu trasę wiosennych lotów godowych słonek, a także jak się zasadza na cietrzewie.

– Gotowy? – Wstał i spojrzał na syna.

– Tak.

– Nałóż czapkę.

– Och, zapomniałem.

Po ojcu miał czarne włosy, sięgające teraz szyi.

– Łuk zabrany?

– Mam. – Chłopak z dumą pokazał swoją broń, krótki patyk z cięciwą, przeznaczony do strzelania innymi patykami, na czym cierpiały głównie kury.

– No, to idziemy – zakomenderował były dowódca wileńskiej jazdy, a teraz poważny, chrześcijański gospodarz, właściciel dworu, osady, młyna, dwóch stawów rybnych, pola oraz kawałka lasu.

Słowem, pan na Turzycach.

Wszystko to Varnas otrzymał w darze od króla Władysława, w podzięce za wierną służbę, jak również za zdobycie oraz przekazanie monarsze listów Opolczyka do Krzyżaków. Bardzo pomogły one Jagielle w zrozumieniu, co knują jego wrogowie: Zakon, Czesi, Węgrzy, no i – tradycyjnie już – Władysław Opolczyk. Gdyby nie poznał ich treści, kto wie, być może plan rozbioru ziem Korony Polskiej przez tych psich synów doszedłby do skutku.

Dlatego król miał wobec Varnasa wielki dług wdzięczności. Oprócz srebra obdarował swego wojownika także ziemią. Odkupił Turzyce od tynieckich benedyktynów, do których wcześniej należały, wraz ze wsią Igołomia. Mnisi chętnie przystali na propozycję sprzedaży, bo ziemia ta, leżąca na wschód od Krakowa, nie była szczególnie urodzajna, za to pokryta lasem i mokradłami, a także odległa od traktu na Ruś oraz od innych wiosek.

Varnas objął ją w posiadanie wiosną tysiąc trzysta dziewięćdziesiątego trzeciego roku, zaraz po tym, gdy sprowadził z Prus poślubioną tam Sońkę. Po powrocie z rożnowskiej wyprawy zastał w chacie niespodziankę – nie wiedział, że wyjeżdżając stamtąd w czerwcu poprzedniego roku, zostawił ukochaną już brzemienną. Wzięli szybki ślub, a w Krakowie zawarli drugi, już według nowej wiary. Wcześniej odbył się chrzest narzeczonej. Niedługo potem urodził im się syn, Michał. Za pieniądze otrzymane od króla Varnas wybudował drewniany dwór, wygodny i przestronny, zakupił nieco bydła i odnowił młyn. Rozpoczął się w jego życiu nowy etap – nie był już wojownikiem, tylko gospodarzem.

Z początku trudno mu było się przyzwyczaić do spokojnego, monotonnego trybu życia. Także i Sońka – Elżbieta nie od razu poczuła się

jak u siebie w tym nowym otoczeniu, w obcym kraju, pośród samych chrześcijan. Tęskniła za ojcem, starym Kuźmą, który mimo usilnych próśb obojga młodych, zwłaszcza córki, odmówił przenosin. Powiedział im, że jest za stary i nie zamierza też przyjmować chrztu – a bez tego by się przecież nie obyło, jeśli miał mieszkać w okolicy Krakowa. Zapewne także nie chciał być zawadą w ich związku. Najbardziej było mu żal, że nie pozna wnuka, który miał się pojawić na świecie wiosną, ale wiedział też, że dziecko będzie miało lepsze warunki do życia w Krakowie niż w Prusach.

W miarę upływu czasu małżonkowie zaczęli się czuć w Turzycach coraz lepiej. Trzy lata po Michale urodziła się Klara, jasnowłosa, w przeciwieństwie do swojego brata śliczna miniaturka Sońki. Cieszyło ich wspólne życie z dala od Krzyżaków, Wawelu i politycznych zawieruch.

Ojciec i syn minęli obejście i płosząc kręcące im się pod nogami nakrapiane kury, szybkim krokiem weszli na grząską ścieżkę biegnącą między porośniętym koniczyną rzyskiem i chałupami osady. Mieszkańcy pozdrawiali ich, a Varnas w odpowiedzi podnosił oszczep. Na plecach miał łuk i kołczan ze strzałami.

– Zabijemy niedźwiedzia? – spytał w pewnym momencie Michał, starając się nadążyć za szybkim krokiem ojca. Czapka przechyliła mu się na bok.

- Nie mam takich planów.
- A jak się pojawi?
- Wtedy plany ulegną zmianie.
- Pokonałbyś go samymi rękami, ojcze?
- Musiałbym być siłaczem.
- Przecież jesteś siłaczem.

Varnas uśmiechnął się z dumą. Chłopak był wpatrzony w niego jak w obrazek. Kiedyś lgnął tylko do matki, zdawał się nawet trochę bojaźliwy, ale odkąd Varnas zaczął go zabierać do lasu oraz nad rzekę, gdzie ostatniej zimy pokazał chłopcu, jak łowić ryby pod lodem, Michał nie odstępował go na krok.

Minęli podmokłą łąkę, gdzie brodziły bociany, po czym weszli pomiędzy pierwsze drzewa. Las był liściasty, wilgotny, porośnięty starymi i młodymi drzewami. Pochłonął ich mrok i od razu poczuli zapach butwienia

i zgnilizny. Pomiędzy drzewami gdzieś leżał jeszcze śnieg. Kiedy się tu wprowadzali, Varnas usłyszał, że to miejsce przekłete i czai się w nim prastare zło, ale tak mówiło się o każdym większym lesie, na Litwie również. Ludzie muszą mieć jakieś strachy, coś, o czym mogliby opowiadać wieczorami przy ogniu.

– Teraz rozglądaj się uważnie – powiedział do syna. – Jesteśmy na cudzym terytorium.

– Czemu cudzym?

– Bo należy do zwierząt. Trzeba to uszanować.

– Aha.

– Szukaj ich śladów.

– A nauczysz mnie, ojcze, wydawać takie dźwięki, aby zwierzęta przyszły?

– Jak będziesz starszy i pójdziemy na prawdziwe polowanie.

– A czemu nie dzisiaj?

– Przestań tyle gadać, bo płoszysz wszystko, co tu mieszka.

Po długim przedzieraniu się przez mokre gałęzie i krzaki dotarli do brzegu szerokiego rozlewiska, jakie tworzyła płynąca tu od strony Krakowa Wisła. Było porośnięte wikliną i bardzo błotniste.

– Teraz musimy znaleźć sobie jakieś wygodne miejsce i czekać – rzekł Varnas.

– Jak długo?

– Tyle ile będzie trzeba. Myśliwy musi być cierpliwy.

– Siku...

Varnas westchnął.

– No to się wysikaj. A potem cisza.

Specjalnie przyszli tu wcześniej, by mały nauczył się spokojnego wyczekiwania, miał szansę stopić się z lasem, słuchać pieśni wiatru, szumu drzew, wdychać to samo powietrze, którym oddychają zwierzęta. Inaczej nigdy nie zostanie prawdziwym myśliwym. To nie dworskie polowanie, gdzie popija się wino, siedząc w siodle, a całą pracę wykonują sokoły, jastrzębie i myśliwskie psy. Cierpliwości trzeba się uczyć od małego. Szacunku do zwierząt oraz lasu także.

Lecz Michałowi sprawiało to jeszcze wyraźną trudność.

Już po krótkim czasie takiego milczącego wyczekiwania zaczął się wiercić, podśpiewywać coś cichutko pod nosem, grzebać łukiem

w poszyciu.

– A może one dzisiaj nie wylecą? – zapytał wreszcie półgłosem, nie potrafiąc przezwyciężyć nudy.

– Zaraz je zobaczysz.

– Naprawdę?

– Słyszysz to poruszenie w zaroślach?

Mały nastawił uszu.

– Jakież piski.

– I trzepot. Gotują się do lotu.

I rzeczywiście, niedługo potem z brzegu poderwało się niewielkie stadko słońek. Michał błyskawicznie sięgnął po kijek udający strzałę, nałożył go na cięciwę, napiął łuk i bez celowania wysłał drewniany pocisk w górę. Ten nie dotarł nawet do połowy wysokości pobliskich drzew, zatoczył łuk, odbił się od pnia brzozy i spadł na ziemię.

Chwilę potem Varnas wystrzelił ze swojego łuku.

Obaj patrzyli, jak opierzona strzała ze świstem przecina powietrze i trafia w najniżej lecącego ptaka. Słonka złożyła skrzydła i ciężko spadła między szuwały, jakieś kilkadziesiąt kroków od nich.

– Oooo... – Michał otworzył usta ze zdumienia.

Varnas opuścił łuk.

– Widzisz, każdy strzał trzeba przygotować – powiedział zadowolony z siebie. – Popracujemy jeszcze nad twoim celowaniem. A teraz przydałby się nam pies, aby nam to przyniósł.

Do niedawna mieli odpowiedniego do przynoszenia zdobyczy psa o imieniu Szatan, ale ten zdechł poprzedniej jesieni, a jego następcą, Saszka, był jeszcze za młody i zbyt niezdarly, by chodzić na polowania.

– Ja ją przyniosę.

– Wybij to sobie z głowy. Tam jest bagno i dużo wody, zapadniesz się po pas.

– Popatrz, ojczy, lecą następne. – Podekscytowany chłopiec wskazał ręką słonki, po czym sięgnął po kolejny wątył kijek.

Lecz Varnas nawet nie spojrział w górę, bo jego uwagę zwrócił ruch po prawej stronie.

Zareagował instynktownie.

– Uważaj! – ostrzegł syna.

Ponieważ był przekonany, że to jakiś grubszy zwierz, chwycił oszczep, ugiął kolana i przygotował się, by cisnąć nim w drapieznika. Krew zaszumiała mu w głowie. To raczej dzik, przemknęło mu przez myśl, na pewno nie niedźwiedź. Nie uspokoiło go to, bo wiedział doskonale, że dzik nieraz potrafi być znacznie groźniejszy. Wstrzymał oddech, wyczekując. Wreszcie spomiędzy drzew oraz krzaków niemal bezszelestnie wychynął jakiś kształt, niewyraźny w półmroku gęstwiny. Varnas już miał zrobić zamach, gdy nagle zamarł zdumiony.

To nie był dzik ani inny zwierz.

Ujrzał przed sobą... dziewczynę.

Powoli opuścił ramię, choć serce wciąż biło mu mocno. To niemożliwe, pomyślał. Czyżby ktoś z wioski? Sońka kogoś po nich przysłała? Nie, przecież nie pognałaby do lasu młodej dziewczyny.

– Kim jesteś? – zapytał cicho.

Teraz, kiedy jego wzrok nabrał już większej ostrości, Varnas zobaczył, że to nikt, kogo by znał. Mimo że wciąż nie widział wyraźnie rysów, nabrał całkowitej pewności, że wiotkie dziewczę z długimi rozpuszczonymi włosami, odziane w jakąś jasną suknię, na pewno nie pochodziło z Turzyc, no a żadnych innych osad w pobliżu nie było.

Cóż to, do czarta? Jakaś topielica wyszła z Wisły?

– Zabłądziłaś?

– Ojcie, do kogo mówisz? – zaniepokoił się Michał, ale Varnas nie zwrócił na niego uwagi.

Uczynił krok w kierunku dziewczyny, ta zaś skryła się pomiędzy drzewami równie bezszelestnie, jak się pojawiła.

– Zaczekaj! – krzyknął.

Nie zważając na pytania syna, szybko ruszył w ślad za dziwną zjawą. Nie, nie zjawą. Dziewczyna była prawdziwa – gałązki krzewów, pośród których przed chwilą jeszcze stała, wciąż drgały, zanim powróciły na swoje miejsce. Duch by ich nie odgiął.

Tyle że Varnas nikogo nie widział.

– Ojcie... – Michał stanął u jego boku.

– Widziałeś coś? – spytał Varnas, rozglądając się czujnie wokół, lecz wszędzie widział jedynie krzaki i drzewa.

– Ptaki?

– Nie chodzi mi o zasrane ptaki – syknął zniecierpliwiony. – Widziałeś dziewczynę?

Mały powoli pokręcił głową.

Przecież nie mogła – ot tak – rozpląnąć się w powietrzu. Varnas był zbyt doświadczonym myśliwym, by w podobny sposób zgubić wszelki trop. Może nie był już aż tak młody i nie miał aż tak wyczulonych zmysłów jak niegdyś, gdy walczył, lecz nie mógł nagle po prostu utracić wszystkich swoich zdolności. Jeśli to zagubiona w lesie dziewczyna, powinien ją złapać z zamkniętymi oczami. Nie miałyby szans mu umknąć.

No, chyba że znała ten las lepiej od niego.

Inna możliwość nie przychodziła mu w tej chwili do głowy. Na domiar złego niebo zaczynało już ciemnieć, mrok między drzewami stawał się coraz gęstszy, coraz trudniej było rozpoznać kształty. Dla świętego spokoju Varnas przeczesał jeszcze najbliższe zarośla, choć z góry wiedział, że niczego tam nie znajdzie.

Będzie musiał tu przyjść jutro o świcie, już bez syna, i dokładnie sprawdzić cały teren. Inaczej ta sprawa nigdy mu nie da spokoju.

– Musiało mi się coś przywidzieć – rzekł łagodnie do Michała. – Wracajmy do domu. Mama pewnie już czeka z wieczerzą.

– A co z ptakiem?

– Pójdę po niego, mama się ucieszy z naszej zdobyczy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kraków

Nikt nie spodziewał się chyba, że to właśnie w Wielką Sobotę, w dzień tak uroczysty, dojdzie do przykrego zajścia, które położy się cieniem na wzajemnych relacjach rodziny Amalii oraz Mildy.

I że przyczynią się do tego dzieci obu przyjaciółek.

Na święta się wypogodziło, stopniały resztki śniegu, wyszło słońce i wszystko zapachniało już wiosną. W odróżnieniu od zimowych Godów, które Mildzie już na zawsze miały się kojarzyć z roznowskim koszmarem Amalii, Wielkanoc zawsze miała w sobie dla niej coś radosnego i zarazem uspokajającego.

Wprost napawała się ciszą w kościołach w okresie wielkiego postu, kiedy to tuż po środzie popielcowej zasłaniano krzyże białym płótnem z wizerunkiem czarnego krucyfiksu, a ołtarze czarnym, z naszytym czerwonym krzyżem. Milda lubiła wtedy zaglądać do kościoła Mariackiego przy rynku, kiedy nie było tam ludzi. Siadywała w pustych, tonących w półmroku ławach i próbowała rozmawiać z Bogiem, tym wciąż dla niej nowym, chrześcijańskim. Nie mogła w skrytości ducha pozostać poganką, nie teraz, wszak była szanowaną mieszczką, żoną kupca, matką ochrzczonego dziecka.

Próbowała więc nawiązać kontakt z Bogiem i modliła się o zdrowie dla Tomka.

Teraz, kiedy jej synek otworzył się wreszcie na świat, postanowiła mu go jeszcze bardziej przybliżyć. Zabierała chłopca na spacer po mieście i z radością przyglądała się, jak malec chłonie wszystko z szeroko otwartymi oczami.

Okres przedświąteczny dla niego też był czymś magicznym. Ogromną radość sprawił mu udział w procesji w Niedzielę Palmową. Na tę procesję wybrali się wszyscy domownicy, z Bartłomiejem na czele. To właśnie

dziadek objaśniał chłopcu, o co w tym wszystkim chodzi. Milda zaś zrobiła z synkiem palmy do poświęcenia; obie wyszły tak pięknie, że nawet teść je pochwalił. Tomkowi na procesji najbardziej podobał się osiołek, do którego przywiązano figurę Chrystusa. Kiedy celebrans zaczął uderzać gałązką krzyż, wypowiadając słowa: „Jest bowiem napisane – uderzą w pasterza, a rozproszą się wszystkie jego owce”, mały zaczął głośno protestować, że osiołkowi dzieje się krzywda. Dziadek wziął więc chłopca na ręce i cicho zaczął mu tłumaczyć, że to tylko tak na niby.

Od Wielkiego Czwartku do Wielkiej Soboty Milda towarzyszyła Mikołajowi i Bartłomiejowi podczas triduum paschalnego. Tomko zostawał wtedy w domu pod opieką piastunki, gdyż wielkoczwartkowe uroczystości zaczynały się w kościele o godzinie drugiej trzydzieści, jeszcze ciemną jutrznią. Aby oświetlić wiernym drogę, rozpalono na rynku ognisko, a wokół kościoła, na kamiennych słupach, ustawiono jarzące się lampy oliwne.

Po odtrąbieniu gaszenia ognia w domach całe miasto pogrążyło się w całkowitych ciemnościach, a jedynymi punktami świetlnymi były latarnie umarłych, rzucające ponure światło. Wskazywały one zazwyczaj drogę do szpitali, przytułków i klasztorów.

W Wielki Piątek zaś już od samego rana rozległ się głos kołatek, z którymi wierni obchodzili kościół, czekając na rozpoczęcie nabożeństwa. W tym wydarzeniu mógł już brać udział Tomko, więc z dziecięcym zapałem kręcił swoją kołatką. Później, po południu, po wysłuchaniu kazań pasyjnych i odśpiewaniu przez wiernych pieśni wielkopostnych – Milda ich nie знаła, więc przysłuchiwała się tylko – uczestniczyli w przenoszeniu krzyża do Bożego Grobu i przykryciu go całunem.

Zaczynała lubić ten podniosły nastrój i towarzyszące mu skupienie.

Tegoroczne święta zapowiadały się wyjątkowo radośnie.

W Wielką Sobotę w kamienicy Bartłomieja mieli się pojawić na wieczerzy Amalia i Szymek, którzy niedawno wrócili z Pragi, następnego dnia natomiast Milda, Mikołaj, Tomko i Bartłomiej wybierali się do podkrakowskich Turzyc, by odwiedzić Varnasa oraz jego rodzinę.

Milda wprost nie mogła się doczekać obu tych wydarzeń. Szczególnie niedzielnego wyjazdu. Nie dość, że stęskniła się za bratem, to jeszcze cieszyła ją perspektywa opuszczenia choćby na dwa dni ciasnego, tłoczego i hałaśliwego miasta. Świeże wiejskie powietrze powinno posłużyć również jej synkowi, ostatnio zbyt wiele czasu spędzał w zamkniętych pomieszczeniach.

Amalia, Szymon oraz mała Małgorzata zjawili się trochę wcześniej, niż zapowiadali, jeszcze zanim wieczerza była gotowa. Mimo to wszyscy, zaraz po gorących powitaniach, zasiedli do stołu, gdzie znajdowały się już jajka oraz ryby.

Wieczerza odbywała się w głównej reprezentacyjnej komnacie. W wysokim kominie płonął ogień, świece umocowane w zawieszanej pod sufitem lampie, złożonej z koncentrycznych kół, rzucały mocny blask. Aby było jeszcze jaśniej, w rogach pomieszczenia ustawiono na postumentach dodatkowe lichtarze.

– Czyżby czcigodny król Wacław wygnał was ze swojej stolicy? – zażartował Bartłomiej, który zdążył już wypić dwa kielichy wina – na dobre trawienie, jak zawsze powiadał.

– Prawdę mówiąc – Szymon się uśmiechnął – widzieliśmy go tylko raz, i to z daleka.

– Z bardzo daleka – dodała Amalia. – Ja prawie nic nie zobaczyłam, prócz sztandarów.

– Chodzą słuchy, że nie jest zbyt miłowany przez swoich – rzekł Mikołaj.

– Większy mir ma tam jego małżonka – odparła Amalia.

– Iście jak u nas – mruknął sędziwy kupiec, lecz nikt nie skomentował tej złośliwości.

Nie było tajemnicą, że Bartłomiej miał mało zaufania i sympatii do obecnego polskiego władcy, który jeszcze kilkanaście lat wcześniej czcił pogańskie bałwany i na sposób tatarski łupił polskie ziemie. Jadwiga to zupełnie co innego – pochodziła z rodu Andegawenów, była chrześcijanką i Europejką, miała też w sobie krew Piastów. Dzieciństwo i młodość Bartłomieja przypadły na lata panowania Kazimierza Wielkiego, którego starzec teraz idealizował, jak to zwykle robi się na starość, kiedy człowiek wspomina tę lepszą część swego życia. Ostatni z Piastów był zatem dla starego kupca władcą bez skazy, za jego czasów wszystko wydawało się

lepsze, nawet piwo, no a Jadwiga, chociaż kobieta i cudzoziemka, przecież jego krewniaczka.

No i jaka wykształcona, pobożna. Przede wszystkim to właśnie pobożność czyniła z niej w oczach kupca ideał niewiasty. Nie bez znaczenia, chociaż starzec nigdy by się do tego nie przyznał, okazał się wzrost królowej. Jadwiga była dużo wyższa niż inne kobiety, a on takie właśnie lubił. Duże i rosłe.

– Szymonie – Mikołaj taktownie zmienił temat – rozumiem zatem, że ten wasz przedwczesny powrót znaczy, iż rychło tu, w Krakowie, stanie uczelnia? Dlatego was tak pilnie zawezwano?

– Daleka jeszcze do tego droga, przyjacielu – odrzekł mąż Amalii. – Jednak nareszcie ruszają pierwsze prace.

– Musisz mieć pełne ręce roboty.

– O tak.

– Tym więcej – wtrąciła Amalia – że przy okazji tych prac my również mamy swój skromny projekt.

– Jakież to znowu projekt? – zaciekawiał się Mikołaj.

Amalia spojrzała na męża. Ten, wywołany do odpowiedzi, odchrząknął i rzekł:

– Zamyślamy stworzyć na Wawelu szkołkę dla ubogich dzieciaków.

– Wspaniale! – szczerze ucieszyła się Milda, a jej mąż i teść tylko pokiwali w milczeniu głowami, widać jeszcze nie wiedzieli, co o tym myśleć.

– Ustaliliśmy to podczas podróży powrotnej – rzekł Szymon. – To był pomysł Amalii. Uważam, że znakomity. Mam dług do spłacenia, bo sam byłem takim biednym otrokiem z Łobzowa i dzięki Najjaśniejszej Królowej trafiłem do szkoły w Kazimierzu.

Lekko zakłopotany pogłodził rzadką bródkę, która miała mu dodawać powagi, a wciąż wyglądała, jakby ją doczepiono do chłopięcej twarzy.

– To będzie taka nasza mała Akademia. – Amalia uśmiechnęła się nieśmiało.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Na cóż wam to? – odezwał się wreszcie Bartłomiej. – Przecież to robota dla księży – cudze dzieci uczyć. Mało to szkół parafialnych w okolicy?

– O to właśnie idzie, że my chcemy uczyć inaczej niż oni – odparł Szymon.

– Co znaczy inaczej? – Stary był już czerwony na twarzy od nadmiaru wina. – Po saraceńsku albo po żydowsku?

– Dużo by tłumaczyć – odrzekła krótko Amalia.

Nie miała ochoty opowiadać zgryźliwemu starcowi o swoich pomysłach. Zwłaszcza że sama wciąż nie była ich pewna. Przede wszystkim ta szkółka miała być zarówno dla chłopców, jak i dziewczynek. Poza tym, w odróżnieniu od szkół parafialnych, nie zamierzali pobierać żadnych opłat. Chcieli też z Szymkiem położyć większy nacisk na naukę arytmetyki i gramatyki, zamiast uczyć głównie śpiewu do liturgii. No i stworzyć przyjaźniejszą atmosferę, bez osławionego klasztornego rygoru i różgi.

– Nie uraduje to kościelnych. – Bartłomiej sceptycznie pokiwał głową. – Bo jawnie wchodźcie do ich ogródka.

– Nie trzeba nam ich zgody – odpowiedział Szymon. – Królowa przyzwoliła, dała nam już nawet lokum. Nawet rajców nie musimy pytać o zgodę, bo będziemy uczyć na terenie zamku, nie miasta.

– Poza tym – wtrąciła Amalia – cóż to za konkurencja dla Kościoła? Nasza szkółka to na razie chata kryta strzechą, izba w niej dwa razy mniejsza niż ta komnata.

Służba przyniosła wazę z żurem i półmisek z postnymi gołąbkami. Kiedy już wszystko znalazło się na stole, Bartłomiej wstał i zaintonował mocnym basem modlitwę dziękczynną:

– Pobłogosław, Wszchemogący Boże, te dary, które w Twej szcudrośliwości pożywać mamy. Przez Jezusa, Pana naszego. Amen.

– Amen – odpowiedzieli wszyscy chórem i przeżegnali się.

Podczas jedzenia nadal rozmawiano na temat szkoły Szymona. Stary Bartłomiej wciąż nie był do końca przekonany do tego projektu.

Po posiłku dzieci – Małgorzata i Tomko – przeniosły się do pokoju zabaw, a Szymon i Amalia zaczęli opowiadać o Pradze. Ten temat był zdecydowanie bezpieczniejszy. A kupcy, jak to kupcy, najbardziej byli zainteresowani cenami towarów w stolicy Czech, wysokością ceł i kursami walut, zatem mężczyźni szybko utworzyli własne grono, tymczasem Milda wolała posłuchać o mistrzu krawieckim Radimie.

– Szkoda, że nie zdążono mi dostarczyć tych sukien przed świętami. – Amalia westchnęła.

– Opisz mi je raz jeszcze – poprosiła Milda.

Nie była zainteresowana modą aż tak jak przyjaciółka, ale wszystko wydawało jej się teraz ciekawsze niżli przewidywanie, jak za miesiąc będzie stał złoty reński w stosunku do węgierskiego dukata i praskiego grosza.

Amalia zaczęła szczegółowy opis strojów, kiedy do pokoju gościnnego wkroczyła mała Małgorzata z tak naburmuszoną miną, że aż wszyscy zamilkli.

Amalia aż nazbyt dobrze znała tę minę.

W takich chwilach mała stawała się podobna do swojego ojca, Zbigniewa. To samo chmurne spojrzenie jasnoniebieskich oczu, ten sam ostry i nieprzyjemny wyraz twarzy.

Od mniej więcej roku Małgorzata zaczęła się coraz częściej dąsać, była uparta i wiecznie z czegoś niezadowolona. Nasiliło się to w momencie wyjazdu do Pragi, do tego „głupiego miasta”, jak dziewczynka nazywała stolicę Czech.

– Co się stało, kochanie? – zapytała Amalia, kątem oka zauważając, iż Bartłomiej poczerwieniał – nie lubił, kiedy mu przerywano tyrady. Zwłaszcza jeśli robiły to dzieci, których nigdy nie tolerował przy stole.

– Nie każcie mi się z nim bawić – oświadczyła mała wojowniczym tonem, odrzucając z twarzy niesforny czarny pukiel włosów.

Ubrana była w zieloną adamaszkową sukienkę z obszytym falbankami kołnierzem, na głowie nosiła przekrzywiony nieco wianek.

– Z kim? Z Tomkiem? – Amalia zeszywniała.

– Tak. Z nim. A z kim innym?

Starzec zmarszczył czoło i przechylił lekko głowę.

– Z tym głupkiem! – dodała Małgorzata i hardo uniosła podbródek. Znów zupełnie jak jej ojciec, zauważyła Amalia ze zgrozą.

– Uważaj, Małgorzato! – Szymon ostrzegawczo uniosł palec. – Jesteś niegrzeczna.

– Jego to chyba koń kopnął w głowę – z uporem ciągnęła dziewczynka. – Nic nie mówi, nie odpowiada na pytania, a jak coś powie, to nie wiadomo, o co mu chodzi.

– Małg... – Amalia starała się zachować spokój, lecz nie dane jej było dokończyć.

– Śmiesz twierdzić, że mój wnuk jest głupi? – Bartłomiej podniósł się ze swojego miejsca.

Na dźwięk jego głosu Małgorzata spłoszyła się nieco. Spojrzała na matkę, a potem na Szymona, jakby szukając wsparcia.

– Obrażasz go w moim domu? – Starzec nie zamierzał zamilknąć.

– Ojczy, dajcie pokój. To tylko dziecko – próbowała interweniować Milda.

– Dziecko? – Bartłomiej prychnął. – Ta smarkula ma już sześć lat! Powinna być lepiej wychowana! Za każdym razem, gdy tu przychodzi, ma tę swoją pogardliwą minę. Powiem, ci coś, księżniczko z bożej łaski.

Mała aż się skuliła.

– Jeśli rodzice cię tego nie nauczyli, to ja dam ci lekcję!

– Ojczy, proszę. – Mikołaj złapał ojca za rękaw. – Nie w święta. Małgorzata zaraz przeprosi i...

– Nie przerywaj mi! – Kupiec ze złością strącił jego dłoń. – Za długo to znosiłem. Słuchaj no mnie, mała diablico. Tak się składa, że Tomko, choć młodszy, jest od ciebie sto razy mądrzejszy! Ale nie ma się co dziwić, z takiego ojca...

– Z całym szacunkiem, panie Bartłomieju... – zaczęła Amalia lodowatym tonem.

– Niewiasto... – Gospodarz jeszcze bardziej poczerwieniał na twarzy. – Jakim prawem mi przerywasz! I to przy moim stole! Jesteś tu tylko gościem.

Amalia odsunęła półmisek i podniosła się z miejsca.

– Dziękujemy za gościnę, ale czas już na nas.

Spojrzała na męża, a ten skinął tylko głową na znak, że się z nią zgadza. Małgorzata natomiast skrzywiła się i zalała łzami. Obróciła się na pięcie i szybko wybiegła z komnaty.

W przeciągu tych kilku chwil atmosfera stała się prawdziwie nieznośna.

Stary kupiec chyba zdał sobie sprawę, że przeszarżował, bo umilkł i spuścił wzrok, mrużąc coś do siebie. Mikołaj i Milda niezdarne usiłowali jeszcze zatrzymać gości, jednak Amalia była nieprzejednana. Chciała stamtąd jak najszybciej wyjść, żeby nie rozpłakać się w głos jak Małgorzata.

Na dzisiaj obie rodziny zaplanowały jeszcze wspólne uczestnictwo w wielkosobotniej ceremonii, która miała rozpocząć się w porze jutrzni, a potem, już po północy, w procesji do Grobu Pańskiego.

Tyle że teraz nikt nawet o tym nie myślał i było chyba jasne, iż dalsze wspólne obchody świąt są raczej wykluczone.

– Mam żal do Mildy i Mikołaja, że mu na to pozwolili – poskarżyła się mężowi Amalia, gdy późnym wieczorem wrócili do swojego skromnego dwuizbowego domu znajdującego się przy bramie wjazdowej na Wawel.

Królowa nie mogła podarować Szymonowi i Amalii domu przy rynku, bo wszystkie były już zajęte, a chciała mieć dawną przyjaciółkę blisko siebie. I tak kiedyś, w przyszłości, Szymon wraz z rodziną miał zamieszkać w specjalnym budynku przeznaczonym dla uczonych związanych z Akademią.

– Próbowali. Ale znasz dobrze tego starca. Nie liczy się z nikim.

– Niezbyt usilnie próbowali. – Amalia machinalnie przywitała się ze starym Platonem. – Zwłaszcza Milda. Zawiodłam się na niej.

– No co ty znowu opowiadasz, kochanie. Teraz jesteś niesprawiedliwa wobec swojej przyjaciółki. Wiesz przecież, jaką ona ma pozycję w tym domu.

– Wiem, wiem – przyznała niechętnie. – Nie chciałam chyba tego powiedzieć, ale to wszystko było naprawdę przykre. Mam wrażenie, że naszej córki nikt nie lubi.

Szymon, który traktował Małgorzatę jak własne dziecko, obejrzał się przestraszony.

– Bądźże cicho, kobieto, jeszcze, nie daj Bóg, ona to usłyszy.

Dziewczynka i tak już była roztrzęsiona, najpierw przez całą drogę płakała, a po powrocie zaś gdzieś się ukryła.

– A może powinna usłyszeć dużo więcej? Nie wiem, co się z tym dzieckiem ostatnio dzieje. Może Bartłomiej ma jednak rację?

– W czym? – zapytał Szymon, zapalając łożówki na stole.

– W tym, że ją rozpuściliśmy?

– Dla ciebie ten wredny starzec jest jakimś wzorem? Dopiero co wstydził się swojego wnuka.

– Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek odwiedzę ten dom. A już na pewno nie wtedy, gdy Bartłomiej tam będzie.

– Nie przesadzaj, moja droga.

– Idę do Katarzyny sprawdzić, co z Jadwisią.

– Z Małgorzatą też później porozmawiaj.

Amalia ruszyła w stronę drzwi, ale jeszcze zatrzymała się w progu.

– Jak on mógł wspominać o ojcu Małgorzaty? I to przy dziecku...

Kiedy wreszcie odwiedziła starszą córkę, ta jeszcze nie spała, leżała z twarzą wciśniętą w poduszkę, wstrząsana bezgłośnym szlochem. Amalia usiadła na brzegu łóżeczka, odkładając na mały czereśniowy stolik przyniesioną z kuchni łożówkę.

– Nie ma już co płakać – rzekła cicho. – Zachowałeś się bardzo niewłaściwie, nazywając tak Tomka. On jest inny i nie wolno z tego szydzić. Pomyślałaś, jak musiała się poczuć jego matka, słysząc takie słowa?

Małgorzata nie odpowiedziała.

– Słyszysz, co mówię?

– Słyszę – mruknęła stłumionym przez poduszkę głosem.

– Wiesz, że to nie było grzeczne?

– Wiem, ale...

– Tu nie ma żadnego ale. Zachowałeś się niegrzecznie i oczekuję, że za to przeprosisz.

Mała podniosła zapłakaną buzię, na której Amalia nie dostrzegła skruchy. Małgorzata była zła.

– Dobrze już, dobrze. Przepraszam cały świat!

Amalia z trudem ukryła uśmiech rozbawienia. Buntownicza córka jak zwykle przesadzała w swoich reakcjach. Odgarnęła wilgotne czarne włosy z twarzy dziewczynki.

– Nie musisz przeproszać całego świata, wystarczy jak przy najbliższej okazji przeprosisz pana Bartłomieja i Tomka. To, co powiedziałaś, było nie tylko niesprawiedliwe, ale i bardzo niemiłe. Jak sama byś się czuła w podobnej sytuacji?

– O mnie nikt by nie powiedział, że jestem głupia.

– Nie bądź tego taka pewna. Poza tym powinnaś była wiedzieć, że dziadek Tomka jest bardzo surowy i na pewno nie pozwoli, żeby ktoś obrażał jego wnuka.

– Nienawidzę go. Nienawidzę wszystkich.

Amalia położyła dłoń na ramieniu córki.

– Jest surowy, chociaż w jednym nie miał racji. Nie jesteś głupia, tylko nie potrafisz jeszcze panować nad swoimi słowami.

Mała z wyraźną lubością pogrążyła się w rozpacz.

– Nikt mnie nie lubi. Ani Tomko, ani jego dziadek, ani wy.

– Przestań opowiadać takie rzeczy.

Małgorzata odwróciła głowę w kierunku matki.

– To przez mojego ojca, prawda? Bo był złym człowiekiem?

Amalia poczuła dziwne ukłucie w sercu. Nigdy nie wspominała córce o Zbigniewie, prócz tego, że ten nie żyje.

– Pan Bartłomiej powiedział tak w złości. Na pewno nie chciał...

– Nieprawda. Inni też tak mówią.

– Kim są ci inni?

– Służba.

– Nie słuchaj plotek.

– To czemu wszyscy uważają mnie za gorszą?

– Wszyscy, czyli kto?

– Dziewczynki z Wawelu i te z Pragi.

Matka pogłaskała ją po włosach.

– Wydaje ci się.

– Śmieją się z moich ubrań.

– Zamówimy ci nowe stroje, tak jak obiecałam. Zaraz po świętach...

– Będzie już za późno.

Amalia westchnęła. Małgorzata teraz dramatyzowała, roztkliwiając się nad sobą, lecz co, jeśli rzeczywiście tak właśnie się czuła? Gorsza od innych? Czy coś wraz z Szymonem przegapili? Tyle było teraz spraw dotyczących tej nieszczęsnej Akademii, wyjazdów, inspekcji, spotkań z ludźmi. Może nie poświęcili ostatnio córce tyle uwagi, na ile zasługiwała?

Zawahała się przez chwilę.

Wprawdzie nie zamierzała mieszać Małgorzacie w głowie, kiedy ta była jeszcze mała i głupiutka, jednakże nie mogła też pozwolić, by dziecko rosło w poczuciu niższości. Teraz powiedziałaaby córeczce wszystko, byle tylko poprawić jej nastrój.

– Jesteś piękna i mądra – rzekła. – Kocham cię nade wszystko. Zawsze kochałam, w jakimś sensie mnie uratowałaś. A tamtymi dziewczynkami się nie przejmuj. To raczej ty powinnaś patrzeć na nie z góry.

– Dlaczego?

- Mówiłam ci już.
- Bo jestem królewną? To przecież tylko bajki.
- Niekoniecznie.

Dziewczynka usiadła na łóżku, nagle zaintrygowana. Wytarła nos wierzchem dłoni, rozmazując smarki po policzku.

– Jak to?

Matka z czułym uśmiechem osuszyła jej buzię chusteczką.

- A obiecasz, że nikomu, ale to nikomu nie zdradzisz tej tajemnicy?
- Przysięgam na Jezusa Chrystusa – odparła z dziecięcą powagą mała.
- No więc – Amalia westchnęła – być może jesteś królewskiej krwi. Twoim dziadkiem mógł być władca Węgier, ojciec naszej królowej Jadwigi.

– Co?

– Ludwik. Po węgiersku Lajosz.

– Prawdziwy król?

– Aha.

– Jadwisia też jest...?

– Też. – Amalia mówiła szeptem, nie chcąc, aby ich rozmowę usłyszał Szymon. Czowała, że być może popełnia błąd, opowiadając dziecku o swoich podejrzeniach, i kiedyś tego pożałuje. Dzisiaj jednak ważniejsze było co innego. Nie mogła teraz zostawić córki w poczuciu, że jest gorsza od innych.

– Jak będziesz starsza, wyjawię ci więcej. Teraz niech to będzie naszą tajemnicą.

– Moją, twoją i Jadwisi?

– Dokładnie tak.

W świetle łójówki oczy małej Małgorzaty płonęły niezwykłym blaskiem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Turzyce, marzec 1397

Podróż z Krakowa do Turzyc była długa i uciążliwa z powodu rozmokłych po odwilży dróg.

W dodatku rozpoczęła się w posepnym nastroju.

Nazajutrz po wielkosobotniej wieczerzy i wybuchu Bartłomieja Milda wciąż miała popsuty humor: widziała, jak bardzo słowa jej teścia dotknęły Amalię. Trudno było się temu dziwić. Godziły przecież w najczulszy punkt przyjaciółki: w małą Małgorzatę. W córeczkę, sens życia Amalii. W dziecko, które odebrano jej niemal zaraz po urodzeniu i o którego życie drżała przez wiele miesięcy spędzonych w zamknięciu. Cudem – tak jak i ona sama – ocalone.

Jak więc mogła teraz spokojnie zareagować na atak starca?

To było takie bezmyślne i okrutne!

Owszem, Małgorzata bywała ostatnio trudna, lecz nie zasłużyła na takie potraktowanie. A przede wszystkim Amalia nie powinna być tego świadkiem.

Ten wieczór na długo pozostanie w pamięci ich wszystkich, nie ma się co łudzić.

Im bardziej jednak oddalali się od Krakowa, mijając zagajniki i rozległe łąki, tym Milda stawała się pogodniejsza. Złożyły się na to przynajmniej trzy rzeczy. Po pierwsze, wbrew wcześniejszym ustaleniom, Bartłomiej nie wybrał się z nimi w drogę. O świcie zaczął narzekać na kolkę, chociaż Milda podejrzewała, iż – zawstydzony wczorajszą sytuacją – chce po prostu usunąć się rodzinie z oczu. I świetnie. To jej jak najbardziej odpowiadało, ponieważ miała już serdecznie dość zgryźliwego dziada, który gotów był jeszcze obrazić Varnasa albo, co jeszcze gorsze, Sońkę. Po drugie, cieszyła się już na spotkanie z bratem oraz jego bliskimi. No a poza tym wszystkim

wreszcie zaczęła się cieszyć wiosną, która tu, poza miastem, roztaczała wszystkie swoje uroki.

Było ciepło, wiał lekki wietrzyk. Milda kołysała się w zawieszonych na skórzanych pasach pomiędzy dwoma końmi kolebce, przytulona do Tomka, wsłuchana w rytm końskich kopyt. Było jej niemal błogo. Widziała przed sobą jadącego na kasztanowej klaczy Mikołaja i dwóch pachołków. Świadomość, że z każdą przejechaną milą oddala się od kupieckiego domu i jego zgryźliwego gospodarza, od zatłoczonego rynku, kamiennego labiryntu ulic – wszystko to sprawiało, że zaczęła się wreszcie do siebie uśmiechać.

Varnas wyczekiwał przybycia siostry i jej rodziny już od rana, choć dobrze wiedział, że jeśli nie wyruszyli z Krakowa w nocy, a na pewno tak się nie stało, to zjawią się w Turzycach najwcześniej w południe.

Do tego czasu trudno mu było znaleźć sobie jakieś zajęcie.

Kręcił się po obejściu, doglądał pracy parobków, trochę czasu spędził w kuchni, lecz Sońka i kucharka w końcu go przegoniły, bo tylko przeszkadzał. Gdyby nie był to dzień świąteczny, znalazłby sobie pewnie jakąś robotę, obawiał się jednak, że zobaczy go proboszcz z tutejszego drewnianego kościołka. Barczysty mężczyzna o imieniu Kazimierz, posunięty już w latach, wyglądał raczej na tragarza niż na księdza. Był bardzo surowy, mieszkańcy osady przed nim drżeli i Litwin wiedział, że czujnie przygląda się nowemu właścicielowi wioski.

Co tu dużo gadać: byłemu poganinowi.

Podobno proboszcz miał dobre kontakty z cystersami w Mogile, Varnas wolał zatem, aby duchowny nie popsuł mu opinii u zakonników, nie potrzebował tu kościelnych inspekcji.

Do czego to doszło, abym bał się jakiegoś starego wiejskiego księdza, pomyślał teraz z lekkim rozbawieniem. Nie ma co, kilka lat na gospodarstwie i zaczynam dziadzić.

– Ojcie, a czy Tomko umie strzelać z łuku? – zaskoczył go Michał, wychynąwszy zza szopy na narzędzia.

– Wątpię – odparł ojciec.

– To go nauczę.

– Dobrze, tylko nie strzelajcie do kur. Ani do Saszki. – Zmierzył chłopakowi jasną czuprynę.

– Do drzew.

– Może być.

– Pójdziemy do lasu, tam w nikogo nie trafimy.

Spojrzenie Varnasa stwardniało.

– Nie, do lasu nie pójdziecie.

– Dlaczego?

– Bo ja tak powiedziałem. Postrzelacie do drzew nad stawem.

Mały był nauczony, iż sprzeciwianie się ojcu czy też uparte prośby są na nic, gdy ten już wyraził swoje zdanie, toteż tylko skinął głową.

– Zrobię dla niego łuk – powiedział. – Bo on pewnie nie umie.

– Świetna myśl.

Varnas patrzył, jak mały w podskokach biegnie w stronę zarośli. Potem przeniósł spojrzenie na czerniejącą za polem ścianę lasu.

Sposepniał.

Nazajutrz po tym, jak w okolicach rzeki natknął się na ową dziwną młódkę z rozpuszczonymi włosami (rusalkę, bo tak zaczął ją w myślach nazywać), poszedł tam sam, aby w świetle poranka sprawdzić okolicę. Nie wiedział, na co właściwie liczył. Że dziewczyna będzie na niego czekać? Mimo że wcześniej czmychnęła przed nim jak spłoszona wiewiórka? Wątpliwe. Wszakże musiał to sprawdzić. Nałożył się po okolicznych zaroślach, a nawet po błotnistym brzegu Wisły zarośniętym sitowiem, lecz jedynie przemoczył skórnie i podrapał sobie twarz. Nie dostrzegł żadnych śladów obecności obcych. Las jak las, brzeg jak brzeg, i tyle.

Wtedy, w wiosennym słońcu, kiedy wszystko wydawało się tak promienne i rzeczywiste, dopadły go jeszcze większe wątpliwości, czy owa ujrzana o zmierzchu postać była prawdziwa.

Nigdy nie widywał żadnych duchów ani na Litwie, ani w Prusach, ani tym bardziej w Polsce. Od dzieciństwa wierzył w ich istnienie, lecz uważał je za niewidzialne byty, najwyżej wcielające się w ciała zwierząt albo w drzewa. Nawet jego uznawana za wiedźmę siostra nie widywała żadnych zjaw,

objawiały się jedynie w jej umyśle pod postacią wizji czy snów. Cóż więc tak naprawdę mógł wiedzieć o zaświatach on, zwykły wojownik?

Tego ranka nie natknął się na nic, co by mu pomogło wyjaśnić tę zagadkę. Dwa dni później jednak znów ujrzał coś dziwnego – tym razem nawet nie ruszając się ze swojego podwórka.

Zdążył już wtedy zapomnieć o rusałce, a przynajmniej nie myślał o niej w trakcie dnia, pochłonięty obowiązkami, których przed Wielkanocą było sporo. Lecz kiedy tuż po zachodzie słońca wyszedł na dziedziniec, by sprawdzić, czy pozamykano na noc wszystkie zabudowania, na niebie ponad lasem dostrzegł coś dziwnego. Jakby łunę. Czerwonawą, nieco pomarańczową na brzegach. Nie mógł to być blask zachodzącego słońca, bo poświata pojawiła się na wschodzie. Właśnie od strony Wisły, od miejsca, gdzie napotkał tamto dziewczę, choć raczej dużo dalej. Stał tak i patrzył, próbując zrozumieć, co widzi. Pożar? W wilgotnym wiosennym lesie? Nie, wykluczone. Obcy? Założyli obozowisko? Dużo musiałyby być tych ognisk. Kłusownicy? Ale ci staraliby się raczej nie rzucać w oczy. Jakaś banda zbójców? To najbardziej prawdopodobne. Czyżby w tamtych stronach znajdowało się jakieś gniazdo łupieżców? Kryjówka rabusiów napadających na kupców podróżujących szlakiem na Litwę i Ruś?

Tyle że odkąd tu mieszkał, nie słyszał o podobnych zdarzeniach – zbyt blisko było stąd do Krakowa, zasadzki urządzano raczej z dala od króla i jego zbrojnych. W dodatku w umyśle Varnasa nie chciało się to połączyć z rusałką, a miał dziwne przeczucie, iż te dwie zaskakujące sprawy są ze sobą w jakiś sposób związane. O ile jednak dziewczyna mogła mu się przywidzieć, to łuna była jak najbardziej prawdziwa. Aby się do końca upewnić, przywołał Marcina, kowala, który kręcił się jeszcze obok kuźni.

– Widzicie to światło? – Wskazał ręką w kierunku lasu.

– Ano – odpowiedział tamten, bynajmniej niezaskoczony.

– Co to jest?

– Bo ja wiem? Czary.

W ciemnościach Varnas nie widział jego twarzy.

– Jakie znowu czary? – spytał ostrożnie.

– To jest tutaj od dawna. Czasami się pokazuje, czasami nie.

– Od jak dawna?

Kowal zaniósł się niewesołym śmiechem.

– Ho, ho – wykrztusił tylko.

- Wcześniej, niż się tu pojawiłem?
- Dużo wcześniej. Już za młodu to widziałem, a stary grzyb ze mnie.
- I nigdy nie sprawdziliście, co się tam dzieje?
- Strach tam leżć. I ksiądz zabrania.
- A to czemu?
- Diabłami straszy.
- Diabłami powiadacie?
- Ano.

No tak, diabły. Varnas stracił zainteresowanie tajemniczą łuną. Czyż nie wspomniano mu o diabelskim lesie, kiedy się tu osiedlał? Wziął te historie za bajki, ale, jak widać, owe nocne opowieści miały jakąś realną podstawę. Czymkolwiek były tajemnicze światła, kimkolwiek jest dziewczyna nad rzeką, należało tę sprawę wyjaśnić, choćby nawet ksiądz Kazimierz stanął Varnasowi na drodze. Dawny wojownik nie miał wątpliwości, iż jacyś obcy kręcą się w jego okolicy. Zapewne od lat, jeśli wierzyć słowom kowala. Żaden gospodarz nie może na coś takiego zezwolić.

A już na pewno nie były wojownik Jagiełły.

Goście zajechali tuż przed południem, wcześniej, niż się ich spodziewano. Na widok siostry oraz jej syna Varnas zapomniał momentalnie i o światłach, i o rusalkach, i o diabłach. Zresztą nie zamierzał nikomu o tym wspominać, Sońki nie chciał straszyć jakimiś ludowymi opowieściami, a Milda miała swoje sprawy i śmiało mogła się obejść bez jego kłopotów.

Sam sobie z tym poradzi.

Jak zawsze.

– Zaczynasz się przemieniać w stateczną mieszczkę – powiedział do siostry, gdy już się uściskali.

– A co? Przytyłam?

– Nie. Ale jakoś tak... spoważniałaś.

W przeciwieństwie do Amalii, która trochę przytyła, Milda prawie się nie zmieniała. No, ale i nie przeszła tyle, co jej przyjaciółka.

– Jestem po prostu zmęczona podróżą. Z początku to kolebanie jest nawet przyjemne, ale potem już trochę mniej.

– Wiejskie powietrze cię orzeźwi.

– Ufam, że tak będzie. Ty też się zmieniłeś, gospodarzu. Też spoważniałeś. No i wreszcie przystrzygłeś włosy.

– Najwyższy był czas na postrzyżyny.

– No tak. Spod opieki matki wyszedłeś już jakiś czas temu, a ona zawsze o to dbała. Twój pomysł?

Varnas w zakłopotaniu podrapał się po nosie.

– Skąd. Bogowie... znaczy – poprawił się szybko. – Boże uchowaj. Sońka kazała.

– Ale widzę, że za to Michał ma coraz dłuższe włosy.

Varnas spojrzał na syna. Z czułością, jak to natychmiast zauważyła Milda. Nie знаła brata od tej strony.

– Też go ostrzyżemy – powiedział. – Od garnka.

– Zostaw. Dobrze mu w takich.

Podeszła do nich Sońka z córeczką na ręce. Kobiety objęły się ciepło, Varnas tymczasem przywitał się z Mikołajem.

– Jak droga? – spytał.

– Błoto. Oho, widzę, że dobudowałeś nową szopę.

– To już dawno. A tak, ostatnio byliście tu przed Godami. Chodźcie do domu.

Dwór Varnasa był przestronny i schludny, zaopatrzone w ganek na rzeźbionych drewnianych słupach. Kiedy Litwin tu przybył, dom prezentował się dużo gorzej. Trzeba było włożyć sporo pracy w wyremontowanie głównego budynku i przybudówek, a i teraz jeszcze pozostało dużo do zrobienia, lecz z pracami trzeba było poczekać na lepszą pogodę. W środku pachniało sosnowym drewnem i zwierzęcymi skórami, wiele z nich wisiało w sieni i w trzech obszernych izbach. Wraz z jelenimi rogami wskazywały na to, że Varnas spędzał czas nie tylko w polu. Do tych zapachów dochodziły teraz jeszcze wonie świątecznych potraw.

Weszli do głównej izby z modrzewiową podłogą i wielkim piecem w rogu.

– Na trzonowy ząb świętego Piotra, mógłbym tak żyć. – Mikołaj westchnął. – Mam dość stolicy.

– Już to widzę. – Milda uśmiechnęła się do męża. – Nie wytrzymałbyś tygodnia bez ksiąg rachunkowych i sklepu.

– Myślisz, że to mnie tak cieszy? Nie miałem specjalnego wyboru, jeśli idzie o zawód.

– A co chciałeś robić? – zapytał Varnas.

– Podróżować.

– No przecież podróżujesz, mężu – rzekła Milda.

– Ale w interesach. – Mikołaj się skrzywił. – To nie to samo. Chciałbym zobaczyć inny świat. Jerozolimę, Bagdad. Jak ten Wenecjanin. Jak mu tam było?

– Marco Polo – podpowiedziała Milda. – Ale on był gdzie indziej. U tatarskiego chana.

– Czyli gdzie?

– Na wschodzie, dalej niż Jerozolima.

– Jaki ten świat wielki.

– Jeszcze nic straconego – wtrąciła się Sońka. – Jesteście wciąż młodzi. Gdzie chłopcy?

– Już na zewnątrz – odparł Varnas. – Michał przygotował łuki.

– Żeby sobie tylko oczu nie powykłuwali.

– Nie bądź już taką kwoką, niewiasto. Nic im nie będzie, to chłopcy, przy krosnach siedzieć nie będą.

Milda i Mikołaj, mimo zmęczenia, z przyjemnością patrzyli teraz na gospodarzy. Varnas i Sońka tak bardzo do siebie pasowali, byli prości, serdeczni i wciąż w sobie zakochani. Kobieta trzymała teraz na rękach małą Klarę, która, podobnie jak Michał, odziedziczyła po matce delikatną urodę. Miała mnóstwo złotych loczków, okrągłą buzię i niebieskie, prawie błękitne oczy.

– Oporządźcie się po podróży – zaproponowała Sońka. – W drugiej izbie są balie, woda się już grzeje. Potem siadamy do stołu.

Święta na wsi nie miały takiej pompy jak w Krakowie. Były dużo prostsze.

I bez Bartłomieja. A raczej przede wszystkim bez Bartłomieja, pomyślała Milda, gdy już się doprowadziła do porządku po długiej jeździe.

Największą przyjemność sprawiło jej ustawione pod oknem drzewko wielkanocne. Pamiętała takie jeszcze z dzieciństwa, a w Krakowie już się z tym zwyczajem nie spotkała. Tylko tu, w Turzycach. Zrobione było z cieniutkich gałązek oplecionych zielenią, na każdej z nich umocowane było gniazdko z kolorowym jajkiem. Kiedyś robiła je matka Mildy, teraz

Sońka, jako pani domu. Każda z osób obdarowanych takim jajkiem mogła liczyć na szczęśliwy los. Wszystkie aż błyszczały od masła, którym były smarowane po pomalowaniu.

Jak niegdyś w domu.

Milda zorientowała się już jakiś czas temu, że zwyczaje wielkanocne we wsi Varnasa nie różniły się niemal niczym od tych, jakie pamiętała z dzieciństwa na Litwie. I tu, i tam jedzenie święconego zaczynało się od jajka, które gospodarz obierał i kroił na tyle części, ile osób było w domu. Rozdelał je między wszystkich wraz z życzeniami zdrowia i powinszowaniem świąt Zmartwychwstania Pańskiego.

Varnas zaczął od Sońki, swojej żony, później złożył życzenia Mildzie, jej mężowi i wszystkim dzieciom, na koniec parobkom, którzy u niego pracowali.

– Niechaj się nam święci – rzekł z uroczystą powagą.

– Niechaj się nam świeci – powtórzyli za nim.

Wydawało się wtedy, że nic nie może zburzyć tej ciepłej i radosnej atmosfery.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Podczas gdy dorośli wciąż siedzieli przy wielkanocnym stole, zajęci jedzeniem i dyskusją o urokach, a także trudnościach wiejskiego życia, Michał z Tomkiem strzelali ze swych dzieciennych łuków, wykonanych z leszczyny, do rosnącej nad stawem wierzby. Szło im raczej nieszczególnie, zwłaszcza synowi Mildy, który miał problemy nawet z nałożeniem kijka na zrobioną z konopi cięciwę.

– Musisz powoli – instruował go Michał. Był tylko pół roku starszy od Tomka, ale czuł się teraz bardzo dorosły. I ważny. – I trzymaj przy tym łuk do ziemi. O tak.

Tamten nie odpowiedział, lecz posłuchał rady. Widać było, że uczestniczy w zabawie jedynie z grzeczności, myślami był jednak nieobecny.

– O, tak lepiej. Tym nacięciem – cierpliwie tłumaczył Michał. – Teraz podnieś i naciągnij, jak mocno się da, inaczej nie doleci.

– Aha – mruknął Tomko.

– Dobrze wyceluj.

Nad ich głowami przefrunęło z krakaniem stado wron. Niebo nieco się zachmurzyło, pociemniało, do wiosennego zmierzchu pozostało już niewiele czasu, chcieli go więc do samego końca wykorzystać, no bo po zmroku nie ma już zabawy. To znaczy Michał chciał, ponieważ Tomko najchętniej wróciłby do domu. Od ciągłego naciągania cięciwy piekły go już palce, a sama zabawa, co tu dużo kryć, wydawała mu się nudna i jałowa.

– No, to strzelaj – polecił Michał.

Jego towarzysz wypuścił strzałę, a ta, jak i podczas poprzednich prób, poleciała krzywo i upadła blisko, tuż przed nimi.

– Nauczysz się – pocieszał go Michał. – Popatrz na mnie.

Z pewnością siebie, jaka budzi się zawsze w obecności kogoś, kto jest dużo w czymś gorszy, syn Varnasa szybko naciągnął swoją cięciwę

i wypuścił patyk. Poleciał prosto, ale też nie trafił w pień wierzby, spadł kilka kroków przed drzewem.

– Musimy się przybliżyć.

– Mhm.

– Pozbieraj patyki.

Ujrzeni, że od strony przykrytych burą słomą chałup ktoś ku nim idzie. Po chwili Michał rozpoznał syna kowala, Mieszka, nieco starszego od nich, wyrosniętego, z długimi rękami, w zgrzebnej koszulinie przepasanej sznurkiem. Chłopak także miał łuk, z wierzbiny, większy i lepiej zrobiony niż te ich, co dostrzegli natychmiast.

– Strzelacie? – spytał wyrostek.

Stanął przy nich, spoglądając nieufnie, spode łba na Tomka, którego kubrak – z wyszytym na nim srebrną nicią roślinnym wzorem – a także zadbane włosy zdradzały, że chłopiec jest z miasta, i to z bogatej rodziny.

– Strzelamy – odparł Michał.

Mieszko od niechcienia napiął łuk i zwolnił cięciwę. Trafił w sam środek wierzby. Kijek odbił się od niej z głośnym stukotem i wpadł w krzaki.

– Masz lepszy łuk – skwitował kwaśno Michał, świadom, że właśnie stracił w oczach Tomka swoją pozycję dobrego strzelca.

– Ojciec mi zrobił. Musicie se te swoje obwiązać sznurkiem, coby wzmocnić cięciwę.

– Aha.

– Głupio szyć tak do drzewa – powiedział Mieszko i pociągnął nosem. Miał brzydką twarz z małymi oczkami i odstającymi uszami.

– Do kaczek nie wolno – odparł Michał.

– To wiadomo. Ale w lesie mam człowieka ze słomy.

Wpatrzonym w niego chłopcom zaświeciły się oczy.

– Człowieka ze słomy? – Michał aż westchnął.

Mieszko splunął, podrapał się po karku.

– A jak? Zrobili go kiedyś Pietrek z młyna i Bolko. I ubrali w worki po mące, to teraz wygląda, jakby był przyodziany. Nawet ucieszną czapkę mu sprawili. Można do niego szyć z łuku i dźgać go sulicą. Idziemy?

Michał skrzywił się, przestępując z nogi na nogę. Spojrzał ukradkiem w stronę dworu.

– Ojciec będzie nierad – powiedział cicho. – Zatłucze mnie.

Mieszko prychnął.

– Nie zatłucze. Oni siedzą przy stole, gadają, a śmieją się, nie zoczą, że nas nie ma. Piorunem wrócimy. A ten panicz? – Wskazał głową na milczącego wciąż Tomka. – Umie gadać po naszemu?

– Umie – odparł Michał, wciąż bijąc się z myślami, czy posłuchać ojca, czy syna kowala. – Ale nie za bardzo lubi.

– Z Krakowa?

– Tak.

– Może to Niemiec?

Tomko pokręcił głową.

– Nie jestem Niemcem – odpowiedział bez emocji, patrząc gdzieś w dal, w zachmurzone niebo nad lasem.

– To i dobrze. Idziecie, panicze? Mam jeszcze to.

Gdzieś z połatanych portek wydobył drewniany przedmiot.

– Co to? – spytał Michał.

– Gwizdek, żeby przywołać ptaki.

– Ooo...

Więcej argumentów nie było potrzeba i chwilę potem cała trójka ruszyła szybkim krokiem, prawie powstrzymując się od biegu, z podskakującymi na plecach kołczanami. Skierowali się w stronę lasu. Michał co rusz odwracał się nerwowo, sprawdzając, czy ojciec nie wyszedł na podwórze. Chłopakowi zdarzało się już sprzeciwiać jego woli i w większości przypadków uchodziło mu to na sucho, no bo, wiadomo, rodziciel miał za dużo spraw na głowie, by kontrolować wszystko. Bywały dni, gdy w ogóle nie zauważał syna. Gorzej, jeśli dostrzegł, że Michał coś przeszkrobał, jak choćby tego dnia, gdy przyłapał chłopca na zabawie toporem.

Wtedy potrafił mieć twardą rękę, oj, twardą.

No, ale teraz Michał był gotów na odrobinę podniecającego ryzyka. Na przygodę. Nie dość, że znudziło go głupie strzelanie do wierzby, to jeszcze nie chciał wyjść na tchórza, ani w oczach Mieszka, ani tym bardziej Tomka, który wprawdzie nie wyrywał się jakoś szczególnie do lasu, ale i nie zdradzał oznak lęku przed rodzicami. W ogóle niczego nie dawał po sobie poznać. A przecież był młodszy. I z Krakowa, czyli rozpieszczony. No i czy ojciec sprawiłby Michałowi lanie w Wielką Niedzielę, tak przy gościach? Nie, w najgorszym razie skończy się na krzyku i groźnych minach.

Da się przeżyć.

Zdyszani dotarli do drzew. Najciężej łąpał powietrze Tomko, nieprzyzwyczajony do takiego wysiłku. Dwór w tyle wydawał się odległy i mały, a po chwili zniknął zupełnie za drzewami. Było tu cicho, niezwykle cicho, aż trochę straszno, i mimo podniecenia tym, że złamali rodzicielskie zakazy, czuli się nietęgo.

– Gdzie ta kukła? – zapytał Michał.

– Niedaleko – odparł Mieszko. – Na polanie.

– Tej mniejszej?

– Nie, tej dużej.

– Mówiłeś, że niedaleko.

– Pobiegniemy, trzy razy strzelimy i nazad do domu – powiedział syn kowala. – A na koniec zagwiżdżemy na ptaki.

– Dobra.

Pomiędzy drzewami zalegał już głęboki cień.

Zdawali sobie sprawę, iż lada chwila pociemnieje również niebo i zapadnie mrok. Ta świadomość przerażała ich, lecz zarazem budziła jeszcze większe emocje. Nie powinni tu być po zmierzchu. Las był przecież diabelski i zaczarowany. Chodziły gadki, że dawno temu ginęli w nim ludzie. Tak jak te dwie młode dziewczyny; jedna z nich, o imieniu Kachna, słaba na umyśle, rozmawiała z ptakami.

Nigdy się nie odnalazły.

Ponoć widywano czasami Staruchę, kobietę o białych włosach przypominających pajęczynę, a także samego diabła.

No, ale to było kiedyś i dużo dalej, szmat drogi stąd, w okolicach rzeki, w tym bardziej dzikim i zarośniętym rejonie. Tutaj, gdzie przebywali teraz, drzewa nie rosły tak gęsto, widzieli przez nie łąki i pole, mieli pod stopami porządną ścieżkę. Słowem, las, niby groźny, lecz jeszcze bezpieczny – w sam raz, by poczuć tylko dreszczyk emocji. Jaki nie tak dawno temu czuli Michał i Mieszko podczas wieczornej wyprawy na przykościelny cmentarz.

Wszakże nad samą rzekę za żadne skarby by sami nie poszli, nie o tej porze.

Jeśli zaś chodzi o zjawy i diabły, to najlepiej o nich w ogóle nie myśleć, zając głowę czymś innym, bo kiedy tylko wspomni się o nich na głos, można je niechcący przywołać.

– I niby gdzie ten słomiany człowiek? – spytał Michał, gdy dotarli na polanę otoczoną brzozaami.

Nie był już go aż tak bardzo ciekaw jak wcześniej, nad stawem. Cała ta wyprawa przestała go cieszyć. Nie dość, że wrócił strach przed ojcem, to jeszcze las o tej porze okazał się bardziej mroczny i złowrogi, niż to sobie wyobrażał, kiedy naradzali się na otwartej przestrzeni, w pobliżu domu, w świetle zachodzącego słońca.

– W krzakach – odpowiedział Mieszko, wskazując łukiem na gęstwinę po ich prawej stronie, gdzie leżało wywrócone z korzeniami drzewo, przypominające w mroku jakiegoś przyczajonego zwierza.

Albo zwierzołaka.

– Nie widzę.

– A ja tak, bo wiem, gdzie go schowałem.

Dogonił ich Tomko.

– Patrzy na nas – rzekł słabym głosem.

Spojrzeli na niego niepewnie, po czym rozejrzeli się po całej polanie.

– Kto na nas patrzy? – zapytał syn kowala, czując przebiegający po plecach lodowaty dreszcz. – Kukła?

– Tam stoi. – Tomko skinął głową przed siebie.

– Głupiś... – syknął Mieszko.

– Między drzewami. Nie widzicie?

– Przecież jest ze słomy! – jęknął Michał. – Prawda, że ze słomy?

Wizja kukły, która ożyła i spogląda na nich prawdziwymi oczami, wypełniła cały jego dziecięcy umysł.

– Może jednak wracajmy, bo już prawie ciemno.

– Wracajmy – gorliwie podchwycił Tomko.

– Boicie się jakiegoś chochoła? – Mieszko próbował robić dobrą minę do złej gry, lecz też poczuł się niewyraźnie. Polana zdawała się teraz dziwnie obca i straszna.

– Poruszył się – rzekł cicho Tomko. – Widzi nas.

Zamarli, wpatrzeni w ciemniejące zarośla.

– Zmykamy stąd! – cienkim głosem nakazał Mieszko.

I właśnie wtedy ktoś wyłonił się spomiędzy drzew.

Varnas kazał służbie przynieść piwo.

Dla siebie i dla Mikołaja, bo ich małżonki poprzestały na winie zmieszonym z wodą, zresztą niewiele go wypily. Nie zamierzali już zbyt długo siedzieć. Zmęczenie podróży, wiejskie powietrze, alkohol oraz ciepło bijące od komina sprawiały, że goście zrobili się senni. Rudowłosa dziewczka zaczęła już sprzątać misy ze stołu, zza zaciągniętego błoną okna dobiegało przedwieczorne ujadanie wiejskich psów.

Było przyjemnie, leniwie i spokojnie.

W pewnym momencie Sońka wstała z wyścielonej skórą ławy i przeciągnęła się jak kotka. Wyjęła ze stojącego obok kosza marudzącą córeczkę. Zmęczone dziecko pocierało piąstkami powieki i popłakiwało żałości.

– Idę położyć Klarcie – oznajmiła, powstrzymując ziewnięcie. – A ty, miły mężu, wołaj już chłopców. Robi się późno.

Pokiwał głową.

– Są nad stawem. Zaraz ich poszukam.

– Nawet piwo inaczej u was smakuje – stwierdził Mikołaj, odstawiwszy na stół drewniany kubek.

– Ba! – Gospodarz się uśmiechnął. – Nikt tak nie warzy piwa jak moja Sońka. Powiadam ci raz jeszcze, drogi przyjacielu, porzuć sklep i przenieś się na wieś.

– Może na starość.

– Wtedy nie będziesz miał już sił na robotę w polu.

– Zawsze można zacząć od małego ogródka koło domu – podsunęła mężowi Milda.

– Za mało miejsca – odrzekł Mikołaj. – Już teraz wozy nie mają gdzie stać.

– Ejże, ja bym tam znalazła miejsce.

– Wiem o tym.

Varnas dolał Mikołajowi i sobie. Piwo było ciemne i gęste, pływało w nim mnóstwo ziaren.

– Ostatnie na dziś – powiedział. – A co z Amalią i Szymkiem? Nie chcieli nas odwiedzić?

Na wspomnienie o przyjaciółach Milda odchrząknęła lekko i spuściła wzrok, niby to zajęta swoim winem. Zdążyła już zapomnieć o wczorajszym przykrym wydarzeniu, ale teraz niemiłe uczucie powróciło, choć dużo słabsze.

– Zwykle jeżdżą do rodziny Szymona w Łobzowie. Ma tam chyba jeszcze dziadków – powiedziała.

– No tak. Może latem? Teraz to tu jeszcze ziab i błoto. Nie ma za bardzo co robić.

– Na pewno byliby zachwyceni.

Usłyszeli głośny tupot w sieni.

– Oho, nasze pędraki wracają – mruknął Varnas. – I tyle było błogiego spokoju.

Miał już krzyknąć w kierunku chłopaków, że po domu się nie biega, lecz nagle zabrakło mu tchu, kiedy ujrzał wpadającego do izby zapłakanego syna.

– Co się stało?! – Podniósł się z ławy. – Gdzie Tomko?

Michał nie potrafił odpowiedzieć, płakał tak, że nie mógł wydobyć z siebie słowa. Wszyscy zamarli, a twarz Mildy zrobiła się biała jak kreda.

Varnas podszedł do syna, chwycił go za ramiona i potrząsnął nim.

– Gdzie Tomko? Co się stało?

– W lesie... – wydusił z siebie chłopiec.

– W lesie?

– Na polanie.

– Poszliście do lasu?

Mały tylko pokiwał głową, nie przestając szlochać.

– Psiakrew! Zabroniłem ci przecież!

– Mieszko nas zmusił.

– Idziemy!

Pociągnął syna za sobą w stronę drzwi. Ruszyli za nimi wszyscy, nawet służba. Saszka zaczęła szczebrać, pobudzając inne psy we wsi do jeszcze głośniejszego ujadania. Na zewnątrz było już prawie ciemno, zabudowania i las czerniały na tle szarości.

– Gdzie Tomko? – dogoniła ich Milda. Serce biło jej mocno.

– Został tam – wyszeptał ze spuszczoną głową Michał, wycierając łzy rękawem kubraka.

– Gdzie? – warknął Varnas.

– Na polanie.

– Psia mać!

– Spotkaliście kogoś?

Chłopiec przytaknął.

– Nie becz jak baba, tylko gadaj, bo ci zaraz przyłożę! – krzyknął jego ojciec.

– Słomianego człowieka.

– Słomianego człowieka? – głucho powtórzyła Milda.

– Gówno tam zobaczyli – rzekł Varnas. – Przywidziało im się.

– Nie przywidziało – bąknął chłopak.

– Dlaczego zostawiłeś Tomka samego, tchórze?

– Myślałem, że biegnie za nami.

– Dureń!

– Ojciec...

– Milcz! Jeszcze pogadamy.

Milda i Mikołaj byli już na ścieżce prowadzącej przez pole i nawoływali syna, podczas gdy Varnas zbierał parobków z zapalonymi pochodniami i łuczywami. Po kilku chwilach półmrok rozjaśniły pomarańczowe i czerwone płomienie, jakby na podwórzu zapłonęły ogniska.

– Weźcie psy! – nakazał Litwin Bartoszowi, farbiarzowi.

Potem dogonił siostrę i jej męża, którzy byli już w połowie drogi do lasu.

– Znajdziemy go – wysapał. – Polana blisko. Nie ma gdzie się tu zgubić.

– Michał mówi, że kogoś spotkali. – Mikołaj z trudem łapał oddech.

– Bzdury! – odparł Varnas, choć wcale nie był tego aż tak pewien, zwłaszcza po ostatnich zdarzeniach. – Albo im się w ciemnościach coś uroiło, albo to ktoś ze wsi poszedł po drzewo.

– Powiedział: „słomiany człowiek” – szepnęła Milda.

– Czyli pewnie poruszający się krzak, nic więcej. Dzieciaki.

Nagle wszyscy troje ujrzeli, że ktoś stoi przed nimi na ścieżce, kilkanaście kroków od linii pierwszych drzew. Nieruchoma figurka na tle mroku.

– Tomko! – szepnęła Milda.

– Synu! – krzyknął Mikołaj.

Podbiegli do chłopca, który wciąż trzymał w ręku łuk.

Milda uklękła i przytuliła Tomka do siebie.

– Gdzieś ty był? – zapytała. – Umieraliśmy ze strachu.

Chłopiec nie odezwał się ani słowem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kraków

Tomko nie odezwał się ani tamtego dnia, ani następnego, ani nawet przez cały pierwszy tydzień po powrocie do Krakowa.

Jakby naraz, w przeciągu tego jednego popołudnia spędzonego w Turzycach, powrócił do stanu sprzed kilku miesięcy i znów zamknął się w swoim dziwnym świecie. Sędziwy Bartłomiej był wściekły na Mikołaja i Mildę za to, że pozwolili jego wnukowi włóczyć się bez opieki po lesie w towarzystwie „parobków”, „głupków” i „obesrańców”, jak się wyraził. Gdyby nie zmogła go wtedy ta przeklęta kolka, grzmiał, wymachując rękami, gdyby tylko mógł tam być, nigdy by nie dopuścił do takiej sytuacji!

Milda nie przejmowała się nadmiernie tymi tyradami.

Bardziej martwiła się o zdrowie syna. Zwłaszcza że kilka dni po świętach Tomko zaczął gorączkować. Nie czekając na przybycie katalońskiego doktora, po którego natychmiast posłał jej teść, w tajemnicy przed rodziną przyrządziła chłopcu zioła, aby powstrzymać w zarodku rozwój choroby. Niewiele to pomogło, na szczęście mistrz Miguel pojawił się szybko, tego samego popołudnia,

– Co się wydarzyło? – spytał, dotykając czoła leżącego pod kołdrami dziecka.

Milda opowiedziała mu ze szczegółami o świątecznej wyprawie chłopców do lasu i o tym, jak najedli się tam strachu, szczególnie jej syn. Nie wspomniała jednak o całej tajemniczej otoczce owego wydarzenia, którą poznała później, gdy tamtego wieczora, a właściwie już w nocy, Varnas opowiedział jej o dziwnych historiach związanych z lasem. Siedzieli wtedy sami – reszta już dawno poszła spać – i przy blasku ognia w kominie brat wyjawiał jej, co mu się ostatnio przytrafiło. Jego opowieść brzmiała zbyt dziwnie, aby teraz przekazywać ją medykowi, zwłaszcza w obecności męża

i teścia, którzy o niczym nie mieli pojęcia. Miguel nie był wszak żadnym guślarzem od przeganiania złych mocy, tylko chirurgiem i praktykiem.

Słowem, nie musiał o niczym wiedzieć.

Co do niej samej, no cóż, słowa Varnasa zaniepokoiły ją bardziej, niż gotowa była to okazać zarówno bratu, jak i samej sobie. Stan dziecka przypomniawszy Mildzie o gorączce, która dopadła ją niedługo po silnej wizji, jaką miała podczas balu. Już w dzieciństwie zdarzało się, że po dziwnym śnie, łączącym się z jej mrocznym darem (czy też ciężarem), odchorowywała go. Czyżby więc jej syn także...? Nawiedzony las, zjawy, Tomko niepamiętający tamtego zdarzenia, późniejsza niemoc – wszystko to łączyło się w czytelny wzór i prowadziło do wniosku, który budził strach.

Syn odziedziczył po niej ów przeklęty dar.

Nie było już sensu temu zaprzeczać. Od początku Tomko wydawał się dziwny, a teraz znalazła wyjaśnienie: chłopiec nie angażował się całkowicie w ten widzialny świat, ponieważ dostrzegał również inny – głęboko ukryty, przynajmniej dla większości ludzi.

On sam, rzecz jasna, nigdy jej tego nie powiedział. Może nie potrafił nazwać swoich zdolności, a może uważał je za coś zwyczajnego, czego nie ma potrzeby wyjaśniać. Sama w dzieciństwie chyba tak traktowała swój dar.

A teraz na dodatek Tomko znów zamilkł.

– Słyszałem już o podobnych przypadkach – powiedział mistrz Miguel, wysłuchawszy niepełnej relacji Mildy. – Są trudne do wyleczenia, ale nie niemożliwe. Wszystko, co teraz dzieje się z pani dzieckiem, prawdopodobnie wywodzi się z głębi jego umysłu.

Milda drgnęła.

Te słowa tak bardzo zgadzały się z jej przypuszczeniami. Intuicja tego człowieka była zdumiewająca. Inny medyk najpewniej nakazałby puszczenie krwi albo przystawienie pijawek, dla wyrównania jakichś starożytnych humorów, bo w ten sposób leczono wszystko, a Miguel nawet się o tym nie zająknął.

I dobrze, bo nie pozwoliłaby na otwarcie żył tak małemu i wycieńczonemu chłopcu. Wprawdzie nie była pewna, czy dzieciom

w ogóle puszczano krew, ale nie chciała tego sprawdzać.

– Co to oznacza? – zapytał Bartłomiej, stojący u wezłowania łóżka, w którym leżał Tomko. – Że niby z... umysłu? Czy takie dziecko w ogóle ma umysł?

– Naturalnie, że tak. Zaraz wyjaśnię, o co chodzi z tym umysłem. Pozwólcie państwo, że opowiem historię niemal starożytną. A właściwie to dwie historie. – Miguel zaczął grzebać w swojej sakwie, najpewniej w poszukiwaniu jakichś specyfików. – Tymczasem niech służba przygotuje balię z chłodną wodą, albowiem musimy zacząć od obniżenia temperatury ciała.

Milda przywołała z korytarza płowowłosą Agatę i wydała jej polecenie.

– Otóż kilka wieków temu chodził po świecie pewien lekarz – rozpoczął Miguel, gdy dziewczyna pobiegła spełnić polecenie. – W Europie znany jest pod imieniem Awicenna, choć tak naprawdę nazywał się Ibn Sina.

– Saracen? – Bartłomiej niemal wypluł z siebie to słowo.

– Poganin, owszem. Ale także prawdziwy mędrzec, od którego czerpią dzisiaj zarówno żydzi, jak i chrześcijanie. Tenże człowiek, urodzony w kraju, gdzie teraz harczą Tatarzy, uznawany jest powszechnie za pierwszego spośród medyków, przynajmniej w moich rodzinnych stronach. Jako mistrz w swej dziedzinie zasłynął już w wieku szesnastu lat. I on pierwszy właśnie dostrzegł, że wiele chorób ma swą przyczynę w umyśle. A także, co ważniejsze, można je leczyć, wpływając jedynie na umysł chorego.

– To jakieś diabelskie sztuczki wyznawców Mahometa – mruknął Bartłomiej.

– Bynajmniej.

– Jakie to sposoby? – Milda skupiła się na konkretach.

– I tu zaczyna się moja opowiastka. – Miguel się uśmiechnął. – Zdarzyło się, że Ibn Sina został przywołany na dwór wschodniego władcy, paszy o imieniu Kabus, aby uzdrowić jego krewnego. Chodziło o młodzieńca o pięknych rysach i regularnej budowie, dręczonego przez jakąś tajemniczą dolegliwość – był on blady, zamknięty w sobie, milczący. Jednym słowem, wyraźnie cierpiał. Awicenna zbadał jego puls oraz urynę, po czym kazał zawołać kogoś, kto dobrze znał wszystkie dzielnice miasta. Poleciał mu wymieniać głośno ich nazwy, podczas gdy sam wciąż trzymał dłoń na pulsie młodego człowieka. I tak przy wymienieniu nazwy jednej

z podmiejskich osad tętno chorego uderzyło mocniej. Powtórzyli ową procedurę, tym razem wymieniając wszystkie budynki tejże osady. Tętno przyspieszyło na dźwięk nazwy pewnej willi. Teraz już tylko należało wskazać imiona domowników. Młodzieniec zareagował na brzmienie kobiecego imienia. Wtedy to Awicenna powstał i rzekł: „Rozpoznanie zakończone”. Jego pacjent był chory, ale z powodu nieszczęśliwej miłości. Po tym wszystkim chłopak zawstydził się swojego stanu i nareszcie zaczął reagować na otoczenie.

– Piękna opowieść – podsumował Mikołaj. – I jakże prawdziwa.

– Ilustruje ona, gdzie czasami kryje się choroba – powiedział Katalończyk. – Druga zaś wyjaśni wam, szanowni państwo, jakich niekiedy należy szukać środków, jeśli zawiodą te tradycyjne. Ale widzę, że kąpiel już gotowa.

Właśnie wniesiono do sypialni dziecięcą wannę i napełniono ją wodą.

– Ma być chłodna, ale nie zimna – pouczył służbę medyk. – Aby nie doprowadzić do nadmiernego wstrząsu. Na wszelki wypadek niech stoją obok dzbany z lodowatą i gorącą wodą. Będziemy regulować temperaturę tak, aby była właściwa.

Służące znów wybiegły, tym razem do studni i do kuchni.

– Druga opowieść – ciągnął Miguel – jest bardzo podobna. Swego czasu przebywał nasz Awicenna u Samanidów, władców Buchary, jego rodzinnego miasta. Znajdowali się w wewnętrznych komnatach haremu...

Bartłomiej chrząknął ostrzegawczo, lecz Katalończyk nic sobie z tego nie robił.

– I zapragnęli spożyć posiłek – kontynuował głosem prawdziwego gawędziarza, niskim i tajemniczym. – Przywołali więc służebną. Ta przyniosła na głowie tacę ze smakołykami. Kiedy się schyliła, aby położyć jedzenie na barwnym kobiercu, coś strzeliło jej w kościach i nie mogła się już wyprostować. Była jakby częściowo sparaliżowana. Awicenna nie miał akurat przy sobie żadnych instrumentów ani lekarstw, ponieważ przybył w gościnę, a nie do chorej odaliski. Był jednak, jak już wspomniałem, mistrzem w swym fachu, więc wykorzystał siłę umysłu. Najpierw nakazał zerwać zasłonę, jaką w tych krajach niewiasty tradycyjnie zakrywają lica, a także odsłonić jej włosy. Miało to zawstydzić służebną i wywołać u niej reakcję ciała. Lecz to jeszcze nie poskutkowało. Przyszło więc Awicennie

sięgnąć po środek najbardziej radykalny: poprosił, aby biedaczce zdjęto szarawary.

Dało się słyszeć kolejne chrząknięcie Bartłomieja, tym razem dobitniejsze.

Lecz i teraz Miguel zignorował starca, wyglądało na to, iż jest jedyną osobą w tym domu, która się go ani trochę nie boi.

– I wtedy, ogarnięta falą wielkiego wstydu i wywołanego nim gorąca, białogłowa przemogła się i mimo bólu wyprostowała – zakończył opowieść. – Ponieważ blokada i słabość tkwiły tylko w jej głowie. Nie w lędźwiach.

– Typowa pogańska klechda, bezbożna i nieprzyzwoita – mruknął kupiec. – Mój wnuk nie jest ani zakochany, ani go nie pokręciło.

– Ale znów zamilkł – odparł uprzejmie Miguel. – I gorączkuje, mimo że nie jest przeziębiony.

Do pokoju weszły służące, niosąc kociołki z gorącą i dzbany z zimną wodą. Wówczas Miguel odkrył Tomka, wziął go na ręce i ubranego tylko w nocną koszulę zanurzył w wodzie aż po szyję. Mały wzdrygnął się, lecz wbrew oczekiwaniom Mildy nic nie powiedział. Przyglądała się, jak Katalończyk delikatnie dawkuje to zimną, to gorącą wodę, obserwując reakcje dziecka, skupiony i poważny, jakby jedna niewłaściwa kropla mogła wszystko popsuć.

Wprawdzie nie wierzyła, iż takie kąpiele pomogą na „dar” syna, lecz miały teraz zaradzić gorączce i – jeśli szczęście dopisze – obudzić chłopca z letargu. Obserwowała te zabiegi z pełnym zaufaniem. Miguel imponował jej pod wieloma względami. Po pierwsze, nie dbał o rutynę, nie zalecał modlitwy, nie pytał się gwiazd, nie puszczał krwi bez powodu, dotykał chorego i cały czas miał z nim kontakt.

Po drugie, nie bał się nieufnych komentarzy Bartłomieja.

W ogóle go ignorował, mimo że przecież był przez niego opłacany. Sztuka lekarska zdawała się dla niego ważniejsza niż dobra opinia bogatego kupca. Jakże się różnił od jej męża, gdyż ten, choć kochany, nie umiał się uwolnić od wpływu ojca, którego od dzieciństwa musiał traktować jak Boga.

Kiedy kąpiel dobiegła końca, a Tomko, przebrany już w suche odzienie i wyraźnie rozluźniony, leżał w swoim łóżku, Katalończyk jeszcze raz

sprawdził mu czoło i podał do wypicia jakiś tajemniczy wywar w kubku, który wcześniej kazał według swych wskazówek przygotować w kuchni.

– Co to? – spytała z niepokojem Milda.

Bała się podobnych kubków, wzbudzały w niej same przykre wspomnienia.

– Mieszanka ziół na gorączkę – uspokoił ją Miguel. – Na pewno ją znacie, pani, ja tylko dodaję kilka składników, o których wam opowiem przy najbliższej okazji. To bezpieczne – uprzedził jej kolejne pytanie.

– Tomko wygląda już lepiej – zauważyła.

– Prawdziwą poprawę ujrzycie jutro. Odwiedzę go przed południem. Zaręczam, iż wtedy już całkiem odżyje.

Milda siedziała przy dziecku przez całą noc, od czasu do czasu opierając czoło o brzeg łóżka, żeby się na chwilę zdrzemnąć.

Następnego ranka Tomko wyglądał już niemal zupełnie zdrowo. Choć dalej milczał, na jego twarzy wreszcie pojawiły się kolory.

I odzyskał apetyt.

Zgodnie z obietnicą Miguel pojawił się rano.

– Witamy w świecie żywych – odezwał się od progu, widząc, że chłopiec już nie leży, tylko siedzi w łóżku, oparty o poduszki.

Potem zrobił kilka tajemniczych i zupełnie niedorzecznych ruchów, jak sztukmistrz na jarmarku, a następnie wyjął spod peleryny spory słoć.

– Zasłużyłeś na nagrodę. – Zbliżył się do łóżka. – Oto specjalne zdrowotne figi w cukrze, o czarodziejskim działaniu.

Tomko spojrział na doktora i jego słoć obojętnie, natomiast Milda nie potrafiła ukryć zaciekawienia.

– Figi w cukrze? – spytała.

– W rzeczy samej, czcigodna pani – odrzekł z nieukrywaną dumą Katalończyk.

– Przecież dzieciom nie powinno się dawać słodczy.

– Owszem, jednakże tutaj mamy do czynienia z sytuacją, że tak się wyrażę, wyjątkową.

– Co to za dodatki? – Milda dostrzegła, że figi nie wyglądają zwyczajnie.

– To płatki czerwonych róż, pani.

– Och.

– Przesypuje się cukrem warstwę fig na przemian z warstwą róż, aż wypełni się cały słoć – tłumaczył, dotykając dłonią czoła chłopca. Słoć postawił na chwilę obok łóżka. – Potem należy czekać dwadzieścia dni i wychodzi z tego czarodziejski lek.

– Nie znam tego przepisu.

– Mam nadzieję, bo to rodzinna tajemnica.

– Nie przestajecie mnie zadziwiać, mistrzu.

– Nie chodziło mi o to, by wyrzucić na was wrażenie, pani, ale o uzdrowienie tego młodego kawalera.

– Wiem, wiem.

Miguel z namaszczeniem odkręcił słoć, wyjął z niego lepką figę, na widok której przynajmniej jednej osobie, czyli Mildzie, napłynęła ślinka do ust.

– Mój ojciec jest znanym w Barcelonie aptekarzem cukiernikiem – powiedział. – Stosuję się do jego przepisów, choć często muszę korzystać tylko z tych składników, które są tutaj dostępne. Ale te akurat figi przybyły do Krakowa wprost z Afryki. Kosztowały majątek. Drogi chłopcze, przynajmniej powąchaj.

Wyraz twarzy Tomka nieznacznie się zmienił. Zapach słodkiego owocu musiał już dotrzeć do jego nozdrzy.

Spojrzał pytająco na matkę, a ta z aprobatą skinęła głową.

Chłopiec wyciągnął dłoń i ujął palcami figę. Ostrożnie przysunął ją do ust.

Skosztował.

Po chwili wyraz zachwyty i błogości rozjaśnił mu buzię.

– Dobra – stwierdził z uznaniem.

Milda poczuła przypływ gorąca i miała ochotę wręcz podskoczyć ze szczęścia.

– Oto mamy pierwszy dowód na cudowne właściwości tego przysmaku. – Miguel też nie krył radości. – Dziecko przemówiło. Wiedziałem, że tak będzie.

– To cud – wyszeptała.

– Cuda zdarzają się w Biblii, pani. Tak działa nowoczesna medycyna. Naszym zadaniem było jedynie zabicie gorączki i odwrócenie uwagi dziecka od tego, co przeżyło. Jak mówiłem, chyba do znudzenia, większość naszych słabości pochodzi z głębi umysłu. Jeśli pozwolimy, żeby chory pogrążał się

w swoich przeżyciach, zaczyna chorować też ciało. A wtedy leczenie jest już znacznie trudniejsze.

– Mogę jeszcze? – usłyszeli cichy, nieśmiały głos Tomka.

– Tylko jedną – odpowiedział Miguel, podsuwając mu słój. – Jak każde lekarstwo, to również musi być używane z umiarem.

Kiedy Miguel pożegnał się i wyszedł, a chłopiec zasnął – wreszcie uśmiechnięty – Milda postanowiła pójść na rynek i kupić figi. Nie na konfiturę, bo były za drogie, zresztą nie dostałaby o tej porze płatków róż, ale po prostu, do zjedzenia. Pozostawiła więc śpiącego chłopca pod opieką piastunki, przywołała Agatę, kazała jej wziąć duży kosz i w towarzystwie służącej wyszła na zakupy.

Kwietniowe słońce, w połączeniu z radosnym nastrojem Mildy, czyniło to wczesne południe pięknym. Nie przeszkadzał jej dzisiaj gwar ani zwykłe zapachy targowiska: końskiego nawozu, potu czy też dymu pochodzącego ze straganów, gdzie przyrządzano tanie przekąski. Przebijała się przez różnobarwny tłum w kierunku Sukiennic. Tam znajdowały się sklepy z egzotycznymi owocami. Humor pogorszył jej się nieco, kiedy ujrzała, w jakiej cenie są figi. Teraz, w kwietniu, kiedy brakowało nawet jabłek i gruszek, takie rarytasy były niezwykle drogie. W innych okolicznościach Milda nawet by o nich nie pomyślała, lecz wciąż miała przed oczami błogą minę Tomka. Niech zje chociaż takie, bez cukru.

Kupiła kilka fig, nawet się nie targując.

Kiedy sznurowała sakiewkę, a Agata wkładała owoce do kosza, usłyszała za plecami znajomy głos z południowym akcentem.

– Oho, widzę, że wpadliśmy na ten sam pomysł!

Odwróciła się i ujrzała – a jakże! – Miguela w towarzystwie chłopca, który także wyglądał na cudzoziemca – miał śniadą twarz i ciemne kędziory.

– Mistrzu...

– Figi niezwykle drogie, ostrzegałem.

– To prawda.

– Ale warto. Są pyszne, nawet same, nie w syropie.

– Tak też myślę.

– Milej wydawać pieniądze w towarzystwie. Możemy się przyłączyć?

– Naturalnie – bąknęła, potrącona przez jakiegoś mężczyznę z zawieszoną na pokaźnym brzuchu tacą pełną pierożków.

– To mój bratanek, Pedro. – Miguel przedstawił chłopca. – Przyjechał do mnie wraz z matką przed rokiem. Jego ojciec umarł.

Na moment oddzieliło ich od siebie dwóch tragarzy z koszami na plecach.

– Co zamierzacie jeszcze kupić, pani?

– Głowę cukru.

– Niezbędny składnik w każdej kuchni, nie tylko dla gospodyń. Też kupię.

Ruszyli w kierunku straganów po wschodniej części rynku.

– A do czego wy go używacie? – spytała zaciekawiona Milda. – Zajmujecie się w domu kuchnią?

– Nie – Katalończyk się zaśmiał – ale cukier polepsza samopoczucie. Pomaga też na przygnębienie ducha. A poza tym, jak już wam zdradziłem, przyrządzam także słodycze.

– To od początku wydało mi się interesujące.

– Bo takie właśnie jest.

– W Krakowie zajmują się tym aptekarze.

– U nas również. – Miguel zatrzymał się przy stoisku z drewnianymi naczyniami, dokładnie obejrzał misternie rzeźbioną i malowaną łyżkę, obserwowany przez brodatego sprzedawcę, zapewne Rusina, po czym delikatnie odłożył ją na miejsce. – Są to *especiers*, ci specjalizujący się w wyrobie słodyczy. Mój ojciec, Fernando de Gualbes, jest jednym z najbardziej znanych *especiers* w Barcelonie.

– Dużo tajemniczych dla mnie słów. – Milda westchnęła, przyglądając się drewnianej misie malowanej w orientalne wzory i walcząc z pokusą, by ją kupić.

Nie, nie dzisiaj.

– Pani – odparł Miguel. – Jak to zazwyczaj bywa z tajemniczymi słowami, kryją się za nimi najzwyczajniejsze rzeczy. Wszystko sprowadza się do tego, iż zawody aptekarza i cukiernika w gruncie rzeczy niewiele się między sobą różnią. I tu, i tam trzeba odpowiednio wyważyć proporcje. Kiedy medyk doda za dużo lub za mało jakiegoś składnika leku, ten nie zadziała i może tylko przynieść szkodę. Albo nawet zabić. Jeśli cukiernik źle dobierze składniki, stanie się podobnie.

– Można zabić cukierkiem? – Milda nie potrafiła ukryć rozbawienia.

– Oczywiście, ale to zależy, jakie się doda składniki. Zdziwilibyście się pani, ile trucizny, w znikomych naturalnie ilościach, można znaleźć w niektórych *dragea francesca*...

– *Dragea...*

– Wybaczcie – uśmiechnął się przepaszająco – kiedy myślę o słodyczach ojca, przychodzą mi natychmiast do głowy ich hiszpańskie nazwy. To przyzwyczajenie.

– Zatem co to są owe *dragea*?

– To draże, bardzo popularne w Barcelonie. Mój ojciec zawsze sporządzał najlepsze. Jeden z najznamienitszych przedstawicieli patrycjatu Barcelony, pan Guillem de Sant Climent, od zawsze zaopatrywał się w nie tylko w naszej aptece. A z kolei jego żona, pani Constanca, uwielbia nasze wafle. I myślę, że nadal są klientami mojego ojca. Co sądzicie o tym cudzie, pani?

Drgnęła, bo Miguel zbyt gwałtownie zmienił temat, wskazując na coś palcem.

– O tym właśnie – podkreślił.

Pośród drewnianych łyżek i kubków na straganie Rusina znajdowały się także wykonane z drewna figury szachowe: brodaci popi, koniki garbuski, żar-ptaki, car i caryca, straszny Kościej, wszystko to jaskrawo pomalowane jak wielkanocne pisanki.

– Piękne – westchnęła.

– I wiem, komu by się spodobało.

– Tak, ale...

– To będzie prezent ode mnie. Sam nie mogę się doczekać, kiedy zagram tymi szachami z Tomkiem. Stęskniłem się już za naszymi rozgrywkami.

Nie odpowiedziała. Poczula się dziwnie. Z jednej strony była szczęśliwa, z drugiej zaś... ogarnął ją niepokój.



CZEŚĆ TRZECIA
CZERWONY LIS

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Droga na Spisz, lipiec 1397

Postój! – rozległo się wołanie gdzieś na czele orszaku.

– Król zarządza postój!

– Z koni!

– Odpoczynek!

Dał się słyszeć dźwięk trąby, a potem iście wojenny odgłos bębna. Wszystkie wierzchowce i wozy zatrzymały się nad brzegiem Popradu, gdzie znajdowała się duża łąka obramowana szuwarami – idealne miejsca na postój i popas. Do dworu, w którym zamierzała nocować para królewska, było jeszcze tylko kilka mil, lecz upał i kurz dawały się wszystkim we znaki. Lipcowe słońce wciąż jeszcze stało wysoko nad górami, oświetlając zielone doliny i przełęcze, łączące ziemie polskie z węgierskimi.

– Najjaśniejsza Pani... – Do królowej Jadwigi podszedł ubrany na żółto paź, aby pomóc jej zsunąć się z siodła.

Siedziała na białej klaczy, swojej ulubionej Pełce, która już schylała leniwie łeb, aby delikatnie skubać wysokie źdźbła trawy.

– Dziękuję ci, Bolko – rzekła Jadwiga, gdy znalazła się na ziemi.

Od długiej jazdy zdrętwiały jej kolana, stała więc przez chwilę niepewnie, przytrzymując się siodła. Kiedy poczuła, że krew znów płynie w jej nogach, rozpięła ozdobną klamrę spinającą podróżny płaszcz i oddała go chłopakowi.

Ależ upał, westchnęła w duchu.

Błękitna suknia z długimi rękawami, zapiętymi na drobne guziczki, była wystarczająca na taką pogodę. Pod złotą opaską na czole Jadwigi zebrały się krople potu, wytarła je chusteczką wyjętą z za owalnego dekoltu. Gęste jasne włosy, zebrane w złotą siateczkę nad karkiem, też były wilgotne, jednak królowa uznała, że jakiś chłodny wietrzyk je szybko osuszy.

– Na długo się zatrzymaliśmy? – spytała.

– Król chce trochę odpocząć i napić konie – wyjaśnił paź.

– Gdzie jest mój małżonek?

Klacz prychnęła.

– Ze swoją świtą – odparł chłopak, uspokajająco poklepując Pełkę po szyi.

– No tak.

Kiedy tego dnia, bladym świtem, wyruszyli z klasztoru dominikanów, w którym zatrzymali się na nocleg, przez jakiś czas Jadwiga i jej mąż jechali obok siebie, jak na królewską parę przystało, jednakowoż już gdzieś około południa Władysław wysforował się do przodu, aby, jak to ujął, omówić coś ze swoimi doradcami.

Albo porozmawiać o polowaniu w tutejszych lasach, pomyślała teraz z goryczą.

Każdy powód był dobry.

– Zaprowadźcie konia do rzeki – nakazała paziowi i przeciągnęła się dyskretnie.

Rycerze i dworzanie skupili się na brzegu, wiele osób ruszyło w kierunku zarośli, aby załatwić swoje potrzeby. Zrobiło się głośno, muzykanci zaczęli grać i śpiewać.

Królowa, mrużąc oczy od słońca, popatrzyła obojętnie na grupkę prałatów w kapeluszach z szerokimi rondami, którzy skryli się przed słońcem w cieniu drzew. Nagle uderzyła ją nieprzyjemna myśl: Prawie nikt nie zwraca na mnie uwagi. Co ja tutaj właściwie robię?

Rzadko się zdarzało, że wyjeżdżała gdzieś z mężem w sprawach państwowych.

A właściwie prawie wcale się to nie zdarzało.

Zazwyczaj to Władysław sam rozwiązywał wszystkie polityczne kwestie. Nazywano go nawet *Rex ambulans*, jako że ciągle był w drodze. Podczas gdy on objeżdżał cały kraj i robił rzeczy ważne dla polityki, ona, Jadwiga, podróżowała tylko po Małej Polsce, składając towarzyskie, a najwyżej gospodarskie wizyty.

No cóż, ale taki był przecież tradycyjny podział ról. Który odpowiadał i jednej, i drugiej stronie. Wydawało się bowiem czymś całkowicie naturalnym pod słońcem, iż to król powinien brać na siebie najcięższe obowiązki. Był mężczyzną, wojownikiem, a jako człowiek dużo starszy

od niej zdobył o wiele większe doświadczenie w rozwiązywaniu wszelkiego rodzaju konfliktów. To oczywiste. Nie chodziło więc o to, że ona, słaba białogłowa, nie podołałaby owym trudom, ale raczej o to, że miała od takich spraw małżonka, nieprawdaż? Gdyby okoliczności zmusiły ją kiedyś do zmierzenia się z podobnymi sprawami, poradziłyby sobie równie dobrze. Lecz nie było takiej potrzeby, więc pozostawiała je Władysławowi, zgodnie z hierarchią ustanowioną przez Boga.

Jeszcze do niedawna tak właśnie myślała.

Wszakże od jakichś dwóch miesięcy wiedziała aż nazbyt dobrze, że to nieprawda.

Ponieważ zawiodła.

I króla, i siebie, i – nade wszystko – Koronę.

W maju tego roku królowej powierzono specjalną misję.

Miała spotkać się w Inowrocławiu z mistrzem krzyżackim Konradem von Jungingenem, aby nakłonić go do oddania Polsce Ziemi Dobrzyńskiej. Podczas obrad Rady uznano, iż Jagiełło jest zbyt zapalczywy i może wywołać wojnę, na którą Korona nie była jeszcze gotowa, natomiast wykształcona, spokojna i łagodna Jadwiga może jakimś cudem zmiękczyć serca „zakonnych psów”.

Nic nie szkodziło spróbować.

Choć mało kto liczył na powodzenie owej dyplomatycznej misji, sama królowa bardzo sobie wzięła do serca zadanie, jakie jej powierzono. Naprawdę wierzyła w swoje zdolności przekonywania. Potrafiła przecież z powodzeniem negocjować z samym Ojcem Świętym z Rzymu. Już od kilku lat, kiedy przebrzmiały kalumnie krzyżackie i rakuskie, cieszyła się w Europie dużym szacunkiem.

A jednak nic z tego nie wyszło. Już na początku swej misji zrozumiała, iż tak naprawdę pełnić będzie funkcję dekoracyjną; mimo że niby to ona udawała się na negocjacje, tak naprawdę wszystko ustalać mieli krakowscy panowie i prałaci, których cała rzesza dołączyła do jej orszaku. Król i możni nie zaufali na tyle Jadwidze, by pozostawić jej swobodę w wyborze strategii. Podczas kilkudniowych rozmów z wielkim mistrzem niewiele miała do powiedzenia. Widziała, że właściwie to von Jungingen nawet jej nie słucha. Był uprzejmy, owszem, odpowiadał gładkimi frazesami, lecz nie traktował jej słów poważnie.

Negocjacje zakończyły się niepowodzeniem.

Oczywiście nikt nie miał o to pretensji do królowej, lecz ona sama czuła, że zawiodła. Nie potrafiła narzucić własnego zdania ani Krzyżakom, ani nawet członkom Rady. Była na to za słaba.

I teraz zapowiadało się na podobną sytuację.

Jadwiga wyruszyła wraz z małżonkiem na Pisz, aby rozmówić się z Zygmuntem Luksemburskim, władcą Węgier. Musiała być przy tym spotkaniu obecna, ponieważ wymagała tego jej pozycja. Ale przecież wiedziała doskonale, iż wszystko zostało już ustalone za jej plecami, rozmowa miała być jedynie formalnością. W zamian za zrzeknięcie się przez królową pretensji do korony węgierskiej Zygmunt obiecywał pomoc Jagielle w układach z Krzyżakami. Tak postanowił król i Rada. Naturalnie, królową poproszono uprzejmie o ów polityczny gest, bo tak nakazywał dworski protokół, lecz wszystko zostało przecież dawno ustalone.

Nie mogła się sprzeciwić, choćby nawet chciała.

Prawdę mówiąc, korona węgierska niewiele ją obchodziła. Wszyscy, których pozostawiła w rodzinnym kraju i których kochała, już nie żyli. Zamordowano jej matkę, dwa lata temu umarła starsza siostra, Maria – podczas polowania spadła z konia, będąc w zaawansowanej ciąży – ojciec zaś oddał ducha Bogu jeszcze przed jej wyjazdem z Budy.

Węgry były odległą przeszłością, Jadwiga miała nową ojczyznę, była teraz polską królową. Nie zamierzała zatem sprzeciwić się ustaleniom Rady.

Rzecz jednak w tym, że tak naprawdę nikt nie pytał jej o zdanie.

Teraz postanowiła jednak, że przynajmniej przez te kilka chwil nad rzeką nie będzie myśleć o polityce ani tym bardziej o swojej w niej roli. Odetchnęła pełną piersią, powietrze pachniało upojnie. Dzisiaj królowa choć przez chwilę chciała udawać przed samą sobą, iż jest zwykłą śmiertelniczką. Młodą kobietą, która wybrała się na wycieczkę z ukochanym mężem.

Bo mimo wszystko świat wokół był piękny.

Porośnięte lasami góry zasnuwała niebiesko-zielona mgiełka, soczystą trawę dolin przecinały błyszczące potoki, dołem wił się Poprad. Gdyby tylko jej wypadało, położyłaby się na trawie, tak jak to właśnie zrobiły jej

roześmiane dwórki. Wyciągnęła szeroko ramiona, wystawiła twarz do słońca, przymknęła oczy i chłonęła zapachy ziemi.

Wsluchiwała się w śpiew ptaków.

Z tego sielskiego nastroju wytrącił ją widok króla zbliżającego się ku niej w otoczeniu swoich doradców – Spytka Melsztyńskiego, podkanclerzego koronnego, Klemensa z Moskorzewa, a także Piotra Wysza. Jagiełło miał na głowie słomiany kapelusz, który nakładał zawsze podczas upalnych dni, naturalnie w sytuacjach nieoficjalnych, takich jak ta teraz. Pośród dostojników władca wydawał się bardzo drobny. Szedł lekko przygarbiony, ze zmarszczonym czołem, wsłuchując się uważnie w to, co mówił biskup.

Wtem Władysław napotkał spojrzenie Jadwigi.

Oczy mu rozbłysły.

– A czemuż moja królowa stoi tak sama na uboczu? – zwrócił się do niej, gdy podszedł, zostawiając za sobą doradców.

– Odpoczywam od zgiełku, miły królu.

Ciepłe spojrzenie dzikiego zazwyczaj małżonka sprawiło, że Jadwidze na nowo zrobiło się gorąco. Tym razem było to bardzo przyjemne uczucie, dawno tak na nią nie patrzył. Uśmiechał się, mrużąc oczy od słońca, a królowa zauważyła wokół nich drobną siateczkę zmarszczek.

Jagiełło miał wyraźnie dobry nastrój.

– Doprawdy, trudno o choćby jedną chwilę spokoju. Może przejdziemy się razem wzdłuż brzegu, z dala od tego wszystkiego? – Ujął ją pod ramię.

Przytaknęła i ruszyła wraz z nim w kierunku rzeki. Zbrojni kroczyli za nimi w dyskretnej odległości.

Jadwiga nie liczyła na romantyczny spacer, podejrzewała raczej, że król ma jej do przekazania jakieś nowe sprawy dotyczące spotkania z węgierskim Zygmuntem. Zapewne właśnie na ten temat rozmawiał przed chwilą z Piotrem Wyszem.

– Moje serce zawsze się raduje, gdy dane jest nam spędzać ze sobą więcej czasu – rzekł władca.

– Podobnie jak i moje – odparła równie ceremonialnie Jadwiga.

– Stanowczo za rzadko do tego dochodzi.

– Zaiste.

– Tym bardziej powinniśmy korzystać z tych drogocennych chwil.

– To prawda.

Zastanowiła się, co miał na myśli. Czyżby zamierzał po raz pierwszy od wielu miesięcy odwiedzić ją w łożnicy? Teraz, podczas podróży? Wydało jej się to mało prawdopodobne, lecz te ozdobne wstępy do czegoś chyba prowadziły.

Łąka schodząca łagodnym stokiem w dół, do rzeki, porośnięta była drobnymi górskimi kwiatami. Jagiełło schylił się, zerwał jeden i podał Jadwidze.

– Dziękuję, mężu – rzekła.

Podniosła go do nosa i ust, pachniał delikatnie.

Rwący Poprad rozlewał się szeroko na dnie doliny, a miejscami zakręcał, rozbijając się w tysiące błyszczących w słońcu kropel na ostrych głazach. Cały brzeg był usłany kamieniami, pomiędzy nimi z szarej piaszczystej ziemi wyrastały kępy sztywnej trawy i zielska.

Jakiś ptak przemknął nisko nad wodą, złapał w locie owada i odleciał z szybkością strzały.

Usiedli na szerokim płaskim kamieniu wyglądającym jak ołtarz ofiarny dawnych plemion. Wcześniej król rozścielił na nim swoją pelerynę. W górze widać było czuwających zbrojnych. Na więcej prywatności królewska para nie mogła sobie teraz pozwolić.

– Piękny dzionek – westchnął Jagiełło. – Choć skwarny.

– Tutaj, nad rzeką powietrze zdaje się bardziej rześkie.

– W rzeczy samej. Moja pani...

– Tak, miły królu?

Władysław oparł łokcie na kolanach, dłońmi podparł brodę. Oczekiwała złych wieści. Tylko do tego mogły prowadzić poprzednie słodkie słówka.

– Podczas naszej porannej, jakże miłej rozmowy prosiłaś mnie pani o pieniądze na Akademię – zaczął, spoglądając ponuro na rzekę.

– W istocie. Pojawiły się pilne potrzeby, wymagające dodatkowych kwot. Nie nazbyt dużych.

– Hmm...

– Słucham was, panie, mój małżonku.

– Wiecie zapewne, królowo, iż nie ma rzeczy bliższej memu sercu niż uczynienie Krakowa miastem uczonych, lecz obecnie musimy nieco zacisnąć pasa w tej kwestii.

Jadwiga głośno wypuściła powietrze.

– Czy to właśnie poradził wam biskup, panie? – spytała cicho.

– Nie tylko on. – Król zmarszczył gęste brwi.

– Rada?

– Nie, nie Rada. Ten pomysł podsunięto mi dzisiaj.

– Jakiż to pomysł, jeśli można wiedzieć?

Jagiello westchnął ciężko.

– Nasi panowie doszli do wniosku, iż pożyteczną rzeczą będzie uczcić porozumienie z Zygmuntem. W Krakowie.

– Czyli zaprosimy go do stolicy?

– Owszem.

– A to oznacza uczyty i rycerskie turnieje?

Jagiello chyba zrobiło się niewygodnie na głazie, wstał, schylił się po jakiś patyk, po czym cisnął go w wodę.

– Rozumiem wasze rozczarowanie, pani – rzekł. – Ale sprawa z zakonnikami jest teraz najważniejsza.

– Wybaczcie mi nadmierną śmiałość, panie – odpowiedziała smutno – lecz zawsze będą sprawy pilniejsze. Nasi wrogowie nigdy nie znikną, a jeśli nawet znikną, w ich miejsce pojawią się następni. Akademia natomiast to projekt ponadczasowy. Na wieki.

– Wiem ja o tym dobrze, wszelako nie zmienia to faktu, iż grozi nam wojna. Wielka wojna. Jeśli ją przegramy, wszelkie sny o Akademii prysną na zawsze. Może i nawet powstanie, ale założy ją w Krakowie wielki mistrz Konrad, sobaczy syn! Zaprzeczycie temu, pani?

– Wybaczcie, nie ma nic bardziej dalekiego od mych intencji – odparła.

– Ufam zatem nadal w waszą roztropność.

– Ale przecież i bez hucznej zabawy porozumienie z Zygmuntem doszłoby do skutku, nie mam racji?

Król machnął niecierpliwie ręką, jak gdyby opędzał się od komara.

– Wiecie, jaki to człowiek. Poczuje się zlekceważony, jeśli go należycie nie uczymy.

– Kościół nie pochwała turniejów.

– Wiem o tym. Sam ich nie lubię. Zważcie jednak w swym sercu, pani, jedną rzecz: w polityce bardzo rzadko czynimy to, co zgodne z naszymi upodobaniami.

– A może powinniśmy...

Umilkli.

Szum płynącej po kamieniach wody uspokoił odrobinę Jadwigę. W mgiełce wody rozpryskującej się o potężne kamienie na środku rzeki pojawiła się tęcza. Kiedy wiatr ją rozwiął, królowa dostrzegła, że kilkadziesiąt kroków od nich, pod jaworem, usiadła para młodych ludzi. Rozpoznała Teodoryka, rycerza z jej przybocznej straży, urodziwego i odważnego. Tego samego, który pomógł uwolnić Amalię z rąk roznowskiego potwora. Dziewczyna musiała pochodzić gdzieś stąd, nie należała do orszaku. Płowowłosa, długonoga, w kwietnym wianku. Miała przy sobie wiklinowy koszyk – czyżby z malinami? Wyglądali na tak bardzo zauroczonych sobą, że na ten widok Jadwiga poczuła w sercu lekkie ukłucie zazdrości i odwróciła wzrok.

– Nie trapie się, pani – usłyszała głos męża. – Nie zapominam o Akademii. Znajdziemy pieniądze na nowe wydatki, może z żup wielickich, może się zapożyczymy. Do diabła!

Nagle król zaczął wykonywać jakiś dziwny taniec. Podskakiwał, machał rękami i nogami. Zaniepokojeni strażnicy zerwali się i zaczęli biec w jego kierunku, ale powstrzymał ich gniewnym ruchem ręki.

– Co się stało? – przestraszyła się Jadwiga.

– Giez mnie ukąsił! – wysapał wściekły Jagiełło. – Chodźmy stąd. Tu jest ich więcej.

Uśmiechnęła się lekko, bo był to raczej dziecinny sposób na zakończenie nieprzyjemnej rozmowy. Pomyślałaby kto, iż ten człowiek, pochodzący z porośniętego puszcza kraju, spędzający tyle czasu na polowaniach i podróżach, pogryziony już pewnie przez wszystkie leśne i nadrzeczne stworzenia, tak bardzo boi się gzów.

– Skoro tak postanowiliście, niechaj się tak stanie. – Podniosła się z kamienia.

Nie wiadomo było, czy słowa te odnoszą się do propozycji powrotu, czy krakowskich uroczystości. Nie miało to znaczenia – we wszystkich sprawach musiała przecież w końcu ulegać Władysławowi.

Ruszyli pod górę. Jadwiga dostrzegła, że rycerze stawiają na łące białe namioty. Jagiełło chyba zauważył jej zdziwienie.

– Część orszaku zanocuje tutaj – wyjaśnił. – Część we wsi. A my i kilku możnych we dworze.

– Duży ten dwór?

– Owszem. Znajdziecie tam wygodę, pani.

– Miło mi to słyszeć.

– Będziemy mieli nawet osobne sypialnie.

Nie odpowiedziała, wpatrzona w ziemię.

To by było tyle, jeśli chodzi o odwiedziny w łóżnicy.

Chciała już tylko znaleźć się jak najszybciej sama, zamknięta w czterech ścianach, by móc się nareszcie wypłakać.

Lecz oczywiście tego popołudnia ani wieczora nie płakała.

Zanim Jadwiga znalazła się we dworze należącym do jednego z krakowskich magnatów, Dominika, zdążyła wyrzucić z siebie wszystkie złe myśli oraz żale. W dalszym ciągu czuła się źle, lecz starała się opanować rozczarowanie i smutek. Zdążyła już nauczyć się tej sztuki. Od dawna nie była dziewczynką płaczącą pod schodami. Wykuła dla siebie duchową zbroję, którą zawsze nakładała w takich sytuacjach. Bo co tak właściwie dzisiaj się wydarzyło? To, że skąpy małżonek nie będzie chciał dać dodatkowych pieniędzy na wykupienie dla przyszłej Akademii terenów w okolicach kościoła Świętej Anny, było raczej do przewidzenia, Jadwiga liczyła się z odmową Jagiełły. Jeśli nie ten powód, to inny. Teraz chodziło o huczne podjęcie Zygmunta w Krakowie, następnym razem trzeba będzie dopłacić do jakiejś wojenki z Tatarami zza Donu. Nie mogła być więc aż tak bardzo rozczarowana.

A jeśli chodzi o intymne relacje z królem...

No cóż.

Minęły już te czasy, kiedy płakała po nocach z powodu obojętności męża.

Przestała się też zastanawiać nad przyczynami jego jawnej niechęci. I nie myśleć o tym, w czym lepsze od niej są te wszystkie ruskie i litewskie kochanki, o których, rzecz jasna, doskonale wiedziała, a to za sprawą „życzliwych” dworskich plotkarzy, jakich nigdy w otoczeniu władców nie brakuje.

Dawno doszła do wniosku, iż te jurne dziewoje o obfitych kształtach najprawdopodobniej bardziej odpowiadają prostej naturze jej męża, wojownika i myśliwego, człowieka, który stale musiał być w drodze, ciągle w otoczeniu pól i lasów, a także innych wojowników. Od pogańskiej młodości przyzwyczał się do tego rodzaju niewyszukanych przygód

i najwidoczniej tylko proste dziewczyny umiały rozpalić w jego trzewiach jakiś ogień.

Nie ona.

Cudzoziemka, Andegawenka, władczyni i gorliwa katoliczka.

Właśnie: gorliwa katoliczka.

– Może to przez zbytnią pobożność, pani? – zasugerowała kilka lat temu Milda, jej dawna dwórka z Litwy, gdy królowa zawitała do wawelskiej apteki po zioła na kobiece dolegliwości.

W takich sprawach przychodziła osobiście.

Nie chciała dawać dodatkowych powodów do plotek swojej służbie, która z irytującą nachalnością sprawdzała co miesiąc prześcieradła. I z takim samym nieukrywaniem zawodem i wręcz wyrzutem zabierała je do prania.

Tego dnia królowa była w ponurym nastroju i dawna dwórka szybko odgadła przyczynę. Rzecz jasna, nie powiedziała o tym wprost, była zbyt delikatna i taktowna, lecz po krótkiej wymianie zdań wyszło na jaw, iż chodzi o króla Władysława.

– Przez zbytnią pobożność? – zdumiała się wtedy królowa. – O czym ty, Mildo, mówisz?

O ile już wcześniej była w złym humorze, to te słowa dodatkowo ją zirytowały. Komuś innemu nie uszłyby na sucho.

Milda podniosła głowę znad moździerza i ze smutkiem spojrzała na królową.

– Nie miałam nic złego na myśli, Najjaśniejsza Pani. Pozwólcie mi jednak opowiedzieć o pewnej białogłowie, która mnie tutaj często odwiedza.

– Co ta białogłowa ma do mnie i do króla?

– Też pragnie dziecka, pani.

Jadwiga wciąż była zła. Temat był dla niej drażliwy, nie chciała go dzisiaj kontynuować.

– Moja sytuacja jest inna.

– Naturalnie. Ty, pani, jesteś królową. Ale przecież także niewiastą.

– Owszem – niechętnie przyznała monarchini. – I jakąż to radę znalazłaś dla tej białogłowy?

– Nie dawałam żadnych rad. Nie jest to moją rolą. Ale pozwoliłam jej mówić. Szybko wyszło na jaw, że małżonek może częściej odwiedzały ją w łóżnicy, lecz na przeszkodzie prawie zawsze stoją praktyki religijne.

– To niedorzeczne.

Milda odstawiła moździerz, wytarła dłonie w lnianą ścierkę i usiadła na skrzyni przy oknie, blisko królowej.

– W czasie postów, jak wiadomo, nie wolno uprawiać miłości, nawet między małżonkami. Nie chodzi tylko o wielki post, ale nawet w te zwykłe, środy i w piątki. Niedziele w ogóle nie wchodzą w grę. Wtedy wszyscy mogą obcować wyłącznie z Panem, a nie ze współmałżonkami.

– Istotnie – przyznała Jadwiga – Ale właśnie tak ma być.

Czarny kot, nie mogąc się doczekać, aż jego fotel się w końcu zwolni, wskoczył na kolana królowej i udeptując je łapkami, zaczął szykować sobie wygodne spanie.

Jadwiga bezwiednie pogłaskała jego lśniące futerko.

– Doliczmy do tego – ciągnęła Litwinka – czterdzieści dni wielkiego postu, adwent, Zielone Świątki i Święto Zesłania Ducha Świętego.

Królowa pokiwała głową.

– Co dalej? – spytała. – Wykorzystałaś już chyba wszystkie możliwe posty.

Milda udała, że nie zauważyła delikatnej uszczypliwości w głosie władczyni.

– No nie, nie wspomniałam jeszcze o tygodniu wielkanocnym.

– Rzeczywiście.

– Teraz to już chyba wszystkie – uznała Milda. – Lecz nie zapominajmy też o wstrzymaniu się przez kobietę od współżycia na osiem dni przed przyjęciem Eucharystii przez pana małżonka.

Królowa uśmiechnęła się blado.

– No i, co zrozumiałe – dodała już od siebie – w czasie, kiedy niewiasta ma dni swojej słabości. Myślisz, Mildo, że to mogło zniechęcać mego małżonka?

– Nie wiem, pani. To historia tamtej niewiasty.

Tamta rozmowa długo rozbrzmiewała w głowie królowej.

Jeśli nawet zakazy religijne nie były główną przyczyną jej małżeńskich kłopotów – a wydawało się to zbyt prostym wytłumaczeniem – to na pewno nie ułatwiały starań o spłodzenie potomka. Zwłaszcza gdy chodziło o kogoś tak niecierpliwego jak król Władysław. Kogoś, kto z powodów politycznych musiał przyjąć zasady wiary i może nie nosił ich aż tak głęboko w sercu.

Teraz, po latach, przestała aż tak się tym zadręczać. Po prostu było jej smutno. Wszakże do tego zdążyła się przyzwyczaić.

Za oknem zaczęło zmierzchać, grały świerszcze, wciąż było parno i duszno.

Królowa podeszła do klęcznika, który podróżował wraz z nią i został przyniesiony do jej sypialni. Skoro małżonek dzisiaj nie przyjdzie, miała zamiar zwrócić się teraz do Tego, który jeszcze nigdy jej nie zawiódł.

Wyjęła różaniec i uklękła ze złożonymi do modlitwy dłońmi.

Ogarnął ją wielki spokój.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kraków, lipiec 1397

I pamiętaj, że masz zachowywać się cicho – napominał Małgorzatę Szymon, kiedy tuż przed tercją wchodzili do południowego skrzydła wawelskiego zamku. – Nie tak jak poprzednio.

– Postaram się, ojciec – odparła dziewczynka.

– To za mało.

– Wiem. Będę zachowywać się cicho, przyrzekam.

– Tak już lepiej.

Znaleźli się w mrocznym wąskim korytarzu, rzadko uczęszczanym, bo mało kto w te rejony zamku zaglądał. Nie było tu żadnych kancelarii, składów ani pomieszczeń dla służby.

– To miejsce jest jak świątynia. – Szymon sam teraz zniżył głos.

– Świątynia? – zapytała prawie szeptem Małgorzata.

– Naturalnie. Wiedzy i mądrości.

– Aha.

Dotarli do zwykłych dębowych drzwi.

Szymon uchylił je ostrożnie i weszli do szerokiej, choć raczej niskiej izby o bielonych ścianach, z kilkoma oknami o szybkach z bezbarwnego szkła, dzięki czemu wewnątrz było dużo jaśniej niż w większości zamkowych pomieszczeń. Cały środek zdawał się pusty – jeśli nie liczyć granitowej kolumny podtrzymującej żebrowe sklepienie – ponieważ wszystkie meble i sprzęty umieszczono pod samymi oknami. Znajdowały się tam pulpity oraz stoły z pochyłymi blatami, nad którymi pracowało teraz w skupieniu kilku ubranych na czarno mężczyzn, tak pochłoniętych swym zajęciem, że chyba nawet nie zauważyli, iż ktoś właśnie wszedł do ich schronienia.

Było to założone niedawno przez królową Jadwigę skryptorium. Jej największa duma, przynajmniej do momentu, kiedy na dobre ruszyły prace nad odnowieniem krakowskiej uczelni.

W owym miejscu, głównie na polecenie władczyni, przepisywano dokumenty, a przede wszystkim święte księgi, kodeksy, mszały i brewiarze. Pieczę nad tym sprawował siwowłosy mistrz Świętosław, a jego prawą ręką niedawno został właśnie Szymon. Wawelskie skryptorium zatrudniało kilku kopistów, dwóch iluminatorów i jednego rubrykatora, ten ostatni był Rusinem.

Małgorzata gościła tutaj już po raz drugi.

O ile zazwyczaj nienawidziła chwil, które musiała spędzać w zamkniętych pomieszczeniach, gdzie przebywali nudni i poważni dorośli, to, ku zaskoczeniu Szymona, owo miejsce ją wręcz zafascynowało. Może nawet za bardzo, gdyż, jak to ona, musiała dać głośny wyraz swemu zachwytowi na widok pięknych miniatur zdobiących marginesy pergaminowych kart. A nie było to dobrze widziane w pomieszczeniu, gdzie nawet byle kichnięcie uchodziło za przewinę, bowiem burzyło atmosferę nabożnego skupienia. Gdyby nie to, że Szymon nadzorował prace kopistów, zapewne nie pozwolono by mu na wprowadzenie do tego sanktuarium wiedzy dziewczynki.

A już na pewno nie po raz drugi.

Lecz młody uczonek akurat miał do tego prawo i postanowił, że da córce jeszcze jedną szansę. Rzadko interesowało ją coś poza zabawami z dziećmi woźniców, polegającymi głównie na walkach na kije, strzelaniu z łuku do kaczek i wspinaniu się na mury. Chciał rozbudzić w Małgorzacie zainteresowanie wiedzą oraz poczucie piękna.

A teraz dostrzegł na to szansę.

Najbliżej wejścia siedział Mikołaj, rektor szkoły w Sandomierzu, otyły i rumiany, z wianuszkami rudych włosów wokół łysiny na czubku głowy. Powoli i metodycznie, posapując z cicha, właśnie oczyszczał kawałkiem pumeksu płachtę pergaminu, aby usunąć z niego resztki bydlęcego włosia. Obok niego, na pulpicie, stały cynowe i drewniane pojemniki z nożykami, skrobakami – służącymi do zbierania z surowego pergaminu tłuszczu i brudu – jak również miseczki z rozmiękczoną kredą. Mikołaj odwrócił się tylko na moment, aby skinąć głową Szymonowi na powitanie, lecz nie poświęcił cienia uwagi dziewczynce. Jakby była niewidzialna.

Należał do tych kopistów, którzy, delikatnie rzecz ujmując, nie pochwalali obecności profanów w skryptorium.

Prawdę mówiąc, Małgorzata również nie była teraz zainteresowana ani nim, ani jego nudną pracą, więc szybko przeszli dalej.

Przy następnym stole zasiadał ojciec Makary, dla odmiany chudy i czarniawy. Ten przykładał teraz ołowiany lineał do oczyszczonej już stronicy, aby wykreślić równe linie, na których wkrótce pojawią się miniskuły i kunsztowne floresy.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – mruknął, nie przerywając pracy.

– Na wieki wieków, amen – odpowiedzieli cicho ojciec i córka.

– Piękny dzisiaj dzień, *Deo gratias*.

– Owszem – odrzekł Szymon i ruszyli dalej.

Pomiędzy oknem, przy którym siedzieli Mikołaj i Makary, a następnym ciągnął się przy białej ścianie regał z księgami przygotowanymi do skopiowania. Napłynęły one przede wszystkim z klasztorów, zamówione przez samą królową. Opasłe, w skórzanych oprawach, ujęte w drewniane okładki, zapinane na metalowe klamry, mieściły w sobie natchnione religijne mądrości oraz prorocze wizje.

Przy drugim oknie, które wychodziło na niewielki ogródek i fragment zamkowego muru, zrobiło się nareszcie ciekawie. Przynajmniej dla Małgorzaty. Tu znajdowało się królestwo iluminatora, młodego, całkiem urodziwego bruneta o imieniu Rafał. Ten był najprzyjaźniejszy ze wszystkich, więc powitał dziewczynkę szczerym uśmiechem.

– Wróciłaś – rzekł do niej, a ta tylko z zapałem pokiwała głową, pamiętając, że nie powinna za dużo mówić.

Poprzednim razem Rafał pokazywał jej, jak przygotowuje farby do swojej magicznej sztuki. Przy niej, w sąsiedniej izbie, roztarł na kamieniu minerał o nazwie cynober, a potem zmieszał go z białkiem i żółtkiem jajka. Małgorzata zobaczyła, jak uzyskać grecki lazur oraz – co wywołało największy zachwyty dziewczynki – pełną przepychu barwę szczerozłotą. Wszystko to przypominało pracę alchemika, nic zatem dziwnego, iż Małgorzata aż krzyknęła wtedy z wrażenia, na co skrybowie zareagowali głośnym: psyt!, a sam Świętosław syknął:

– *Silentio!*

Jak na niego była to cała tyrada.

Teraz Małgorzata starała się już panować nad sobą i z otwartymi ustami przyglądała się, jak Rafał macza pędzelek w glinianym kubku z farbą, po

czym delikatnymi muśnięciami nanosi seledynową zieleń na wielobarwną miniaturę, zdobiącą margines z najdelikatniejszego welinu. Malował właśnie łąkę, która stanowiła wdzięczne tło malutkiej sceny przedstawiającej grającego na harfie Dawida. A całe to чудо, bo było to istne *miraculum*, stanowić miało jedynie tło pierwszej litery gradułu. Dłoń młodzieńca, o długich, smukłych palcach, poruszała się z taką lekkością, pewnością i gracją, jakby wyczarowywał biblijny obrazek ot tak, wprost z powietrza.

Obok manuskryptu stały pojemniczki z innymi pędzelkami najróżniejszych rodzajów oraz z grafitem do rysowania. Leżały też kartki pokryte szkicami.

– Piękne – powiedział Szymon, zaglądając mu przez ramię.

Nawet on, który nieraz przecież widział młodego człowieka przy pracy, nie potrafił oderwać wzroku od tej magicznej sztuki. Rafał przybył do Krakowa z Sącza, otoczony już sławą znakomitego iluminatora. Ilustrowane przez niego stronic pełne były szczególnej jasności – czy raczej świetlistości – a to za sprawą znakomitego zestawienia czystych kolorów: czerwieni, błękitu, złota, srebra, zieleni i bieli, które pod mistrzowskim dotknięciem pędzelka artysty łączyły się w pełnej blasku harmonii.

Zawierały w sobie *claritas*, czyli – według Tomasza z Akwinu – jeden z trzech wymogów piękna, obok proporcji oraz integralności. Bóg jest przyczyną blasku i harmonii wszechrzeczy, a barwa ujarzmieniem mroku w materii.

Ponieważ Małgorzata wciąż stała przy Rafale jak zaklęta, Szymon zostawił ją z nim, a sam podszedł do ostatniego z pracujących dzisiaj w skryptorium kopistów, zajmującego stół na końcu pomieszczenia, przy samym piecu.

Był to szesnastoletni blondyn, Miłosz, bratanek kanclerza królowej, Wojciecha Jastrzębca. Zdolny i pojętny skryba został przysłany tutaj zaledwie przed tygodniem, podobno z polecenia samej monarchini.

Wchodząc do izby, Szymon dostrzegł, iż chłopak pospiesznie chowa coś pod pulpitem. Znał doskonale takie sytuacje z czasów, gdy studiował w Bolonii, a wcześniej jeszcze uczył się w szkole w Kazimierzu, postanowił więc teraz sprawdzić, co Miłosz ukrywa.

– Jak praca? – zapytał niewinnie, zbliżywszy się doń z założonymi na plecach rękami.

Młodzieniec odwrócił się spłoszony i tylko otworzył usta, jak gdyby nie potrafiąc odpowiedzieć na tak proste pytanie.

To wzmogło czujność Szymona, ponieważ wiedział, iż Miłosz to nie jakiś złąkniony pastuszek, który przypadkiem zawitawszy na Wawel, doznał od tego zawrotu głowy i utracił mowę, tylko młodzian z pewnym obyciem. Wszak w styczniu stał przed obliczem samego Ojca Świętego, kiedy ten dawał polskiemu poselstwu zezwolenie na otwarcie w Krakowie wydziału teologicznego.

– Znakomicie! – wykrztusił wreszcie Miłosz.

– Nad czym pracujecie?

– Nad psalterzem.

– Oho. Są postępy?

Zdenerwowany chłopak odłożył pióro i wytarł chusteczką poplamioną inkaustem palce.

– Prawdę mówiąc, dopiero zaczynam.

– Dopiero zaczynacie?

Szymon pochylił się i zmrużywszy oczy, spojrział na pergaminową stronicę. Widniało na niej jedno jedyne zdanie:

Jenże przebywa w pomocy Najwyższemu, w zaszczytenu Boga przebędzie.

Było ono, owszem, pięknie wykaligrafowane równym czytelnym pismem, z odpowiednimi zawijasami, ale po nim ziała pustka.

– Tyle tylko dzisiaj napisaliście?

Kopiści pracowali od wschodu do zachodu słońca, starając się maksymalnie wykorzystać światło dnia. Teraz dobiegała już trzecia, więc Miłosz powinien mieć za sobą długi czas pracy, aż nadto, by stworzyć przynajmniej kilka linijek.

– W takim tempie będziecie ten psalterz przepisywać jeszcze przez pięć lat – surowo rzekł Szymon, zaglądając jednocześnie pod pulpit. – Co tam chowacie? – zapytał.

– Tam?

- Właśnie.
- Nic, szkice.
- Szkice do tego jednego zdania? Pokażcie.

Miłosz, coraz bardziej czerwony, nachylił się i sięgnął po jakiś arkusz, ale ze zdenerwowania pociągnął za mocno i na posadzkę sfrunęło kilka kartek. Chłopak padł na kolana i zaczął je szybko zbierać. Szymon zauważył, iż pokryte są rysunkami, jakimiś dziwnymi barwnymi plamami.

- Co to? – Zmarszczył gniewnie brwi.
- To takie szkice. Robię je sobie w przerwach od pracy.
- Pokażcie.

Zdeprimowany bratanek Wojciecha Jastrzębca wręczył jeden z arkuszy Szymonowi, starannie unikając jego wzroku.

– Czy to są mapy? – W głosie młodego prawnika zabrzmiało zdziwienie, ale i nutka gniewu.

Zobaczył niezwykle starannie zakreślone kontury Europy oraz wybrzeży Afryki. Łądy wypełnione były niesamowitą ilością bardzo precyzyjnych, wielobarwnych rysunków oraz fantazyjnych podpisów: przedstawiały góry, lasy, kamienice i kościoły ważniejszych miast, warowne twierdze, postaci monarchów oraz dzikie zwierzęta, te przede wszystkim na wybrzeżach Afryki. Po oceanie zaś pływały fregaty z rozpiętymi żaglami.

– To wszystko sami namalowaliście? – Szymon wskazał ruchem ręki, by młody skryba pokazał mu pozostałe prace.

– Tak, panie – odparł Miłosz, spełniając polecenie.

Na kolejnych arkuszach zaznaczone były jedynie północne brzegi Europy, większą ich część stanowiły mapy oceanu. Szymon rozpoznał wyspę zamieszkałą przez Anglików i Szkotów, Irlandię, ziemie Szwedów i Duńczyków, ale wielu lądów, zaznaczonych tu na północnym zachodzie, nie przypominał sobie z żadnych innych ilustracji.

- Co to za wyspy? – Wskazał palcem na dwie z nich.
- Czekał na odkrycie – z nieoczekiwaną dumą odpowiedział skryba.
- Czyli bajkowe?
- Nie do końca.

Szymon znalazł się w odrobinę niezręcznej sytuacji. Z racji łagodnego usposobienia nie nadawał się na surowego nadzorcę, a w tym wypadku musiał jednak okazać młodzieńcowi swój gniew.

– Wiecie co, Miłoszu? – rzekł wreszcie. – Przejdźmy może do sąsiedniej izby. Musimy chyba porozmawiać, a nie chcę przeszkadzać tym, którzy pracują naprawdę, a nie snują marzenia w godzinach na to nieprzeznaczonych.

Mówił szeptem surowym głosem, bo był naprawdę zły, wszak młody człowiek oszukiwał nie tylko jego i Świętosława, lecz również królową. Marnotrawienie czasu oraz materiałów – gdyż Miłosz zużył na swoje dzieła mnóstwo różnobarwnego inkaustu – było oczywiste. A jednak Szymon nie mógł nie odczuwać podziwu na widok tych cudów. Dowodziły zdumiewającego talentu do rysunku.

Niewiele mniejszego niż iluminacje Rafała.

Szymon zostawił więc córkę przy stanowisku iluminatora i wraz z Miłoszem przeszli do mniejszej izby, gdzie pracownicy skryptorium jedli posiłki podczas przerw w pracy.

Prawnik królowej usiadł na ławie przy małym okienku i jeszcze raz obejrzał mapy.

– Bardzo to zręczne – westchnął wreszcie – lecz z tego, co widzę, przeznaczacie na podobne zabawy cały swój czas przy pulpicie.

– Nie, nie. Prawie wszystkie mapy powstały dużo wcześniej – wyjaśnił szybko Miłosz. – Uzupełniam je tylko o kolejne szczegóły.

– Nie możecie tego robić w skryptorium.

Winowajca skwapliwie przytaknął.

– Rozumiem.

– Doprawdy?

– Jest mi teraz wstyd.

– Ja wiem, że psalterz może się wam wydawać nudny, zwłaszcza w porównaniu z tymi baśniowymi krainami – Szymon wskazał na rysunki – ale to sama królowa zleciła jego przepisanie.

– One nie są baśniowe – zaprotestował młodzieniec.

Szymon podniósł na niego spojrzenie.

– Słucham?

– Stworzyłem je na podstawie wiarygodnych źródeł.

– Jakież to źródła?

Miłosz wyraźnie się ożywił.

– Przeróżne. Głównie Orderic Vitalis, Pyteasz z Marsylii, a przede wszystkim kroniki Adama z Bremy.

– Przyznam, że nigdy nie słyszałem o tych ludziach. Nie jestem zbyt dobry z kosmografii.

– Adam z Bremy był niemieckim dziejopisem – zaczął gorączkowo tłumaczyć Miłosz. – Miał do czynienia z normańskimi kronikami oraz poematami. No i w czwartej księdze swego dzieła o historii miasta Hamburga oraz ziem północnych opisał krainy leżące na północ od swej ojczyzny.

– Czyli?

– Zieloną Wyspę, Wyspę Lodu, a także Winlandię. Do nich wszystkich pierwsi dotarli właśnie normańscy żeglarze, bardzo biegli w sztuce nawigacji.

– Skąd wiadomo, że to nie baśnie? – Szymon złożył arkusze w równy stos.

– Ponieważ dwie pierwsze wyspy znamy – to Grenlandia oraz Islandia.

– A ta trzecia?

– Winlandia też musi istnieć. Często uczy się jeszcze, zwłaszcza w szkołach katedralnych, iż na północ nie ma już nic, że morze tam zastyga w lodową skorupę i że są to krańce Ziemi, gdzie panuje wieczna noc i nieprzenikniona mgła, a jaskinie zamieszkują potwory. Ale to są właśnie baśnie dla dzieci. Nie ma żadnych krańców Ziemi, albowiem od dawien dawna wiadomo, iż ma ona kształt kuli.

– O tym akurat czytałem – zgodził się Szymon. – Chyba u Arystotelesa.

– Który był najmędrszym z żyjących kiedykolwiek ludzi.

– Powiedzmy... Z pewnością głupi nie był.

Szymon rozpaczliwie szukał teraz w pamięci, w którym to z dzieł Arystotelesa natknął się na argumenty o kulistości Ziemi. W księdze *O Niebie*? Nie miał pewności, ale pamiętał zdanie, że gdy minie się Słupy Heraklesa, powinno się dotrzeć do Indii, ponieważ słonie występują zarówno w Indiach, jak i w Afryce. Było mu głupio, że zapomniał szczegółów, bo przecież to on studiował na jednym z najlepszych uniwersytetów świata, natomiast Miłosz dopiero rozpoczynał nauki.

– A jeśli Ziemia jest okrągła – ciągnął teraz ten zaskakująco odczytany młodzieniec, krążąc po małej izbie jak zwierz w klatce – co potwierdzają dzisiaj paryscy geografowie, oznacza to, iż płynąc na północny zachód, powinniśmy statkami dobić do krain, do których inną drogą dotarł Wenecjanin Marco Polo. Do Kataju oraz Cipango. A nawet do Indii. Co

więcej, zachodnia droga morska z Europy do tych miejsc okazać by się mogła krótsza niż ta wiodąca na Wschód, gdyż, jak naucza Ptolemeusz, ocean nie zajmuje większego obszaru na Ziemi niż ląd. A Marinus z Tyru mniemał nawet, że jest mniejszy. Ale ja w to akurat nie wierzę.

– Skąd to wszystko wiecie? – Szymon w końcu nie wytrzymał, pogodziwszy się z myślą, iż w tych kwestiach nie dotrzyma chłopakowi kroku.

Kiedy powiedział, iż nie jest zbyt mocny z kosmografii, bynajmniej nie powodowała nim fałszywa skromność. Nie miał o tej dziedzinie pojęcia. Na żegludze również się nie znał, jedyne jej opisy pamiętał z przygód Odyseusza oraz Jazona i jego Argonautów. Wszelako o tego rodzaju baśniach wstydziliby się teraz nawet wspominać. Rzecz jasna, wiedział o weneckiej i genueńskiej flocie, o saraceńskich korsarzach – tyle jednak, co każdy szczur lądowy, czyli właściwie to nic.

A co dopiero mówić o opływającym świat od zachodu oceanie. Daleką i mglistą północ Szymon wyobrażał sobie zawsze – nomen omen – mgliście, jako hiperborejską krainę widmowych wysp, martwych, niezamieszkanych, stanowiących mroźną i mroczną rubież świata. Teraz kręciło mu się w głowie od tych najnowszych teorii, które dla Miłosza zdawały się czymś naturalnym, jakby młody skryba poznał wszystkie kroniki, dzieła kartografów i żeglarzy. Toteż prawnik poczuł się nieco nieswojo, bo w tym akurat temacie jasnowłosy chłopak przewyższał go wiedzą aż nadto wyraźnie.

– Z ksiąg i opowieści ludzi, których wraz z wujem spotykaliśmy w Italii – odpowiedział Miłosz.

– No więc dobrze. – Szymon w zakłopotaniu pocierał nos. – Jeśli właściwie rozumiem wasz wywód, a nie jest to dla mnie rzeczą prostą, cała ta Winlandia na mapie byłaby częścią znanej nam Azji?

– Otóż to! – niemal zakrzyknął Miłosz. – Dlatego narysowałem tam ludzi o płaskich twarzach, wąskich oczach i czarnych włosach.

– Na moje oko są trochę jak Tatarzy.

– Dla lepszego efektu. Może to Katakaj, kraina Chana, a może Cipango.

Szymon podniósł się z ławy. Coś jeszcze nie dawało mu spokoju.

– Skoro zatem miałyby to być krótsza i łatwiejsza droga, czemu jeszcze nie kursują nią statki handlowe? – zapytał.

Zapomniał już o złości, albowiem jego chłonny umysł, zawsze ciekawy świata, dał się na dobre oczarować nie tylko pięknymi mapami, lecz również śmiałymi teoriami Miłosza. W wieku szesnastu lat Szymon sam był podobnym marzycielem i fantastą.

– Znakomite pytanie! – ucieszył się młody skryba. – Podejrzewam, iż jest tak z tej przyczyny, że najpierw ktoś musiałby przebyć ową trasę i zdać z niej relację, aby to, co wysoce prawdopodobne, stało się niepodważalne i pewne. Potrzeba śmiałka, który zbierze fundusze na takową wyprawę. Wytyczy nowe szlaki. Kupcy są ludźmi praktycznymi, nie będą ryzykować, bo – kto wie? – może wszyscy ci mędrzy się mylili, więc statki z towarami utkną w lodzie na końcu świata.

I z tym argumentem trudno było się nie zgodzić.

Nastał chyba najwyższy czas na zakończenie nieoczekiwanej dysputy o kształcie świata. Dla porządku Szymon pouczył Miłosza, że jeśli jeszcze raz ujrzy go zaniedbującego obowiązki, to chłopak zostanie natychmiast wyrzucony ze skryptorium. Uprzedził również, że o dzisiejszym incydencie będzie musiał powiadomić Świątosława – i tak dowiedziałyby się on od innych kopistów.

Potem oddał młodemu skrybie jego mapy i poszedł po Małgorzatę.

Ale to spotkanie nie dawało mu spokoju do końca dnia.

Nazajutrz głowę zajęta miał już zupełnie czym innym.

Było wiele pilnych spraw do załatwienia w królewskiej kancelarii, studiował też dokumenty związane z zakupem terenów dla Akademii. W skryptorium pojawił się tylko na chwilę. Wydało mu się, iż Miłosz pragnie zatrzeć złe wrażenie, bo szybko nadrobił zaległości i skopiował aż dwie strony psalterza. Nie wracali już do wczorajszej rozmowy.

Kiedy Szymon załatwił większość najważniejszych spraw, ruszył w kierunku wawelskiej Bramy Dolnej, w pobliżu której stała jego przyszła, jak to szumnie z Amalią określali, Akademia.

Była to zwykła chata kryta strzechą, gdzie wily sobie gniazda jaskółki, przyklejona do muru i zapadnięta, z jednym tylko oknem, ogólnie zaniedbana i sprawiająca wrażenie raczej dużej szopy na narzędzia niż szkoły. Ale od kilku tygodni Szymon i Amalia zaczęli robić w niej

generalne porządki, przede wszystkim wynieśli zalegające we wnętrzu deski i usunęli słomę. Oboje mieli nadzieję, iż jesienią, najpóźniej w październiku, kiedy wyremontują stary piec, uda im się rozpocząć lekcje dla dzieci z biednych rodzin.

Dzisiaj Amalia i Małgorzata miały tam pracować od samego rana, szorować ławy i zamiatać klepisko. Szymon już z daleka ujrzał żonę stojącą na progu chaty, jak gdyby na niego czekała. Lekko go to zaniepokoiło, więc przyspieszył kroku.

– Gdzie Małgorzata? – spytał od razu, zbliżywszy się do budynku. – Nie miała ci pomagać?

– Nawet nie pytaj – westchnęła Amalia.

– Nie ma jej tutaj?

– Siedzi w domu. Za karę.

– Co znowu zrobiła?

– Byłeś z nią wczoraj w skrytorium? – Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

– Tak, mówiłem ci przecież.

– No to sam zobacz.

Weszła do środka, a Szymon podążył za nią.

W izbie panował półmrok, rozjaśniony jedynie promieniami padającego przez okno słońca, w jego blasku tańczyły leniwie drobinki kurzu oraz małe kawałki słomy. Amalia podeszła do jednej z ław i coś z niej podniosła.

– Czy to pochodzi stamtąd? – zapytała, pokazując arkusz, na którym widniały kolorowe plamy.

Szymon zamarł, czując, jak ogarnia go wściekłość na córkę. Amalia trzymała w ręku jedną z map Miłosza. Mała diablica musiała wykorzystać czas, kiedy ojciec rozmawiał na osobności z młodym skrybą, i zapewne znalazła pod pulpitem jeszcze jedno jego dzieło.

– Ukradła. – Szymon osunął się ciężko na zydel. – Po prostu ukradła mapę ze skrytorium. Mój Boże, co za wstyd. A ja pouczałem tego chłopaka niczym sędzia. Oj, dziewczyna popamięta dobrze dzisiejszy dzień...

– Poczekaj, to nie wszystko – przerwała mu łagodnie żona, podnosząc inną kartkę.

– Jest tego więcej? – Aż jęknął.

– Nie. To skopiowała.

– Skopiowała? – Wstał i zbliżył się do Amalii, nie wierząc w to, co słyszy.

Na pierwszy rzut oka rysunek córki niewiele odbiegał od oryginału, dopiero przy uważniejszym spojrzeniu można było dostrzec różnice między ręką mistrza a próbami Małgorzaty. Mimo wszystko Szymon nie spodziewał się, że dziewczynka w ogóle potrafi rysować. Prawdę mówiąc, sam by lepiej tego nie skopiował.

– Podobno rysuje mapy już od dawna – powiedziała ze smutnym uśmiechem Amalia. – Głównie swojego wymyślonego królestwa, w którym jest władczynią. Są w domu. Pokażę ci je potem. Też są udane.

Tego popołudnia dziewczynce, rzecz jasna, mocno się dostało od ojca i jak zwykle w takich razach skończyło się na wielkim płaczu. Szymon zapowiedział, że Małgorzata już nigdy nie przestąpi progu skryptorium, oświadczył też, iż jest małą złodziejką i przynosi wstyd całej rodzinie. Kiedy jednak ochłonął, już po zmroku, zwrócił się do żony:

– Co z tym zrobimy, Amalio? – zapytał.

– Z czym? Z mapą? Musisz ją oddać temu chłopakowi i wytłumaczyć, skąd się u nas wzięła.

– To wiem.

– Więc co chcesz uczynić więcej?

– Ona ma dar. Od Boga.

– No cóż. Na pewno ma dar do robienia obrzydliwych rzeczy.

– To wiemy nie od dzisiaj. Ale...

– Ale?

– Te rysunki. Wyglądają jak dzieło kogoś dużo starszego.

– To prawda. Szkoda, że potrafiła doszczętnie zepsuć całą radość i dumę, jaką mogłabym odczuć z tego powodu.

Szymon zamyślił się, po czym rzekł, patrząc żonie prosto w oczy:

– Może powinna się uczyć?

– Rysunku?

– Właśnie. Od Miłosza.

Amalia powoli pokręciła głową, zastanawiając się chwilę.

– Wierzysz, że to pomoże? – spytała.

– A masz jakieś inne pomysły?

Małgorzata rozpoczęła lekcje z Miłoszem dwa dni później.

Przez dobrą godzinę skryba i dziewczynka siedzieli w kącie izby, gdzie zwykle pracował Szymon, nachyleni w skupieniu nad kartkami. Chłopak uczył ją, jak rysować postaci ludzkie, głównie brodatych rycerzy. Kiedy skończyli, Amalia spytała młodego kopistę, jak poszło jej córce.

– Jest bardzo zdolna – odpowiedział tamten. – Chociaż uparta i niecierpliwa.

– Wiem coś o tym. – Amalia się uśmiechnęła.

– To zadziwiające, że potrafi tak zręcznie rysować, mimo że nikt jej do tej pory tego nie uczył.

– Mnie to również zdumiewa, jeśli mam być szczerą.

– Ze mną było podobnie – odparł z dumą. – Prawie wszystkiego nauczyłem się sam.

Jeśli chodzi o pokrewieństwo dusz, to i Małgorzata odczuła je – choć na swój osobliwy sposób – bo gdy tylko młody nauczyciel wyszedł i matka zapytała, jak spodobała jej się pierwsza lekcja, dziewczynka odparła krótko i kategorycznie:

– Bardzo. Miłosz zostanie kiedyś moim mężem. Będziemy razem już do końca życia.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kraków, wrzesień 1397

Kiedy przed południem w drodze na targ owocowy Milda przechodziła obok kościoła Najświętszej Marii Panny, nagle coś ją tknęło.

Coś nieprzyjemnego.

Było to jakieś dziwne doznanie, którego w pierwszej chwili nie potrafiła nazwać. Znajomy głos, a może znajoma twarz? Tak, chyba właśnie coś w tym rodzaju. Szła tak pochłonięta swoimi myślami, że raczej poczuła to, niż dostrzegła. Czyżby owo niepokojące wrażenie dotyczyło grupki siedzących w załomie muru żebraków? Lecz cóż mogła mieć z nimi wspólnego? Nie, niemożliwe. Na wszelki wypadek jednak odwróciła się ku nim dyskretnie, tak żeby nie dostrzegli jej zainteresowania i nie zaczęli nagabywać.

Tak, to chyba było związane z jednym z nich.

Z tym siedzącym najbliżej, w kapturze nasuniętym głęboko na czoło. On również na nią patrzył. Jego wzrok miał w sobie zarówno coś odpychającego, jak i właśnie znajomego. Milda mogłaby przysiąc, że już kiedyś spotkała tego człowieka. W innych okolicznościach i w innej postaci, ale na pewno gdzieś go wcześniej widziała.

Na pewno też zebrał, tyle że w innej części miasta. Może w Kazimierzu, w czasach, gdy mieszkała u Doroty? Nieistotne. Odwróciła się szybko i przyspieszyła kroku, otrząsając się z nieprzyjemnego uczucia, jakie ją ogarnęło pod wpływem wzroku owego mężczyzny. Czas gonił, a musiała jeszcze wstąpić na targ po owoce na konfitury, zanim sprzedający zaczną zamykać swoje kramy.

Pogoda była słoneczna, ciepła, na targu panował niesamowity ścisk.

Słodki zapach gnijących owoców mieszał się ze smrodem końskiego nawozu oraz gorzkimi aromatami ziół, które również sprzedawano w tym miejscu. Nad wiklinowymi koszami z jabłkami, złocistymi gruszkami

i śliwkami unosiły się osy oraz roje muszek. Stare kobiety, zakutane w chusty, oferowały własne powidła i konfitury, lecz Milda chciała zrobić swoje – ściśle wedle przepisu Miguela.

Dzięki Katalończykowi odkryła w sobie chęć do przyrządzania słodkości. Tak sugestywnie opowiadał o swoich recepturach, że nie sposób było zachować obojętność. Prawdę mówiąc, brakowało jej zajęć, którym mogłaby się oddawać z prawdziwą przyjemnością. Żywot żony bogatego kupca i statecznej mieszczyki, która większość czasu powinna spędzać w domu, wydawał jej się nudny, nijaki i niepełny, zwłaszcza że jej wcześniejsze życie wyglądało zupełnie inaczej.

Opieka nad Tomkiem nie angażowała przecież całej energii Mildy. Brakowało jej czegoś poza tym. Owszem, pomagała w szpitalu, lecz przecież nie codziennie. Mąż i teść nie dopuszczali jej do spraw związanych ze sklepem, może to i dobrze, bo przebywanie pośród tych wszystkich noży, kluczy, igieł, gwoździ, nożyc, ostróg, uchwytów do wiader i sprzączek do pasów – jednym słowem, wśród nieprzebranych bogactw ich żelaznego królestwa – wydawało się Mildzie śmiertelnie nudne i zapewne po krótkim czasie przyszyłoby jej oszaleć.

Oglądała Mikołaja głównie wieczorami. Ich rozmowy były zdawkowe i ceremonialne. Pytał o jej zdrowie, o Tomka, lecz słuchał bez szczególnego zainteresowania, nadal pochłonięty sprawami handlowymi.

Pamiętała, jak pewnego dnia, odpowiadając na jego obowiązkowe pytanie o zdrowie, poskarżyła się, że nie może spać i cierpi na częste bóle głowy, a Tomko właśnie się znowu przeziębził. Mąż spojrział na nią nieobecny wzrokiem, a kiedy się zorientował, że przestała mówić, pogłaskał ją po ramieniu i rzekł: „To dobrze, moja kochana żono, to dobrze. Najważniejsze, że wszyscy zdrowi”.

Nie był złym człowiekiem, kochał gorąco i ją, i ich synka, rzadko jej się sprzeciwiał. Szanował ojca, a może nawet nadmiernie mu ulegał. Sam uważał siebie za szlachetnego, kierował się zasadami, które były przejrzyste i jasne: szanować rodzinę, być uczciwym w interesach. Lecz brakowało w tym żaru, jaki pamiętała z pierwszych dni ich małżeństwa. Zamiast niego w ich związek wkradła się nuda.

Dlatego Milda cieszyła się, że Miguel natchnął ją nową pasją. Choćby była tak błaha jak przyrządzanie konfitur i słodczy.

Kupiła koszyk dorodnych owoców pigwy – sporządzony z nich mus był wedle Katalończyka dobry na serce – zawierał cukier oraz przyprawy. Kosz służącej był już tak ciężki, że część zakupów Milda musiała dźwigać sama. Mogła wprawdzie wynająć jakiegoś wyrostka, których sporo, licząc na zarobek, kręciło się wśród tłumu, ale wygrały stare przyzwyczajenia.

Wciąż nie umiała przywyknąć do tego, że jako bogatej mieszczce nie wypada jej teraz robić rzeczy, które kiedyś wydawały się zwyczajne i normalne. Dawniej zakupy nosiła sama.

Wracając, znów przechodziły obok kościoła Najświętszej Marii Panny.

Zdążyła już całkiem zapomnieć o dziwnym wrażeniu, jakie wcześniej wywarł na niej jeden z żebraków. Jednakże owo odczucie natychmiast powróciło, kiedy mijała tamtą grupkę.

Mężczyzna, który już po raz wtóry tego dnia zwrócił jej uwagę, siedział na tym samym miejscu, co wcześniej, w otoczeniu innych żebrzących. Trzy osoby, zakutane w opończe i stare koce, w kapturach nasuniętych na czoła, kulily się pod murem kościoła, gdzie zawsze panował chłód. Przed nimi leżały miseczki na jałmużnę. Trudno było odgadnąć, czy to mężczyźni, czy kobiety i w jakim są wieku, ale w twarzy jednego z tych ludzi ponownie ujrzała coś, co ją uderzyło.

Tym razem nie potrafiła powstrzymać ciekawości i podeszła bliżej, niby to dać jałmużnę żebrakom. Celowo przedłużała odwiązywanie mieszka od paska przy sukni, aby dyskretnie przyjrzeć się tamtemu mężczyźnie. Służąca Mildy, Jagna, niepewnie kroczyła za nią.

Te krzaczaste brwi...

Nagle ów mężczyzna podniósł głowę i spojrzał Mildzie prosto w oczy.

Przeszedł ją chłód.

– Justyn?... – wyszeptała. – To wy?

– Tak, to ja, pani. Nie mylicie się.

Wprawdzie głos Justyna, niegdysiejszego dowódcy straży miejskiej, pozbawiony był dawnej buty, ale brzmiał teraz w uszach Mildy jeszcze bardziej nieprzyjemnie: twardo i lodowato. Kryła się w nim nienawiść, tak wielka, że żona Mikołaja cofnęła się o krok.

– Co wy tu robicie? – wybąkała tylko.

Kiedy ostatni raz go widziała, był wpływowym człowiekiem, powiązany z krakowskim ratuszem, postrachem przestępczego świata. Tego dnia zaś zebrał niczym dziad kościelny.

A właściwie to w istocie nim był.

Teraz już jego towarzysze także podnieśli na nią oczy.

Oczy zapadnięte, wyblakłe i...

Pełne pogardy. Pozbawione zwykłej u żebraków uniżoności. Jeszcze bardziej ją to zmroziło.

– Nie nazywam się już Justyn – odparł powoli dawny hutman, zsuwając bury kaptur z głowy. – Teraz zwą mnie Kostur. Sługa Jezusa.

Ujrzała łysą czaszkę, jakby lekko zapadniętą w okolicy prawej skroni, o skórze pokrytej bliznami i brudem. Siwiejąca skołtuniona broda sięgała mężczyźnie do piersi. Wyglądało to tak, jakby od ostatniego ich spotkania postarzał się o jakieś dwadzieścia lat.

Niegdyś potężny i dumny, teraz chudy i pokrzywiony, wydawał się wrakiem tamtego człowieka.

Najgorsza była twarz. Jej prawa strona, jakby sparalizowana, zastygła w upiornym grymasie, z wybałuszonym nieruchomym okiem. Musiała to sprawić pałka lub kamień.

– Kto wam uczynił krzywdę? – zapytała słabym głosem Milda.

Chciała już jak najszybciej stąd odejść, ale żebracy wpatrywali się w nią tak intensywnie, że coś nie pozwalało jej się poruszyć. Zachmurzyło się, powiał chłodniejszy wiatr.

– Wasi przyjaciele – odparł Justyn, zwany Kosturem.

– Moi przyjaciele?

– Aż dziw, że pytacie.

– Kto to był?

– Liszka oraz jego zbóje.

Mogła się tego domyślić.

Odkąd hutman popadł w niełaskę na Wawelu, musiał się stać łatwym celem dla przestępców. Liszka nieraz odgrażał się w obecności Mildy, że jeśli tylko nadejdzie stosowna okazja, porachuje się z dowódcą straży miejskiej, a ten chłopak raczej nie rzucał słów na wiatr.

– Nie prosiłam ich o to – odparła tonem, który jej samej wydał się przepraszający.

Zdała sobie sprawę, że w jakimś sensie usprawiedliwia się przed nim, co uznała za niedorzeczne. Po pierwsze, Justyn był niegodziwcem, który kiedyś ją prześladował, zatem cokolwiek mu się przydarzyło, najpewniej sobie na to zasłużył. Po drugie, musiało to wydawać się postronnym zastanawiające, iż ona, żona kupca, szanowana niewiasta, odziana w podbity futrem płaszcz z niebieskiego sukna, tłumaczyła się przed dziadem kościelnym, który wyglądał jak porzucona na bruku sterta gałganów.

Lecz widok jego zniekształconej twarzy tak nią wstrząsnął, że, wbrew zdrowemu rozsądkowi, poczuła się niemal winna.

– Czyż Liszka nie był waszym przyjacielem w Kazimierzu? – Zdrowe oko hutmana zabłysło złowrogo. – Czyż jego kompani was nie bronili?

– Nie nazwałabym owych ludźmi przyjaciółmi. Współczuję wam, lecz nie mam z tym nic wspólnego.

Machinalnie wyjęła z sakiewki monetę i wrzuciła ją do miseczki żebraka. Rozległ się głośny brzęk. Justyn powoli odwrócił głowę w bok i splunął.

Milda poczuła, że opuszcza ją strach, a jego miejsce zajmuje teraz gniew.

– Nie możecie mnie winić za to, że wszędzie porobiliście sobie wrogów – oświadczyła twardo. – Czuliście się zbyt pewnie w tym mieście.

Prychnął niewesołym śmiechem.

– Moim błędem było co innego... – powiedział, z powrotem nakładając kaptur.

– Cóż takiego?

– To, że naraziłem się pogańskiej wiedźmie – wysyczał, a jego kompan, rudobrody mężczyzna z bielmem na oku, zaczął kołysać się w przód i w tył, mamrocząc coś pod nosem.

– Uważajcie na słowa – odparła lodowato. – Miejsce, w którym się znaleźliście, nie jest jeszcze najgorsze ze wszystkich, jakie można sobie wyobrazić.

Znów spojrzał na nią hardo.

– O tak, wolno wam zrobić ze mną wszystko, pani – rzekł. – Bo w waszych oczach jestem już tylko kupą łajna. Straciłem zdrowie, swoją pozycję, pieniądze i rodzinę.

Nabrała głębiej tchu, aby się uspokoić.

– Powtarzam wam: nie mam z tym nic wspólnego – powiedziała.

– Dziwne jednak, że wszyscy, którzy stanęli na waszej drodze, marnie skończyli.

– Jeszcze jedno takie oskarżenie, a kolejną noc spędzicie pod pręgierzem – ostrzegła go Milda.

– Teraz jesteście górą, pani. Chodźcie w pięknych sukniach i jadacie najlepsze potrawy. Urodziliście syna. Ale nadchodzą powoli dni ostatnie, gdy złamane będą pieczęcie.

Na te słowa jego kompan zaczął się kołysać gwałtowniej i głośniejsz mamrotać. Trzeci z żebraków wciąż siedział nieruchomo i trudno było zgadnąć, czy w ogóle coś słyszy, ponieważ wpatrywał się gdzieś w niebo, nieobecny, z lekkim uśmiechem na chudej twarzy.

– Pan poddaje mnie próbie i zniosę te cierpienia – ciągnął Justyn, a w kącikach jego ust pojawiła się piana.

Wydawał się teraz straszniejszy niż wtedy, gdy miał nad nią prawdziwą władzę. Ku zaskoczeniu Mildy zaczął cicho śpiewać jakiś psalm.

Wtedy przyłączył się do niego tamten rudobrody, kołyszący się kompan, przemawiając zadziwiająco wysokim głosem, w którym rozbrzmiewało czyste jak płomień szaleństwo:

– Lecz poniżeni będą wywyższeni. Kto ma uszy, niech słucho! Księżyc stanie się czerwony jako krew, przyjdą plagi i przepadną wszyscy ci, co gadom pokłony biją, składają ofiary bożkom oraz demonom, albowiem wstrętni są oni w oczach Pana. Upadnie Babilon i nastanie Nowe Jeruzalem.

– Dość tego! – rzekła Milda i odwróciła się od nich ze wstrętem jak od kłębowiska żmij. Ujrzała bladą ze strachu twarz swojej służki. – Zostańcie z Bogiem, dobrzy ludzie!

Skinęła na Jagnę i szybkim krokiem ruszyły przed siebie.

– Bo imię twoje Izebel! – usłyszała jeszcze za plecami oskarżycielski głos Justyna. – I jesteś przeklęta na wieki!

Serce biło jej mocno jeszcze długo po tym, gdy już wróciła do swego bezpiecznego domu.

To spotkanie wytrąciło ją z równowagi bardziej, niż mogłaby się tego spodziewać. Zdawało się, iż żebrak wsączył w jej ciało i duszę jakąś

truciznę, jakby ukąsił ją jadowity wąż. Owszem, nie ulegało wątpliwości, że były hutman postradał rozum. Przyczyniło się do tego zapewne wiele rzeczy – brutalne pobicie, utrata majątku oraz szacunku, głód, a także towarzystwo innych obłąkanych i nawiedzonych, jakich nigdy nie brakuje pod kościołami. Do końca tego stulecia – naznaczonego epidemiami czarnej śmierci i kościelnym rozłamem – pozostawało już niewiele czasu i wszędzie wieszczono nieunikniony koniec świata. A najwięcej proroków, jak już Milda zdążyła zauważyć, znajdowało się pośród żebraków, przesiadujących w lochach morderców i szaleńców, albowiem dla tych, którzy nie mieli już nic, groźny mściciel Jezus i poczucie misji byli jedynym mieczem, którym tamci mogli jeszcze straszyć ludzi.

Tak też zapewne rzecz się miała z Justynem.

Lecz było coś więcej, coś, co najbardziej ją uwierało.

Nazwał ją przecież Izebel – czyli imieniem pochodzącym z Apokalipsy Świętego Jana, oznaczającym niewiastę rozwiązłą, zepsutą i oddającą cześć demonom.

Gdyby chodziło tylko o te prastare napuszone słowa, tak często wypowiedane podczas kazań, że były już puste i nie miały w sobie nic prócz złowrogiego brzmienia, puściłaby je mimo uszu.

Ale Justyn nawiązywał do jej przeszłości.

Do tego, że kiedyś nazywano ją wiedźmą, oskarżano o czary i pogańskie praktyki. Czyż nie było w tym jakiejś prawdy? Duchy towarzyszyły Mildzie od zawsze, a jej życie naznaczone było śmiercią bliskich, a także tych wszystkich, którzy wchodzili jej w drogę. Choć przed kilku laty wizje ją opuściły, wszystko wskazywało na to, że swój przeklęty dar przekazała dziecku.

A więc nigdy się od niego nie uwolni.

Złe moce nie zamierzały dać jej spokoju.

Wieczorem nadal była podenerwowana, co zauważył Mikołaj. Rzecz jasna, od razu zapytał, co się stało. Nie zamierzała nic ukrywać, opowiedziała więc mężowi o porannym przykrym spotkaniu.

Był wzburzony.

– Jutro porozmawiam z ojcem – obiecał, krążąc po komnacie jak zwierzę w klatce. – Trzeba tego suczego syna wygnać wreszcie z miasta! Albo zatłuc!

– Wreszcie? – spytała. – A zrobił jeszcze coś złego?

Mikołaj niecierpliwie machnął ręką.

– Nie daj się nabrać na to jego zebranie – rzekł. – Czasami pojawia się między dziadami kościelnymi i opowiada religijne brednie, aby ludzie w mieście mieli go za świętego. Tak naprawdę żyje w domu przy Krowiej. Pośród rzezimieszków, którym przewodzi. Łazi do biedoty i rzeźników, udając proroka, i nakłania ich do zbuntowania się przeciw Radzie.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytała.

– Obserwujemy go – odparł Mikołaj, unikając jednak wzroku Mildy.

– Dlaczego?

– Bo stanowi także zagrożenie dla naszej rodziny. Motłoch chciałby rzezać rajców i bogatych kupców.

– I nic nie można zrobić z takim zbirzem? Bo jest kaleką?

– Ratusz boi się, że jeśli go tkniemy, wybuchną zamieszki. Pamiętaj, że ludzie mają go za świętego. A atmosfera w mieście robi się coraz bardziej napięta. Dopiero co pobito kolejnego niemieckiego kupca. Dlatego też koniec z samotnym wychodzeniem z domu. I żadnej Jagny. Jeśli chcesz gdzieś pójść, ma być przy tobie Wojciech.

Milda pokiwała głową na znak, że się zgadza.

W nocy długo nie mogła zasnąć. Prześladował ją wzrok Justyna oraz brzmienie jego głosu. W ciemnościach nocy, na granicy pomiędzy jawą a snem, całe zdarzenie nabierało innego, jeszcze bardziej złowrogiego, irracjonalnego wymiaru. Mildzie zdawało się, iż to nie sam hutman przemówił do niej dzisiaj, lecz – za jego pośrednictwem – demony, które przez ostatnie lata zostały przez nią wypchnięte gdzieś daleko. Teraz wracały, bo coś, co zostało raz przywołane, nie tak łatwo wygnąć. Zanim wreszcie zasnęła, w jej głowie uporczywie kołatały słowa ciotki Gabety:

„Gdy zbyt długo spoglądasz w ciemność, ona również zaczyna patrzeć na ciebie”.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kraków, wrzesień 1397

W dniu, w którym do Krakowa miał zajechać z wizytą władca Węgier, Zygmunt Luksemburski, czyli czternastego września – wypadło wtedy akurat świętego Gaudentego – mieszkańcy miasta od samego rana żyli już tylko tym wydarzeniem.

Niektórzy oczekiwali dostojnego gościa na ulicach, inni przy bramie Grodzkiej, a duża część gawiedzi zgromadziła się poza murami miasta, gdzie szybko powstało coś w rodzaju wielkiego jarmarku, pełnego straganów i stoisk z przekąskami, na którym kuglarze i połykacze ognia pokazywali swoje sztuczki. Nikt nie chciał przegapić wjazdu madziarskiego króla, dawno bowiem nie oglądano w stolicy Polski tak potężnego władcy, w dodatku pogoda sprzyjała, było słonecznie i ciepło, choć jeszcze poprzedniego dnia zanosilo się na deszcz.

Nie mówiono o niczym innym niż tylko o turniejach, festynach i występach, jakie zaplanowano z okazji wizyty Luksemburczyka. Co chwila ktoś wykrzykiwał najnowsze wieści – że orszak jest już blisko, że mija taką a taką wieś, że z murów widać węgierskie sztandary – co wywoływało falowanie tłumu, okrzyki, śpiewy i gwizdy.

Jak każde miasto, Kraków uwielbiał wszelkie wystawne uroczystości.

Amalia nie przepadała za tłumami, nie ciągnęło jej więc na ulice ani tym bardziej poza mury.

I tak obejrzy sobie dokładnie Węgrów, gdy tylko przekroczą bramę wawelskiego zamku. Wystarczy, że wyjdzie przed próg domu, skąd miała widok na cały zamkowy dziedziniec. Samego Zygmunta pamiętała jeszcze z dzieciństwa, kiedy mieszkała w Budzie, wszak był tylko o kilka lat od niej

starszy. Już wtedy nie znosiła jego długich rudawych włosów, cofniętego podbródka i wyjątkowo butnych min. Podejrzewała, iż teraz, po upływie lat, Zygmunt raczej nie stał się przyjemniejszym człowiekiem, należało raczej spodziewać się czegoś wprost przeciwnego.

Tak więc owego wrześnieowego dnia nie zamierzała ruszać się z Wawelu, choć Szymon jeszcze o świcie chciał ją do tego namówić.

– Zabierzemy Małgorzatę – rzekł, wkładając w blasku łojówki swój czarny aksamitny strój prawnika.

Pracował teraz całymi dniami w królewskiej kancelarii, a przy okazji dalej nadzorował zakup ksiąg dla wawelskiego skryptorium, miał więc ostatnio mnóstwo odpowiedzialnych zajęć.

– Zobaczysz przecież wszystko dokładnie – odparła Amalia. – Tu, na miejscu.

– To wielkie wydarzenie, kroniki będą o nim kiedyś wspominać. Niech je śledzi od samego początku.

– Możecie iść beze mnie – odrzekła, zawiązując na głowie podwikę. – Nie jestem wam do niczego potrzebna.

– Zastanów się jeszcze.

– Mam dużo pracy, mężu.

– Ja też. Ale dzisiaj wszyscy chcą jak najszybciej skończyć. – Zabrał ze stołu jakieś rulony, dokumenty, które przeglądał poprzedniego wieczora, po czym nałożył pilśniowy kapelusz. – Przypilnuj, miła żono, by nasza dziewczę nie oddalało się dzisiaj zbyt od domu. Jak znam życie, zapragnie sama zejść do miasta, a tam będą tłumy.

– Niedoczekanie jej – prychnęła Amalia. – Będzie pomagać mnie i Katarzynie przy praniu. Trzeba wykorzystać słoneczną pogodę.

– I bardzo dobrze. Zatem do zobaczenia w południe, żono. Może wtedy zmienisz zdanie?

Nie zanosilo się na to, lecz nic nie odpowiedziała.

Kiedy tylko wyszedł i zrobiło się już całkiem jasno, od razu zabrała się do pracy. Już od kilku lat prowadziła życie zwykłej mieszczki i przywykła do fizycznych monotonnych zajęć, a także do niezmiennego planu dnia. Przez większość swego życia – najpierw jako dwórka, a potem pani na zamku – próżnowała, zabijając nadmiar czasu i nudę haftowaniem czy też grą na lutni, natomiast teraz stale miała jakieś zajęcie, a to przy Jadwisi, a to przy Małgorzacie, nie mówiąc już o zwykłych obowiązkach, takich jak

gotowanie, sprzątanie i pranie, a w wolnych chwilach pielienie przydomowego ogródka.

Odpowiadało jej to całkowicie, gdyż praca przepędzała przykre wspomnienia i czarne myśli, słowem, złe duchy z poprzedniego życia. Do pomocy miała tylko wierną Katarzynę, którą wszakże już od czasów rożnowskich traktowała bardziej jak przyjaciółkę niż służącą.

Tyle razem przeszły, że nie mogło być inaczej.

Do południa były zajęte praniem. Naniósły wody ze studni, zagotowały ją w kuchennym kotle, mała Małgorzata przesypała popiół z komina do miski – wraz z wrzątkiem miał służyć do wybielania – a potem prały, wykręcały i rozwieszały. Dziewczynka bardziej przeszkadzała, niż pomagała, do pewnego momentu była bardzo przejęta swoją rolą, potem jednak, co należało przewidzieć, powoli zaczęła się nudzić. Najpierw głaskała Platona, ale później nie wiedziała już, co ze sobą zrobić.

– Jesteśmy zaproszeni na powitalną ucztę, matko? – spytała w pewnym momencie, bawiąc się szpikulcem do rozgrzebywania żaru.

– Tak – odparła Amalia. – Ja i ojciec.

– A ja nie?

– To nie dla dzieci.

– Dlaczego?

– Bo królowa tak ustaliła. Odłóż ten szpikulec.

– Mogę zobaczyć, co u Kingi?

Piegowata i bardzo wygadana Kinga była córką sąsiadów, dziewczynki czasami bawiły się razem lalkami w królewski dwór.

– A nie masz już nic do roboty? – spytała matka.

– Przecież dużo pomogłam.

Amalia westchnęła.

– Idź. Tylko nie odchodźcie daleko.

Na zamkowym dziedzińcu trwały ostatnie przygotowania przed przyjazdem króla Zygmunta. Uprzątnięto wszystkie beczki, narzędzia, kosze, zamieciono resztki warzyw, popiół i kości, a teraz młode służki dekorowały bramę kwiatami i barwnymi wstęgami. Ubrani w czerwono-żółte stroje muzykanci stroili instrumenty, żartując z dziewczętami, które wybuchały typowym dla nich piskliwym śmiechem. Słowem, panowała nerwowa atmosfera wyczekiwania.

– Wieczorem włożycie, pani, jedną z tych praskich sukien? – zagadnęła Katarzyna, kiedy zrobiły sobie mały odpoczynek.

– Pewnie, że tak – odrzekła Amalia. – Jeśli tylko się zmieszczę.

– O to jestem spokojna.

– A ja mniej.

– Którą? Tę brzoskwiniową?

– Jeszcze nie wiem. Milda ma chyba przyjść w brzoskwiniowej.

– Przyjdzie z Mikołajem?

Amalia podniosła na Katarzynę zdziwiony wzrok.

– A niby z kim innym? – spytała czujnie.

Służąca się zarumieniła.

– Naturalnie, że z Mikołajem. Głupio zapytałam.

Nastąpiła chwila krępującego milczenia, a potem szybko zmieniły temat. Zaczęły mówić o pogodzie, lecz owo dziwne niedopowiedzenie wciąż gdzieś nad nimi wisiało. No tak, Katarzyna była prostą niewiastą, rzadko gryzła się w język, bywało też, iż pozwalała sobie na drwiące uwagi nie tylko pod adresem obcych ludzi, lecz czasami nawet i samej Amalii. Tym razem dogryzła po swojemu Mildzie.

Albo przynajmniej próbowała dogryźć.

Obie nie mogły nie zauważyć, iż Litwinka od jakichś dwóch miesięcy opowiada tylko o czarującym Katalończyku. Jaki jest mądry, światowy, jak dobrze radzi sobie z pacjentami, no i w kontaktach z małym Tomkiem. Brzmiało to wszystko dziwnie i nie było podobne do Mildy, gdyż ta zawsze była raczej chłodna w swych ocenach i nie ufała obcym, jednakże w jakimś sensie Amalia mogła zrozumieć fascynację przyjaciółki. W odróżnieniu od Mikołaja – pocziwego, lecz w gruncie rzeczy nudnego – Miguel zdawał się postacią niezwykle barwną.

No i te jego słynne przepisy cukiernicze!

Któż o nich nie słyszał?

Za ich sprawą Milda nagle odkryła w sobie nową pasję. Amalia nie podejrzewała przyjaciółki o nic, co by wykraczało poza przyjęte normy postępowania, ale ktoś nieprzychylny mógłby sobie pomyśleć różne rzeczy. Tego by tylko brakowało! Postanowiła teraz, że przy najbliższej sposobności porozmawia o tym z Mildą.

Tylko będzie musiała to zrobić delikatnie.

Bardzo delikatnie.

Około południa, zgodnie z zapowiedzią, Szymon wrócił z kancelarii do domu.

– Gdzie Małgorzata? – spytał. – Miała wam pomagać.

– Jest u Kingi, jak zawsze – odparła jego żona.

– Nie, nie ma jej tam. Przechodziłem właśnie obok. Kinga bawi się sama. Amalia i Katarzyna wymieniły zaniepokojone spojrzenia.

– Niech ja ją tylko znajdę! – syknęła Amalia, zrywając się na równe nogi.

Katarzyna została z małą Jadwisią, która spała w drugiej izbie, a Szymon i Amalia szybkim krokiem wyszli z domu i zaczęli przeszukiwać najbliższą okolicę. Przed nimi, rzecz jasna, biegł Platon. Nie był już tak dziarski jak niegdyś, ale wciąż chętnie uczestniczył we wszystkich tego typu wydarzeniach. Posiwiwały pysk nadal uśmiechał się radośnie.

Na Zamku Górnym, gdzie mieściła się katedra oraz apartamenty królewskie, nie zauważyli żadnych dzieci. Znajdowali się tam tylko ludzie przygotowujący Wawel na przyjęcie Zygmunta. Nikt z zapytanych nie widział dziewczynki. Platon pognał przed siebie, toteż zaufali psu i dali mu się prowadzić. W upalnym słońcu i we wszechobecnym kurzu przekroczyli przecinający wzgórze płytki placyk porośnięty trawą i znaleźli się pośród ogródków warzywnych i rybnych stawów.

– Jest tam, niecnota jedna! – Szymon wskazał ręką na mur obok Bramy Dolnej i kamiennej łaźni.

Amalia ujrzała grupkę dzieci, a pośród nich swoją córkę.

Kiedy oboje dotarli na miejsce, tamci nawet nie dostrzegli nadejścia dorosłych, byli bowiem odwróceny do nich plecami.

I bardzo czymś pochłonięci.

– Małgorzato, co ty...? – Szymon urwał w pół zdania.

Pod samym murem kulił się jasnowłosy umorusany chłopiec z zawiązanymi sznurkiem rękami. Stała nad nim trójka dzieci, które teraz odwróciły się przestraszone.

– Ojczy? – wybąkała Małgorzata.

W ręce trzymała kijek i okładała nim związanego malca po plecach.

Towarzyszył jej dużo starszy od nich wszystkich otrok w szarej opończy oraz piegowata ruda dziewczynka. Amalia rozpoznała w nich dzieci miejscowego kata, Konrada.

– Co wy robicie? – wysapała zdumiona i przestraszona.
– To zdrajca – wyjaśnił chłopak, wskazując głową na związane dziecko. Miał tłuste włosy i pokrytą krostami brzydką twarz.
– Zdrajca?
– Zdradził królową. Małgorzatę – wyjaśnił, patrząc na nich bezczelnie.
– Co ty bredzisz? – huknął na niego Szymek, aż tamten skulił ramiona. – Macie go rozwiązać.

Rodzeństwo spojrzało na Amalię i Szymona z nieukrywaną nienawiścią i bezbrzeżną pogardą, po czym oboje powoli odeszli kilka kroków dalej jak para skarconych dzikich psów, które na wszelki wypadek wolą się wycofać, ale pozostają czujne i gotowe do ataku. Amalia tymczasem nachyliła się nad malcem i uwolniła jego ręce z więzów.

Chłopiec zaczął cicho płakać.

– To twój pomysł? – zapytała zimno córkę, nawet na nią nie patrząc, jakby bała się tego, co ujrzy na jej twarzy.

– Mówił o mnie niemiłe rzeczy – odparła twardo Małgorzata, podczas gdy dzieci kata biegły już w kierunku Zamku Górnego. Jej oczy nie wyrażały skruchy, tylko chłodną złość i jakiś rodzaj dziecięcej dumy, coś, co Amalia dostrzegła już u dziewczynki kilka razy, lecz nie w takich okolicznościach. Teraz spojrzenie córki ją zmroziło.

– Ty kazałaś im go związać?

– Tak. Bo o królowej nie wolno mówić źle.

– Nie jesteś żadną królową, smarkulo.

– Jestem królową. Sami powiedzieliście, matko.

Amalia spojrzała bezradnie na męża; w jego oczach dostrzegła niedowierzanie i coś w rodzaju strachu.

Kiedy wrócili do domu, odesłała Małgorzatę do jej izby, z zakazem wychodzenia gdziekolwiek, a sama usiadła w kuchni z Szymonem. Pomieszczenie było duże i podobnie jak reszta ich domu czyste oraz schludne. Dominował w nim olbrzymi piec.

– Co tym razem przegapiliśmy? – Bezradnie opuściła ramiona.

– Jest krnąbrna jak większość dzieci w jej wieku.

– Jeszcze do niedawna była taka słodka.

– Ten okres zawsze się kończy.

Oboje byli wstrząśnięci i zbici z tropu. Nawet trochę przestraszeni.

Owszem, Małgorzata nie raz dała się już im we znaki – najgorsza do tej pory była kradzież mapy ze skryptorium – lecz nigdy wcześniej nie dostrzegli u niej cech okrucieństwa. Przyzwyczaili się, że częściej zachowywała się jak chłopiec, a nie jak dziewczynka. Zamiast bawić się lalkami, biegała z kijkiem, udającym miecz, i staczała pojedynki z synami stajennych oraz woźniców na Wawelu. Jeśli już dopuszczała do zabaw swoje koleżanki, pełniły one głównie funkcję jej służących albo dwórek. Uznali po prostu, że jest żywa i odważniejsza niż jej rówieśniczki. Żartowali sobie nawet z tego, nazywając ją otrokiem w sukience.

Lecz jej zachowanie, które jeszcze do dzisiaj wydawało im się niewinne i w pewnym sensie nawet zabawne, teraz objawiło swą mroczniejszą stronę. Nawet lekcje rysunku z Miłozsem, mimo że dziewczynka bardzo je lubiła, a w samym nauczycielu nieustająco się kochała, nie utemperowały jej trudnego charakteru. Choć ani Amalia, ani Szymon nie odważyli się wypowiedzieć swych przypuszczeń na głos, rozumieli się bez słów: to musiała być krew Zbigniewa oraz jego szalonej rodziny.

– Widziałeś jej wzrok? – spytała cicho Amalia, aby córka, która wreszcie przestała głośno płakać, nie mogła jej usłyszeć.

– Tak.

– Przecież ona doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co robi.

– Może za bardzo się przejmujemy? – Szymon podniósł się z zydlu i zaczął krążyć po kuchni. – Myślę, że z tego wyrośnie. To nie jest żadna dwórka, zamknięta w królewskich komnatach, ani Tomko Mildy, do którego nie dopuszcza się dzieci z ulicy, a za towarzysza zabaw ma tylko katalońskiego medyka.

Chciał rozbawić żonę, lecz ta nawet się nie uśmiechnęła.

– Na razie wygląda na to, że Małgorzata ma zły wpływ na tutejsze dzieci – rzekła głuchym tonem, wpatrzona w kąt kuchni. – Sam widziałeś, jak słuchają jej poleceń. Nazwali ją królową.

– Bo naopowiadałaś jej bajek. – W głosie Szymona zabrzmiał jawny wyrzut.

Żachnęła się, gdyż od dawna zdawała sobie sprawę, iż mąż nie pochwalał tego, co zrobiła.

– Wiem, wiem, moja wina – odparła. – Szkoda, że ty, mężu, nie potrafiłeś wtedy uczynić nic, co by ją uspokoiło.

– Nie kłóćmy się teraz, kto zawinił.

– Więc przestań mi to wypominać.

– Nie wypominam.

– Popełniłam błąd, ale skąd mogłam wiedzieć, że Małgorzata aż tak bardzo weźmie to sobie do serca. Nie znam własnej córki.

– Jest inna niż ty w jej wieku.

Tak, do tej pory uważali, iż Małgorzata odziedziczyła swój charakter po matce, która w dzieciństwie też miała za nic wszelkie zakazy i co rusz pakowała się w kłopoty. Wszakże już nie dało się ukryć podstawowej różnicy: mała Amalia nie była zadufana w sobie, choć jako towarzyszka i przyjaciółka węgierskiej królowny mogła mieć większe powody do zadzierania nosa.

No i nie krzywdziła innych.

Za oknem rozległ się głęboki dźwięk dzwonu, chwilę potem dołączyły do niego inne i całe miasto rozbrzmiewało już ciężkimi uroczystymi tonami.

Znak, że orszak węgierskiego króla Zygmunta zbliżał się do Wawelu. Słysząc też było coraz głośniejsze wiwaty i okrzyki tłumu. Rozszczękały się psy, nawet stary Platon dał głos, bardziej jednak z poczucia obowiązku niż z prawdziwej potrzeby. Z izby Małgorzaty znów dobiegł głośny płacz, mała musiała zdać sobie sprawę, iż zaczyna się widowisko, którego nie zobaczy. Za karę nie pozwolono jej oglądać wjazdu króla na zamek.

– Oby tylko nie zmiękło ci serce. – Szymon spojrzał ostrzegawczo na żonę, przewidując, że rozpaczliwe szlochanie dziecka może wpłynąć na zmianę jej decyzji. – Jeśli teraz jej ustąpisz, będzie wiedziała, że jest bezkarna. Że może sobie pozwolić na wszystko i wystarczy kilka łez, aby jej się upiekło. Króla jeszcze zobaczy, jak zasłuży, to weźmiemy ją na turniej.

Prawdę mówiąc, to, co się tego dnia wydarzyło, odebrało Amalii wszelką ochotę na wieczorną ucztę powitalną na Wawelu. Wolałyby zająć się haftowaniem, a nawet wcześniej położyć się spać. Ale królewskie zaproszenie było królewskim zaproszeniem, należało je przyjąć. Kiedy zaczęło się ściemniać, bez entuzjazmu wyjęła z kufra jedną z praskich sukien mistrza Radomira. Nie tę brzoskwiniową, lecz szafirową, z adamaszku, z dopasowanym stanikiem i obszerną spódnicą, rozszerzoną

klinami zaczynającymi się od bioder. Suknia pięknie się na niej układała, ten krój świetnie maskował delikatne zaokrąglenia figury, które w ostatnim czasie, ku niezadowoleniu ich właścicielki, się pojawiły.

W blasku świec Katarzyna pomagała Amalii sznurować suknię, a Szymon, korzystając z chwili spokoju, pogрузił się w lekturze dokumentów przyniesionych tego dnia ze skryptorium – szczęśliwy w otoczeniu swoich ksiąg, zwojów pergaminu, piór, nożyków do ich ostrzenia oraz kałamarzy. Nagle usłyszeli uderzenie kołatki w drzwi.

– Pewnie już po nas posyłają – rzekła Amalia.

– Czy aby odrobinę nie za wcześnie? – Jej mąż z niepewną miną wstał od stołu.

Od południa się obawiali, że mogą ich odwiedzić rodzice chłopca, którego Małgorzata kazała związać. Wprawdzie nie wydawało się to zbyt prawdopodobne, bo tamten dzieciak wyglądał na pochodzącego z prostej rodziny. Tacy ludzie raczej nie mieliby śmiałości przyjść z pretensjami do domu cenionego na Wawelu prawnika, jednak wszystko było możliwe. Jakiś podpity ojciec mógł za bardzo unieść się gniewem, a wtedy awantura gotowa. Tego by tylko teraz brakowało.

Lecz to nie byli rodzice poszkodowanego.

– Amalio, to chyba ktoś do ciebie! – krzyknął od drzwi Szymon.

Podeszła, w sukni, której jeszcze do końca nie zasznurowały, i w świetle płonącego nad wejściem łuczywa ujrzała stojącego w progu młodego mężczyznę odzianego w węgierski strój, czyli bogato wyszywany intensywnie niebieski kubrak. Rozpoznała natychmiast, że to jej krajan.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – rzekł przybysz po węgiersku, złożywszy najpierw gospodyni głęboki ukłon.

Miał równo przycięte nad brwiami czarne włosy, ukryte pod pilśniowym kapeluszem z pawim piórem, oraz czarną brodę.

– Na wieki wieków – odparła machinalnie w swym rodzimym języku, którego już od tak dawna nie używała, że te słowa w jej własnych uszach wydały się dziwne.

– Czy mam zaszczyt, pani, rozmawiać z Amalią, dwórką królowej Jadwigi?

– Byłą dwórką – sprostowała.

– Skierowano mnie tutaj.

– W jakim celu?

Nieznajomy wyjął z rękawa zwinięty rulon.

– Mam dla was list od czcigodnej pani Csaksy. Prosiła, żeby to wam dostarczyć do rąk własnych.

Na dźwięk imienia cioteczki Csaksy Amalii zrobiło się naraz ciepło na sercu. Staruszka nie dość, że jeszcze żyła, to nie zapomniała swojej nieznośnej podopiecznej i skorzystała z okazji, aby przesłać jej kilka słów.

– To dla mnie zaszczyt – odparła wzruszona.

Gdy niespodziewany gość odszedł, Amalia wróciła do kuchni, obserwowana czujnie i przez męża, i przez Katarzynę.

– To od dawnej przyjaciółki – wyjaśniła.

Kiedy była dzieckiem, nigdy nie przyszłoby jej do głowy, iż może nazwać starą Csaksy tym właśnie słowem.

Złamała woskową pieczęć i drżącymi z emocji dłońmi zaczęła rozwijać rulon. Po chwili jej oczom ukazało się znajome, drobne i staranne, pismo cioteczki. Łzy wzruszenia przesłoniły na moment list, ale otarła je niecierpliwie rękawem sukni.

– Co to za pismo? – spytał wreszcie Szymon. – Dobre wieści, mam nadzieję?

– Jeszcze nie wiem.

– Przeczytasz na głos?

– Pozwól, mężu, że najpierw sama przejrzę.

– To jakieś tajemnice?

– Być może.

Usiadła i pochyliła się nad pergaminem.

*Spisano w Budzie,
dnia 15 sierpnia Anno Domini 1397.*

Miła memu sercu Amalio!

Wiadomość, którą Ci przesyłam, ma ogromne znaczenie i wymaga całkowitej dyskrecji. Znaczenie ma głównie dla Ciebie, ale lepiej będzie, jeśli nikt obcy nie będzie miał do niej dostępu. Kiedyś prosiłaś mnie o informacje w tej sprawie, lecz niewiele mogłam Ci pomóc, bo wszystko, co na ten temat wiedziałam, było raczej plotkami i domysłami.

Pamiętasz naszą rozmowę w ogrodzie na Wawelu? Mówiłaś mi wtedy o liście, w którym Twoja Matka miała Ci wyjawić imię prawdziwego ojca, ale ów list zaginął. Nie dawało mi to od dawna spokoju i teraz, kiedy stoję już u kresu mojej ziemskiej drogi, postanowiłam zająć się tą sprawą. Znałam Twoją Matkę i wiem, że skoro mówiła o liście, musiał takowy istnieć. Mam swoich ludzi w tym klasztorze, poprosiłam więc o rozeznanie się w tej kwestii.

Okazało się, że list rzeczywiście został niemal natychmiast spalony, lecz młoda zakonnica, która go odnalazła pod siennikiem podczas sprzątkania celi, zdążyła się z nim wcześniej zapoznać. Jako że treść listu wstrząsnęła nią do głębi, zapamiętała do dzisiaj niemal każde słowo Twej Matki. I w tajemnicy przekazała wszystko mojemu wysłannikowi.

Na początku muszę Cię jednak ostrzec, abyś pamiętała, iż pod koniec swego żywota czcigodna Matka Twoja nie była w pełni władz umysłowych i mogła mylić prawdę ze swymi wizjami oraz snami. Niemniej jednak powinnaś wiedzieć, co chciała Ci przed śmiercią wyjawić. Ona tego pragnęła, należy więc wykonać jej ostatnią wolę.

Nie przedłużając już: Matka Twoja uważa, iż jesteś nieślubną córką króla Ludwika. Nie nazywa go wprawdzie po imieniu, lecz opis jego samego oraz towarzyszących ich grzesznemu spotkaniu okoliczności nie pozostawia najmniejszych wątpliwości. Król miał odwiedzić sypialnię młodej i powabnej dwórki po suto zakrapianej uczcie, na zamku w Koszycach, podczas jakiegoś zjazdu dostojników i szlachty w roku tysiąc trzysta siedemdziesiątym trzecim. Ja sama nie pamiętam tego wydarzenia, lecz z racji wieku pamięć moja już jest zawodna, zatem na jej podstawie nie sposób opierać żadnych zastrzeżeń co do prawdziwości tych słów. W każdym razie owej nocy miało dojść między królem a Twoją Matką do niemoralnego obcowania. Rodzicielka Twoja miała, jak tłumaczyła w liście, ulec tym haniebnym zalotom pod wpływem zaskoczenia i obawy przed monarszym gniewem. Pamiętam, że w owym czasie była pełną wdzięku panną, jednakże bardzo zdominowaną i zastraszoną, zarówno przez swego ojca, jak i starszych braci, Twoich wujów.

Co nastąpiło później, już wiesz. Zanim pojawiłaś się na świecie, Twoja Matka została szybko wydana za mąż, a po śmierci Twego ojca odesłana – wbrew swej woli – do klasztoru. Tam podupadła na zdrowiu i zaczęła miewać też wizje. Utrzymywała, iż nocami odwiedza ją Oblubieniec, widuje Najświętszą Marię Pannę, a nawet z nią rozmawia niczym z najlepszą przyjaciółką. List, który dla Ciebie zostawiła, został napisany już w tym okresie, gdy jawa mieszała jej się z majakami umysłu, dlatego, najdroższa Amalio, powinnaś ostrożnie podchodzić do zawartych w nim wiadomości. Ja tylko pokornie przekazuję jego treść, pozostawiając ocenę Tobie.

Zrobisz z tą wiedzą, co zechcesz, i nie wątpię, że podejmiesz mądrą decyzję. Jak zawsze. Byłaś moją ulubioną wychowanicą i na zawsze zachowam Cię w mojej pamięci. Bądź szczęśliwa, nie patrz wstecz, tylko w przyszłość. Przeszłości nikt już nie zmienia.

Twoja kochająca Adalberta Csaksy

Amalia odłożyła pergamin na stół. Była tak poruszona, iż zdołała tylko wyszeptać bez sensu:

– Mój Boże, nawet nie wiedziałam, że pani Csaksy miała na imię Adalberta. Dla nas zawsze była po prostu cioteczka Csaksy.

– Co napisała, na Boga? – Szymon nie potrafił już ukryć zniecierpliwienia.

Drżącym z emocji głosem przeczytała mu list, tłumacząc węgierskie słowa na polski.

Żadne z nich nie zauważyło, że w drzwiach izby stała, przysłuchując się temu, mała Małgorzata.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kraków, wrzesień 1397

Kuchnia w domu Bartłomieja była ulubionym miejscem Mildy, zwłaszcza od czasu, gdy, naturalnie za zgodą teścia, urządziła w niej sobie kącik do przygotowywania konfitur i domowych łakoci. Stary kupiec był łasy i na jedne, i na drugie, poza tym Miguel przekonał go, że wiele z nich ma zdrowotne właściwości.

Centralnym punktem kuchennej izby był piec z ogromnym paleniskiem. Dym znad niego wylatywał na zewnątrz specjalnym przewodem kominowym. Czystą wodę do gotowania służba przynosiła ze studni na podwórku, ale brudna była już odprowadzana kanałem ściekowym. Nie wszystkie domy w mieście miały takie udogodnienia. Bartłomiej chętnie korzystał z wszystkich ulepszeń, toteż jego dom należał do najnowocześniejszych w okolicy rynku.

Wyposażenie kuchni również było bogate.

Na licznych półkach stały naczynia – gliniane, drewniane, ale też i miedziane, a nawet szklane. Chociaż te ostatnie wciąż jeszcze były bardzo drogie, Mildzie udawało się zawsze nakłonić teścia do kupna dodatkowych flasz z uchem i szyją, w których potem trzymała wodę albo wino. Czerwone wino prezentowało się pięknie w takiej szklanej flaszy, a co najważniejsze, nie przechodziło specyficznym zapachem metalu. Na jednej z półek stały też dwie piękne, bogato zdobione, konwie, prezent od pewnego kupca z Wrocławia. Bartłomiej korzystał z nich tylko przy wyjątkowych okazjach.

Na dzisiejsze popołudnie Milda cieszyła się już od samego rana. Ową radość mąciła jej tylko konieczność pojawienia się na wieczornej uczcie

wydanej przez królewską parę z okazji przyjazdu do Krakowa Zygmunta Luksemburczyka. Odwykła już od tamtego środowiska, lepiej się czuła pośród swoich bliskich, jako zwykła mieszcza, ale królowej się nie odmawia. Jadwiga zaprosiła Mildę i Amalię wraz z ich małżonkami, odmowa byłaby więc niemal obrazą królewskiego majestatu.

Przedtem jednak Milda zamierzała zaszyć się w kuchni, by przetwarzać pigwy. Zapomnieć o wszystkim i zająć się tylko konfiturami. A miała przynajmniej kilka rzeczy, które pragnęła wyrzucić z głowy. Przed wszystkim wczorajsze spotkanie z żebrzącym pod kościołem Justynem, jego słowa i demoniczny wzrok. Z tego powodu przez całą noc dręczyły ją koszmary, widziała w snach twarz stojącego nad nią byłego hutmana, zakapturzoną, zniekształconą, z wytrzeszczonym nieruchomym okiem. W pewnym momencie przemieniła się ona w wilczy pysk o błyszczących czerwienią ślepiach i ociekających śliną kłach.

O poranku otrząsnęła się z tych okropnych obrazów. Pogodne wrześnie słońce przegnało demony i nocne zmyry, a Justyn znów stał się w oczach Mildy tylko i wyłącznie nędzarzem, który stracił zdrowie i rozum i którego bełkot nie był dla niej ani dla jej rodziny żadnym zagrożeniem.

Po południu zupełnie już o nim zapomniała.

Konfitury – to było najważniejsze. Ten czas w kuchni miała tylko dla siebie. Chciała też zrobić niespodziankę Miguelowi, który wieczorem odwiedzał małego Tomka.

Specjalnie zależało jej na tym, żeby zobaczyć, jak świetnie ona sobie radzi. Lubiła jego pochwały, wiedziała, że to próżność, lecz nie potrafiła nic na to poradzić. Przy zgryźliwym teściu i oszczędzającym miłe słowa mężu łaknęła ich jeszcze bardziej. Czuła się wtedy potrzebna, miała świadomość, że robi coś ważnego i dobrego. Nie tak ważnego jak na przykład w szpitalu stradomskim, ale tam chodziła tylko raz w tygodniu – w kuchni zaś mogła działać codziennie, bez względu na pogodę czy cokolwiek innego.

Jej konfitury stawały się coraz bardziej znane w środowisku znajomych i gości, a Bartłomiej chętnie wszystkich nimi częstował. Mało tego, czasami wpadał osobiście do kuchni, żeby jak dziecko spróbować nowego specjału. Nie chwalił Mildy głośno ani wprost, ale jego burkliwe: „może być” po oblizaniu palca umoczonego w konfiturze było dla niej taką właśnie najwyższą pochwałą.

**

Weszła do kuchni, z włosami schowanymi pod białym czepcem, i zawiązała na plecach fartuch pożyczony od kucharki. Rozejrzała się. Na grubym łańcuchu nad paleniskiem zawieszony był miedziany kociołek z gotującą się zupą. Milda przygotowała trójnog, na którym miała zamiar postawić swoje naczynie na konfitury. Palenisko było duże, miejsca wystarczyło i dla niej, i dla kucharki.

Na długim drewnianym stole, wyszorowanym niemal do białości, leżały już kupione poprzedniego dnia pigwy.

– Piękne, dojrzałe i żółciutkie. Będą w sam raz – rozległ się nagle znajomy głos z lekkim obcym akcentem.

Do kuchni wszedł mistrz Miguel.

Nie spodziewała się go tak szybko, pewnie zajrzał tuż przed lekcjami z jej synem. Jego czarne jak węgiel oczy błyszczały radością i zadowoleniem. Kiedy zaczął wtajemniczać młodą żonę kupca w tajniki przygotowywania słodczy według receptury swojego ojca, nie przypuszczał nawet, że jego uczennica tak się do tego zapali i tak szybko pojmie zawilosci tych przepisów i ich wykonania.

– Tak uważacie? – Milda ucieszyła się na jego widok. – Specjalnie wybierałam zdrowe, nieuszkodzone i z żółtą skórką.

Klasnął w dłonie.

– No, to zabierajmy się do pracy – oświadczył.

– My?

– Tak, mam trochę czasu, bo młody kawaler dostał kilka zadań, nad którymi musi samodzielnie popracować.

– To dla mnie zaszczyt, mistrzu.

– Ale dzisiaj ja się tylko przyglądam. Od czego należy zacząć, pani?

– To będzie jakiś egzamin? – Milda uśmiechnęła się niepewnie.

– Możemy to tak nazwać. Lecz nie obawiajcie się, umiecie już tak dużo, że moja pomoc jest niepotrzebna. Mogę najwyżej tylko coś doradzić w trakcie pracy.

– Dobrze – nabrała głębiej powietrza – zatem zacznę od przygotowania owoców. Mam je ugotować czy upiec w piecu?

– A kiedy zachowają najwięcej swojego bogactwa?

– Gotowane tracą soki w wodzie, w której się gotują.

– Zatem?

– Zatem upiekę je.

Miguel skinął poważnie głową na znak aprobaty, a Milda włożyła pigwy do glinianej misy i przeszła z nią do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie mieścił się piec do pieczenia chleba i mięsa.

W czasie, gdy owoce się rozpiekały, przygotowała kamienny moździerz do utarcia miąższu, włosiane sito i miód.

– Jak sobie radzi mój syn z nauką, panie Miguelu? – spytała, chcąc jakoś wypełnić niezręczną ciszę.

Kucharka zajęta była swoimi sprawami, a Katalończyk i Milda nie mieli na razie zajęcia. Miguel oglądał wyposażenie kuchni, acz bez specjalnego zaciekawienia. Było takie samo jak w innych mieszczańskich domach. On też chyba poczuł się niezręcznie, gdyż co chwila szczypał koniuszek nosa i nucił coś z udawaną swobodą. Przebywanie z niewiastą zamężną w tym samym pomieszczeniu z reguły było źle widziane. Do tej pory mu to nie przeszkadzało, bo zwykle zajęty był pokazywaniem Mildzie poszczególnych procesów przygotowywania katalońskich słodczy.

Teraz nagle przyszło mu siedzieć beczynnio.

– To bardzo mądry chłopiec – odparł teraz z ulgą, że znalazł się jakiś temat do rozmowy. – Łapie w lot wszystko, chociaż ma swoje spojrzenie na wiele spraw.

– Swoje spojrzenie! – Milda się zaśmiała. – Ładnie to ujęliście, mistrzu.

Po upływie nieznośnie długiego dla nich obojga czasu, podczas którego rozmawiali o spodziewanej wizycie węgierskiego króla, pigwy były w końcu gotowe do dalszej obróbki. Milda sprawdziła ich miękkość długim patyczkiem, nakłuwając każdy owoc z osobna. Kiedy lekko przestygły, obrała je ze skórki ostrym nożykiem i pokroiła tak, aby nie uszkodzić gniazda nasiennego. Pestka, która znalazłaby się w konfiturze, mogłaby spowodować jej pleśnienie albo dodać niepotrzebnej goryczki.

Wrzuciła do moździerza miąższ i zaczęła go powoli ucierać.

Miguel z przyjemnością patrzył na jej płynne ruchy.

– I co teraz? – spytał, kiedy owoce były już dokładnie roztarte.

– Teraz przetrę to wszystko przez sito z włosia.

– Doskonale.

Milda skończyła przecieranie i wierzchem ramienia otarła spocone czoło. W kuchni było gorąco, a wysiłek spowodowany przecieraniem owoców też

zrobił swoje. Jasny kosmyk wysunął jej się spod czepca.

– Musicie uważać, żeby żaden włos nie wpadł do środka – przestrzegł ją Katalończyk, wstając ze swojego miejsca. – Pozwolicie?

Wyciągnął dłoń, żeby schować niesforne pasmo pod czepiec, ale Milda spłoszyła się nagle. Ten gest zdawał się zbyt poufały, nawet jeśli wyglądał niewinnie.

– Można wiedzieć, co tu się dzieje? – usłyszeli nagle głos jej męża.

Mikołaj stanął w drzwiach kuchni i był świadkiem tej niefortunnej sceny.

Milda poczuła, że serce bije jej mocno, jakby przyłapano ją na czymś nieprzyzwoitym. Mimo że przecież nie zrobiła nic złego. Katalończyk też zdawał się lekko zawstydzony, co, niestety, od razu rzucało się w oczy. Niby nic się nie stało, ale przecież zdawała sobie sprawę już od dawna, że ich wzajemne relacje i „potajemne” nauki zawierają w sobie niebezpieczny pierwiastek i mogą być opacznie odczytane.

Zwłaszcza przez jej męża.

– Przygotowuję mus z pigwy dla twojego ojca – powiedziała szybko. – Mistrz Miguel pokazał mi, jak się go robi. Jest dobry na serce.

– Mus czy mistrz Miguel?

– Mikołaju... – Milda poczerwieniała z oburzenia, ale i z zakłopotania – mam nadzieję, że nie chciałeś nikogo obrazić tym żartem.

Dostrzegła w jego twarzy coś, co ją zaskoczyło. Miał trochę szkliste spojrzenie i dziwnie się uśmiechał. Czyżby był pijany? To do niego niepodobne, ponieważ, w przeciwieństwie do swojego ojca, nigdy nie nadużywał ani wina, ani piwa.

– Darujcie mi. – Mikołaj uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Nic złego nie miałem na myśli.

Język mu się lekko plątał i Milda nie miała już wątpliwości. To jeszcze pogarszało sprawę, ponieważ mógł powiedzieć albo zrobić coś, o czym, będąc trzeźwym, nawet by nie pomyślał.

Zaczęła szybko tłumaczyć, aby nie dopuścić go do głosu:

– Pan Miguel ostrzegł mnie tylko, że włosy, które mi się wysunęły spod czepca, mogłyby wpaść do musu. Chyba nikt nie chciałby znaleźć włosa w konfiturze, prawda? A ja, jak widzisz, mam zajęte ręce.

Miała świadomość, jak głupio to brzmiało, i zawstydziała się jeszcze bardziej, w imieniu swoim i Miguela.

Mikołaj wciąż się uśmiechał, lecz jego oczy pozostawały czujne. Patrzył to na żonę, to na obcego mężczyznę.

Milda naraz uświadomiła sobie dwie rzeczy.

Po pierwsze, jak bardzo była naiwna, sądząc, że te częste spotkania z cudzoziemcem nie zwrócą niczyjej uwagi, że w oczach innych ludzi pozostaną równie niewinne jak w jej odczuciu. Zachowała się jak nieznające życia głupiutkie dziewczę. Po drugie zaś, w tym momencie stało się jasne, iż dalsze kontakty z mistrzem Miguelem trzeba będzie ograniczyć, a być może nawet całkowicie ich zaprzestać. Mikołaj miał powody, aby się zaniepokoić, ten obcy mężczyzna zaczął być coraz bardziej obecny w życiu już nie tylko jego ojca, ale i żony oraz synka.

– Wybaczcie, panie – Miguel z poważną miną położył dłoń na sercu – to był odruch. Jeśli jednak uważacie, że w jakikolwiek sposób uchybiłem godności pańskiej małżonki, poddam się każdej karze. To ja i tylko ja na nią zasługuję. Mogę odejść w każdej chwili, jeśli taka wasza wola.

– Nie mówmy już o tym. – Mikołaj ciężko i niezgrabnie przysiadł na ławie. Przeczesał palcami włosy. – Jestem zmęczony, może zareagowałem zbyt gwałtownie. Mam do was zaufanie. A szczególnie do mojej ukochanej żony. Poza tym to mój ojciec was zatrudnia, mistrzu Miguelu, nie ja.

Zapanowała niezręczna cisza. Milda zastanawiała się, czy Katalończyk dostrzeże, iż jej mąż jest podpity. Nie znał go tak dobrze jak ona.

Wreszcie Mikołaj klasnął dłońmi w kolana i odezwał się nienaturalnie wesołym głosem:

– No to pokaż mi, moja żono, czego cię nauczył nasz mistrz.

Milda skończyła przecieranie i odłożyła sito na bok.

– Teraz dodaję miodu, nieprawdaż? – spytała niepewnym głosem. – Zapomniałam ile.

– Tyle, pani, ile waży mus. Musicie go zważyć. A co potem? Pamiętacie moje nauki?

– Tak – potwierdziła szybko – potem gotuję wszystko tak długo, aż będzie gotowe.

– Czyli jak długo?

– Aż masa zgęstnieje i nabierze złotego koloru.

Podczas gdy mus z miodem gotował się w kociołku, Mikołaj rozmawiał już całkiem spokojnie z Miguelem. Wypytywał go, jak wcześniej Milda,

o postępy w nauce Tomka i chwalił efekty. Dalej miał trudności z wymawianiem niektórych słów, lecz chyba starał się udawać trzeźwego.

– Możecie i mnie nauczyć gry w szachy, mistrzu? – spytał nagle. – Mógłbym czasami zagrać z synem i w ten sposób spędzić z nim więcej czasu.

– Jak sobie życzyacie, panie. – Katalończyk skłonił się lekko.

Zapewne najchętniej już by się oddalił, lecz musiał jeszcze chwilę pozostać, aby jego wyjście nie wyglądało na ucieczkę.

– To będzie dla mnie zaszczyt.

– To naprawdę jest dobre na serce? – spytał Mikołaj, wskazując na kociołek z bulgoczącą masą w środku.

Milda zajęła go właśnie z ognia i postawiła na stole, gdzie stały już przygotowane gliniane foremki.

– Tak. Tylko do tych, co mają służyć jako lek na serce, trzeba dodać dużo imbiru – odparł Miguel. – Do innych, będących po prostu słodyczami, cukru lub cynamonu, a jeszcze inne należy skropić wodą różaną.

– Nie mam wody różanej – zmartwiła się Milda.

– Pomyślałem o tym. – Uśmiechnął się i wyciągnął z kieszeni czarnego kubraka małą buteleczkę z grubego szkła. – Proszę bardzo.

Zdjął korek i po całej kuchni rozszedł się delikatny różany zapach.

Mikołaj przyglądał się temu wszystkiemu jeszcze z lekką podejrzliwością, kiedy jednak spróbował gorącego jeszcze musu, jego twarz rozjaśnił błogi uśmiech.

– Ależ to jest naprawdę pyszne! – zawołał, oblizawszy palec jak mały chłopiec. – Mogę spróbować każdego rodzaju?

Uśmieślwiona Milda patrzyła, jak jej mąż próbuje musu z każdej miseczki. Najmniej smakował mu ten z imbirem, najbardziej z cynamonem.

– Kochana żono – powiedział uroczyście – teraz będę się wręcz domagał, żebyś robiła te cuda częściej. Poznałaś jeszcze inne przepisy mistrza Miguela?

– O tak, mój mężu, jest ich jeszcze dużo.

– To musisz wypróbować wszystkie. Nalegam.

Kiedy służąca pomagała Mildzie włożyć piękną brzoskwińową suknię na wieczorną ucztę, do sypialni wszedł Mikołaj.

– Możesz już iść – odprawił służącą – ja sam dokończę.

Przysunął się do żony i delikatnymi, niemal pieszczotliwymi ruchami zaczął sznurować boki sukni. Zesztywniała, czując w jego gorącym oddechu kwaśny zapach wina, lecz nie zaprotestowała – nie chciała dzisiaj bardziej zaognić sytuacji. Po chwili objął ją od tyłu i zanurzył twarz w jej włosach, jeszcze nieprzykrytych złocistą siateczką. Odgarnął je, żeby poczuć ciepłą skórę małżonki.

– Jesteś tak słodka jak te twoje konfitury. Albo i jeszcze słodsza... – szepnął, całując pulsującą żyłkę na szyi Mildy. – Wiesz, że przez chwilę byłem zazdrosny, kiedy cię zobaczyłem z Miguelem? On tyle cię nauczył, jest taki mądry...

– I nic dla mnie nie znaczy. To ciebie kocham, mój mężu.

– Wiem. Być może ostatnio nieco cię zaniedbywałem. Praca.

– Teraz mi wszystko wynagrodzisz. – Uśmiechnęła się w ciemnościach.

– O tak. Dołożę wszelkich starań. Jak tylko wrócimy z uczy...

– Oby to tylko nie były czcze przechwałki – próbowała żartować.

– Kocham cię, żono.

– Ja ciebie też. Tylko ciebie.

– Tak się o ciebie boję... – Głos Mikołaja załamał się nagle.

Odwróciła głowę zaskoczona i przyjrzała mu się uważnie.

– O co chodzi, mężu?

Puścił ją i zaczął nerwowo krążyć po pokoju rozjaśnionym szarym światłem późnego popołudnia, wpadającym przez szklane szybki okna. Na przemian zaciskał i rozluźniał pięści. Milda obserwowała to z niepokojem, spodziewając się, że Mikołaj zaraz wybuchnie, powracając do sytuacji, jaką zastał w kuchni. Najwidoczniej burza, która od dobrej godziny wisiała w powietrzu, musiała wreszcie wybuchnąć. Może to i dobrze, pomyślała, lepiej załatwić sprawę w ten sposób i oczyścić atmosferę, niż tłumić w sobie pretensje czy urazy.

Lecz jej mąż wcale nie myślał o Miguele.

– Dręczy mnie coś, o czym muszę ci powiedzieć, moja droga – rzekł drżącym głosem, przysiadając na bogato rzeźbionej skrzyni i patrząc pustym wzrokiem w ścianę, na której tańczyły cienie od ognia w kominie.

– Tak? – wydusiła z siebie.

– Nie mogę tego dalej trzymać w sobie.

– Mówże wreszcie! – Jej głos zabrzmiał ostrzej, niż zamierzała, lecz nie mogła teraz go kontrolować.

Mikołaj ukrył twarz w dłoniach.

– Zrobiliśmy kiedyś z ojcem coś bardzo złego. To znaczy on zrobił coś złego. Ale ja mu w tym nie przeszkodziłem. Choć powinienem. Nie przeszkodziłem. Ze strachu.

Dziwne, ale te słowa jakby trochę ją uspokoiły – nie chodziło więc o Miguela, a tego przecież najbardziej się obawiała. Mąż uznał teraz ową kwestię za nieistotną. Miał większe kłopoty, zapewne związane z interesami, skoro wspominał o ojcu. Dokonali jakiegoś oszustwa? Sfałszowali czyjąś pieczęć? Nic jej nie przychodziło do głowy, lecz sprawy sklepu wydawały jej się odległe, ponieważ nie miała na nie najmniejszego wpływu, a więc nie ponosiła też żadnej odpowiedzialności.

– Powiedz, co się stało. – Uspokajającym ruchem położyła dłoń na jego ramieniu. – To na pewno nic tak bardzo strasznego.

Przez jakiś czas milczał, kołysząc się lekko, po czym odsłonił twarz i spojrzał na Mildę udręczonym wzrokiem.

– Zabiliśmy człowieka – rzekł głuchym głosem.

Zmartwiała.

Nagle sytuacja z Miguelem wydała jej się nieistotna, a nawet śmieszna, choć jeszcze przed chwilą przykładała do niej tak wielką wagę.

– Co ty opowiadasz? – spytała, do głębi wstrząśnięta. – Nie wierzę!

– Ja też nie potrafię uwierzyć. Ojciec nasłał zbirów na... jednego z rzeźników, który winien mu był dwie grzywny i nie chciał spłacić długu.

– Mikołaj odwrócił wzrok od jej twarzy. – Mieli go tylko postraszyć, może lekko poturbować, ale ich poniosło, bo podobno się bronił.

Milda głośno nabrała powietrza, czując, że kręci jej się w głowie.

– Chodzi o tego Pietrka, o którym mówi cały Kraków?

Mąż pokiwał głową.

– To twój ojciec za tym stoi? – Ogarnęło ją przerażenie, jakby nagle grunt osunął jej się spod nóg. Uważała swoje dotychczasowe życie za uporządkowane, bezpieczne i wręcz nudne. Teraz wszystko się zmieniło.

– Tak – odpowiedział Mikołaj. – Mój ojciec wydał polecenie. Lecz przecież nie chciał go zabić.

– Wiedziałaś o jego planach?

- Powiedział mi.
- I zgodziłeś się?
- Myślałem, że mają tylko napędzić strachu Pietrkowi.
- I pobić go – dodała.
- Ale nie zabić – odparł żałośnie.
- Jednak go zabili.
- Tak, zabili. Tego ojciec na pewno nie chciał.

Chwyliła męża za ramiona i zaczęła nim gwałtownie potrząsać.

– Przestań wreszcie mówić o ojcu! – Podniosła głos. – Przestań być jego adwokatem, do diabła! Nawet teraz starasz się go bronić! On jest złym, nikczemnym człowiekiem! I nic tego nie zmieni! Zastanów się raczej nad swoją uległością!

Wciąż nie mogło do niej dotrzeć, że jej teść i mąż stoją za zbrodnią, która wstrząsnęła całym miastem. Że mają na sumieniu ludzkie życie, a całą rodzinę – w tym ją i Tomka – narazili na śmiertelne niebezpieczeństwo. Jeśli motłoch się dowie, kto stoi za śmiercią Pietrka, wszyscy czworo mogą zostać zabici bez sądu. A taka tajemnica długo się nie utrzyma.

– Jak mogłeś być tak tchórzliwy i pozbawiony wyobraźni? – spytała zimno, wszakże już ciszej. Nie chciała, aby służba usłyszała coś przez drzwi.

- Wybaczysz mi? – wyjąkał.
 - Wyjdź stąd! – nakazała. – Nie chcę cię teraz widzieć!
- Mikołaj posłusznie wykonał jej polecenie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Najjaśniejsza Pani, doszły mnie słuchy, że nie przepadacie za rycerskimi gonitwami – zwrócił się do Jadwigi król węgierski i margrabia brandenburski Zygmunt.

Siedzieli przy stole w rzęście oświetlonej wawelskiej sali jadalnej, lecz nie obok siebie, ponieważ pomiędzy nimi zajął miejsce król Władysław – zasiadał na przypominającym tron krzesło – tak więc dostojny gość musiał bardzo się wychylać, aby móc porozmawiać z polską królową.

– Kościół ich nie pochwała, panie – odparła chłodno.

Miała na sobie wyszywaną perłami złocistą suknię z prostokątnym dekoltem. Włosy królowej splecione zostały w warkocze upięte wokół policzków, czoło ozdabiał cienki złoty diadem zdobiony rubinami.

Patrzyła gdzieś przed siebie, aby tylko nie widzieć czerwonej od wina, okolonej rudawymi włosami twarzy szwagra.

Szczerze go nie znosiła.

On zapewne też nie darzył jej zbyt dużą sympatią, jednakże zarówno jemu, jak i Jadwidze wypadało zamienić ze sobą podczas uczy kilka słów, aby ta wzajemna wrogość nadto nie rzucała się biesiadnikom w oczy i nie stała się przyczyną plotek.

Rozmawiali po węgiersku, co musiało być nie w smak Jagielle, albowiem nie rozumiał ani słowa w tym języku.

– Prawda – zgodził się Zygmunt. – Kościół nie pochwała turniejów. Lecz bądźmy szczerzy, nie pochwała także muzykantów i tańców.

Dłonią, na której błyszczały drogocenne pierścienie, wskazał na strojących instrumenty lutnistów i gitarzystów.

– I tysiąca innych rzeczy – zakończył.

– To co innego – odrzekła królowa.

Nie mogła mu zdradzić swych prawdziwych powodów niechęci do turniejów. Po pierwsze, trzeba się było z tej okazji zadłużyć u bankierów,

a przecież wciąż szukała pieniędzy dla Akademii. Po wtóre zaś, co dużo ważniejsze, dwa lata temu jej siostra zmarła na skutek upadku z konia. Nikomu nie przyszło do głowy, że dla Jadwigi obserwowanie tych harców, polegających przecież głównie na brutalnym zrzucaniu przeciwników z siodeł, może być przykrym przeżyciem.

– Kiedy nie ma wojny, Najjaśniejsza Pani, rycerze muszą gdzieś doskonalić swe rzemiosło oraz męstwo – tłumaczył Zygmunt. Od nadmiaru trunków jego spojrzenie stało się szkliste. – Jak wiadomo, nieużywane narzędzie tępieje.

– Ciągłe są jakieś wojny, królu.

– Raczej utarczki.

– Możemy to różnie nazywać, lecz na pewno nie spokojem.

– Prawdziwa wojna dopiero nadchodzi. – Zygmunt znacząco zniżył głos.

– I musimy być na nią gotowi.

– Z Zakonem?

– Bynajmniej – machnął lekceważąco ręką. – Zakon nie jest teraz naszym najpotężniejszym wrogiem.

Tak, pomyślała gorzko Jadwiga. Zwłaszcza dla ciebie, przecież jeszcze kilka lat temu układałeś się z Krzyżakami, chcąc dokonać wraz z nimi, Brandenburgią oraz zdradzieckimi książętami śląskimi rozbioru Królestwa Polskiego.

– Kto nim zatem jest, królu? – zapytała bez szczególnego zainteresowania. – Tatarzy?

Pokręcił głową, ugryzł kawałek kurzego udka i odparł z pełnymi ustami:

– Turcy.

– Ach tak.

Jadwiga sięgnęła po leżącą na tacy złocistą gruszkę.

– Lecz oni chyba są daleko? – powiedziała.

– U naszych bram, królowo – odrzekł poważnie Zygmunt, wytarłszy dłonią tłuszcz z warg i wąsów.

W blasku tkwiących w lichtarzu świec lśnił zawieszony na jego szyi złoty łańcuch oraz srebrne nici, którymi na królewskim kubraku wyhaftowano jelenia.

– Należałoby zakrzyknąć: *Hannibal ante portas!* Powiadam wam, Wasza Miłość, jeśli chrześcijańska Europa nie zjednoczy się przeciwko tym pogańskim diabłom, za dziesięć lat zajmą nasze ziemie, postawią na nich

swoje meczety, a ich konie będą piły wodę z Tybru. To istna plaga. Przekonali się już o tym Serbowie i Bułgarzy.

– I co myślicie czynić, panie?

– Żadne królestwo w pojedynkę nie obroni się przed Turkami. Trzeba nam zbudować koalicję.

– Kto stanąłby na jej czele?

– To już najmniej istotne. Tak czy owak, Węgry są gotowe do świętej krucjaty.

– I słusznie. Słyszałam, że na jutrzejszy wieczór zaplanowano widowisko, w którym ma być odegrana właśnie bitwa pomiędzy Węgrami a Turkami. Prawda to?

– To tylko zabawa na drewniane miecze – odparł Zygmunt.

– A jaki będzie wynik tej udawanej bitwy? – spytała królowa swobodnym tonem, zaczynając obierać srebrnym nożykiem owoc.

– Jedyne możliwe. Wyznawcy Mahometa zostaną obici jak parszywe psy.

– Władca Węgier wybuchnął śmiechem.

Jadwiga odłożyła ledwie napoczętą gruszkę z powrotem.

– Czyli zupełnie odwrotnie, niż to miało miejsce w rzeczywistości – skwitowała lekko, a spojrzenie Zygmunta stwardniało.

Nie mogła sobie darować tej złośliwej uwagi.

Dokładnie rok wcześniej, bo też we wrześniu, Luksemburczyk zorganizował wyprawę przeciwko Turcji, aby odzyskać europejskie ziemie zajęte przez sułtana Bajazyda. Do węgierskiej armii dołączyli Francuzi, Niemcy i Anglicy. Jednakże rycerze ponieśli sromotną klęskę, wojsko uciekło w popłochu przed Turkami, a sam Zygmunt ledwo uszedł z życiem.

Od wielu stuleci chrześcijaństwo nie poniosło aż tak wielkich strat.

No a teraz ten sam władca miał zamiar puszyć się na turnieju, walcząc na stępione kopie i organizując jarmarczną utarczkę na drewniane miecze z jakimiś pachółkami przebranymi w tureckie stroje.

– Jeśli macie na myśli tamtą bitwę – powiedział teraz, wyraźnie zakłopotany – zawiniło tchórzostwo Francuzów.

W tej chwili włączył się Jagiełło, który, choć nie rozumiał, o czym mówili, musiał wyczuć, iż atmosfera zrobiła się napięta.

– O czymże tak dyskutujecie, miła małżonko? – zwrócił się do Jadwigi, patrząc na nią uważnie.

– O przepychu tej uczy – odparła.

– Ach tak. – Jego szczupła twarz porwana bruzdami nie zmieniła wyrazu.
– Rad jestem, że to widoczne. Tak właśnie zaplanowałem.

Powitalna uczta rzeczywiście była huczna. W końcu król Jagiełło nie pożałował na nią srebra.

Salę oświetlały setki woskowych świec, płonących na obręczach zawieszonych pod sklepieniem, w żelaznych uchwytach wystających ze ścian, na trójnogach oraz w trójramiennych świecznikach znajdujących się na ustawionych w podkowę stołach. Wiszące na ścianach tapiserie i kilimy, specjalnie dobrane na tę okazję, radowały oczy i sprawiały, że sala zdawała się przytulniejsza i piękniejsza niż na co dzień, co podkreślały jeszcze rozwieszona tu i ówdzie girlandy kwiatów.

U szczytu głównego stołu siedzieli obaj królowie i Jadwiga, dalej dostojnicy kościelni i możni panowie, zarówno krakowscy, jak i przybyli z madziarskim władcą. Na obu zaś końcach tej podkowy, nakrytych szarymi obrusami, w odróżnieniu od tych białych dla królewskiej pary i jej najważniejszych gości, zasiadali na ławach mniej ważni biesiadnicy. Umieszczanie gości na szarym końcu nie było dla nikogo obrazą, lecz tylko zaznaczeniem hierarchii.

Amalia i Milda siedziały właśnie na takim szarym końcu.

I obie starały się udawać, że dobrze się bawią. Wprawdzie, zgodnie z zaleceniami etykiety, sadzano niewiasty i mężczyzn na przemian, ale obie dyskretnie poprosiły swoich mężów o zamianę, żeby móc porozmawiać. I od jakiegoś już czasu prowadziły na pozór swobodną konwersację o niczym, ślizgając się po tematach, które ani jednej, ani drugiej tak naprawdę nie obchodziły. A więc o jutrzejszym turnieju, o sukniach dwórek, o tym, że król Węgier przytył, a włosy mu się trochę przerzedziły. Lecz znały się aż nazbyt dobrze, aby nie wyczuć sztuczności tej rozmowy. Zamilkły na chwilę i zajęły się jedzeniem.

Pierwsza nie wytrzymała Milda.

– Coś cię gnębi, moja droga? – delikatnie spytała przyjaciółkę.

Amalia wzdrygnęła się, jakby wyrwana z głębokiego zamyślenia.

– Nic się przed tobą nie ukryje. – Uśmiechnęła się. – To aż tak się rzuca w oczy?

– Wydajesz się jakby nieobecna.

– Masz rację, może trochę, ale to nie jest rozmowa na teraz. Za dużo tu uszu dookoła.

– Ale nic poważnego? – zaniepokoiła się Milda.

– Nie, nie, spokojnie, nic złego się nie dzieje. Sprawy rodzinne.

Na podwyższeniu przy wejściu do sali grupa ubranych w kolorowe stroje gitarzystów, lutnistów i flecistów przygotowywała się już do występów. Zapowiadało to muzykę, recytacje, śpiewy, a potem obowiązkowe tańce.

– Poza tym jestem trochę zmęczona tym gwarem – dodała Amalia, westchnąwszy głośno. – Odwykłam od podobnych biesiad.

Nie chciała na razie mówić o wiadomości od cioteczki Csaksy, a już na pewno nie teraz, przy wszystkich. Była rozstrojona. List od dawnej opiekunki nadal niczego nie wyjaśniał, a wręcz mnożył kolejne wątpliwości. Wcześniej aż tak się nad tym nie zastanawiała, ale czy to naprawdę możliwe, aby jej ojcem był król Ludwik, mężczyzna w podeszłym już wtedy wieku i schorowany? Ale dlaczego matka miałaby kłamać i dlaczego, kiedy wyszło na jaw, że spodziewa się dziecka, szybko i bogato wydano ją za mąż? A potem jeszcze ten klasztor...

Czy robiono tak z każdą dwórką, której zdarzyło się podobne nieszczęście? Może i tak, ale na pewno ich dzieci nie były potem wychowywane na królewskim dworze. I dlaczego, skoro przełożona klasztoru uznała wyznania jej matki za wytwór chorego umysłu, nie pozwoliła Amalii przeczytać listu, tylko kazała go spalić, utrzymując, że żadnego pisma nie było?

Kto zatem tak naprawdę był jej ojcem – może ktoś inny, ktoś z otoczenia samego króla? Ojcostwo Ludwika wydawało jej się teraz coraz mniej prawdopodobne, wszakże uznała, że już nigdy nie odkryje prawdy. Tę znała tylko matka, ale wyznać ją mogła jedynie na początku swojego pobytu w klasztorze. Wtedy kiedy była jeszcze w pełni władz umysłowych.

Amalia po raz kolejny poczuła żal do losu, że ten nie pozwolił jej wcześniej poznać matki. Do losu albo raczej do ludzi, którzy o tym zadecydowali.

Nie mogła jeszcze podzielić się swoimi przemyśleniami z przyjaciółką. Czuli się z tym źle, bo Milda była jedyną osobą na świecie, która nigdy jej nie zawiodła i do której miała pełne zaufanie. Nie mogła jednak już teraz z nią rozmawiać na ten temat. Najpierw musiała sama ułożyć sobie to wszystko w głowie. Zresztą, to naprawdę nie było miejsce na takie zwierzenia.

– No i Małgorzata znów była nieznośna – dodała, uznawszy, iż poprzednie usprawiedliwienie mogło zabrzmieć nieprzekonująco.

– Och, a cóż znowu nabroiła? – spytała Milda, sięgnąwszy po wino.

– Nic takiego, ale musieliśmy ją przywołać do porządku. I to było przykre samo w sobie.

Amalia uznała, że nie powinna opowiadać nikomu o dzisiejszym wybryku córki. Nawet Mildzie. Przeraziło ją zachowanie Małgorzaty i ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnęła, było mówienie o tym.

– Spójrz na królową – powiedziała szybko, aby zmienić temat.

– Co się stało?

– Widzisz, po co sięga?

– Ogórki?

– Mhm...

Znały dobrze kulinarne upodobania monarchini. Świeże ogórki polane miodem należały do tych przysmaków królowej, którym obie jej dwórki nigdy nie mogły się nadziwić. Jak w ogóle można coś takiego jeść?

– Obserwuję królową od początku uczyty i coś zauważyłam – powiedziała Amalia.

– Coś innego poza tym, że męczy się w towarzystwie pijanego rudzielca z Węgier? – Milda ściszyła głos.

– Owszem. Nie tknęła ani mięsa, ani ryb.

– I nie pije piwa.

– A zawsze je przecież pije, zwłaszcza do obiadu.

– Myślisz, że...? – Litwinka znacząco zawiesiła głos.

– Daj Boże.

– Tak, daj Boże. Nie mogę patrzeć, jak bardzo jest nieszczęśliwa. – Milda zasmuciła się ponownie, lecz nie tylko losem królowej, bowiem naraz z całą mocą wróciły do niej jej własne problemy: Mikołaj, Bartłomiej, Justyn.

Przyjaciółka jakby czytała w jej myślach.

– A u ciebie, moja miła, wszystko dobrze? – zapytała. – Też jesteś jakaś blada i smutna dzisiaj. Jakies nieporozumienia z Mikołajem?

Bystrej uwadze Amalii nie uszło wyraźne napięcie między małżonkami. Zaczęła nawet podejrzewać, że zamianę miejsc przy stole Milda przyjęła nie tylko z radością, ale i z jakąś niezrozumiałą ulgą. Jakby nie chciała rozmawiać z Mikołajem.

Tamta westchnęła ciężko.

– Też mam... – zawahała się – ...kłopoty rodzinne, ale również nie nadają się do omawiania tutaj. Stanowczo za mało się ostatnio spotykamy, codzienne życie nas rozdzieliło, a tak bardzo mi brakuje rozmów z tobą. I twoich rad.

– Mnie również. Spotkajmy się w przyszłym tygodniu u mnie. – Amalia ścisnęła dłoń przyjaciółki. – Wolałabym raczej nie wchodzić w drogę twojemu teściowi.

Milda w milczeniu skinęła głową. Musiały porozmawiać. Z jednej strony bardzo chciała się zwierzyć Amalii ze swoim kłopotów i obaw, z drugiej zaś jak wyznać przyjaciółce, że Mikołaj i jego ojciec bezpośrednio przyczynili się do śmierci innego człowieka?

Od momentu, gdy lekko urażony Zygmunt dał wreszcie spokój polskiej królowej i zajął się rozmową z Jagiełą, Jadwiga czekała już tylko na moment, kiedy zaczną grać muzykanci i będzie mogła opuścić ucztę, wymawiając się zmęczeniem oraz bólem głowy.

Należało jednak cierpliwie poczekać, aby zbyt wczesne pożegnanie się nie zostało odczytane jako jawna demonstracja niechęci do gościa.

Siedziała więc sztywno, milcząca i poważna, niczym postać świętej na ściennym malowidle. Od czasu do czasu nabierała coś na talerz, choć tak naprawdę na nic nie miała ochoty. Ani na ogórki z miodem, ani na łososie, ani na jesiotry sprowadzane specjalnie dla niej znad Morza Czarnego. Nawet zapach kiełbasek *circinela* nie pobudzał dzisiaj jej apetytu.

Chciała już tylko udać się do swoich pokoi.

Uciec od hałasu, od uprzykrzonego Zygmunta, od podpitych i coraz głośniejszych rycerzy, którzy – nie czekając na muzykantów – zaczęli swoje grubiańskie przyśpiewki, a także od kręcących się pod nogami psów, gryzących się nawzajem, łapiących w locie rzucane im przez biesiadników kości lub umykających przed kopniakami.

Od czasu do czasu monarchini bezwiednie zerkała na prawo, gdzie na końcu stołu siedziały jej dwie dawne dwórki – Amalia i Milda. Jej lilie. Mimo że były od niej oddalone o kilkanaście kroków i nieco zasłonięte przez innych uczestników uczy, Jadwiga natychmiast dostrzegła

i fachowym okiem oceniła piękną suknię Amalii, zapewne przywieziona z Pragi.

Widok przyjaciółek – bo tak je nazywała w myślach, nie mając już na dworze żadnych prawdziwych przyjaciół – napełniał królową szczęściem, ale i odrobiną smutku. Te dwie kobiety, jej rówieśniczki, były jak gdyby uosobieniem tego, kim ona sama mogłaby być, gdyby nie urodziła się królewską córką.

Gdyby choć w najmniejszym stopniu mogła decydować o własnym losie.

Zarówno Amalia, jak i Milda wyglądały na spełnione. Mimo że obie musiały przejść przez koszmar, wreszcie odnalazły spokój i szczęście. Miały wspaniałych mężów i cudowne dzieci. Małżeństwo oraz macierzyństwo dodały im dostojeństwa i podkreśliły ich kobiecość.

Macierzyństwo...

Jadwiga westchnęła lekko i szybko odwróciła wzrok w drugą stronę.

Ujrzała, jak do jej męża podchodzi łysiejący i lekko powłóczący nogą podstoli, którego zadaniem było próbowanie potraw, zanim będzie je mógł spożyć król. Władysław, wychowany w pełnym okrucieństwa świecie pogańskich Litwinów i Tatarów, od zawsze bał się trucizny, a ów strach nasilił się jeszcze, gdy kilka lat temu otruto jego brata Skirgiełłę.

Tak więc podstoli zawsze odgrywał ten sam ceremoniał: wkładał do potrawy przeznaczonej dla swojego pana kawałek chleba, przykładając go do języka, następnie zaś wrzucał go do specjalnego ozdobnego naczynia, wynoszonego zaraz przez służbę. Podobnie rzecz się miała z napojami, chociaż król pijał właściwie tylko wodę, w której najtrudniej rozpuścić bez śladu truciznę.

Jadwiga wszystko to widziała już dziesiątki razy, toteż przestała śledzić ów odwieczny i nudny już dla niej rytuał, zwłaszcza że nie miała w tej chwili ochoty patrzeć na swojego męża.

Kiedy straciła już wszelką nadzieję na to, że muzykanci rozpoczną swój występ, rozległ się nareszcie rytmiczny głos bębenków, do którego po chwili dołączyły równie rytmiczne, ostre dźwięki strun lutni oraz gitar, a także piskliwe tony fletów. Rozszczekały się psy, mężczyźni przy stołach wzniesli okrzyki i zaczęli gwizdać, damy zaś radośnie zaklaskały.

Wszyscy na to czekali.

A najbardziej Jadwiga.

– Panie mój – nachyliła się w stronę króla – czuję się zmęczona. Pozwólcie zatem, że oddalę się do swoich komnat.

Jagiello rozprawiał właśnie z Zygmuntem na temat planowanego polowania, wspominając przy tym jakieś poprzednie łowy, spojrzał więc na małżonkę nieobecny wzrokiem, jakby nie rozumiał jej słów. Kiedy je powtórzyła, przyjrzał jej się bacznie.

– Oczywiście, moja droga żono – rzekł po chwili. – Oczywiście. Idźcie odpocząć.

Widok jego twarzy sprawił, że Jadwiga szybko odwróciła wzrok. To, co w tej chwili wyrażało oblicze monarchy, być może trudno byłoby nazwać obrzydzeniem czy nawet niechęcią, ale na pewno bił od niego niezwykły chłód.

Kiedy wstała od stołu, goście podnieśli się również, żeby ją pożegnać. Jadwiga rzuciła jeszcze ostatnie spojrzenie Amalii i Mildzie, które również uniosły się ze swoich miejsc i schyliwszy głowy, ukłoniły się z uśmiechem. Przechodząc obok, zatrzymała się na chwilę, żeby zamienić z przyjaciółkami kilka słów. Pochwaliła suknię Amalii, spytała o zdrowie dzieci i wyraziła nadzieję, że jeszcze zobaczy je obie w ciągu najbliższych dni, które zapowiadały się na nieustające świętowanie na cześć gościa.

Potem, w otoczeniu pania oraz kilku dwórek, wyszła z sali, niosąc ze sobą w sercu ów olbrzymi chłód, który przed chwilą dostrzegła na twarzy małżonka.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Opuściwszy salę biesiadną, królowa znalazła się na krużgankach, pośród nocnych ciemności rozświetlanych jedynie pomarańczowym blaskiem pochodni.

W otoczeniu niewielkiej świty zeszła na wewnętrzny dziedziniec i skierowała się ku budynkowi z czerwonej cegły – nazywanemu Domus Magna – na którego piętrze mieściły się jej pokoje.

Odgłosy muzyki, krzyki i gwizdy wciąż dochodziły do uszu Jadwigi, jednak stawały się coraz cichsze, a ją samą ogarniał coraz większy spokój. Wiedziała, że zaraz wreszcie pozostanie sama, w cichej sypialni o stropie malowanym w rajskie ptaki i roślinne desenie. Uwielbiała te nieliczne chwile, kiedy nikogo w pobliżu nie było, kiedy nie musiała być królową, uważać na każdy gest i każde słowo.

Gdy była już prawie na miejscu, dostrzegła, że od strony kościoła Świętej Marii Egipcjanki zbliża się ku niej jakaś postać. W ciemnościach trudno było rozpoznać, kto to.

– Najjaśniejsza Pani... – usłyszała głos Piotra Wysza.

Krakowski biskup wkroczył w krąg światła niesionej przez pazia lampki i pokłonił się Jadwidze. Był w świeckim stroju, w czarnym kapeluszu na głowie, na piersi miał zawieszony srebrny łańcuch.

– Wasza wielbność... – Królowa zatrzymała się, odrobinę zaskoczona jego obecnością tutaj, bo jeszcze niedawno widziała go przy biesiadnym stole, w otoczeniu innych dostojników kościelnych. – Pochwalone niech będzie imię Pańskie.

– *In saecula saeculorum* – odparł po łacinie.

Widok jego przystojnej, nieco ascetycznej twarzy napawał królową zwykle spokojem i poczuciem bezpieczeństwa. Duchowny był jej zaufanym powiernikiem i doradcą, zwłaszcza od momentu, gdy Jadwiga wstawiła się za nim u Ojca Świętego, Bonifacego IX, w sprawie nominacji na

krakowskiego biskupa. Piotr Wysz, szlachetnie urodzony, umysłem i wykształceniem wybijał się ponad innych kościelnych dostojników, którzy często nie umieli nawet pisać. Studiował w Padwie i w Pradze, był prawnikiem i teologiem, a nade wszystko najbliższym sprzymierzeńcem monarchini w dziele odnowienia Akademii.

– Widzę, Miłościwa Pani, że was również zmęczyła już uczta – odezwał się teraz.

– Od rana boli mnie głowa – odparła.

– Oraz nie pochwalacie takiej wystawności. – Biskup uśmiechnął się lekko.

Jadwiga drgnęła zaskoczona.

– Skąd to wiecie, wasza wielebność?

– Odgadłem po waszym zachowaniu, pani.

– Czy to aż tak widoczne?

– Zależy, kto patrzy i kto wyciąga wnioski.

– Jakie są wasze wnioski, księżo biskupie?

Wysz schował dłonie w szerokich rękawach ciemnego płaszcza, a potem spojrzął znacząco na otaczających Jadwigę ludzi. Ta natychmiast zrozumiała jego intencję i nakazała im się oddalić.

– Po pierwsze, że nie jesteście radzi Zygmuntowi – cicho powiedział biskup, gdy zostali sami. – Po wtóre, wielce was gnębi, iż małżonek wasz wydał zbyt wiele srebra na dzisiejsze tańcowanie i jutrzejsze harce nad Wisłą.

Jadwiga zagryzła wargi.

Nie było sensu zaprzeczać. Nie przestawało jej jednak zdumiewać, jak biskup potrafi czytać w jej myślach.

Jak w otwartej księdze.

– I w obu macie, Miłościwa Pani, rację – ciągnął dostojnik. – Wiadomym jest już od dawna, iż pycha króla Zygmunta większa niż jego rozum. Co zaś do umiłowanego Władysława... Cóż, ujmę to tak: „Skąpstwo jest grzechem maluczkich, wszelako cnotą i zaletą władców”. Nasz król jest zbyt hojny i zbyt rozrzutny.

– To prawda, wasza wielebność, ale nie w sprawie naszego dzieła.

Miała, rzecz jasna, na myśli Akademię.

Wysz ze smutkiem pokiwał głową, po czym szybko zmienił temat, a raczej przeszedł do sedna, albowiem nie o wydatkach króla zamierzał

w tej chwili mówić:

– Nie chciałbym się dłużej naprzykrzać, Najjaśniejsza Pani, ale jest osoba, z którą powinniście porozmawiać.

– Teraz? – spytała.

Ostatnią rzeczą, na jaką miała w tej chwili ochotę, było spotkanie z kimś obcym.

– Jeśli to niepilne, wolałabym jutro – odparła.

– Jutro może już nie być sposobności do spokojnej rozmowy.

– A z kimże to mam rozmawiać, jeśli to nie tajemnica?

– Z pewną niewiastą, która przybyła tu z Węgier w orszaku króla Zygmunta. Była najbardziej zaufaną dwórką waszej świętej pamięci siostry, Marii.

Na dźwięk tego imienia Jadwiga poczuła lekki ucisk w sercu.

– Niechaj więc przyjdzie – rzekła znużonym głosem.

Stojąca w drzwiach sypialni Jadwigi kobieta emanowała jakąś dziwną siłą, którą królowa odczuła już przy pierwszym spojrzeniu na tajemniczego gościa.

W słabym świetle stojącej przy łożu oliwnej lampki oraz ognia z komina trudno było odgadnąć jej wiek. Jasny czepiec ozdobiony puszystym wątkiem z gęsto marszczonych falbanek, połączony z opaską otaczającą policzki, zakrywał jej włosy i pozwalał widzieć tylko bladą twarz o regularnych rysach. Węgierka ubrana była strojnie, ale bez zbytej przesady. Na mocno wyciętą wierzchnią suknię z popularnymi ostatnio motywami saraceńskimi miała narzucony ciemny płaszcz, opadający w licznych fałdach aż do ziemi.

– Jak was zwą? – zapytała po węgiersku Jadwiga.

– Adelajda, Wasza Wysokość – rzekła tamta niskim, zmysłowym głosem, po czym uklękła i ucałowała dłoń monarchini. Bił od niej zapach wschodnich perfum.

– Byłyście dwórką królowej Marii, jak mi powiedziano.

– Tak, pani, a także jej powierniczką i osobistą zielarką. Teraz me serce raduje się, iż mogę nareszcie ujrzeć was, pani. Moja nieodżałowana królowa, świeć Panie nad jej duszą, wiele o was opowiadała.

– Doprawdy? – Jadwidze ze wzruszenia lekko załamał się głos. – Wstańcie.

Kobieta podniosła się; była niemal tak wysoka jak królowa.

– Miłowała was szczerze – dodała.

– Słowa te radują moje serce, Adelajdo – odparła monarchini, czując napływające do oczu łzy. – Usiądźmy. Chcę, abyście opowiedziały mi więcej o ukochanej siostrze.

W sypialni panowało miłe ciepło bijące od ognia rozpalonego przez służbę w kominku.

Wprawdzie w ciągu dnia wrześnieowa pogoda była jeszcze słoneczna i przyjemna, jednak wieczory nastąpiły już chłodne. Grube zamkowe mury nie przepuszczały ciepła z zewnątrz, więc o każdej porze roku we wszystkich pomieszczeniach było zimno. Jadwiga, jak zawsze po całym dniu, z ulgą zrzuciła niewygodne ciżmy. Miała bardzo wrażliwe stopy i niemal każde obuwie ją uwierało.

Usiadła na krześle przy kominku i wyciągnęła nogi w stronę ognia, opierając je na podnóżku wyłożonym atłasową poduszką.

Adelajda zajęła miejsce na niezbyt wygodnym zydlu dla gości. Królowa specjalnie kazała tu taki wstawić, żeby przychodzący do niej poddani nie rozsiadali się zbyt długo. Mieli załatwić swoją sprawę i wyjść.

W świetle płomieni z kominka Adelajda wyglądała na starszą, niż to się początkowo Jadwidze wydawało. Jak oceniła teraz królowa, tamta była już pewnie w trzydziestej wiosnie życia. Mimo to wydawała się piękna, miała w sobie coś, co nie pozwalało oderwać od niej spojrzenia, choć trudno było ów czar oddać słowami. Może sprawiały to iskrzące się czarne oczy pod długimi gęstymi rzęsami, zdradzające żywy temperament, przyjazne usposobienie i przenikliwość? A może precyzja i lekkość ruchów? Albo niski, nieco schrypnięty głos?

Cokolwiek to było, monarchini poddała się urokowi gościa.

Opowieść Adelajdy o ostatnich latach życia węgierskiej królowej była przejmująco smutna. W porównaniu z siostrą Jadwigą mogła czuć się niemal szczęśliwa i spełniona. Maria przeszła przez prawdziwe piekło: była więziona w twierdzy jako zaledwie piętnastoletnia dziewczyna, na jej

oczach powieszono matkę, przez długie miesiące musiała drzeć o własne życie. O tym naturalnie Jadwiga dobrze wiedziała, lecz teraz uzmysłowiła sobie, jak bardzo te przeżycia zaważyły na dalszym, jakże krótkim już życiu siostry. Maria nigdy nie otrząsnęła się z tamtych koszmarów, do końca swych dni była przygaszona i smutna.

Mimo że podobnie jak młodą Hedwig koronowano ją na kobietę króla, w przeciwieństwie do niej nie miała nic do powiedzenia w sprawach państwowych. O wszystkim decydował Zygmunt. Nie mogła nawet zobaczyć się z młodszą siostrą dwa lata temu, kiedy doszło do polsko-węgierskiego spotkania, ponieważ Luksemburczyk stanowczo jej tego zabronił.

Ta wiadomość sprawiła, że Jadwiga jeszcze bardziej znienawidziła rudowłosego szwagra, który teraz, za jej i Władysława pieniądze, bawił się na wawelskim zamku.

Jakby tego wszystkiego było mało, Maria – podobnie jak polska królowa – długo nie mogła zajść w ciążę, co nie nastawiało do niej przychylnie ani małżonka, ani węgierskich możnych. Miała już prawie dwadzieścia cztery lata, kiedy wreszcie Bóg wysłuchał jej modlitw.

No, ale właśnie wtedy zdarzył się ów nieszczęsny wypadek.

– Dlaczego w ogóle wsiadła na konia, będąc w błogosławionym stanie? – zapytała teraz Jadwiga.

– Pani, wasza siostra nie mogła sama o niczym decydować – odpowiedziała po namyśle Adelajda. – To król Zygmunt nakazał jej, aby towarzyszyła mu podczas łowów, bo krążyły plotki, iż między nim a królową Marią są jakieś niesnaski. Po prostu pragnął, by widziano ich razem, w małżeńskiej zgodzie. Ona z trudem już się poruszała, więc kiedy koń się pod nią spłoszył, nie miała szans, by utrzymać się w siodle.

– Tak właśnie sądziłam – głucho odrzekła Jadwiga.

Czy na naszym rodzie ciąży jakaś klątwa? – pomyślała jednocześnie. Czy ja również jestem przeklęta?

Aby przegnać ponure myśli, zmieniła temat.

– Opowiedzcie mi, Adelajdo, o sobie.

Aż sama się zdumiała, jak bezpiecznie czuje się w towarzystwie tej kobiety. Jakby znały się od lat. Mimo że Węgierka mówiła o sprawach dla Jadwigi bolesnych, sam ton jej głosu i wyraz twarzy łagodziły przykre

odczucia, wzbudzały sympatię i zaufanie. Nic dziwnego, że tak bardzo zbliżyły się z Marią.

– Wasza Wysokość, nie ma zbytnio o czym opowiadać – odpowiedziała skromnie Adelajda.

Jadwiga przez dłuższy czas przyglądała jej się w milczeniu.

– Dobrze zatem – rzekła wreszcie. – To teraz chciałabym się dowiedzieć, dlaczego sam biskup krakowski przysłał was do mojej sypialni. Jak mniemam, nie tylko po to, abyśmy mogły powspominać moją ukochaną siostrę.

Ku zdziwieniu królowej Węgierka nie wydawała się speszona tak bezpośrednim pytaniem.

– Podobno ostatnio źle się czujecie, Najjaśniejsza Pani – odrzekła. – A ja jestem zielarką.

– Mam już swoich medyków oraz aptekarza – powiedziała oschle królowa.

– Lecz oni nie znają sposobów na kobiece dolegliwości. Ani na to, co dla was najważniejsze.

Spojrzenie Jadwigi stało się czujne. Nie lubiła, kiedy ktoś wkraczał w jej prywatne sprawy, zwłaszcza dotyczące zdrowia.

– Cóż macie na myśli? – spytała z lekkim rozdrażnieniem.

Adelajda westchnęła i odwróciła głowę, jakby szukając odpowiednich słów.

Potem znów spojrzała na królową.

– Miłościwa Pani, z szacunku i miłości do was będę mówiła bez ogródek.

– Słucham was.

– Wiem dobrze, że niczego nie pragniecie tak gorąco jak tego, by dać swemu mężowi potomka, a Koronie spadkobiercę waszej dynastii.

Królowa podniosła się z krzesła. Poczowała, że krew uderza jej do głowy. Tego już było dla niej za wiele.

– A więc z tego powodu tu jesteście? – rzuciła ostro.

– Mogę pomóc...

– Po to was tutaj przysłano?

– Tak.

Jadwiga zaczęła krążyć po sypialni, czując narastające uczucia złości i upokorzenia. Piotr Wysz, zaufany powiernik i przyjaciel, podesłał jej do

sypialni obcą kobietę, aby ta pouczała ją w sprawach, o których królowa opowiadała jedynie spowiednikowi.

– Najlepiej będzie, jeśli już sobie pójdziecie – powiedziała do Adelajdy. – Dziękuję za rozmowę.

Tamta jednak nie ruszyła się z miejsca.

– Pani – rzekła, schyliwszy pokornie głowę. – Wiem, że to dla was bolesne i trudne, ale uwierzcie mi: wasza siostra także przez długie lata musiała nosić w sobie tę gorycz. Lecz nie odrzuciła mojej pomocy.

– Jakiej pomocy? – spytała Jadwiga, wciąż rozdrażniona. – Jak tu w ogóle można pomóc, skoro najzarliwsze modlitwy nie przynoszą skutku?

Hańba bezdzietności ciążyła jej niczym klątwa, z każdym upływającym rokiem owo brzemie stawało się cięższe. Wiedziała, jak bardzo martwi ta sprawa króla, dwór oraz zwykłych poddanych. We wszystkich twarzach dostrzegała niemy wyrzut, jak gdyby patrzyli na grzeszną kobietę, potępioną przez Boga.

Adelajda wstała również.

Powoli podeszła do królowej.

– Modlitwa nie zawsze jest wystarczająca – rzekła ciepło. – Bóg błogosławi swymi darami tych, którzy odpowiednio się starają.

– Sądzicie, że ja się nie staram? – niemal po dziecięcemu zachnęła się Jadwiga, unikając wzroku Węgierki.

– Nic takiego nie mówię. Brakuje wam tylko kogoś, kto by wam, Miłościwa Pani, służył w tej sprawie fachową radą. Pomogłam waszej siostrze, mogę też pomóc i wam, Pani.

Jadwiga odetchnęła głębiej, aby się uspokoić. Twarz paliła ją ze wstydu i złości. Nie mogła uwierzyć, że pozwala tej obcej kobiecie wdzierać się w swoje najbardziej osobiste i intymne sprawy. Czuła jednak, że mimo wszystko powinna wysłuchać Adelajdy.

– Jak pomóc? – wydusiła z siebie.

– Są przeróżne metody.

– Tak, wiem o tym – odparła Jadwiga, bardziej już rozżalona niż zła. – Znam nauki Hildegardy z Binden. Jedzenie orkiszu, czyli kasz, makaronów, pieczywa, dla oczyszczenia organizmu. Stosuję się do tej diety, czytałam również *De passionibus mulierum ante in et post partum* Trotuli z Salerno. Jednakże...

– Jednakże to na nic – dokończyła za nią Adelajda. – Ponieważ problem być może nie tkwi w was, tylko w waszym małżonku, prawda?

Zaskoczona Jadwiga spojrzała na nią wreszcie i w pierwszej chwili znów ogarnął ją gniew na taką bezczelność, a potem nagle w jej oczach zalśniły łzy. Chciała coś powiedzieć, lecz nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

Widząc to, Adelajda mówiła dalej:

– Bóg tak stworzył ten świat, iż o brak potomstwa zazwyczaj obwinia się białogłowy, nie ich mężów. Lecz to niesprawiedliwy osąd. Co więcej, często błędny. Mężczyźni też bywają bezpłodni lub po prostu oziębli.

– Najwidoczniej jestem wstrętna dla mego małżonka – rzekła zdławionym głosem Jadwiga.

– Możemy to zmienić.

– Tutaj nic nie pomoże.

– Jak już rzekłam, są na to sposoby.

– Jakies pogańskie zaklęcia? Od razu ostrzegam, jeśli to obraża Boga, to możecie...

– Żadne zaklęcia – przerwała jej łagodnie Węgierka. – Istnieją specjalne zioła, napary, o których pisze nawet wspomniana przez was Hildegarda, święta przecież osoba, szanowana przez Kościół. Te wszystkie rośliny dał nam dobry Bóg, abyśmy mądrze z nich korzystali.

– I te zioła wystarczą?

– Są jeszcze inne sposoby, którymi białogłowy posługują się od wieków, aby rozpałcić namiętność w swych mężach.

– O tym nie chcę nawet słyszeć – ucięła ostro Jadwiga, wstając po raz kolejny ze swojego krzesła. – To nieobyczajne i grzeszne.

– Korzystała z nich także wasza siostra, pani, a przecież była przykładną katoliczką. Do dnia dzisiejszego nie spotkałam równie bogobojnej niewiasty. Zapewniam, nie ma w tych metodach nic nieobyczajnego, są równie naturalne jak zioła.

Królowa dyskretnie otarła palcem łzę spływającą po policzku, po czym podeszła do krzesła i znów na nim usiadła. Przez chwilę trwała w milczeniu i tylko patrzyła w płonący w kominku ogień, jakby walcząc sama ze sobą.

– Dobrze zatem. Co takiego doradziliście mojej siostrze? – spytała cicho.

Było już dobrze po północy, kiedy z komnaty królowej wyszła otulona płaszczem wysoka kobieta. Cicho, jakby w ogóle nie dotykała stopami kamiennej posadzki, przemknęła przez korytarz i zniknęła za rogiem.

A tymczasem w sypialni Jadwigi długo jeszcze paliła się świeca. Władczyni leżała na swoim łóżu, wpatrując się w sufit.

W jej oczach, po raz pierwszy od bardzo dawna, pojawił się wyraz nieśmiałej nadziei.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nazajutrz po przyjeździe króla Zygmunta już od południa trwały pierwsze pojedynki wielkiego rycerskiego turnieju.

Miał potrwać trzy dni, toteż przygotowywano się do niego już od dawna i dokładano starań, aby zapisał się trwale w pamięci mieszkańców, a także dostojnych gości. Tym bardziej że zapowiedział w nim udział sam władca Węgier, znany z zamiłowania do takowych rozrywek. Tak więc już trzy dni wcześniej wydzielono za pomocą słupków oraz sznurów wielki plac na łące nad Wisłą, nieco dalej zaś, pomiędzy zagajnikami, powstało całe miasto, rozciągnięte na dobre trzy mile, złożone z dziesiątków różnobarwnych namiotów, pawilonów, tymczasowych stajni, kuźni, zbrojowni i bud z jedzeniem, pomiędzy którymi sterczały sztandary i proporce rycerzy. Panował gwar, ujeżdżano konie, muzykowano, a picie wina oraz piwa, które sprowadzono tam całymi beczkami, trwało już od rana, przez co doszło do kilku bójek oraz kłótni, na szczęście niezbyt poważnych.

Pogoda sprzyjała, choć ludzie z niepokojem patrzyli na gromadzące się na zachodzie ciemne chmury. Deszcz popsułby wszystko, dlatego pośród tłumu zjawilo się natychmiast wielu przepowiadaczy i zaklinaczy pogody. To był ich dzień, podobnie jak osobników przyjmujących po kryjomu zakłady.

Pierwszego dnia wykazać się mieli najpierw najmłodszy uczestnicy turnieju, często nawet trzynastoletni chłopcy z dobrych rodzin. Traktowano to jako zabawę oraz rozgrzewkę przed prawdziwymi szrankami. Rozpoczęli równo w południe, niedługo po uroczystej mszy świętej, odprawionej pod gołym niebem przez samego biskupa krakowskiego. Obserwowani przez niewielkie jeszcze grupki gapiów, młodzieńcy ścigali się konno, atakowali z sodeł drewniane kukły Saracena i Turka, brali udział w zapasach, strzelali z łuków do przywiązanych na słupach ptaków, odbywali piesze pojedynki na drewniane pałki.

Nie było to zbyt emocjonujące dla obserwatorów, jeśli nie liczyć rodziców tych chłopców. Prawdziwe tłumy zaczęły napływać nad rzekę dopiero po południu. Drewniane trybuny o czterech kondygnacjach, wzniesione przy samym placu turniejowym i osłonięte olbrzymim płóciennym dachem, przeznaczone były dla najdostojniejszych gości. Pospólstwo musiało się cisnąć przy ogradzających teren sznurach albo wchodzić na drzewa i dachy bud z jedzeniem.

Mimo że dzisiaj mieli stawać w szranki tylko pomniejsi, najmłodszy rycerze (sam król Zygmunt zapowiedział swój udział dopiero następnego dnia), zainteresowanie zmaganiem było ogromne. Każdy chciał ujrzeć dzielnych wojowników, tych współczesnych Lancelotów, Gawenów, Percewali, w ich złożonych lub posrebrzanych rynsztunkach, ryzykujących honor, zdrowie i życie dla turniejowej chwały. Przybyli z całego królestwa, a wielu także z odległych krajów, w towarzystwie heroldów i giermków, a każdy z nich miał nadzieję na zwycięstwo oraz główną nagrodę:

Złoty pierścień, konia i zbroję.

Milda szczególnie była zainteresowana konnymi gonitwami, lecz musiała się pojawić na trybunie.

Po pierwsze, obiecała to Mikołajowi i małemu Tomkowi, po drugie, w igrzyskach miał brać udział Gniewko alias Teodoryk, dzielny rycerz, który bardzo jej pomógł podczas pamiętnej wyprawy do Rożnowa. Od tamtej pory traktowała młodzieńca jak bliskiego przyjaciela, a on sam też zapewne liczył na jej oraz Amalii obecność podczas swoich popisów.

Amalia przybyła także, z Szymonem oraz Małgorzatą. Obie rodziny siedziały teraz obok siebie, na drugiej kondygnacji, w cieniu płóciennego dachu, podczas gdy na placu turniejowym trwały ostatnie przygotowania do uroczystego otwarcia.

– Znamienne, że królowa nie przybyła – rzekła Amalia, sięgając do miseczki z orzechami.

– Wczoraj podobno poczuła się źle podczas uczy – odparła Milda.

– Tak. Ale myślę, że to również swego rodzaju demonstracja.

– Tak uważasz? Przeciwno turniejowi?

– Turniejowi i Zygmuntowi – skwitowała jej przyjaciółka.

– Możliwe. Ale jutro na pewno już się pojawi. Luksemburczyk będzie przecież główną atrakcją.

– Oby go na oczach wszystkich zrzucili z konia – powiedziała Amalia z kamienną miną.

– Ciszej, niewiasto! – Milda się roześmiała. – Tutaj wszyscy podsłuchują.

– I pewnie wszyscy marzą o tym, co ja.

Obie trochę już ochłonęły po pierwszych reakcjach na ostatnie wydarzenia w ich życiu, mogły więc teraz swobodnie żartować. Zdążyły już się spotkać i zwierzyć jedna drugiej. Obie poczuły wtedy ulgę. Problem dzielony z kimś bliskim staje się łatwiejszy do zniesienia.

Rozmowę przerwał im odgłos bębnow. Na plac wkroczyli heroldowie, w krótkich tunikach, z laskami oraz trąbkami z przywieszonymi do nich proporczykami. To był ich czas. Mieli przedstawić uczestników i popisać się znajomością odczytywania herbów.

– To mój ulubiony moment – szepnęła Amalia. – Pokaz próżności. Prawdziwe pawie i koguty.

Za heroldami pojawili się pierwsi rycerze.

Wjeżdżali konno, przy akompaniamencie trąbek, anonsowani przez heroldów w najbardziej kwiecisty i zawły sposób, jaki można było sobie wyobrazić. Uczestnicy turnieju wyglądali pięknie i strasznie, zakuci w stal, w hełmach przystrojonych strusimi piórami, rogami lub metalowymi orlimi skrzydłami. Przypominali stworzenia z innego świata. Pokryte kropierzami rumaki także kojarzyły się z baśniowymi bestiami – włożono im metalowe naczółki, a siodła miały nienaturalnie wysokie łęki, chroniące jeźdźców przed uderzeniami kopii w dolną część ciała.

Prezentacja trwała długo, bo każdy rycerz musiał zostać dokładnie przedstawiony. Czasami sam miał też dużo do powiedzenia: powierzał się władcy, Bogu lub damie serca. Wszystko to miało w sobie coś z jarmarcznego przedstawienia, ale publiczność wcale się nie nudziła, podziwiając coraz to nowe cudaczne ozdoby na hełmach.

Potem rozpoczęły się pierwsze pojedynki.

Uczestnicy stawali konno naprzeciwko siebie, po czym ruszali do ataku – celem było trafienie kopią w tarczę przeciwnika z taką precyzją i siłą, aby ją roztrzaskać, a jeszcze lepiej – wysadzić rywala z siodła. Od razu zaczęli odpadać najsłabsi zawodnicy, którzy nie potrafili ujarzmić swych rumaków. Za każdym razem, gdy biedny koń uciekał od starcia w obawie przed

zderzeniem z wierzchowcem biegnącym mu naprzeciw, pośród publiczności rozlegały się gwizdy i śmiechy, w kierunku placu leciały grudki błota, owoce i warzywa. Niektórzy rycerze tak nieumiejętnie posługiwali się kopią, iż bardziej im ona przeszkadzała, niż pomagała.

Gniewko wystąpił w siódmej parze, mając za przeciwnika jakiegoś młodzieńca z Flandrii. Był we wspaniałej zbroi, na którą nałożył tunikę z wyhaftowanym na niej herbem, na głowie miał hełm w kształcie garnka, z wąską szczeliną na oczy. Gdyby nie został szczegółowo przedstawiony przez herolda, ani Milda, ani Amalia w ogóle by go nie poznały. Kiedy wjeżdżał na plac, powitały go brawa i krzyki, gdyż stał się ulubieńcem krakowskich dam – młody, złotowłosy i w ogóle piękny jak rycerz Okrągłego Stołu, co było dobitnie widać, kiedy zdjął hełm, aby się wszystkim ukazać.

Milda czuła lekkie zdenerwowanie, patrząc, jak spina ostrogami siwą klacz. Kopie były wprowadznie stępione na końcach, ale impet nacierających na siebie zwierząt sprawiał, że każdy błąd mógł kosztować życie. Nawet drzazgi ze skruszonej kopii były niebezpieczne dla oczu jeźdźca.

Jednakże przeciwnik Gniewka ledwie się trzymał w siodle i sam zrezygnował po drugim nawrocie, sugerując widzom, że ma jakieś kłopoty z naramiennikiem. Po kilku następnych starciach zarządzono przerwę, bo ziemia na placu była już za bardzo stratowana i zryta końskimi kopytami, toteż pachołkowie z grabiami musieli trochę uporządkować teren zmagania.

– Szczerze mówiąc, mam już trochę dość tego widowiska – rzekła Milda do męża, kiedy właśnie przygotowywano się do wznowienia walk.

– Ja chyba też. – Mikołaj pokiwał głową.

Rycerskie zmagania dalekie były od tego, co naprawdę go fascynowało, czyli, rzecz jasna, handlu.

– I robi się zimno – dodał.

– Idziemy?

– Tak.

Tomko, który obserwował zawody nawet z pewnym zainteresowaniem, nie protestował, kiedy wstali z ław. Wszystkie starcia wyglądały bardzo podobnie, kiedy się zobaczyło jedno, to jakby widziało się wszystkie –

a najlepsi i tak mieli walczyć dopiero nazajutrz. Ponieważ Amalia oraz Szymon postanowili zostać jeszcze i zobaczyć ostatni pojedynek Gniewka, rodzina kupiecka pożegnała się z nimi na trybunie.

– Jutro przyjdziemy o tej samej porze – powiedziała Milda.

– Król Zygmunt ma walczyć dopiero wieczorem, tak słyszałem – rzekł Szymon. – Przy świetle pochodni, aby było bardziej widowiskowo.

– No cóż, zapowiada się zatem długi wieczór – odparła.

– Jak będziemy mieć szczęście – Amalia się uśmiechnęła – to przed samym występem króla zacznie się ulewa.

Wszyscy się roześmiali.

Milda rozejrzała się dyskretnie, czy ktoś nie usłyszał tej kolejnej już złośliwości, i nagle zamarła. Po trybunie wspinał się mistrz Miguel – poznała go natychmiast po stroju. Już miała szybko odwrócić wzrok, gdy Katalończyk akurat na nią popatrzył. Też chyba nie spodziewał się tego spotkania, bowiem prócz zaskoczenia ujrzała na śniadej twarzy mistrza lekki popłoch. Nie wypadało im teraz udawać, że się nie dostrzegli, gdyż wyglądałoby to tak, jakby mieli się czego wstydzić albo coś przed innymi ukrywali.

Tym bardziej że i Tomko dostrzegł już swego nauczyciela.

– Doktor – powiedział z uśmiechem, wskazując na przybyłego.

Oblicze Mikołaja natychmiast stężało, co nie uszło uwagi Mildy, na szczęście jej mąż szybko się opanował, przywołując na twarz swój zawodowy uśmiech – uprzejmy i równie powierzchowny jak pawie pióro zdobiące jego pilśniowy kapelusz.

– O, mistrz Miguel – powiedział gromkim głosem. – Nie przypuszczałem, że tego rodzaju gminne rozrywki są w waszym guście.

Katalończyk skłonił się wszystkim, także uśmiechnięty.

– W moim kraju najbardziej wyrafinowanym widowiskiem nazywa się walkę ludzi z bykami, toteż trudno powiedzieć, abym czuł się teraz zde gustowany.

– Z bykami? – zdziwił się Mikołaj.

– Owszem, na arenie.

– Dziwaczne.

Milda czuła, że na jej twarz wypływa rumieniec. Chyba wszyscy – prócz Tomka – czuli się teraz skrepowani. Wypadało przedstawić Miguela Amalii oraz Szymonowi. Uczyniła to w kilku słowach, skupiając się głównie na

tym, że doktor dba o zdrowie starego Bartłomieja, czyli na jego najbardziej prozaicznym zajęciu. Nie wspomniała nawet o lekcjach z Tomkiem. Potem z kolei przedstawiła uczonemu Amalię i jej męża. Kiedy Miguel dowiedział się, że Szymon studiował w Bolonii, a teraz uczestniczy w pracach nad przywróceniem Studium Generale, jego twarz rozjaśnił autentyczny już uśmiech.

– Jakże wspaniałe i zaszczytne zadanie! – zawołał. – Szczerze zazdroszczę. Nie każdemu dane jest tworzyć historię.

– Jestem tylko skromnym doradcą królowej – odparł młody prawnik, z zakłopotaniem skubiąc brodę. – To jej dzieło. No i króla, oczywiście.

– Oczywiście. Lecz samo przebywanie w towarzystwie monarchów musi być wspaniałe.

– To prawda.

– Mam jednak małą przestrożę. – Katalończyk zmrużył oko. – Na Wschodzie powiadają: „Najlepszym z sułtanów jest ten, który często przestaje z uczonymi. Ale najgorszym spośród uczonych jest ten, który często przestaje z sułtanem”.

Wszyscy się roześmiali, a Milda odetchnęła z ulgą, bo Miguel z właściwą sobie zręcznością rozładował napiętą atmosferę. Tylko Mikołaj wydawał się wciąż sztywny, mimo że śmiał się jak inni. Coraz wyraźniej dostrzegała, że jej mąż – pod maską opanowania i uprzejmości – skrywał duży niepokój. Musiała to w najbliższym czasie załagodzić.

Za wszelką cenę, aby ratować ich miłość.

Katalończyk szybko się ulotnił, a chwilę potem Milda, Mikołaj i Tomko również opuścili trybunę.

Przy pawilonach i namiotach trwały już przygotowania do wieczornej biesiady. Rozstawiono długie stoły na kozłach, na roznach obracały się prosiaki i wszędzie czuć było zapach pieczonego mięsa.

Przed powrotem do domu Milda chciała jeszcze odwiedzić wawelską aptekę, ponieważ potrzebowała pewnych ziół, a prócz tego dawno nie widziała się z Zenobiuszem.

Mikołaj spotkał tuż przy zamkowej bramie znajomego kupca, czcigodnego Andrzeja Wierzynka. Jak zwykle w takich razach rozpoczęła się ożywiona dyskusja o interesach, bo ci o niczym innym nie potrafili chyba rozmawiać.

Tak więc Milda powiedziała mężowi, że nie ma potrzeby, aby z nią szedł do apteki, pójdzie tam sama z Tomkiem, załatwi swoje sprawy i zaraz wróci.

Oczywiście zgodził się skwapliwie.

Aż nazbyt skwapliwie.

Zrobiło się już niemal całkiem ciemno – na zewnętrznym dziedzińcu zamkowym płonęły łuczywa i ogniska – a także pusto, jeśli nie liczyć strażników. Jak się domyśliła Milda, wszyscy nadal przebywali nad rzeką i albo śledzili rycerskie gonitwy, albo już zaczęli pić i ucztować pod gołym niebem, co było niezbędnym elementem każdego turnieju.

Weszła wraz z synem do apteki, której wewnątrz oświetlał tylko ogień w kominie. Pomarańczowa poświata nadawała pomieszczeniu aurę tajemniczości, godnej pracowni czarnoksiężnika.

Zenobiusz siedział skulony w fotelu przy ogniu, rozgarniając długim szpikulcem węgle.

– Kogo to moje stare oczy widzą! – ucieszył się na widok dawnej pomocnicy.

Z jego kolan zeskoczył czarny kocur.

– Zateśniłam, mistrzu – powiedziała z uśmiechem Milda.

– I potrzebujecie ziół.

– To też. A także dwóch maści.

Staruszek podniósł się z wysiłkiem na nogi, aż strzyknęło mu w stawach. Miał na sobie brązowy płaszcz z surowego płótna.

– Jakie tym razem?

Podawała mu nazwy i przyklęknęła, by pogłaskać kota.

– Ktoś o was pytał dzisiaj – oznajmił aptekarz, wracając z jakimiś woreczkami.

– Tak?

– Mówił jakby z rusińskim akcentem.

Drgnęła zaintrygowana.

– Kto to taki?

Natychmiast pomyślała o Varnasie, ale przecież Zenobiusz znał jej brata.

– Nie przedstawił się. Młody, w kapturze. Jednakże znał wasze imię.

I wiedział, że pracowałam kiedyś w aptece, pomyślała, coraz bardziej zaciekawiona, lecz i zaniepokojona. Któż to mógł być? Tego rodzaju tajemniczość ani trochę jej się nie podobała, zwłaszcza o tej porze,

w opustoszałym zamku, no i po ostatnim spotkaniu z Justynem, który, choć kaleki, mógł jeszcze nasłać na nią jakiegoś szaleńca, wmawiając mu, że żona kupca jest pogańską wiedźmą.

Izabel.

Mimo że racjonalna część umysłu uspokajała Mildę, iż nikt nie ośmieliłby się zaatakować jej na Wawelu tak jawnie, w pobliżu uzbrojonych wartowników, to pożałowała teraz, iż zostawiła męża przed bramą. A raczej była na niego zła, że jak zawsze przy pierwszej lepszej okazji musiał załatwiać jakieś interesy. Działo się tak zawsze, gdy przebywali gdzieś razem, poza domem i sklepem. Najpierw czuł się nieswój, udawał zainteresowanie sprawami innymi niż handel, a potem zazwyczaj spotykał kogoś, z kim nareszcie mógł porozmawiać o pieniądzach.

Zapłaciła za zioła oraz maści, pożegnała się z Zenobiuszem i kotem, a potem otuliła się szczelniej płaszczem. Chwyciła syna za rękę i wyszli razem na zewnętrzny dziedziniec zamku. Wrześniowy wieczór był chłodny i pachniał już jesienią, ulubioną porą roku Mildy. Pochyliwszy głowę, ruszyła przed siebie szybkim krokiem w kierunku bramy, a biedny Tomko niemal biegł, aby dotrzymać matce kroku. Było tu cicho, słyszała tylko chrzęst żwiru pod swoimi stopami oraz odległe głosy znad Wisły – krzyki i śpiewy.

Już po kilku krokach zorientowała się, że ktoś za nimi idzie, ktoś cichy jak cień, dlatego też raczej poczuła to, niż usłyszała. Serce zabiło jej mocniej, ale się nie odwróciła. Chciała jak najszybciej dotrzeć do bramy, gdzie widziała ciemną sylwetkę strażnika. Na wszelki wypadek ustawiła Tomka przed sobą, żeby osłonić go własnym ciałem w razie napaści z tyłu.

– Pani, błagam, zaczekajcie – usłyszała cichy głos, przemawiający w jej rodzimym języku.

Wyczuła w nim nutę błagania i niepewność, tak więc zatrzymała się i odwróciła, teraz bardziej zaciekawiona niż przestraszona. Zobaczyła nieznanego mężczyznę w opończy, z nasuniętym na twarz kapturem. W ciemnościach trudno było rozpoznać rysy, ale jego głos wskazywał, iż jest to młody człowiek. Nie miał w rękach żadnej pałki ani noża.

– Pani...

– Kim jesteście? – spytała ostro.

– Zwą mnie Jurgis.

– Jesteście z Litwy?

– Z Wilna.

– Czemu mnie śledzicie jak jakiś zbir?

– Bo...

– Bo?

– Bo nikt mnie nie może z wami zobaczyć.

– A to niby czemu? Czego właściwie ode mnie chcecie? Skąd wiedzieliście, gdzie mnie szukać?

Podszedł bliżej, a Milda jeszcze bardziej przyciągnęła do siebie Tomka.

– Wiem, pani, że jesteście Litwinką, bo znałem waszego brata. Jestem w straży króla Władysława.

Uchylił kaptur, pokazując twarz, jak gdyby mniemał, iż jego oblicze jest doskonale znane wszystkim mieszkańcom miasta i jego widok przemówi sam za siebie. Okazało się, że wcale nie jest aż taki młody, miał ostre rysy i ciemny zarost.

– Nigdy was nie widziałam – odparła. – Mówcie, czego chcecie, bo mi spieszno. Mam dość tych tajemnic.

Ponownie zakrył twarz kapturem.

– Pani, jutro będę brał udział w rycerskich zmaganiach. Chodzi o walkę na kopie.

– Wiem, o co chodzi w tych zawodach – przerwała mu. – Dlaczego mi to mówicie?

– Słyszałem, że jesteście uzdrowiaczką.

– Nie jestem.

– Ale mówi się, że rzuciliście urok na hutmana Justyna, tak że go pokręciło.

– To bzdury. – Odwróciła się, by odejść.

– Pani. – Chwyił ją za ramię. – Błagam! Potrzebuję zaklęcia i amuletu na jutrzejsze walki. Bogowie muszą być ze mną, muszą mnie obronić przed kościelnymi modlitwami.

Milda, coraz bardziej zniecierpliwiona i zła, uwolniła się od jego dłoni.

– Macie mnie za wiedźmę? – zapytała lodowatym tonem.

– Tak o was powiadają – odparł, schyliwszy głowę.

– Nie wiercie w to.

– Jedno zaklęcie.

– Nie.

– Amulet?

– Żegnam.
– Jakaś maść chroniąca od ciosów?
Już miała odejść, jednak coś ją tknęło.
– Maść powiadacie? – Uśmiechnęła się lekko.
– Macie taką? – W rycerzu odżyła nadzieja. – Zapłacę każdą cenę.
– Wystarczą tylko dwa grosze. – Wyjęła zza pazuchy mały słoik, który dopiero co kupiła od Zenobiusza.

Jurgis pospiesznie wygrzebał z mieszka monety, wręczył je Mildzie i wziął od niej maść, cały rozpromieniony, choć wciąż czujnie rozglądał się na boki, czy ktoś ich nie obserwuje. Rycerzom uczestniczącym w turniejach nie wolno było stosować żadnych magicznych środków. Gdyby go złapano na takich praktykach, mógł za to zapłacić nawet głową.

– Jak mam ją stosować? – zapytał teraz konspiracyjnym szeptem.

Nabrała głębiej powietrza.

– To proste, szlachetny rycerzu – odrzekła spokojnie. – Jutro, zaraz po turnieju, nałożycie grubą warstwę maści na te miejsca, które będą was najbardziej bolały po upadku z konia. Powinno nieco ulżyć.

To rzekłszy, ruszyła w kierunku bramy, ciągnąc za sobą Tomka.

W domu zastała Mikołaja, który głośno dyskutował z ojcem. Stary Bartłomiej coraz gorzej słyszał, więc jak wszyscy ludzie w podobnej sytuacji nie tyle mówił, ile krzyczał. Teraz wręcz grzmiał, wyraźnie podenerwowany.

– Nie obchodzi mnie twoje zdanie! Zrobię, co sam uznam za stosowne.

Wejście Mildy sprawiło, że staruszek nieco się uspokoił. Ostatnimi czasy dużo lepiej ją traktował, widząc, że synowa lepiej go rozumie niż własny syn. Chwycił teraz za poję płaszcz Litwinki, zanim jeszcze zdążyła się rozebrać.

– Może przekonasz tego upartego osła, swojego męża, że nie jestem zniedołężniałym starcem i mogę wychodzić z domu?

– O co chodzi, mój panie teściu? – spytała zmęczonym głosem, zdejmując srebrną zapinkę z płaszczu i oddając go służącej.

Potem szybko przekazała Tomka piastunce.

– Ojciec chce się jutro wybrać na turniej. – Mikołaj wyprzedził wyjaśnienia wciąż czerwonego z gniewu Bartłomieja. – A przecież ledwo się porusza.

– Ledwo się porusza... Ledwo się porusza... – zaczął go przedrzeźniać starzec. – Jak w ogóle śmiesz tak mówić o swoim rodzicielu? Jeszcze mógłbym cię przegonić!

Milda rzuciła znaczące spojrzenie mężowi, który już się szykował do odpowiedzi. Mówiło ono wyraźnie, żeby dał spokój.

Jej mąż, mimo wszystko łagodny człowiek, zdecydowanie nie grzeszył znajomością sztuki dyplomacji ani nawet zwykłym wyczuciem chwili czy też taktem. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że takim stwierdzeniem sprawia swemu ojcu przykrość i go ośmiesza.

– Ależ myślę, czcigodny teściu, myślę, że obaj źle się zrozumieliście. Mojemu mężowi chodziło przede wszystkim o to, że jutro zrobi się tam ogromny ścisk i że mogłoby to być dla was niebezpieczne. Każdy będzie się pchał, żeby zobaczyć nie tyle pojedynki, ile madziarskiego króla. To wszystko z troski o was.

– Lepiej niech on się troszczy o siebie – mruknął nieco już udobruchany Bartłomiej. – Dam sobie radę. Też chcę zobaczyć króla. A nawet obu królów. Jagiełło tak rzadko przebywa w Krakowie, że to niepowtarzalna okazja, aby sobie w końcu przypomnieć, jak wygląda nasz władca.

Starzec już od dawna poruszał się tylko o lasce, a jeśli mógł, to nie poruszał się wcale. Od kiedy odkrył smak konfitur przygotowywanych przez Mildę, siedział w swoim łożu, otoczony miseczkami, i napychał się słodyczami jak dziecko. Nie mogło to oczywiście pozostać bez wpływu na jego tuszę. Chore nogi z coraz większym trudem utrzymywały ogromny ciężar ciała. Nie słuchał nawet rad Miguela, który wprowadzie coraz rzadziej pojawiał się w domu kupca, ale całkiem nie zaniedbał swojego pacjenta. Tylko z Tomkiem Katalończyk spotykał się rzadziej, chłopiec dostał dwóch innych nauczycieli, którzy teraz go edukowali.

– Dobrze – mruknął w końcu Mikołaj. – Wybierzemy się tam jutro razem, ojciec. Wezmę do pomocy dwóch służących, którzy będą pilnowali, żeby nikt nas nie stratował w tej cizbie.

– Tylko ty jeszcze potrafisz się dogadać z moim ojcem. – Mikołaj westchnął, kiedy już leżeli razem w małżeńskim łóżu. – Ja chwilami nie mam cierpliwości.

– Bo obaj jesteście uparci jak osły. – Milda zaśmiała się cicho, zdmuchując płomień łojówki stojącej na stoliku obok.

Zapadła ciemność. Już dawno wybrzmiał głos wieczornego dzwonu, odtrąbiono gaszenie ognia w domach, a za oknem słychać było tylko kroki nocnego stróża, patrolującego z latarnią ulice. Oboje jednak nie mogli zasnąć, Mikołaj przeżywał wciąż rozmowę z ojcem i zastanawiał się, w jaki sposób uda się doprowadzić starca na miejsce turnieju. Żaden pojazd nie wchodził w grę z powodu spodziewanych tego dnia tłumów, pozostało tylko dotrzeć tam pieszo.

Tylko jak?

– Jak ja go tam zaprowadzę? – spytał głośno, aż Milda się wzdrygnęła. Zaczęła już powoli zapadać w sen.

– Może jakieś krzeselko, taki rodzaj lektyki niesionej przez służących? – mruknęła sennym głosem i zaraz poczuła, jak sen zaczyna uciekać niczym piasek w klepsydrze.

Wiedziała już, że będzie miała kłopot z ponownym zaśnięciem.

– A wiesz, że to całkiem dobry pomysł? – ucieszył się Mikołaj. – Może nie przez całą drogę, bo żaden służący nie wytrzyma takiego obciążenia, ale choćby od czasu do czasu.

Przewrócił się na drugi bok, lecz i do niego nie chciał przyjść sen. Kolejna myśl nie dawała mu spokoju.

– Co cię dzisiaj tak długo zatrzymało w aptece? Zapomniałem z tego wszystkiego spytać. Martwiłem się już.

Milda opowiedziała mu o rycerzu, a także o tym, jakiej pomocy mu udzieliła, lecz, wbrew jej oczekiwaniom, mąż wcale się nie śmiał. Odwrócił się do niej w ciemności.

– To nie jest zabawne – powiedział poważnym głosem. – Martwi mnie, że wciąż znajdują się ludzie, którzy uważają cię za wiedźmę.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo nagle do ich uszu dobiegł przeraźliwy krzyk z sypialni syna. Zerwali się oboje na równe nogi. Milda ruszyła w tamtą stronę po omacku, za nią biegł Mikołaj, zapalając po drodze łojówkę. Kiedy wpadli do izdebki, Tomko siedział na łóżku, oczy miał szeroko otwarte, wydawało się jednak, że nikogo ani niczego nie widzi.

Śpiąca z nim w tym samym pokoju piastunka bez powodzenia usiłowała go obudzić.

Milda dobiegła do chłopca, odebrała go kobiecie i mocno przytuliła do piersi.

– Co się stało, synku? Obudź się!

Spojrzał na nią i w końcu wydawało się, że zaczyna dochodzić do siebie.

– Gniewko... – Nagle zapłakał głośno. – Gniewko...

– Co Gniewko? Co się stało?

– Widziałem Gniewka w czerwonej zbroi!

– To tylko sen, kochanie.

– On nie żyje, matko. To była krew. Wszędzie pełno krwi!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Tuż po zakończeniu porannej mszy, którą jak zwykle odprawił siwowłosy ojciec Egon, kościół Najświętszej Marii Panny zaczął się powoli wyludniać i pograżać w mroku.

Jeszcze przez jakiś czas panował ruch, kiedy wierni wstawali z ław, ministranci gasili świece, a garbaty kościelny krzątał się gdzieś w pobliżu cyborium. Lecz w krótkim czasie olbrzymia nawa świątyni niemal całkowicie opustoszała. Zrobiło się mroczno jak w jaskini, bo jedyne światło wpadało teraz przez witraże ostrołukowych okien. Ciemności stopniowo zakryły wysokie żebrowe sklepienie, stalle pod polichromowanymi ścianami, ławy dostojników, a także znajdujące się przy wejściu rusztowania.

Zdawało się, że w kościele pozostał już tylko jeden człowiek, odziany w zwykłą szarą oponczę z kapturem.

Gniewko, jasnowłosy rycerz z przybocznej straży królowej Jadwigi, klęczał na stopniach głównego ołtarza, ze spuszczoną głową, zatopiony w żarliwej modlitwie.

Dopiero co przyjął od Egona Ciało Pańskie, a teraz prosił Boga, by strzegł go podczas mającego odbyć się tego popołudnia rycerskiego turnieju. I prosił również, by Pan dopomógł mu w zwycięstwie. Ponieważ musiał pokonać wszystkich przeciwników. Obiecywał Najwyższemu, że całą nagrodę pieniężną odda temu kościołowi, a także biednym, byle tylko wygrał dzisiejsze zmagania.

Nie zależało mu na bogactwach, pragnął jedynie rycerskiej chwały. Pragnął jej od dziecka. Od czasów, kiedy matka czytała mu o bohaterskich czynach Achillesa, Cyda, króla Artura, sir Lancelota oraz Rolanda. Całe jego dotychczasowe życie podążało ku jednemu tylko celowi, którym było osiągnięcie rycerskiego ideału.

Dzięki temu, że Gniewko pochodził ze szlacheckiego i bogatego rodu – był wnukiem kasztelana i wojewody sieradzkiego, Świętopełka, herbu Lis – łatwiej niż innym przyszło mu realizować swe marzenie. Najpierw został giermkim starego rycerza, Jana ze Skawiny. Służył mu wiernie i na tyle się wyróżniał odwagą oraz umiejętnościami, że już w wieku dziewiętnastu lat został pasowany na rycerza. Rzecz jasna, niemało dopomogła w tym pozycja jego rodziny, lecz kolejne osiągnięcia młody Gniewko zawdzięczał już wyłącznie samemu sobie.

W ciągu ostatnich siedmiu lat wziął udział w trzech rycerskich turniejach – w Pradze, Moguncji i Budzie – i zdobył pierwsze nagrody na dwóch ostatnich. Największy jednak podziw zyskał nie dzięki tym potyczkom, lecz podczas uwalniania pani Amalii z rąk roznowskiego szaleńca i mordercy Zbigniewa. To wtedy jasnowłosy rycerz zwrócił na siebie uwagę samej królowej Jadwigi. Mimo młodego wieku Gniewko zyskał wielką popularność i wróżono mu wspaniałą przyszłość.

Właśnie dlatego pragnął teraz przypieczętować swą pozycję zwycięstwem na tak prestiżowym turnieju, w obecności nie tylko Władysława i Jadwigi, ale również madziarskiego Zygmunta oraz jego świty. To zapewniłoby mu międzynarodową sławę i wieczną pamięć.

Nie bez znaczenia było również to, iż miał dzisiaj walczyć dla swojej damy serca, przywiezionej latem z Karpat płowowłosej Danusi. Otrzymał już od niej na szczęście rękawiczkę, dwie wstążki, szarfę oraz chustkę. Wstążki zamierzał dzisiaj przyczepić sobie do hełmu.

– Panie Wszechmogący, daj mi dziś zwycięstwo – powiedział szeptem. – A przysięgam, że już do końca swych dni służyć będę swym mieczem Tobie oraz Kościołowi rzymskiemu.

Przeżegnał się i wstał, nieco oszołomiony mrokiem i ciszą w pustym kościele. Przedtem, zatopiony w modlitwie, nie zwracał uwagi na nic innego.

Uspokojony i przepełniony duchową mocą, ruszył w kierunku wyjścia pomiędzy ławkami olbrzymiej nawy. Krocząc energicznie po kamiennej posadzce z ośmiobocznych dwubarwnych płyt, nie usłyszał, jak za jego plecami, z jednej z ławek przeznaczonych dla najzamożniejszych mieszczan podnosi się jakaś postać.

Milda ruszyła w ślad za młodym rycerzem, starając się robić jak najmniej hałasu, aby przynajmniej tutaj, w świątyni, nie zakłócać religijnego

skupienia Gniewka. Przez długi czas obserwowała go, gdy klęczał przy balustradzie oddzielającej nawę od prezbiterium, naprzeciwko ołtarza oraz drewnianej ambony. Przez cały ten czas szukała słów, za pomocą których udałoby jej się odwieść młodzieńca od udziału w dzisiejszych potyczkach.

Niestety, nic nie przychodziło jej do głowy.

Musiała jednak spróbować.

Bardzo poważnie potraktowała sen – a może raczej wizję – Tomka. Zbyt często sama doświadczała podobnych ostrzeżeń, by lekceważyć zsyłane we śnie znaki. A to, że synek odziedziczył po niej ten przeklęty dar, było już dla niej więcej niż pewne. Kiedy tylko się dowiedziała, iż Gniewko uczestniczy w porannej mszy w kościele Najświętszej Marii Panny, wciąż jeszcze podenerwowana udała się tam natychmiast. W prostej sukni, z włosami schowanymi pod chustką, wysłuchiwała kazania, w którym ojciec Egon głośno piętnował dziewczki cmentarne oraz ich klientów (turniej spowodował rozprężenie obyczajów w mieście), zapowiadał rychły koniec świata i narzekał na zbyt małe datki na kościół. Potem patrzyła, jak Gniewko przyjmuje Ciało Pańskie, a następnie, gdy świątynia zaczęła już się wyludniać, pogrąża się w modlitwie.

Nie miała żadnych wątpliwości, o co może się modlić rycerz w tak ważnym dla niego dniu.

Kiedy Gniewko znalazł się już przy drzwiach wyjściowych, przyspieszyła kroku, aby go nie zgubić na Rynku Głównym, zwłaszcza że był ubrany jak większość ubogich mieszczan i łatwo mógł się wtopić w tłum.

Po mroku panującym w kościele ostre wrześnie słońce całkiem ją oślepiło i przez chwilę musiała przyzwyczajać wzrok do nowych warunków.

Potem zobaczyła młodzieńca, jak zmierzał w kierunku ulicy Grodzkiej. Szedł wzdłuż bud rzeźników.

Co powinna mu powiedzieć?

– Zaczekajcie! – zawołała.

Zatrzymał się i spojrzał na nią przez ramię. Jego przystojna twarz rozpromieniła się w szerokim uśmiechu.

– Pani Milda.

Podeszła do niego szybkim krokiem. Ponieważ wciąż nie wiedziała, jak ma zacząć, postanowiła od razu przejść do rzeczy.

– Zrezygnujcie z dzisiejszych zmaganiań – powiedziała błagalnym tonem.

Uśmiech zamarł na jego ustach, w oczach pojawiło się zdumienie.

– Słucham?

Nabrała głębiej powietrza.

– Nie walczcie, błagam was.

– To... niemożliwe. Dlaczego miałbym się wycofać? – Patrzył na nią, przechyliwszy głowę, a wyraz zaskoczenia nie zniknął z jego twarzy. – O co chodzi? Czy to jakieś żarty?

– Możecie wierzyć lub nie, ale miałam wizję.

Uznała, że nie ma co komplikować sprawy, mieszając w to wszystko małe dziecko.

– Dotyczącą was.

– Wizję?

– Bóg zesłał mi proroczy sen – uściśliła, nie chcąc, by skojarzył te słowa z jej pogańskim pochodzeniem. – W owym śnie spoktało was nieszczęście w dzisiejszych walkach.

Gniewko lekko pobladł, a w jego spojrzeniu pojawił się lęk.

– Śmierć? – spytał cicho.

Potwierdziła z poważną miną.

Nerwowym ruchem przecesał długie jasne włosy, zrobił krok do przodu, potem dwa do tyłu. Był wstrząśnięty, co Milda uznała za dobry znak. Jednakże po chwili młody rycerz ochłonął.

– Nie, nie mogę – odparł, patrząc pod nogi. – To tylko sen. Nie może pochodzić od Boga, bo nie jesteście, pani, świętą. Z całym szacunkiem. Ten sen nic nie znaczy.

– Miewałam już takie i zawsze się spełniały.

– Przed chwilą rozmawiałem z Bogiem i ślubowałam mu...

– Posłuchajcie – przerwała. – Nie prosiłabym was o wycofanie się, gdyby to były tylko złe przeczucia. Wiem dobrze, ile te zmagania dla was znaczą.

– Uznano by mnie za tchórza – odparł, patrząc jej w oczy. – Okryłbym się niesławą na długie lata, a może i do końca życia.

– Więc udajcie chorobę!

– Wtedy straciłbym szacunek dla samego siebie.

Czuła się bezradna, coraz jaśniej zdawała sobie sprawę, że nie pokona dumy i uporu młodego wojownika.

– Złe wróżby to zabobony – powiedział. – Rycerz nie może się lękać snów. A jeśli pisane mi zginąć, nie ucieknę od przeznaczenia. Wszystko

w rękach Boga.

Uklonił jej się, odwrócił i ruszył w kierunku Grodzkiej. Odprowadziła go wzrokiem, póki nie zniknął jej z oczu.

Podobnie jak poprzedniego dnia zmagania rozpoczęły się późnym popołudniem.

Brało w nich udział dwunastu najlepszych rycerzy, w tym czterech wyłonionych podczas wczorajszych rozgrywek, no i przede wszystkim król Zygmunt. Dlatego też błonia nad Wisłą wypełniał taki tłum, że trudno było się dopchać do parkanu oddzielającego plac turniejowy od widowni.

Atmosfera była napięta nie tylko z powodu mających nastąpić walk. Dzisiejszego popołudnia na trybunach zasiadło wielu gości z Budy, aby podziwiać swego władcę. A powiedzieć, że mieszkańcy Krakowa i Madziarzy za sobą nie przepadali, to zbyt mało. Wzajemna antypatia sięgała czasów, gdy w polskiej stolicy rządziła Elżbieta, babka Jadwigi, sławna królowa Kikuta. Wtedy to grupka rozochoconych winem młodych Węgrów z otoczenia królowej sprowokowała w mieście bójkę z Polakami, podczas której zginął, postrzelony z łuku, starosta krakowski Jan Kmita. Jego śmierć stała się przyczyną straszliwych zamieszek. Motłoch zapalał żądzą zemsty. Już od dawna patrzono krzywo na swawolę i bezkarność gości z Budy.

Zaczęła się rzeź.

Chodzono po domach, gdzie mieszkali Węgrzy i mordowano każdego Madziara, który nie zdążył uciec na Wawel, nie zważając na płeć ani wiek ofiar. Wyłamywano bramy i kraty, zrywano okiennice, byle dostać się do środka, gdzie zabarykadowali się przerażeni przybysze z nad Dunaju. Krew spływała po schodach, dzieci wyrzucano z okien na bruk. Pogrom trwał do późnej nocy. Królewskie dwórki spuszczały z okien zamku drabiny, aby ratować uciekających w panice cudzoziemców, lecz niewielu z nich zdołało się wspiąć do komnat, ponieważ oprawcy strzelali do nich z łuków i rzucali w plecy oszczepami. Zginęło wtedy stu sześćdziesięciu Węgrów.

Aby więc zapobiec dzisiaj ewentualnym rozruchom, cały plac turniejowy otaczali łucznicy, kusznicy oraz strażnicy miejscy z pałkami.

Turniej rozpoczął się po południu, kiedy na trybunie honorowej, pod jedwabnym baldachimem w kolorze złota zasiedli nareszcie król Władysław oraz królowa Jadwiga.

Podczas pierwszych rycerskich starć świeciło słońce, lecz gdy nastąpiła przerwa, niebo się zachmurzyło, zerwał się wiatr, a od rzeki powiało chłodem. Zanosilo się na deszcz.

Gniewko, który gładko wygrał swoje pierwsze dzisiejsze starcie, przygotowywał się do kolejnej rundy na placu namiotowym, gdzie mieli dostęp tylko uczestnicy turnieju oraz ich bliscy. Towarzyszyła mu Danusia, zapatrzona w młodego rycerza jak w obrazek.

– To z nim będziesz teraz walczył? – spytała cicho, wskazując głową na stojącego nieopodal olbrzymiego Węgra z podgoloną na karku i skroniach czarną czupryną.

Był to niejaki Gejza, mocny zawodnik, rycerz z najbliższego otoczenia Zygmunta. On również łatwo pokonał swojego pierwszego przeciwnika i od czasu do czasu rzucał wyzywające spojrzenia w kierunku Polaka.

– Chyba tak – odpowiedział Gniewko, w roztargnieniu patrząc w niebo, gdzie gromadziły się ciemne chmury.

– Jesteś dziś jakiś posępny – zauważyła dziewczyna.

– Ja? Nie, nie. Martwię się tylko o pogodę – szybko odrzekł młody rycerz.

Głowę opinał mu watowany czerwony czepiec, na który tuż przed walką miał nałożyć trzymany teraz pod pachą stalowy hełm z przyczepionymi do niego tasiemkami. Był już w pełnej zbroi i narzuconej na nią długiej do połowy uda tunice bez rękawów, z wyhaftowanym na przodzie herbem – czerwonym lisem stojącym na tylnych łapach.

– A jednak coś cię gnębi... – Danusia nie spuszczała czujnego wzroku z twarzy ukochanego – Wczoraj przed walką byłeś wesół.

– Wczoraj, moja najmilsza, to było łatwo – mruknął.

Nie chciał się dzielić z dziewczyną obawami, jakie zasiała w nim rano Milda. Wprawdzie powiedział Litwince, że nie wierzy w sny i znaki, jednakże, jak każdy rycerz, był przesądny. Tamta rozmowa wytrąciła go z równowagi. Starał się nie myśleć o słowach żony kupca, lecz im więcej

w to wkładał wysiłku, tym wyraźniej rozbrzmiewała mu w głowie ponura przepowiednia.

– Na pewno pokonasz wszystkich – zapewniła go dziewczyna. – Jesteś najdzielniejszy.

Uśmiechnął się z przymusem, podszedł i pocałował ją w policzek.

– Wygram dla ciebie, najdroższa – powiedział.

Giermek przyprowadził jego siwą wysmukłą klacz o nieco ściętym zadzie. Zwierzę, osiodłane już i pokryte kropierzem, z naczółkiem na łbie, było niespokojne, przeczuwając walkę. Rozdęte nozdrza ukazywały różowe wnętrza, mięśnie drgały pod gładką jak atlas skórą, a nabiegłe krwią wypukłe oczy patrzyły na swojego jeźdźca niemal z miłością. Gniewko poklepał klacz po szyi.

– Dobry konik. Pokażemy dzisiaj wszystkim, kto jest najlepszy.

Od strony placu turniejowego rozległ się sygnał trąb, dłuższy i bardziej skomplikowany niż zwykle.

– Oho! – Gniewko się uśmiechnął. – Król Zygmunt staje do walki.

Milda wraz z rodziną siedziała na trybunie dla kupców oraz innych bogatych mieszczan. Przybył nawet Bartłomiej, choć od rana narzekał, iż straszliwie łamie go w kościach. Niestety, nie było przy nich dzisiaj Amalii ani Szymona, podobno rozchorowała się Małgorzata i zostali z nią w domu.

Milda ciągle odczuwała lekki niepokój, choć uspokoiła się nieco, widząc pierwsze potyczki, które nie wyglądały groźnie. Rycerze starali się raczej nie robić sobie nawzajem krzywdy. Skruszono kilka kopii, lecz nikt nawet nie spadł z siodła, tylko jeden z jeźdźców zeskoczył na ziemię, kiedy jego koń przechylił się na bok i wyglądało na to, że zaraz się wywróci.

Potem w ogóle oderwała się od złych myśli, ponieważ na plac uroczyście wjechał Zygmunt Luksemburski. Tłum powitał węgierskiego władcę brawami, okrzykami i pojedynczymi gwizdami.

– Boże Wszechmogący – głośno sapnął Bartłomiej na widok złotej zbroi monarchy. – Toż to musi być warte...

Zaczął głośno obliczać, ile grzywien trzeba by zapłacić za taki rynsztunek, lecz nikt nie zwracał na niego uwagi, bo oczy wszystkich utkwione były w złotym jeźdźcu.

Trzeba przyznać, że Zygmunt dobrze panował nad swoim rumakiem, gniadym ogierem ze strzałką na czole i białymi pęciami. Objechał truchtem plac, kierując wierzchowcem tylko za pomocą nóg, w lewej ręce trzymał cugle, prawą pozdrawiał widzów. W tym czasie herold donośnym głosem wymieniał wszystkie tytuły i osiągnięcia władcy.

Za przeciwnika król węgierski miał niezbyt rozzagarniętego, ale walecznego i silnego polskiego rycerza, Janusza z Opoła, dosiadającego złotego kasztana, który nieco się denerwował, co pobudziło niektórych widzów do drwiących okrzyków. Na dany sygnał obaj jeźdźcy ruszyli spokojnym kłusem na pozycje oddalone o kilkaset kroków od siebie. Wiatr rozwiewał grzywy rumaków i pióra sterzące z hełmów rycerzy.

Nastała cisza.

Janusz z Opoła uspokoił konia, poprawił się w siodle. Na moment wyszło zza chmur słońce i złota zbroja Zygmunta zabłysła jak płomień. Potem, niemal jednocześnie, król oraz jego rywal przełożyli kopie przez wycięcia w prawych górnych rogach swych tarcz i na kolejny odgłos trąb spięli konie ostrogami.

Ziemia zadrżała od tętentu kopyt.

Gniewko usłyszał radosny okrzyk tłumu, gdy objeżdżał klacz po placu namiotowym.

Król zwyciężył, pomyślał, lecz szybko powrócił do swoich przygotowań. Nie czuł się najlepiej, a im bliżej było do jego walki, tym większe ogarniały go obawy. Co gorsza, jego klaczy chyba udzieliło się podenerwowanie jeźdźca, bo wydawała się przestraszona. Dlatego wciąż głaskał ją po szyi i przemawiał spokojnym głosem, przejeżdżając między namiotami, boksami, ułożoną w sterty uprzężą i ogniskami. Inni rycerze też szykowali się już do swoich starć. Stajenni siodłali i czesali konie, woskowali uprzęż, atmosfera była gorączkowa. Gniewko jeszcze raz okrążył główny pawilon i kiedy poczuł, iż klacz jest już nieco spokojniejsza, podjechał do swojego boksu.

Nie zsiadał już z konia, ponieważ spodziewał się, że zaraz zostanie wywołany, a wspinanie się na grzbiet wierzchowca, kiedy miało się na sobie tyle żelastwa, było raczej uciążliwe. Dłonie w rękawicach oparł na

wysokim łęku o odchylonych do tyłu skrzydłach i ponownie spojrzął w niebo.

Danusia przyglądała mu się w milczeniu, lecz po jej twarzy poznał, że się o niego niepokoi.

Posłał jej uśmiech.

– Idź na trybuny, bo nie zdążysz zobaczyć chwil mojej chwały – powiedział wesoło.

– Zdążę.

Nadszedł giermek, trzymając w dłoniach hełm. Podał go młodemu rycerzowi.

– Mam coś jeszcze dla ciebie – rzekła dziewczyna.

– Kolejną tasiemkę? – Gniewko się zaśmiał.

– Nie – odparła poważnie.

Wyciągnęła przed siebie dłoń z zaszuszoną kwiatkiem.

– Co to? – spytał.

– To z tego wianka, który miałam na głowie, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy – odrzekła, rumieniąc się. – Nad Popradem. Pamiętasz?

Pochylił się nad szyją kłaczy i wziął kwiatek, czując, że coś ściska go w gardle – nie wiedział, czy ze strachu, czy ze wzruszenia. Chciał odpowiedzieć Danusi, lecz nie zdążył, bo między namiotami pojawił się jeden z heroldów.

– W następnej rundzie spotykają się ze sobą Gniewko z Krakowa i Gejza z Budy! – wykrzyknął swym donośnym, wyćwiczonym głosem. – Szykujcie się!

– Niech będzie, co ma być – rzekł jasnowłosy rycerz, po czym nałożył na głowę hełm w kształcie żabiego pyska.

Od razu usłyszał swój niespokojny oddech zamknięty w stalowych płytach. Poprzez wąską szparę na oczy widział już tylko to, co znajdowało się bezpośrednio przed nim. Teraz giermek podał mu trójkątną drewnianą tarczę – również z herbem Lisów – a następnie długą kopię z przyczepionym do niej proporczykiem.

Kiedy Gniewko ruszył truchtem w kierunku placu turniejowego, zaczął padać deszcz.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Po chwili lało już jak z cebra.

Wprawdzie Milda i jej bliscy siedzieli na trybunie pod płóciennym dachem, jednakże silny wiatr siekł deszczem ich twarze. Wszyscy widzowie skulili się na swoich ławkach, naciągnęli na głowy kaptury i nakryli się pelerynami. Słysząc było piski kobiet, pospólstwo chroniło się pod drzewami, heroldowie pospiesznie uciekali z placu, aby skryć się w turniejowym pawilonie.

– Do diabła! – krzyknął Bartłomiej. – Jestem już cały mokry. A dopiero co przechodziłem febrę!

Jakież to do niego podobne, pomyślała Milda z irytacją. W pierwszej kolejności martwi się o własne zdrowie, najbardziej drogocenne w tej rodzinie, a nie o dziecko.

Co najgorsze, nie bardzo było gdzie się schronić przed ulewą. Najbliższe namioty oraz wielki pawilon rycerski znajdowały się kilkaset kroków od trybuny.

– Istny biblijny potop – rzekł Mikołaj, ale Milda mu nie odpowiedziała. Przytuliła do siebie Tomka, osłaniając go szczelnie peleryną. Zarówno mąż, jak i teść nic jej w tej chwili nie obchodzili. Czuła jakąś pustkę. Pragnęła już tylko jak najszybciej wrócić do domu.

Na całe szczęście deszcz dosyć szybko zelżał, przez jakiś czas jeszcze trochę padał, a potem nagle przestał i znów wyszło słońce. Wciąż jednak było chłodno i wiał wiatr, aż trzepotały sztandary z orłami i złotymi liliami na niebieskim tle.

– Chodźmy już! – powiedziała Milda. – Ojciec jest przemoczony. Nie daj Bóg, znów nabawi się febry.

Ostatnie słowa wypowiedziała z jawną ironią, lecz Bartłomiej chyba tego nie dostrzegł.

– Masz słuszość, droga Anno – odrzekł, używając nielubianego przez nią chrześcijańskiego imienia. – Ze zdrowiem nie ma żartów.

– Nie obejrzymy ostatnich walk króla? – Mikołaj wydawał się zawiedziony.

– Ma walczyć dopiero o zmierzchu, przy świetle pochodni – odparła, podnosząc się z ławki. – Zresztą, nie wiadomo, czy nie odwołają dalszego ciągu. Popatrz na plac. Samo błoto.

Rzeczywiście, krótka, lecz silna ulewa zamieniła plac turniejowy w wielkie grzęzawisko.

– Poza tym Tomko musi jak najszybciej osuszyć się przy ogniu – dodała.

– No tak. – Jej mąż pokiwał głową, choć raczej bez przekonania. – Ale nie zobaczysz walki Gniewka.

– Trudno – odparła. – Oglądałam go wczoraj.

Jej małżonek nie musiał wiedzieć, że występ młodego rycerza herbu Lis był jednym z powodów, dla których Milda pragnęła już iść do domu. Może nawet i najważniejszym. Znów powrócił do niej niepokój, miała wrażenie, że niedługo stanie się coś złego, nie potrafiłaby spokojnie wysiedzieć na turnieju, gdy przepełniało ją to nieznośne uczucie strachu.

Kiedy zeszli z trybuny i ruszyli w kierunku Okołu, znów zatrąbiono, dając sygnał do dalszych zmaganiań.

Przedstawienie musiało trwać.

Kiedy wywołany przez heroldów Gniewko wjeżdżał na rozmokły od deszczu plac turniejowy, opuściły go wszelkie lęki i obawy.

Tak było zawsze. Zazwyczaj w dniu turnieju już od samego rana odczuwał zdenerwowanie, rozmyślając o tym wszystkim, co w czasie potyczki może pójść nie po jego myśli, jednakże bezpośrednio przed starciem, gdy siedział już w pełnym rynsztunku na drżącym z bojowego podniecenia rumaku, słuchając okrzyków widzów i trąb, stawał się jak gdyby innym człowiekiem. Jego myśli zawężyły się – podobnie jak widok oglądany poprzez wąską szparę w hełmie – skupiały jedynie na przeciwniku, a wszystko inne przestawało istnieć.

Przemieniał się w mityczną wojenną bestię, zakutą w stal, nawet niepodobną do człowieka. Miał wrażenie, jakby stapał się w jedną całość

ze swym wierzchowcem. Kolcza zbroja, zbudowana z połączonych ze sobą metalowych pierścieni, chroniła tułów, a składający się z trzech stalowych płyt hełm osłaniał głowę. Do tego dochodziły naramienniki i napierśnik. Całe to żelastwo, w połączeniu z ciężarem, siłą oraz impetem rozpędzonego rumaka, dawało Gniewkowi poczucie, iż jest niezwyciężony. Miał świadomość, że to tylko złuda, ale była mu ona niezbędna podczas starcia, bo każdy przejaw niepewności czy wahania jeźdźca udzielał się także koniowi, a to mogło doprowadzić do katastrofy.

Tak więc wjechawszy na plac przy akompaniamencie wiwatów i gwizdów, Gniewko nie myślał już ani o Mildzie i jej dziwnych słowach, ani o Danusi, ani o głównej nagrodzie.

Szukał wzrokiem przeciwnika.

Ulice Krakowa były prawie całkowicie wyludnione, ponieważ kto żyw znajdował się teraz nad rzeką.

Im bardziej oddalali się od gwaru nadwiślańskich błoń, tym Milda stawała się spokojniejsza. Teraz jedynie bolała ją głowa od tych wszystkich dzisiejszych – także nocnych – wrażeń. Przemoczona peleryna ciążyła, a rozmokłe błoto w miejscach, gdzie nie było bruku ani desek chodnika, utrudniało marsz, który i tak był uciążliwy, bowiem wszyscy musieli się dostosować do powolnego kroku starego Bartłomieja.

Ten większość sił tracił, jak zwykle, na puste gadanie.

– Te dzisiejsze turnieje – mówił zasapany – to dziecięce zabawy. Igry, powiadam wam. Rycerze już nie tacy jak niegdyś. Za moich czasów, za króla Kazimierza, to były chwaty! Nie bano się walki, przy każdej potyczce ktoś spadał z konia i skręcał sobie kark.

– Przestałby już ojciec z tym Kazimierzem – burknął Mikołaj, który wyraźnie stracił humor. – Ciągle ten Kazimierz i Kazimierz.

– Bo to był wielki władca!

– A ja słyszałem, że nawet czytać nie umiał.

– Brednie! Nie bluźnij, głupcze. – Bartłomiej zakręcił w powietrzu kosturem, na którym się wcześniej opierał.

– I dziewczynę na Węgrzech zhańbił.

– Stul gębę! Gadasz jak Niemcy. To ich kłamstwa.

– Nawet jeśli Niemcy, to nie znaczy, że nie mówią prawdy.

Bartłomiej prychnął.

– Oni zawsze łżą.

– A Polacy to niby nie?

– Głupiś! Od dziecka durny byłeś. Po matce.

– Oho.

– Gdyby nie ja, tobyś ten sklep przepuścił i chodził z żebraczą miską. Nie umiesz podejmować decyzji.

– Jakich znowu decyzji?

– Korzystnych dla interesów.

Mikołaj aż przystanął.

– Takich jak ta w sprawie tamtego rzeźnika? – zapytał jadowitym tonem.

Starzec na chwilę stracił kontenans, zmieszał się i chyba nie wiedział, co odpowiedzieć, ale szybko odzyskał rezon.

– Po co ja w ogóle z durniem gadam? – warknął. – Idźmy szybciej, bo czuję, że już mnie dreszcze biorą.

Milda słuchała tej niespodziewanej kłótni w milczeniu i prawie obojętnie. Nie zrobiło na niej wrażenia to, iż mąż po raz pierwszy w jej obecności tak ostro postawił się wszechwładnemu ojcu. Trochę się z tym spóźnił. Należało tak uczynić, kiedy był na to czas. Teraz jego sprzeciw już nic nie mógł zmienić, po prostu Mikołaja przepęłniały wyrzuty sumienia.

A raczej świadomość, że Milda wie już o tym haniebnym czynie.

Nie wstawiła się więc teraz za mężem, nie miała zamiaru ułatwiać mu zadania.

Przez długi czas szli we wrogim milczeniu. Gdy dotarli na Grodzką, znów zaczęło kropić. Na ulicy widać było tylko kilku żebraków, kręcącą się przed kościołem świnię i dwa psy grzebiące w stercie odpadków.

Lecz nie byli sami.

Kilkadziesiąt kroków za nimi podążało trzech zakapturzonych mężczyzn. Przemykali cicho pod murami kamienic, kryjąc się w bramach i za drewnianymi gankami przy wejściach. W rękawach swych szarych oponczy ukrywali noże i nabijane ćwiekami pałki.

Jak na złość deszcz zaczął padać na nowo akurat w momencie, gdy Gniewko i Gejza z Budy stanęli naprzeciwko siebie na przeciwległych końcach szranków.

Dzień miał się już ku schyłkowi, powoli zmierzchało, tym szybciej iż niebo było zaciągnięte deszczowymi chmurami.

Przeciwnicy siedzieli pewnie w siodłach, choć ich konie wyrywały się już do biegu, grzebiąc kopytami w rozmięklej ziemi i chrapiąc ciężko. Madziar dosiadał gniadosza z białą strzałką na czole, który teraz podnosił łeb, aż skóra na szyi się fałdowała. Rycerz miał na sobie hełm w kształcie wielkiego garnka z wystającymi z niego długimi i skręconymi jak u bawołu rogami. Herb na jego tunice przedstawiał lwa. W ogóle prezentował się bardzo groźnie.

Lecz na Gniewku nie robiło to większego wrażenia. Nie pierwszy raz stawał w szrankach i dobrze wiedział, że można się przebrać nawet za samego diabła, ale to i tak nie pomoże podczas tych kilku decydujących chwil starcia z przeciwnikiem. Zresztą z tej odległości widział tylko niewyraźną sylwetkę przeciwnika, ciemną na zielonym tle.

Herold dał pierwszy sygnał, nakazujący przygotowanie się do walki.

Gniewko wziął trzy głębokie oddechy, aby należycie się skoncentrować. Tylną część biało-czerwonej kopii, którą do tej pory trzymał na sztorc, umocował na przytwierdzonym do napierśnika haku, potem przełożył ją przez wycięcie w tarczy. Uniósł ostrogi z gwiazdzistymi bolcami i czekał.

Czas jakby się zatrzymał.

Znów nie słyszał nic poza swym przyspieszonym oddechem, nienaturalnie głośnym wewnątrz hełmu. Nie docierały do niego odgłosy z trybun ani uderzenia kropel deszczu o blachę. Wydawało się, iż czeka tak długie godziny, kiedy wreszcie rozbrzmiał sygnał do walki.

Uderzył ostrogami konia, a klacz ruszyła z kopyta, z każdym krokiem nabierając prędkości, i po chwili biegła już galopem. Obaj jeźdźcy zbliżali się do siebie błyskawicznie, pochyleni nad szyjami rumaków, unosząc się w rytm ich biegu, z kopiami nastawionymi do zvarcia. Końskie ogony i grzywy falowały na wietrze, spod kopyt ulatywały daleko w tył grudki błota i kępy trawy, a ziemia wydawała się drżeć.

Poprzez wąską szczelinę hełmu Gniewko widział gwałtownie rosnący obraz konia i jeźdźca z Węgier. Wstrzymał oddech, pochylił się jeszcze

niżej ku przodowi, uniósł tarczę i kiedy się mijali, pchnął kopię ruchem spod pachy.

Nie poczuł uderzenia, stępiony koniec kopii prześlizgnął się po tarczy przeciwnika. Klacz galopowała dalej, minęła szranki Madziara, więc Gniewko wstrzymał ją, a następnie szarpnął wodzami w bok, aby zawrócić. Wygięła szyję, wyszczerzyła olbrzymie zęby i spojrzała wystraszonym okiem na swego pana.

Nie zwrócił na to uwagi.

Przepełniony żądzą walki i rozczarowany tym, że chybił, pragnął jak najprędzej spróbować raz jeszcze. Także Gejza wstrzymał gwałtownie konia, aż ten stanął dęba, wymachując w górze kopytami, co dodatkowo podnieciło widzów. On również najchętniej ruszyłby znów do natarcia, ale zgodnie z regulaminem obaj przeciwnicy musieli zająć swoje miejsca i poczekać na dany znak.

Było trochę czasu, by uspokoić konie i samemu ochłonąć.

Musieli schronić się przed deszczem w jednej z bram na Grodzkiej.

– Możemy tu sterczeć do wieczora – ponuro skwitował Mikołaj, patrząc w zachmurzone niebo.

– Musimy odczekać – odparła Milda. – Przemoczyłoby nas do suchej nitki.

Naburmuszony Bartłomiej nie odzywał się do nich, tylko wzdychał ciężko, opierając rękę o mur. Jedyne Tomko nie okazywał żadnych emocji. Patrzył na spływającą ulicą wodę, obojętny i jakby pogrążony w zadumie. Milda obserwowała go ukradkiem, zastanawiając się, o czym może teraz myśleć jej syn. Przyzwyczała się już do tych chwil, gdy chłopiec zamykał się w sobie, lecz ciągle ją to zaskakiwało i napełniało matczyną troską.

Kiedy wreszcie przestało padać, było już ciemno. Ulicę oświetlały tylko małe latarnie rozwieszane nad wejściami do niektórych kamienic, a także nikły blask przenikający przez błony w oknach. Szli przed siebie, od czasu do czasu brodząc w błocie i rozległych kałużach. Milda, rozdrażniona podobnie jak jej mąż i teść, starała się myśleć już o domu: ogniu w kominie, suchym ubraniu i pucharze wina. Miała zamiar ogrzać się, a potem wziąć pachnącą ziołami kąpiel w balii i położyć się wcześniej spać.

Cokolwiek przydarzy się na placu turniejowym, jeszcze przez najbliższy czas się o tym nie dowie.

Zbliżali się już do rynku, gdy nagle wyrosła przed nimi jakaś postać.

Wielki mężczyzna stał z rękami opartymi na kosturze.

Milda poczuła ukłucie niepokoju na widok nieruchomej pogrążonej w mroku postaci i odruchowo przyciągnęła do siebie Tomka.

Mikołaj zatrzymał się w pół kroku.

– Kim jesteście? – spytał. – Czemuż stajecie nam na drodze?

W jego głosie Milda wyczuła strach, który z miejsca udzielił się jej samej.

– To jakiś żebrzący dziad – pogardliwie skwitował Bartłomiej.

– Nie wygląda mi na takiego – odparł jego syn. – Nadto bezczelny.

Podeszli bliżej i wtedy Milda zobaczyła twarz intruza.

– To Justyn... – wyszeptała.

Były hutman rozciągnął wargi w uśmiechu, co wyglądało koszmarnie przy jego do połowy nieruchomej twarzy.

– Nie Justyn, pani – powiedział. – Kostur. Zwą mnie teraz Kostur. Zapomnieliście?

– Czego chcecie? – spytała.

– Nie gadaj z nim. – Mikołaj wystąpił naprzód i zwrócił się do mężczyzny: – Słuchaj no, ty śmierzący psie. Zejdź mi z drogi, bo przywołam strażników. I nie myśl, że pójdziesz tylko w dyby. Każę zatłuc kijami tutaj, na ulicy.

– Tak jak kazaliście zatłuc Pietrka od rzeźników? – zapytał spokojnie Justyn, zwany Kosturem.

Mikołaj cofnął się o krok.

– Skąd o tym wiecie? – wydusił z siebie z trudem.

– Archanioł Gabriel powiedział mi we śnie, jeśli zadowala was ta odpowiedź, szanowny Mikołaju. A co się tyczy strażników, to mam dla was złe wieści. Wszyscy oni pilnują teraz porządku podczas konnych harców. Bardzo nieroztropnie z waszej strony, żeście stamtąd samotnie odeszli. Teraz przyjdzie zapłacić za grzechy.

– Grozisz mi, dziadu? – Mąż Mildy wyjął zza pasa swój ozdobny sztylecik.

– Nie pokaleczcie się nim jeno – zadrwił były hutman.

Z ciemności wyłoniło się trzech drabów w szarych opończach. Dwóch z nich trzymało pałki, jeden miał długi rzeźnicki nóż. Milda poczuła, że

uginają się pod nią nogi, uklękła, ochraniając syna własnym ciałem.

– Pomocy! – krzyknął Mikołaj, lecz na pustej ulicy nikt go nie słyszał.

– Pietrek też wzywał pomocy – rzekł Justyn. – Na niewiele mu się to zdało. – Skinął na drabów.

– Białogłowy i dzieciaka nie ruszajcie – nakazał. – Tego młodszego też nie. To dziad wynajął zbirów. I on ma za to zapłacić.

Bartłomiej, widząc, na co się zanosi, próbował uciec, lecz dopadli go przy bramie. Trzy uderzenia nabijanych ćwiekami pałek – dwa w głowę, jedno w plecy – powaliły starca w kałużę błota.

– Wystarczy – zakomenderował były hutman. – Idziemy.

Rozpłynęli się w mroku równie szybko i bezszelestnie, jak się pojawili.

To już było ich trzecie starcie.

Podczas poprzedniego obaj skruszyli swoje kopie, lecz z powodu rozmokłej ziemi konie nie mogły nabrać odpowiedniego rozpędu i jeźdźcy bez trudu utrzymali się w siodłach. Trzecia próba miała być ostatnią, jeśliby nie przyniosła rozstrzygnięcia, rywale będą walczyć późnym wieczorem pieszo, na maczugi. Prawdę mówiąc, Gniewko wolałby zakończyć całą sprawę teraz, bo perspektywa pieszej walki z wyższym o głowę barczystym Madziarem nie bardzo mu się uśmiechała. Lepiej radził sobie w siodle.

Ponieważ zapadł już zmrok, plac turniejowy oświetlały liczne zatknięte na słupach i trzymane przez pachołków pochodnie. Rycerze po raz trzeci skierowali swoje konie – zbryzgane błotem, spienione już i dyszące z wysiłku – na pozycje wyjściowe, giermkowie podbiegli do swych panów z nowymi kopiami. Gniewko czuł, jak pod hełmem spływa mu po czole strużka potu i trafia do oka. Zapiekł. Zamrugął gwałtownie, ponieważ zamazał mu się obraz. Kiedy odzyskał ostrość widzenia, zabrzmiał sygnał.

Tym razem już od samego początku wyczuł, że coś jest nie tak. Klacz była nie tylko zmęczona, lecz również przestraszona – poznał to po stulonych uszach i nierównym kroku. Ścisnął mocniej kolanami boki zwierzęcia, modląc się w duchu, by nie skreśliła w bok z obawy przed zderzeniem z węgierskim rumakiem. Ni stąd, ni zowąd przeleciały mu przez głowę słowa Mildy o jej złym śnie. Zanim jeszcze zbliżyli się z Gejzą

do siebie, uświadomił sobie z okrutną wyrazistością, iż nie wygra tego pojedynku.

Że jest zgubiony. Przez myśl przebiegło mu jeszcze, że nie powinien był lekceważyć sygnałów dawanych mu przez wierzchowca.

Kiedy rycerzy dzieliło od siebie zaledwie kilkanaście kroków, klacz Gniewka poślizgnęła się na błotnistym podłożu, zgubiła rytm i obróciła się bokiem. Młodzieniec zachwiał się w siodle. Widząc to, Węgier opuścił kopię i spróbował wstrzymać konia, lecz już nie zdążył. Jego ciężki gniadosz z całym impetem wpadł na z trudem utrzymującą równowagę siwą klacz. Rozległo się przeraźliwe rżenie.

Potem wszystko wydarzyło się jak gdyby w zwolnionym tempie.

Na oczach przerażonych widzów koń Gniewka zaczął przechylać się na bok. Gdyby młodzieniec przy zderzeniu wyleciał z siodła, zapewne ocaliłby życie, gdyż ziemia namiękła po deszczu. Siodła turniejowe nie miały tylnego łęku, by w razie takiego wyrzucenia nie narażać bioder. Na nieszczęście rycerz herbu Lis miał silne uda i trzymał się mocno na grzbiecie klaczy, jakby do samego końca zespolony ze swoim wierzchowcem.

I to go zgubiło.

Siwa rozpaczliwie starała się ustać na nogach, jednak nie zdołała i przechyliła się jeszcze bardziej. Gniewko wtulił głowę w ramiona, klacz przygniotła go do ziemi i wraz z nim przekoziółkowała jeszcze po trawie. Martwy już jeździec zgubił swój hełm, a wtedy kopyta wierzgającego konia zmiażdżyły mu twarz.

Tłum westchnął głośno, po czym zapadła upiorna cisza.

Potem zaś rozległ się przeraźliwy, przechodzący w wycie krzyk młodej kobiety.

Mikołaj i Milda klęczeli nad leżącym w błocie Bartłojem, sprawdzając, czy jeszcze oddycha.

Twarz starca była umazana błotem, w dodatku ciemności nie pozwalały dostrzec oznak życia. Litwince zdawało się, iż widzi ciemną krew na jego siwych włosach.

– Ojczy, żyjesz? – łamiącym się głosem zapytał Mikołaj.

Usłyszeli wydobywający się z ust Bartłomieja cichy bełkot.

– Bogu dzięki! – ucieszyła się Milda.

– Zostań przy nim – nakazał jej mąż. – Muszę wezwać pomoc.

Zerwał się na równe nogi, podbiegł do kamienicy, w której oknach płonęło światło, i zaczął gwałtownie uderzać w bramę kołatką.

Tymczasem Milda, trzymając obok siebie Tomka, klęczała przy teściu, trzęsąc się cała.

– Wszystko będzie dobrze, ojczy – szeptała gorączkowo. – Wszystko będzie dobrze.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Turzyce, październik 1397

Przez cały dzień Varnas podążał śladem jelenia.

Na jego trop natrafił przed południem, w okolicy mokradeł, zaledwie pół mili od swojej wsi. Już od rana widział na chmurnym niebie krążące nad tamtą okolicą jastrzębie, co oznaczało dużą ilość wodnego ptactwa. Zanim więc opadły poranne mgły, wyruszył na swoim srokaczu, wraz z dwoma psami, które wziął od chłopca o imieniu Lasota, z łukiem, kołczanem pełnym strzał oraz – na wszelki wypadek – oszczepem. Chciał zapolować na bekasy.

A tak naprawdę pragnął ponownie uciec do lasu.

Uciec od gospodarstwa – dworu, wsi, krów, świń kur oraz kaczek. Od chłopów i krzykliwych dziewczuch. Od nieskończonej nudy mrocznych jesiennych popołudni i wieczorów, gdy można tylko popijać piwo przed kominem, słuchając pieśni i ciągle tych samych gawęd Anny, starej niańki, opiekującej się jego córeczką. Po raz pierwszy, odkąd się tutaj osiedlił, poczuł, że zaczyna go męczyć powolne, monotonne życie, przesiąknięte zapachami obory i nawozu. Coraz częściej wspominał młodość, gdy służył w drużynie kniazia Jogaiły i wiecznie był w drodze, pod gołym niebem, narażony na niebezpieczeństwa, słowem, żył zwierzęcą pełnią życia.

Nie żeby źle mu było z Sońką – kochał ją bardzo, podobnie jak i dzieci – ale po kilku latach gospodarowania jego natura znów zapragnęła szerokich przestrzeni, wiatru, mocniejszego bicia serca, wyzwania. Przyłapał się na tym, iż coraz częściej zastanawiał się, czy Jagiełło rozpocznie jakąś wielką wojnę, z Tatarami bądź z Zakonem, z kimkolwiek, bo wtedy mógłby bez wyrzutów sumienia wyruszyć wraz z królem. Lecz na razie na nic takiego się nie zanosilo, toteż musiały mu wystarczać wyprawy do lasu.

Często kilkudniowe. Bo zapuszczał się nieraz daleko, poza własne ziemie, buszował pośród łągów i rozlewisk Wisły, docierał aż do Puszczy

Niepołomickiej albo podążał przed siebie gościńcem solnym w kierunku Bochni. Zatrzymywał się w przydrożnych karczmach, by słuchać wieści ze świata od kupców z Krakowa, a także przybyszów z Rusi, przywożących do polskiej stolicy szafran, rodzynki, złotogłów i perły. Sypiał w lasach, latem zaś w wykrotach, pod rozgwieżdżonym niebem, w chłodne noce w skleconym naprędcie szałasie. I siedząc wtedy przy ognisku, które rozjaśniało pnie najbliższych stojących drzew pośród nieprzeniknionych leśnych ciemności, czuł się lekki, na jakiś czas uwolniony od nużącego wiejskiego życia.

Tego dnia niebo było zaciągnięte, wiał silny wiatr i zanosilo się na deszcz.

Nie zniechęciło to Varnasa, przeciwnie, tym chętniej wyprowadził ze stajni konia, bowiem perspektywa siedzenia przy takiej pogodzie przez cały boży dzień w czterech ścianach świetlicy wydawała się nieznośna. Pragnął gorzkiego i rześkiego zapachu brzoź oraz korzennego aromatu świerków i ziół.

Wyruszył więc przy akompaniamencie radosnego ujadania psów, które plątały się pod nogami konia, kręcąc ogonami i wywieszając języki. Szybko dotarł do mokradeł. Po jakichś dwóch godzinach, gdy zastrzelił już kilka bekasów, ujrzał odcisnięte w błocie świeże ślady racic jelenia. Ucieszyło go to odkrycie, bo polowanie na większego zwierza było dużo bardziej emocjonujące niżli szycie z łuku do ptaków. Nie wiedział jeszcze, czy to na pewno jelen, czy może locha, ponieważ jedne i drugie owalne ślady były do siebie bardzo podobne, lecz nie miało to większego znaczenia.

Poczuł łowiecki zew i od razu polepszył mu się humor.

Jechał tym śladem długo, najpierw wzdłuż płynącego kilkanaście stóp niżej strumienia, później skrajem gęstego młodnika, aż dotarł do rzadkiego lasu porośniętego wiekowymi sosnami.

Tam właśnie około południa po raz pierwszy go ujrzał – płową plamę przemykającą pomiędzy drzewami. A więc jednak jelen, był już tego pewien. Serce zabiło mu mocniej. Ruszył za zwierzęciem, powoli, starając się go nie spłoszyć. Psy, nauczone biegać tylko za kaczkami, nie były teraz bardzo przydatne, interesowały się wszystkim, tylko nie jeleniem.

Po jakimś czasie Varnas stracił orientację i w pewnym momencie uświadomił sobie, iż wyjechał już poza granice swoich włości. Prawdopodobnie znajdował się w lesie należącym do cystersów z Mogiły. Nie mógł tutaj polować, mimo wszystko jednak nie zawrócił. Za bardzo

zaangażował się w tę odwieczną rozgrywkę między człowiekiem a leśnym zwierzem, aby tak raptownie ją przerwać. Wypatrywał jedynie śladów ludzkich siedzib, aby nie pchać się przed oczy mieszkańcom. Nie chciał zatargów z klasztorami, bo uważał ich za dziwnych ludzi.

Zwłaszcza od czasu wizyty, jaką złożono mu dwie niedziele temu.

Wtedy to właśnie, w ponury i wietrzny poranek, do Turzyc zawitał wysłannik cysterskiego klasztoru, niemłody już, rosły mężczyzna z tonsurą. Miał na sobie ciężką szubę, spod której widać było mnisi habit, a także wielki krzyż zawieszony na piersi.

Gdy tylko Varnas zobaczył zakonnik powolutku zajeżdżającego od strony młyna, natychmiast się zachmurzył. Nie lubił kościelnych, jeden zgryźliwy miejscowy klecha w zupełności mu wystarczał. Należało jednak z odpowiednim szacunkiem przyjąć niespodziewanego gościa, nawet jeśli nie był mile widziany.

Varnas i zakonnik pochwalili Boga, po czym przybysz powiedział, iż ma na imię Bernard i wstąpił z sąsiedzką wizytą, wracając do klasztoru z Krakowa. Litwin pomyślał, że w takim razie przybysz musiał sporo nadłożyć drogi, lecz uwagę tę zachował dla siebie. Zaprosił gościa do środka, polecił parobkowi zająć się mułem zakonnika, a służącej kazał przynieść piwo i gorącą strawę.

– I jak się wam gospodarzy? – zapytał cysters, zajadając kaszę ze skwarkami. Oparł łokcie na dębowym stole pokrytym czystym haftowanym obrusem.

Dziwne to było pytanie, zważywszy, że Varnas siedział w Turzycach już od bez mała pięciu lat.

– Spokojne tu życie – mruknął krótko w odpowiedzi.

– No tak. I widzę, że dostatnie.

Zakonnik powiódł wzrokiem po ścianach świetlicy, obwieszonych skórą rysiów, wilków i niedźwiedzi, tarczami i oszczepami, po ustawionych pod nimi ławach, a potem spojrział na ogromny komin. Nic się nie mogło ukryć przed jego badawczym wzrokiem, pomyślałby kto, iż to nie duchowny przyjechał, ale komornik lub poborca danin.

– Pomnę, jeszcze dziesięć lat temu, za starego gospodarza, ten dom przypominał psiarnię – powiedział.

– Dużo nas kosztowało przywrócenie porządku – odparł Varnas, bawiąc się drewnianym kubkiem.

Dom rzeczywiście był czysty i schludny, dbała o to Sońka, która teraz im usługiwała, przysłuchując się rozmowie, lecz w niej nie uczestniczyła.

– Zbójów jakowyś w okolicy nie ma? – chciał wiedzieć ojciec Bernard.

– Ni jednego nie widziałem.

– To dziękować Bogu. Drzewiej wielu ich przy gościńcu grasowało, zwłaszcza za bezkrólewia i rządów węgierskiego Ludwika. Szczęściem miłościwie nam panujący Władysław mocną ma rękę i rzezimieszków goni.

– Co prawda, to prawda.

Przez chwilę jadł, wpatrzony w misę, a potem podniósł na Varnasa czujne spojrzenie.

– A innych intruzów nie widzieliście? – zapytał.

Mięśnie Varnasa napięły się jeszcze bardziej.

– Kogo macie na myśli, wielebny ojcze?

– Cudzych ludzi.

– Nie ma tu takich.

Przypomniał sobie o widzianej w marcu rusałce, ale nie zamierzał nic na ten temat mówić zakonnikowi. Po pierwsze, zdążył już uznać, że mu się coś przywidziało. Po drugie, nawet jeśli nie, to klasztorni nie muszą o niczym wiedzieć. Varnas nie mógł nie dostrzec, z jaką rezerwą przybysz podchodzi do niego i Sońki, zapewne świadom, iż jeszcze do niedawna oboje byli poganami, on z Litwy, ona z Prus. Bernard wcale swej nieufności nie taił. W jego oczach byli obcy i niebezpieczni. Brakowało tylko, by Varnas zaczął teraz opowiadać o rusałkach i leśnych dziwach.

Zresztą od wiosny już nic niepokojącego w okolicy się nie wydarzyło – nie było żadnych łun na niebie, żadnych śladów obcych. Las, w którym tak często polował, znów wydawał się zwyczajny jak dawniej.

– Pytam, bo bywało niegdyś, że widziano tutaj dziwne rzeczy – powiedział Bernard, odsuwając miskę. – Bóg zapłać za poczęstunek.

– Ludzie tu zabobonni – odparł Varnas.

– Prawda. Lecz my, w klasztorze, znamy historię tych ziem.

– Jaką znowuż historię?

Mnich otarł usta grzbietem dłoni, odbiło mu się lekko.

– Ano starożytną – rzekł. – Zanim nastąpiła tu prawdziwa wiara, chrystusowa, w tamtych lasach, przy Wiśle, siedzieli poganie. Ofiary składali swym plugawym bożkom.

– Chyba wszędzie tacy byli przed nadejściem rzymskiej religii.

– Tak, lecz tutaj szczególnie mocni. Są takie miejsca, jak choćby Łysa Góra, gdzie siła ich największa. Czują się tam jak niedźwiedź w mateczniku. Piastowie większość ich poprzeganiali, bałwany powrzucałi do rzeki, ale wielu pogan zaszyło się na odludziu. Po kryjomu dalej swe praktyki czynili jak ongiś.

– I, jak się domyślam, dalej czynią?

– Takie chodzą słuchy.

– Ludzie różne rzeczy gadają – odparł Varnas. – Choćby tutaj. Wierzą, że w spróchniałej wierzbie przy stawie mieszka diabeł. A na bagnach straszą duchy tatarskich jeźdźców, którzy tam utonęli, kiedy dawno temu przyszedli ze stepów, by spalić Kraków.

– Mówiłem już, że dobrze o tym wiemy. Lecz mamy na tyle rozumu, że odróżniamy bajki od prawdy.

Varnas nalał mnichowi i sobie piwa.

– Widzieliście jakichś? – spytał na pozór obojętnie. – Tych pogan?

– Ostatnimi laty nie. Ale niełatwo takich wytropić. Czarodziejstwem się trudnią.

Litwin uśmiechnął się krzywo.

– Dziwne, że wy w klasztorze w czary wierzycie.

– Szatan chytry lis, różnych sztuczek używa. A co jeszcze ohydniejsze, rządziły nimi niewiasty. One to były kapłankami.

Varnas poczuł, że przechodzi go dreszcz, lecz nie dał nic po sobie poznać.

– Jeśli zauważę takową, wielebny ojcze, jak najrychlej dam wam znać – powiedział, patrząc zakonnikowi prosto w oczy.

– Bardzo roztropnie – odrzekł cysters. Twarz miał nieprzeniknioną.

Po wypiciu dwóch kubków piwa podniósł się jednak z ławy, dziękując za gościnę. Potem obejrzał trochę gospodarstwo i pogadał z proboszczem oraz z czeladzią, dla której wizyta klasztornego była dużym wydarzeniem w monotonnym życiu.

Kiedy w końcu wgramolił się na grzbiet muła, przywołał jeszcze Varnasa.

– Byłbym zapomniiał – powiedział cicho, wkładając na głowę podróżny kapelus z szerokim rondem i rzemykiem pod brodą. – Gdyby wam kiedyś

zbrzydło to miejsce, obojętne z jakiego powodu, to wiedzcie, cny gospodarzu, iż nasz klasztor chętnie wykupi te ziemie.

Varnas uśmiechnął się w duchu.

Aha, to dlatego, drewniany świętku, straszyłeś mnie bajkami o pogańskich czarownikach, pomyślał. Tylko po to przyjechałeś.

– Nie zamierzam się stąd ruszać – odparł. – Dobrze mi tu.

Bernard pokiwał tylko w milczeniu głową, po czym ruszył w kierunku gościńca.

A teraz to Varnas zajechał na cysterskie ziemie, choć wcale nie planował takiej wizyty.

Prawdę mówiąc, chciał się trzymać od mnichów najdalej, jak to było możliwe. Naturalnie, że mieli chętkę na jego własność. Litwin obawiał się, że w miarę upływu czasu ich prośby mogą się stać bardziej natarczywe. Lecz choćby zupełnie mu się sprzykrzyło życie w Turzycach, postanowił, że nie będzie robił żadnych interesów z mnichami. To jego ziemia i chciał ją pozostawić w spadku Michałowi. Poza tym gdzie miałyby się niby podziąć po sprzedaży wsi? Wrócić do Prus? Zamieszkać w Krakowie?

Uśmiechnął się smutno na taką niedorzeczną myśl.

Zerwał się silniejszy wiatr, zaszumiał w konarach drzew, a potem zaczęło padać. Po niedługim czasie Varnas przemókł do suchej nitki. Postanowił wracać. Może kiedyś jeleni znowu zabłądzi na jego tereny. To jeszcze nie koniec.

Gdy wjechał na powrót do swojego lasu, deszcz szemrał w wędnącym listowiu. Koń stulił uszy, przemoknięte psy straciły cały entuzjazm i spoglądały pytająco na swojego pana, czy aby przypadkiem nie zamierza wracać. Lecz on nie zamierzał jeszcze zajeżdżać do domu. Deszcz nie deszcz, lepiej trochę zmoknąć, niż siedzieć w świetlicy i gapić się w ogień. Chciał posprawdzać wnyki, które niedawno pozakładał. A może jeszcze upoluje ze dwa bekasy, kto wie?

Przeglądanie sideł zajęło mu więcej czasu, niż przypuszczał. Przestało padać, wiatr ucichł zupełnie, a zaraz potem zaczęło się powoli ściemniać. Varnas pomyślał o wieczerzy i naraz poczuł ssanie w żołądku. Zawsze po łowach miał wilczy apetyt. Uznał, że już najwyższy czas wracać.

O zmierzchu podniosła się mgła – najpierw pełzała tuż przy ziemi, jak dym z ogniska w deszczowy i wietrzny dzień, szybko jednak sięgnęła niemal końskiego brzucha, gęsta i nieprzenikniona. Litwin miał wrażenie, że pokonuje na swym wierzchowcu jakąś baśniową rzekę albo zaczarowane jezioro. Białoszary opar wił się między ledwie już widocznymi w ciemnościach pniami sosen i szczelnie otulał wszystko niczym głęboki sen. Mgła wytłumiła wszelkie odgłosy, las stał się niesamowicie cichy i Varnas poczuł się trochę niepewnie, prowadząc konia prawie po omacku. Słyszał idące przy nim psy, lecz ich nie widział. Było coś dziwnego w tej mgle i w tej ciszy, w której nie słyszał nawet kropel wody spadających z mokrych po deszczu gałęzi.

Nagle zdał sobie sprawę, że wjeżdża na szeroką polanę.

To go zdumiało, bo nie pamiętał, aby jechał przez nią poprzednio, a przecież wracał tą samą drogą.

Niemożliwe, by pobłądził. Nie on. Jego niepokój wzrósł, gdy dostrzegł, iż na środku polany wznosi się coś szarego. Jakby wielki głaz. Ścisnął lekko kolanami boki srokacza i podjechał powoli. Psy podkuliły ogony i zaczęły cicho skomleć, lecz nie zwracał na to uwagi. Zeskoczył z siodła, wodze przerzucił na łęk, sięgnął do juków i wyjął z nich krzesiwo oraz jedno z suchych łuczyw z końcówką nasączoną smołą. Zawsze woził je ze sobą, na wypadek gdyby podczas pobytu w lesie zastała go noc. Pewnymi ruchami wzniecił iskry, od których zapłonęła szczapa. Dawała więcej dymu niż światła, ale zawsze to coś.

W wąłym czerwonym blasku łuczywa, który nadawał całej scenie jeszcze bardziej niesamowity charakter, dostrzegł, iż rzeczywiście stoi przed wielkim płaskim głazem.

Na wierzchu coś leżało.

Varnas postąpił krok do przodu i zamarł.

Zobaczył kości. Stos ułożonych na szarym kamieniu kości. Przez chwilę myślał jeszcze, że to zwierzęce szczątki, jednakże szybko pozbył się złudzeń, gdy dostrzegł pękniętą ludzką czaszkę z wyszczerzonymi zębami. Potem zauważył następną i jeszcze jedną. Między nimi widniały pojedyncze żebra, jakaś żuchwa oraz drobniejsze kości. Te drobne, stwierdził z przerażeniem, należały do małych dzieci. Wszystkie wyglądały na bardzo stare, poźółkłe.

Podobnie jak wtedy, wiosną, kiedy ujrzał nad Wisłą tajemniczą dziewczynę, która rozplynęła się w powietrzu, miał teraz wrażenie, iż śni na jawie.

Im dłużej przyglądał się szczątkom oraz kamieniowi, tym więcej dostrzegał niepokojących szczegółów: na głazie wyryto i wymalowano jakieś znaki, niektóre czaszki nosiły ślady czerwonej farby.

Przypomniał sobie słowa ojca Bernarda:

„*Siedzieli w tamtych lasach nad Wisłą*”.

„*Ofiary składali swym plugawym bożkom*”.

Uznał to za bajanie klechy, który chciał mu obrzydzić to miejsce i nakłonić do sprzedaży posiadłości. Lecz teraz, pośród ciemności i mgły, sam jeden w leśnej głuszy, zdał sobie sprawę, iż właśnie stoi przed ofiarnym pogańskim ołtarzem, podobnym do tych, jakie widywał często w najgłębszych puszczech Litwy i Żmudzi.

Ten las, jego las, był w posiadaniu prastarych demonów.

Wracał do domu pospiesznie, oszołomiony i zaniepokojony, gorączkowo próbując zebrać myśli.

Zrobiło się już całkiem ciemno i nastał przedwieczorny październikowy ziąb. Varnas zapomniał całkowicie o głodzie. Jeszcze tego samego wieczora zamierzał odwiedzić księdza w jego drewnianym kościółku, opowiedzieć mu o wszystkim i nakłonić, by następnego dnia wielebny udał się wraz z Varnasem na polanę i poświęcił to przekłete miejsce. Innymi słowy, odczynił uroki. Jakkolwiek Litwin nie był zbyt za pan brat z rzymskim Bogiem, jednak nie przeszkadzało mu to wierzyć w moc kościelnych rytuałów i zaklęć.

Któż inny, jeśli nie ten gniewny ksiądz miałby przegonić z lasu złe moce?

Trzeba też będzie zabrać ze sobą kilku chłopów, aby pomogli pogrzebać w ziemi kości. Nieważne, do kogo należały, czy do pogan, czy też do chrześcijan, którzy wpadli w ich ręce, nie mogły tak sobie leżeć pośród tych tajemniczych, złowrogich znaków. Varnas nie potrafiłby zasnąć, wiedząc, że znajdują się w tak niewielkiej odległości od jego dworu.

Prawdopodobnie i tak będzie miał od dzisiaj kłopoty ze snem.

Bał się też reakcji Sońki. Teraz już nie da rady ukryć przed nią, co znalazł. I tak zrobiła się podejrzliwa po wiosennych wydarzeniach, chyba się domyślała, iż jej mąż widział i wie więcej, niż jej mówi. Poza tym od jakiegoś czasu wydawała się dziwnie smutna i zgaszona. Mało się uśmiechała, mało mówiła, wieczorami, przy krosnach, nuciła tęskne pieśni ze swych rodzinnych stron, skarżyła się czasami na złe, mroczne sny. Kiedy Varnas wybierał się na swoje kilkudniowe wyprawy do lasu, nic nie mówiła, tylko patrzyła na niego smętnie.

Teraz wiedział, iż to ten przeklęty las był winien temu wszystkiemu: przywoływał nocne koszmary, tworzył złudy, wysysał szczęście z ich rodzinnego domu. Tym bardziej należało za pomocą chrześcijańskich zaklęć zdjąć zły czar z tego miejsca. Jeśli zaś klecha nie będzie dość mocny – trudno i darmo, Varnas schowa dumę do kieszeni i poprosi o modły cystersów. Powinni być zachwyceni, bo tropią pogan jak on łosie i zające.

Wszystko to ułożył sobie w głowie, zanim dotarł na drogę biegnącą pośród pastwisk wprost do jego dworzyszczka. Już z oddali ujrzał, że na dziedzińcu pali się dużo świec. Ludzie musieli wyjść z pochodniami na zewnątrz. Słyszał też szczekanie psów. Nie spodobało mu się to. Ktoś zajechał do dworu? O tej porze? Raczej mało prawdopodobne. Uciekł któryś z koni?

Przynaglił srokacza, a po chwili dostrzegł jakąś postać biegnącą mu naprzeciw. Rozpoznał Lasotę, chudego chłopca w koszuli do kolan przepasanej łykiem.

– Panie... – wydyszał mężczyzna.

– Co się stało? – spytał Varnas, czując, jak ogarnia go lęk.

– Panie, Bogu dzięki, że jesteście.

– Mów, do diabła, co się stało! – huknął Litwin, niemal napierając koniem na chłopca, aż ten musiał się odsunąć.

– Bieda wielka...

Nadbiegła żona Lasoty.

– Dzieciatko zniknęło – wykrzyknęła płaczliwym głosem. – Jezusie, co za nieszczęście! Ktoś je zabrać musiał!

Zaczęła zawodzić niczym płaczka na pogrzebie. Varnas skamieniał, w pierwszej chwili nie pojmując tych słów. Kiedy wreszcie do niego dotarły, wychrypiał:

– Moja córka?

– Tak, panie – rzekł Lasota.

Jego żona uspokoiła się nieco i łamiącym się głosem zaczęła opowiadać:

– Wasza małżonka była z nią w świetlicy. Zaczęło wiać, więc wyszła, aby sprawdzić, czy wszystko pozamykane. Kiedy wróciła, dzieciątka nie było. Do teraz go nie znaleźliśmy.

– Jak to możliwe? – spytał Varnas, kręcąc głową.

– Ktoś się musiał zakraść.

– Kto?

– Nie wiadomo.

– Kiedy to się stało?

– W południe.

O bogowie! – pomyślał Varnas. I jeszcze jej nie znaleźli!

– Z drogi! – krzyknął strasznym głosem, spiął konia i galopem puścił się ku domowi.

Kiedy dopadł do pierwszych zabudowań, gdzie stali chłopci z pochodniami, jeszcze w biegu zeskoczył z konia.

– Gdzie moja żona? – zapytał głośno.

W milczeniu wskazali mu na dom. Wskoczył na ganek, wbiegł do środka, minął sień i dotarł do pogrążonej w półmroku świetlicy.

Jego żona siedziała przy stole, z głową opartą na rękach.

– Sońka! – wykrzyknął.

Podniosła na niego mokrą od łez bladą twarz. Dostrzegł w niej taką rozpacz, że aż cofnął się o krok. Przez długą chwilę milczeli oboje.

Nie musieli nic mówić.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kraków, październik 1397

Brutalny zamach na znanego krakowskiego kupca i rajcę poruszył całe miasto.

Sprawców złapano bardzo szybko – Justyna u zbiegu drogi na Kleparz i gościńca, prowadzącego na Śląsk, pozostała trójkę przy bramie Sławkowskiej. Były hutman znany był w całym Krakowie, więc mimo że przebrał się za wędrownego mnicha, został rozpoznany bez trudu. Najpierw zdradził go kostur, bez którego nie mógł się poruszać, a potem znieruchomiła do połowy twarz. Trzej czeladnicy rzeźniccy wpadli w panikę na widok strażników przy bramie, czym wzbudzili ich natychmiastową czujność.

Znaleziono przy nich pałki, na jednej z nich widniały niestarannie wytarte ślady krwi.

Ponieważ sprawa dotyczyła jednego z rajców, członka kupieckiej gildii i ogólnie szanowanego obywatela miasta, złoczyńcy natychmiast stanęli przed Ławą. W trakcie rozprawy wyszło na jaw, że mieli również na sumieniu zabójstwo sukiennika niemieckiego, Nikolausa Mulheima, oraz pobicie syna rajcy, Arnolda z Kolonii, też Niemca.

Wcale się z tym nie kryli, a nawet, wiedząc, że i tak już nic ich nie uratuje, chełpili się swoimi występkami na głos. Justynowi zaś postawiono dodatkowy zarzut: podburzanie pospólstwa do buntu przeciwko ratuszowi. Zapadł srogi, acz jedyny możliwy w takich razach wyrok: cała czwórka została skazana na włóczenie końmi po nierównym bruku miasta, a potem mieli zawisnąć na szubienicy znajdującej się u zbiegu szlaku z Kleparza ze śląskim gościńcem. W tym samym miejscu, gdzie złapano uciekającego Justyna.

Po raz drugi jego droga właśnie tam się kończyła.

Tym razem jednak nie było nadziei na powrót.

Rankiem, następnego dnia po ogłoszeniu wyroku, pod wzgórzem wawelskim zebrały się tłumy. To stamtąd skazańcy mieli być ciągnięci przez konie na miejsce kaźni. Było zimno i wietrznie, nocą trochę padało i bruk lśnił od deszczu. Spokoju pilnowało wielu łuczników i strażników miejskich, zachodziły bowiem obawy, iż motłoch z rzeźnickiego kwartału będzie chciał odbić przestępców, a zwłaszcza Justyna, swojego przywódcę i kaznodzieję, uznawanego przez niektórych za świętego człowieka. Na szczęście do zamieszek nie doszło, zwolennicy Kostura, pozbawieni przywództwa, nie byli w stanie pociągnąć za sobą pospólstwa, a w dodatku pojmanie i skazanie napastników najwidoczniej ich przstraszyło, woleli więc tego dnia się nie ujawniać.

Kiedy rozdzwoniły się dzwony, tłum zafalował, rozległy się podniecone okrzyki. Ludzie podawali sobie z ust do ust informację, że konie już ruszyły z zamkowego podwórca i zaraz pojawią się na drodze prowadzącej w dół, do miasta. Zgromadzeni zaczęli się tratować, każdy chciał mieć jak najlepszy widok. Panował nastrój jak na festynie. Słysząc było krzyki, śmiechy, nawoływania, grube żarty rzucane przez podпитыch mężczyzn, którzy z tej okazji chętnie opuścili zalane piwem stoły w karczmach. I piszczące z podniecenia dzieci, usadowione na ramionach ojców.

W końcu oczom gapiów ukazały się konie ciągnące za sobą skazańców, przywiązanych za nogi do orczyków. Zwierzęta celowo prowadzono powoli, by tortura trwała jak najdłużej, a wleczeni po kamieniach przestępcy nie wyzionęli od razu ducha. Z początku nieszczęśnicy starali się ochraniać rękami twarze, kiedy jednak dotarli do ulicy Grodzkiej, wyłożonej nierównym brukiem, nie mieli już na to siły. Bezwładnie ciągnęli za sobą ręce, głowy podskakiwały na kolejnych wybojach. Krzyki bólu skazańców po każdym takim spotkaniu z ostrym kamieniem ginęły pośród wrzasków, śmiechów i gwizdów rozradowanej i podnieconej gawiedzi.

Do posępnej powolnej procesji dołączali kolejni gapie, którzy wylegali teraz ze swoich domów na ulicę i na drewniane chodniki ułożone wzdłuż budynków. Kiedy pochód dotarł do Bramy Grodzkiej, Justyn wyglądał, jakby już uszło z niego życie. Pomocnik kata podszedł do leżącego nieruchomo mężczyzny i wstrzymując na chwilę konia, trącił skazańca długim czubkiem cizmy. Usłyszał jęk i dał znać, że można ruszać dalej.

Kostur żył, a to dobrze, bo zgodnie z planem miał zawisnąć na szubienicy żywy.

Niektórzy mieszkańcy miasta nie szli już dalej. Ze ściśniętym sercem patrzyli na niemal całkowicie odarte z ubrań, zakrwawione i zabłocone ciała, nie bardzo już przypominające ludzi. Odwracali wzrok i zatrzymywali się na ulicy. Nawet dla przywykłych do oglądania podobnych scen ten widok stał się nie do wytrzymania. Dalej biegli już tylko ci, którym każda zbirów sprawiała nieustającą okrutną przyjemność – głównie dzieci.

Po przejściu bramy ciągnące złoczyńców konie dotarły w końcu pod szubienicę. Cztery pętle kołysały się złowieszczo na wietrze. Ledwo żywych skazańców trzeba było podsadzać na ławę, bo żaden nie był w stanie wejść na nią o własnych siłach. Kat i jego pomocnicy uwinęli się szybko. Pierwszy zawisnął Justyn, niemal już nieprzytomny, po nim trzech pozostałych.

Po chwili słychać było już tylko skrzypienie belek, podtrzymujących kołyszące się na wietrze ciała.

Z wychodzącego na rynek okna swego pokoju Milda widziała jedynie tłumy gapiów.

Nie zamierzała przyglądać się egzekucji. Zbyt dobrze pamiętała tę sprzed kilku lat, kiedy to na rynku spalono kacerzy. Obrazy tamtej kaźni prześladowały ją jeszcze długo. Nie tylko ofiar, ale i wykrzywionych nienawiścią czy też szyderyczym śmiechem twarzy widzów. Nie chciała znów tego oglądać, a już tym bardziej napawać się zemstą czy choćby jakąś małą satysfakcją. Wystarczyło jej, że Justyn i jego kompania zostali złapani i już więcej nikomu nie zagrają.

Tak, to jej wystarczało.

Stan kupca Bartłomieja z dnia na dzień się pogarszał.

Niedługo po tym, jak został zaatakowany, a Mikołaj sprowadził pomoc, starzec odzyskał przytomność i nawet zdołał usiąść na bruku, podtrzymywany przez syna i synową. Miał rozciętą skórę na czole, potłuczoną głowę, wszystko go bolało, lecz odpowiadał na pytania i najwyraźniej zdawał sobie sprawę, co się wokół niego dzieje.

Przetransportowano go na noszach do domu, gdzie Milda obmyła mu rany i opatrzyła, a potem od razu zasnął. Nad ranem, po ciężkiej nocy czuwania przy łożu ojca, kiedy jego stan się pogorszył, Mikołaj posłał po Miguela. Katalończyk przybył od razu i zbadał starca, którego głowa, twarz oraz plecy zdążyły się już pokryć wielkimi ciemnymi sińcami.

– Najbliższe dni pokażą, czy z tego wyjdzie – oświadczył na osobności Mildzie oraz Mikołajowi. – Obrażenia są poważne.

– Twarda z niego sztuka – odrzekł Mikołaj, jakby chcąc samemu sobie dodać otuchy i nadziei. – Na pewno dojdzie do siebie.

Lecz jego nadzieja zaczęła szybko niknąć. Bartłomiej nie wstawał z łoża i najczęściej nie było z nim kontaktu. Tylko na chwilę odzyskiwał świadomość, jakby po to, aby się upewnić, że nie jest sam. Kiedy widział twarz pochylającej się nad nim Mildy i siedzącego przy łożu Tomka, ukochanego wnuka, zamykał z ulgą oczy i znów odpływał w niebyt.

Potem było już tylko gorzej. W chwilach, gdy ranny się budził, jego spojrzenie stawało się puste. Jeśli się odzywał, to bełkotał. W końcu przestał rozpoznawać nawet najbliższych.

Według słów Miguela, który przychodził teraz do starego rajcy kilka razy dziennie, Bartłomiej nie miał żadnych szans na powrót do zdrowia.

– To kwestia dni – oznajmił pewnego popołudnia medyk.

Nie docenił jednak sił witalnych swego pacjenta, który wprawdzie większość czasu był nieprzytomny, jednak uparcie trzymał się życia. Każdego dnia spodziewano się końca, lecz śmierć nie nadchodziła. Milda pielęgnowała teścia z większym poświęceniem, niż mogłaby się sama po sobie spodziewać. Leżący bez ducha starzec o niemal przezroczystej twarzy i wyostrzonych rysach wzbudzał w niej nieznanne dotąd uczucia. Nie był już teraz porywczym, nieprzyjemnym człowiekiem ani bezdusznym kupcem, który nasłał na dłużnika zbirów z pałkami.

Był bezbroną, cierpiącą ludzką istotą.

Przy pomocy służącej Jagny układała wychudłe ciało konającego raz na jednym, raz na drugim boku, obmywała je, czesała rzadkie siwe włosy. Wyczuwała, że wszyscy chcieli, by już jak najszybciej umarł, bowiem przy braku nadziei na wyzdrowienie tak długa agonía wysysała z domowników siły.

Kiedy pewnego piątku Bartłomiej znów odzyskał na chwilę świadomość, Milda wezwała czym prędzej księdza z wiatykiem. Wiedziała, że musi

zadbać, aby teść mógł przyjąć sakrament ostatniego namaszczenia i w miarę możliwości wyspowiadać się ze swoich grzechów. Przybyły natychmiast duchowny wysłuchał spowiedzi przytomnego jeszcze starca, a kiedy ten znów stracił świadomość, namaścił go świętymi olejami, zwilżając nimi zamknięte powieki, nozdrza, uszy, usta, ręce i stopy chorego. Milda, stojąc przy uchylonych drzwiach sypialni teścia, słuchała wypowiadanych przy tym półgłosem modlitw.

Kiedy ksiądz wyszedł, Tomko, który znów usiadł przy dziadku, odwrócił się nagle do Mildy.

– Matko, kolory wokół dziadka robią się coraz słabsze.

Poczuła, jak jej serce zaczyna szybciej bić. Znała to, o czym mówił jej synek. Wiedziała, co to oznacza.

– Takie piękne iskierki migoczą teraz wokół niego – mówił dalej Tomko, wyraźnie zachwycony. Po chwili jednak posmutniał. – Dziadek umiera, mammo.

Rzeczywiście, w nocy, niedługo przed Świętem Zmarłych, kupiec żelazny i krakowski rajca, Bartłomiej z Tarnowa, zmarł spokojnie podczas snu.

Zgon stwierdził Miguel, który jak zwykle z samego rana pojawił się w domu przy Rynku Głównym. Na wszelki wypadek ułożył jeszcze na piersi starca kubek z wodą, gdyby miało się okazać, że uznany za zmarłego tylko stracił przytomność. Najmniejsze nawet poruszenie spowodowane oddychaniem przewróciłoby ów kubek. Potem wziął zapaloną gromnicę i przystawił ją do ust Bartłomieja, ale płomień ani drgnął. Na koniec połaskotał jeszcze wnętrze nosa pacjenta zdjętym z własnego kapelusza piórkiem, lecz i to nie wywołało żadnej reakcji.

Starzec nie żył.

Zza okna dobiegł ich żałobny dźwięk dzwonu, ktoś ze służby zdążył już dać znać do kościoła o umierającym rajcy, by wierni i kapłani mogli zacząć odmawiać modlitwy za jego duszę. Milda tymczasem sama zajęła się pośmiertną toaletą teścia. Mikołaj był zbyt załamany, wszystko leciało mu z rąk, a na widok zmarłego ojca omal nie upadł zemdlny przy łóżku. W ostatniej chwili zauważyła kredowobiałą twarz męża i uciekające w głąb czaszki oczy. Chwyciła go, kiedy zaczął się już osuwać na podłogę.

Zmarłego przebrano w specjalnie przygotowaną na ten cel drogą pośmiertną koszulę i szaty, a potem ułożono na marach w reprezentacyjnej komnacie wybitej kirem, a wokół udekorowanego kwiatami katafalku zapalono świece. Później nastąpiło czuwanie. Przybyli goście żegnali się ze zmarłym, ksiądz śpiewał psalmy, w kościele dzwoniły dzwony. Po zakończeniu czuwania zmarły został uroczyście odprowadzony do kościoła w asyście kapłanów, rodziny, przyjaciół i licznej biedoty, która chętnie uczestniczyła w takich uroczystościach w nadziei na jałmużnę. Na czele procesji maszerowali przedstawiciele gildii kupieckiej ze swoimi sztandarami, a także dostojni, odziani w czarne aksamity i gronostaje, członkowie Rady oraz Ławy.

Bartłomiej z Tarnowa, rajca krakowski i szanowany kupiec, został pochowany pod posadzką kościoła pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, jak wszyscy znamienici, i co ważne, bogaci krakowianie. Zdaniem władz miasta zasłużył na taki godny pochówek. Miejsce wszystkich innych, głównie biedoty, było na skromnym przykościelnym cmentarzu, czyli pustym placu bez drzew, pokrytym trawą i otoczonym murem.

Po pogrzebie Milda, Mikołaj i Tomko w milczeniu wrócili do domu. Było jesienne przedpołudnie, pochmurne i wilgotne, wszystko zdawało się zatopione w posępnej szarości.

Przez resztę dnia siedzieli w pokoju jadalnym i wspominali zmarłego, starając się wskazywać głównie te dobre i zabawne strony jego charakteru. Mikołaj zastanawiał się również, jak sobie poradzi z prowadzeniem rodzinnego interesu w pojedynkę. Szybko odrzucił pomysł Mildy, by poszukać jakiegoś współnika. Nie chciał ingerencji obcych ludzi w ich życie. Ani, rzecz jasna, nie zamierzał dzielić się z nimi pieniędzmi.

W pewnym momencie zwrócił się do żony:

– A może ty mi pomożesz?

– Ja? – spytała zaskoczona.

– A czemu nie?

– Nie mam pojęcia o handlu.

– Szybko się nauczysz. Jesteś bystra. Potrafisz rozmawiać z ludźmi. A rachunki i zamówienia to żadna czarna magia.

– No, nie wiem. – Milda nie była przekonana do tego pomysłu. – Czarna magia chyba byłaby dla mnie łatwiejsza. Pamiętaj, że jestem wiedźmą.

Miał to być żart, lecz Mikołaj się nie roześmiał, tylko spojrzał na nią poważnie.

– Myślę, że kto jak kto, ale ty poradysz sobie ze wszystkim, litewska wojowniczo.

Poczuła ogarniające ją ciepło.

Tak nazywał ją jeszcze przed ślubem. Potem już nie używał tego pieszczotliwego określenia, przybierając w rozmowach z nią jakiś oficjalny, uprzejmy ton, owszem, pełen szacunku i zapewne uczucia, lecz pozbawiony dawnej czułości i żartobliwości. Wyglądało to tak, jak gdyby śmierć ojca nagle pozbawiła Mikołaja wcześniejszej sztywności i znów powrócił, przynajmniej na moment, tamten uroczy młodzieniec, dla którego Milda kiedyś straciła głowę.

– Co powiedzą o tym ludzie? – spytała teraz, czując jednak, że pomysł męża zaczyna jej się nawet podobać. Zawsze to dla niej jakieś nowe wyzwanie. – Zaczną o nas mówić. Drwić.

Mikołaj z politowaniem pokręcił głową.

– A odkąd to, moja droga małżonko, przejmujesz się ludzkim gadaniem?

Nazajutrz, ku własnemu zaskoczeniu, obudziła się spokojna i lekka. Jakby ktoś zdjął jej z piersi olbrzymi głaz. Cały strach i smutek ostatnich tygodni, śmierć i piękny, ale wyjątkowo smutny pogrzeb Gniewka, napad na Bartłomieja, jego długa agonია i śmierć – wszystko to oddaliło się od niej, przestało przesłaniać jej myśli. Pomyślała, że wczorajsze ceremonie pogrzebowe zamknęły pewne drzwi, a teraz zaczyna się wreszcie coś nowego.

Nawet pogoda uległa poprawie – zanim jeszcze Milda wstała, widziała złociste promienie słońca wpadające przez wycięte w okiennicach małe otwory w kształcie serc.

Pełna energii, jak rzadko w ostatnich miesiącach, umyła się, ubrała, uczesała i wyszła z sypialni. Cały dom wydawał się jakiś inny, kiedy nie było już w nim wszechwładnego Bartłomieja, jak gdyby odkryła to miejsce na nowo. Dopiero teraz Milda poczuła, jak bardzo ciążyła wszystkim obecność sędziwego kupca, nawet jeśli znajdował się na dole, w magazynie lub w kantorze. Nawet gdy leżał nieprzytomny w łóżu, w ostatnich dniach,

zdawał się przytłaczać każdego, począwszy od służby, na Mikołaju kończąc. Wszystko od lat obracało się wokół niego, niczym w astrolabium, którego Słońce, Księżyc i gwiazdy krążyły posłusznie na swych sferach wokół nieruchomej Ziemi.

A teraz w domu zrobiło się cicho i pusto.

Milda weszła do gabinetu teścia, ostrożnie, jakby wkraczała do sanktuarium. Obrzuciła spojrzeniem kafłowy piec, specjalnie sprowadzone ogromne szafy biblioteczne z księgami, głównie dotyczącymi handlu, a także szerokie rzeźbione biurko. Było zavalone papierami i przeróżnymi rzeczami. Zobaczyła kałamarz w kształcie statku, klepsydrę, w której przesypał się już cały piasek – bo czas zatrzymał się już dla jej właściciela – srebrny świecznik na lwich łapach, kamionkowy wazonik z wyschniętymi już kwiatami, posrebrzane nożyki do ostrzenia piór, jakąś hebanową szkatułkę.

Jego królestwo.

Trzeba będzie to wszystko posprzątać, pomyślała bezwiednie.

A potem naraz przypomniała sobie pierwszą wizytę tutaj, pięć lat wcześniej.

Ze wszystkimi szczegółami wróciło do niej owo śnieżne grudniowe popołudnie, gdy Bartłomiej wezwał ją z Wawelu na rozmowę dotyczącą jej oraz Mikołaja.

I tamto upokorzenie oraz łyzy po jego twardych, bezlitosnych słowach.

Tylko trochę złagodniał w stosunku do Mildy, gdy weszła do rodziny. Tak naprawdę, pomyślała teraz gorzko, zawsze traktował ją niechętnie, z lekceważeniem, z trudem tylko tolerując.

Ale przetrwała to, podobnie jak przetrwała wygnanie z Wawelu i tułaczkę po mieście. Teraz Bartłomiej był martwy, a ona stała w jego gabinecie, który zamierzała wkrótce urządzać po swojemu. Czuła się wreszcie wyzwolona i gotowa, aby zacząć naprawdę działać i mieć więcej możliwości czynienia dobra.

Rozejrzała się jeszcze raz po swoim nowym królestwie.

Dam radę, uśmiechnęła się do własnych myśli.

Teraz już nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA. BIAŁE GODY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

CZĘŚĆ DRUGA. DAMY I RUSAŁKI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

CZĘŚĆ TRZECIA. CZERWONY LIS

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI
ROZDZIAŁ CZWARTY
ROZDZIAŁ PIĄTY
ROZDZIAŁ SZÓSTY
ROZDZIAŁ SIÓDMY
ROZDZIAŁ ÓSMY
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
ROZDZIAŁ JEDENASTY
ROZDZIAŁ DWUNASTY